

AŁFRONT

An abstract painting with a textured, layered appearance. The color palette is dominated by earthy tones: yellows, browns, and greys. There are dark, expressive brushstrokes in the lower half, and a bright yellow circular shape in the upper right. The overall effect is one of depth and complexity, with various textures and colors visible throughout.

Kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 3(6)
2018

ISSN 2544-3070

POEZJA

Spis treści

Poezja

Autorzy – Poezja	3
Rysunek – Kreskonauta	8
W(y)stępniak	9
Ewa Sonnenberg „Informacja dla psychiatry”, „Rozmowy z Richelieu”, „Madame Sans Merci”, „Dama z gronostajem”, „Bankrut w złotej kurtce”, „Infantka infantylizmu”	10
Łukasz Jarosz „Przypadek”, „Zamek”, „Przekór”, „Małe halo”, „Zalew”, „Wpław”, „Ogród”, „Rzut”, *** (Przy stawie umarł młody łabędź...), *** (kładę dłonie na wodzie źródła jakbym...)	18
Piotr Gajda „Ekspres to kolej dużych prędkości”, „Dzień wolny od pracy”, „Mein mein kampf”, „Sferyczne lustro”	22
Mascha Kaléko „Pieśń ducha”, „Piosenka zegara”, tłumaczył Ryszard Wojnakowski	25
Marcin Zagadło „Obudzony”, „Pies”, „Babka”, „Blisko”, „Drzewa”, „Przebarwienie”,	26
Dorde Kuburić „Pięćdziesięcioletni poeci”, „Twój wiersz jest daleko”, „Nokturno”, „Nie chcę się obudzić”, przełożyła: Agnieszka Żuchowska-Arendt	29
Poezja angielska w tłumaczeniu Macieja Frońskiego: Christopher Marlowe „Namiętny pasterz do swej miłej”, Ben Jonson „Do Celii”, Thomas Carew „Kto rumiane wielbi lica...”, Sir John Suckling „Coście tak bladzi, zakochani?”, Richard Lovelace „Ślimak”, Alexander Pope „Wersy napisane w windsorskim lesie”, Samuel Johnson „Spacer zimowy”, William Cowper „Epigramat”, William Ernest Henley „Invictus”, Thomas Carew „Pieśń”	31
Cecilia Woloch (...)Kiedy zaczęłam..., (...)A gdybyś mieszkał w pudełku..., „Warszawa”, tłumaczenie Grażyna Wojcieszko	37
Jana Orlová V (Prababcia stoi przy oknie...), V (Kiedy nadochodzi mnie na to ochota...), V (Tylko że...), V (Nigdy nie wycieram brudów...), V (Noc kiedy jestem sama...), V (To czego z siebie nie zmyję...), V (Kochasz postęp...), V (Na demonstracji przeciwko supermarketom...), V (Nie musisz przychodzić...), V (A przecież ktoś odgarnia zaspę...)	39
Paweł Nowakowski „Roztopy”, „Finlandia”	42
Juliusz Pielichowski „ubezwłasnowolnienia”, „rozetrzyj palcami kawałek”, „pozór, ten pożar”, „ciała, widma”, „tam, gdzie dorastali chłopcy”	44
Adam Raczynski „Dygnęła”, „Okolice”, *** (Ogorzała gęba nałożona na garnitur...), *** (Kupcy ciągle się boją...), *** (Brod centrum taki sam jak wszędzie...), *** (Krzak na dachu...)	48
Zenon Kałuża „No to Frugo albo Zenon Kałuża próbuje przypomnieć sobie lata dziewięćdziesiąte. tribute to <i>Kutabuk</i> ”	50
Jarosław Nowosad „Skamandrytka” z Berlina, recenzja: Mascha Kaléko: <i>Moje epitafium</i> . Wybrał, przełożył i posłowiem opatrzył Ryszard Wojnakowski. Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt 2017.	55
Ilona Paczyńska „Przeciw bylejakości”, recenzja: Kazimierz Grochmalski, <i>Traktat o marionetkach</i> , Wydawnictwo Naumov CEE 2, Poznań 2018.	57
IN MEMORIAM – Jerzy Suchanek (1953 – 2018)	59
Jerzy Suchanek „Temu komu”, „Pies księżniczki”, „Wiersz rozwiąże więzły”	60
Edyta Antoniak-Kiedos – „Nagroda Otczaka. Do jedenastu razy sztuka”	64
Wojciech Brzoska „z urny do żłobka” (wiersz pamięci Jurka Suchanka)	67
Maciej Melecki „Topografia widzenia”, wspomnienie o Jerzym Suchanku	68
Piotr Gajda „Ciężar Otczaka, w tym gatunkowy”, wspomnienie o Jerzym Suchanku	69
Rafał Gawin „Jurek. Chciałbym, żeby był bardziej mój”, wspomnienie o Jerzym Suchanku	70
Bogdan Prejs „O człowieku, który kopał pociągi”, wspomnienie o Jerzym Suchanku	73
Paweł Sarna , b.t. wspomnienie o Jerzym Suchanku	73
Konrad Wojtyła „Krwotok z oka, które widziało nie ma i nie jest”, wspomnienie o Jerzym Suchanku	74
Fot. Przemysław Czaja – Tajemnica życia i śmierci	76
Rafał Gawin „Recenzje uzupełniające”: Dominik Bielicki, <i>Pawilony</i> (Fundacja im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław), Leszek Szaruga, <i>Zaczyna się</i> (Convivo, Warszawa), Joanna Roszak, <i>Przyszli niedokonani</i> (Biuro Literackie, Stronie Śląskie), Aldona Kopkiewicz, <i>Szczodra</i> (WBPiCAK, Poznań), Marzanna Bogumiła Kiełar, <i>Nawigacje</i> (Znak, Kraków), Sławomir Kuźnicki, <i>Kontury</i> (Forma, Szczecin), Karol Samsel, <i>Autodafe</i> (Forma, Szczecin), Małgorzata Lebeda, <i>Sny uckermärkerów</i> (WBPiCAK, Poznań), Anna Fiałkowska, <i>lalka bellmera</i> (WBPiCAK, Poznań), Tomasz Bąk, <i>Utylizacja. Pęta miast</i> (WBPiCAK, Poznań), Jacek Dehnel, <i>Serce Chopina</i> (Biuro Literackie, Stronie Śląskie), Bohdan Zadura, <i>Po szkodzie</i> (Biuro Literackie, Stronie Śląskie), Krzysztof Kuczkowski, <i>Sonny Liston nie znał liter</i> (Biblioteka „Toposu”, Sopot), Adrian Sinkowski, <i>Atropina</i> (Biblioteka „Toposu”, Sopot), Szymon Babuchowski, <i>Jak daleko</i> (Arcana, Warszawa), Michał Domagalski, <i>Poza sezonem</i> (Biuro Literackie, Stronie Śląskie), Aneta Kamińska, <i>Więzy krwi</i> (SDK, Warszawa), Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, <i>My się chyba znamy, 111 wierszy</i> (Convivo, Warszawa)	77

Autorzy » Poezja

Edyta Antoniak-Kiedos

Doktor nauk humanistycznych, sekretarz redakcji czasopisma o literaturze dla dzieci „Guliwer”, wykładowczyni, recenzentka, animatorka kultury. Publikowała w tomach pokonferencyjnych i w czasopismach literackich, m.in. w „Twórczości”, „Tekstach Drugich”, „Akencie”, „Toposie”, „Migotaniach”, „Akancie”, „eleWatorze”, „Halarcie”, „Opcjach”, „Zeszytach Poetyckich”, „Poboczach”, „Śląsku”, „Art-Papierze”, „Plamie”. Jest stałą współpracowniczką „Nowego Zagłębia”, redaktorką i autorką posłowi do kilku książek.

Zofia Bałdyga

Urodzona w 1987 r. w Warszawie. Autorka tomików *Passe-partout* (Warszawa 2006), *Współgłoski* (Nowa Ruda 2010) oraz *Kto kupi tak małe kraje* (Warszawa 2017). Absolwentka Instytutu Slawistyki Zachodniej i Południowej UW. Tłumaczka młodej poezji czeskiej i słowackiej. Prowadzi fotobloga The Picktures (www.thepicktures.net). Mieszka w Pradze.

Wojciech Brzoska

Urodzony w 1978 r. w Bytomiu. Poeta, wokalista i współzałożyciel zespołu Brzoska i Gawroński. Autor siedmiu książek poetyckich. Z zespołem nagrał dwie płyty LP. Jego wiersze zostały zamieszczone w antologiach polskich i zagranicznych (Stany Zjednoczone, Niemcy, Hiszpania, Serbia, Słowenia, Czechy, Słowacja). Utwory publikował w czasopismach literackich i kulturalnych (m.in. „Tygodnik Powszechny”, „Odra”, „Przekrój”, „Czas Kultury”, „Zeichen & Wunder”). W latach 2003–2005 redaktor Magazynu Literackiego „Kursywa”. Był również redaktorem działu poezji w dwutygodniku „ArtPAPIER”. Wydał m.in. *Blisko coraz dalej* (2000), *Niebo nad Sosnowcem* (2001), *Wiersze podejrzone* (2003), *Sacro casco* (2006), *przez judasza* (2008), *Drugi koniec wszystkiego* (2010), *W każdym momencie, na przyście i odejście* (2015).

Thomas Carew (1594/95–1640)

Angielski poeta metafizyczny. Członek grupy literackiej zwanej Synami Bena, której członkowie za swojego mistrza uważali Bena Jonsona. W poezji Carewa znaczący wpływ Johna Donne’a. Wiele jego wierszy, w tym najsłynniejsza z pieśni *Nie pytaj, pani...*, uznawane są za szczytowe osiągnięcia liryki dworskiej I połowy XVII w.

William Cowper (1731–1800)

Angielski poeta religijny okresu sentymentalizmu, autor pieśni kościelnych, związany z nurtem wiejskim; często bywa mylnie utożsamiany z osiemnastowieczną „rewolucją romantyczną” w literaturze.

Maciej Froński

Urodzony w 1973 r. w Gliwicach, mieszka w Bielsku-Białej. Poeta i tłumacz poezji i piosenek, z wykształcenia prawnik (UJ). Jako poeta zadebiutował w 1994 r. i jest autorem trzech tomików wierszy: *Rozpoznania bojem* (2006), *Poezji spokoju moralnego* (2008) i *Efektu zimnej wody* (2016). Publikował w prasie lokalnej i ogólnopolskiej, a także w czasopismach literackich (m.in. w „Arteriach”, „Lampie”, „Literaturze na Świecie”, „Migotaniach”, w brukselskim „Journal des Poètes” i zagrzebskiej „Poeziji”), w 2016 r. został wyróżniony w III Konkursie na Pieśń Dziadowską Nową. Jego utwory tłumaczono na francuski, czeski i chorwacki; jego przekłady z włoskiego i rosyjskiego weszły do antologii trzynastowiecznej poezji włoskiej *Przed Petrarką* pod redakcją Moniki Woźniak i książki *Iwan Bunin. Wciąż smutno wierzę w swoje szczęście...* pod redakcją Iwony Anny Ndiaye i Grzegorza Ojcewicza. Poza tym Maciek Froński jest członkiem redakcji „Pisma Folkowego”, za jeden z artykułów został nagrodzony w Konkursie Polskich Krytyków Muzycznych KROPKA 2014. Był też gościem Międzynarodowego Festiwalu Literatury „Apostrof” w 2018 r., w 2015 r. jego praca była prezentowana w Médiathèque Vogelles w Charleville-Mézières we Francji.

Piotr Gajda

Urodzony w 1966 r. w Tomaszowie Mazowieckim. Poeta, autor książek poetyckich *Hostel* (Łódź 2008), *Zwłoka* (Łódź 2010), *Demoludy* (Mikołów 2013), *Golem* (Mikołów 2014) i *Śruba Archimedes*a (Łódź 2016). Krytyk muzyczny, współpracownik „Arterii” oraz Gazety Literackiej „Migotania”. Wiersze publikował m.in. w „44”, „Tyglu Kultury”, „Opcjach”, „Toposie”, „Frazie”, „Gazecie Wyborczej”, „Odrze”, „Cegle”, „Ricie Baum”, „Czasie Kultury” oraz w pismach internetowych, m.in. „sZAFa”, „Helikopter”, „Fragment”, w antologii łódzkich debiutantów *Na grani* (Łódź 2008) oraz w antologiach: *Pociąg do poezji. Intercity* (Kutno 2011), *Węzły, sukienki, żagle. Nowa poezja, ojczyzna i dziewczyna* (Kutno 2013), *Przewodnik po zaminowanym terenie* (Wrocław 2016), *Ani ziemia jałowa, ani obiecana / Weder wüestes Land noch gelobtes* (Dom Literatury w Łodzi, 2016). W 2018 r. ukazał się tom wierszy *To bruk* (Dom Literatury w Łodzi i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi). Laureat Nagrody Otczaka 2014. Stypendysta Funduszu Popierania Twórczości ZA-ILKS w roku 2016. Jego wiersze przetłumaczono na język niemiecki. Prowadzi bloga *Hostel* – <http://pgajda.blogspot.com/>.

William Ernest Henley (1849–1903)

Angielski poeta, krytyk i dziennikarz. Jego ojciec był księgarzem, matka, Mary Morgan, była potomkinią poety i krytyka Josepha Whartona. W wieku lat 12 Henley zachorował na gruźlicę kości, co skończyło się dla niego amputacją nogi poniżej kolana. W 1867 r. zdał do Oxford Local Schools Examination. Był przyjacielem Roberta Louisa Stevensona, autor *Wyspy skarbów* na jego wzór wymodelował głównego bohatera tej powieści – Johna Silvera. Ważniejsze dzieła: *Invictus*, *Margaritae Sorori*, *Views and Reviews*, *The Song of the Sword*, *Pro Rege Nostro*.

Rafał Gawin

Urodzony w 1984 r. Poeta, konferansjer, reanimator kultury, sekretarka „Arterii”. Ostatnio wydał zbiór wierszy *Zachód słońca w Kurwidolach* (Łódź 2016) i *Wiersze dla kolegów* (Skierniewice 2017). Mieszka w Łodzi, gdzie pracuje w Domu Literatury. Prowadzi blog: gawin.liberte.pl

Łukasz Jarosz

Urodzony w 1978 r. Poeta, muzyk. Perkusista, wokalista i autor tekstów grup: Chaotic Splutter, Lesers Bend, Mgławce, Zziązani Porywacze Makowców. Autor dziesięciu tomów poetyckich: *Soma* (2006), *Biały tydzień* (2007), *Mimikra* (2010), *Spoza* (2011), *Wolny ogień* (2011), *Pełna krew* (2012), *Świat fizyczny* (2014), *La forza delle cose* (2015, wydanie trójjęzyczne – polski, włoski, angielski), *Kardonia i Faber* (2015), *Święto żywych* (2016), *Stopień pokrewieństwa* (2017). Laureat wielu konkursów poetyckich, m.in.: im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, im. Rafała Wojaczka, im. Rainera Marii Rilkego. Jego debiutancka książka poetycka *Soma* została wyróżniona I nagrodą w „Konkursie Młodych Twórców im. Witolda Gombrowicza” Fundacji Kultury oraz otrzymała nagrodę „Złoty Środek Poezji” na najlepszy poetycki debiut książkowy (2007). *Pełna krew* została uhonorowana Nagrodą Literacką im. Wisławy Szymborskiej (2013), *Świat fizyczny* oraz *Kardonia i Faber* nominowane były do Nagrody Literackiej Nike. Jego wiersze tłumaczono na języki: chorwacki, włoski, angielski, rosyjski, hiszpański, szwedzki i niemiecki. Publikował m.in. w „Harper`s Magazine”, „Tygodniku Powszechnym”, „Gazecie Wyborczej”, „Twórczości”. Mieszka w Żuradzie pod Olkuszem.

Samuel Johnson (1709–1784)

Angielski leksykograf, autor *A dictionary of the English language* (1755), poeta i eseista epoki oświecenia. Autor powieści dydaktycznych np. *Historia Rasslasy* (1759, wyd. polskie 1803), wierszy okolicznościowych, satyr i esejów biograficznych. Wydawca dzieł Szekspira. Założyciel klubu literackiego. Miał duży wpływ na współczesnych; jego dzieła czytywała na przykład Jane Austen.

Mascha Kaléko

(1907–1975). Niemiecka poetka żydowskiego pochodzenia. Urodziła się w Chrzanowie, gdzie mieszkała do wybuchu I wojny światowej. Gwiazda berlińskich kawiarni literackich na początku lat 30. ubiegłego wieku. Objęta zakazem druku, wyemigrowała z mężem i synem do USA, skąd w 1959 r. przeniosła się do Izraela. Nigdy nie wróciła do Niemiec. W 1929 r. ogłosiła drukiem pierwsze wiersze w piśmie „Der Querschnitt”. W styczniu 1933 r. ukazał się jej *Liryczny zeszyt stenogramów*. Wielki renesans jej twórczości zaraz po śmierci i na przełomie tysiąclecia trwa do dziś.

Đorđe Kuburić

Urodzony w 1958 r. Opublikował siedem tomików poezji (*Vrhovna tačka*, *Poema o praznom prostoru*, *Prljave koštice*, *Gradovnik*, *Razglednice noćne ptice*, *Zašto volim viski* i *Blue moon*). Jego wiersze były tłumaczone na kilka języków. Oprócz poezji pisze również teksty krytyczne na temat literatury, teatru i filmu oraz eseistykę. Mieszka w Suboticy.

Richard Lovelace (1618–1657)

Angielski poeta, dworzanin i żołnierz. Studiował w Oxfordzie, gdzie mając ok. 16 lat debiutował komedią *The Scholars*. Był stronnikiem króla Karola I; w 1642 r. został uwięziony za przekazanie parlamentowi petycji domagającej się przywrócenia na tron Karola I. To w więzieniu Gatehouse powstał jeden z jego najślawniejszych wierszy, „Do Altei” (To Althea, from Prison). Po uwolnieniu służył w armii francuskiej. Gdy wrócił do Anglii, został ponownie uwięziony – w więzieniu Tower przygotował do druku tom wierszy, zatytułowany *Lucasta*. Zmarł w nędzy.

Maciej Melecki

Urodzony w 1969 r. w Mikołowie. Debiutował w 1993 r. arkuszem poetyckim *Zachodzenie za siebie*. Jest autorem 10 książek poetyckich, m.in. *Bermudzkie historie* (2005), *Zawsze wszędzie indziej – wybór wierszy* (2008), *Przester* (2009), *Szereg zerwań* (2011), *Pola toku* (2013), *Inwersje* (2016) oraz tomu zapisków *Gdzieniedzie* (2016). Wiersze publikował we wszystkich ważnych pismach literackich w kraju (m.in.: „Twórczość”, „Kresy”, „Odra”, „Akcent”, „Studium”, „Czas Kultury”, „Tygodnik Powszechny”) oraz w wielu antologiach poetyckich. Jest współautorem scenariusza do filmu „Wojaczek” (1997), redaktorem tomu niepublikowanych wcześniej wierszy Rafała Wojaczka *Reszta krwi – wiersze nieznane* (1999) i współredaktorem tomu krytyczno-wspomnieniowego *Który jest. Rafał Wojaczek w oczach przyjaciół, krytyków i badaczy* (2001). W 2016 r. wraz z Konradem Wojtyłą opracował publikację *Rafał Wojaczek. Nie te czasy. Utwory nieznane*. Jego wiersze były tłumaczone na języki: angielski, czeski, niemiecki, słowacki, francuski, słoweński i serbski. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i dyrektorem Instytutu Mikołowskiego. Mieszka w Mikołowie.

Paweł Nowakowski

Urodzony w 1992 r. w Sieradzu. Autor książki poetyckiej *Między innymi* (2017), asystent sędziego w jednym z poznańskich sądów. *Gdzieniedzie* publikował; w przeszłości również nominowany i nagrodzony. Mieszka w Poznaniu.

Jana Orlová

Urodzona w 1986 r. Poetka i performerka. W 2012 r. wydała w wydawnictwie Pavel Mervart tom wierszy *Čichat oheň* z autorskimi ilustracjami, w roku 2017 ukazała się jej druga książka poetycka *Újedě*. Charakterystyczną cechą jej twórczości literackiej jest minimalizm formy i surowość języka poetyckiego, w sztuce performance łączy doświadczenie cielesności i symboliczną rolę języka. Organizuje wydarzenia literackie i artystyczne. Swoją twórczość prezentuje na www.janaorlova.cz.

Ilona Paczyńska

Doktorantka na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na co dzień zajmuje się badaniem poprawności innowacji językowych występujących w prozie (głównie Jacka Dukaja); do jej zainteresowań należy także poezja współczesna. Do tej pory publikowała wyłącznie w czasopismach językoznawczych: „Poznańskich Studiach Polonistycznych” i „Kwartalniku Językoznawczym”.

Juliusz Pielichowski

Urodzony w 1984 r. w Gliwicach. Poeta, tłumacz (J. Conrad, H. D. Thoreau, T. S. Eliot, Z. Bauman). Finalista i laureat kilku projektów Biura Literackiego (Połów 2011, Pracownia Przekładowa 2017, Pracownia Prozy 2018). Na zlecenie MKiDN autor opracowania *Joseph Conrad w literaturze światowej* (Muzeum Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Berdyczowie, 2015). Mieszka w Warszawie. Wiersze pochodzą z tomu *Czarny organizm*, który ukaże się nakładem Instytutu Mikołowskiego.

Alexander Pope (1688–1744)

Wybitny poeta angielskiego oświecenia, katolik i torys. Jego debiut to poemat *Wiersz o krytyce*. Jego twórczość jest bardzo bogata: obejmuje satyry, poematy heroikomiczne i filozoficzne krzewiące wiarę w dobroć Boga, a także pieśni religijne. Od przeszło dwustu lat pozostaje przedmiotem sporów angielskich poetów i literaturoznawców, z których wielu odmawia mu talentu, zarzucając jego tekstom nie tylko brak liryzmu, ale i płytkość. Bardzo ceniony jako aforysta. Inni uważają go za największego poetę swojego pokolenia, mistrza satyry i najwybitniejszego twórcę poematu heroikomicznego. Ostatnie wydanie polskie jego utworów to *Poematy*, (2002), wybór, przekład Ludwik Kamiński.

Bogdan Prejs

Urodzony w 1963 r. Poeta i prozaik. Autor kilku arkuszy poetyckich, trzech tomów wierszy: *sms do ludożerców* (2009), *ce ha* (2012) i *biernik* (2015) oraz kilku książek, m.in. *Subkultury młodzieżowe. Bunt nie przemija* (2005 i 2010). Wiersze publikował m.in. w „Życiu Literackim”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Śląsku”, „Akcencie”, „Lampie”, „Ricie Baum”, „FA-arcie”). Mieszka w Mikołowie.

Adam Raczyński

Urodzony w 1975 r. w Warszawie. Poeta, opublikował pięć tomików: *Choroba* (1998), *Otwieracz* (2004), *Obce wanny* (2006), *Słońce Północy* (2011), *Poza tym wszystkim* (2015). Wiersze publikował m.in. w „Czasie Kultury”, „Wyspie”, „Arteriach”, „Kresach”, „Studium”, „Pograniczach”. Mieszka w Warszawie.

Paweł Sarna

Autor kilku tomów wierszy (ostatnio: *Pokój na widoku*, Szczecin 2014) i kilku monografii naukowych (ostatnio: *Miejsca wspólne, miejsca osobne imiona sporu. Szkice z pogranicza literatury i publicystyki na Górnym Śląsku*, Katowice 2018). Mieszka w Katowicach.

Ewa Sonnenberg

Poetka. Ukończyła wrocławską Akademię Muzyczną, jest jedną z pierwszych absolwentek Studium Literacko-Artystycznego przy Instytucie Filologii Polskiej UJ w Krakowie (obecnie jest już jego wykładowcą). Publikuje w czasopismach literackich w kraju i za granicą. Jej wiersze były tłumaczone na języki: angielski, francuski, hiszpański, niemiecki, szwedzki, turecki, rosyjski, węgierski, słoweński, słowacki, czeski, serbski, macedoński, bośniacki, włoski, ukraiński. Za tomik *Hazard* otrzymała w 1995 nagrodę im. Georga Trakla, przyznaną przez jury pod przewodnictwem Macieja Słomczyńskiego. W 2016 została finalistką Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz za tom *Hologramy*. Opublikowała kilka tomików poetyckich, m.in. *Hazard* 1995, *Kraina Tysiąca Notesów* 1997, *Smycz* 2000, *Płonący tramwaj* 2006, *Rok Ognistego Smoka* 2009, *Hologramy* 2015. Mieszka we Wrocławiu.

Jerzy Suchanek

Urodzony w 1953 r. w Bytomiu. Pisarz, poeta, publicysta. Publikował m.in. w „Poezji”, „Nowym Wyrazie”, „Kujawach”, „Integracjach”, „Opcjach”, „Śląsku”, „Migotaniach, Przejaśnieniach”, „Akancie”, „Arkadii”, „Toposie” i „Frazie”. Laureat m.in. nagrody głównej X Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. J. Śpiwaka (Świdwin 1979), III nagrody konkursu Przeciw wojnie (Warszawa 1981), Kogi Gdańskiej (1985 – za upowszechnianie poezji młodych twórców), III nagrody Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego O Rubinową Hortensję (Piotrków Trybunalski 1996), III nagrody IV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rafała Wojaczka (Mikołów 1996). Laureat nagrody Towarzystwa Kultury Teatralnej Za osiągnięcia w upowszechnianiu teatru (Warszawa 2001). Laureat Nagrody Artystycznej Miasta Sosnowca (2007). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Reżyser dwóch polskich prapremier dramatów Josifa Brodskiego *Marmur* (1988) i *Demokracja* (1989) w założonym przez siebie Teatrze Zwyczajnym Miejskiego Centrum Kultury w Mysłowicach. Ponadto tamże w latach 1987–1991 wyreżyserował m.in. *Żegnaj Judaszu* Ireneusza Iredyńskiego, *Emigrantów* Sławomira Mrożka, *Ścisły nadzór* Jeana Geneta i *Król umiera, czyli ceremonie* Eugene’a Ionesco. W 2005 wyreżyserował *Odkamienienie* i *Jasełka – Obrót świata* w Teatrze Integracyjnym Atta Ośrodka dla Niepełnosprawnych Najświętsze Serce Jezusa w Rudzie Śląskiej – Halembie, według własnych pomysłów i scenariuszy. Wydał zbiory poetyckie: *Proszę rozejść się do domów* (Sosnowiec 1974), *49 wierszy* (Warszawa 1981), *Jestem nie tylko słowem* (Katowice-Sosnowiec 1983), *Czytaj szeptem* (Mysłowice 1991), *Bębny* (Gdańsk 2007), *Pusto* (Sosnowiec 2007), *Widzimiś* (Gdańsk 2008), *Ku* (Sopot 2009), *Jutro przeczytaj jeszcze raz. Wiersze wybrane* (Mikołów 2010), *Folklor polski* (Mikołów 2011), *Fe* (Mikołów 2012) oraz cykl przypowieści *Ośle ziółka* (Bydgoszcz 2008) i powieść *Płakula* (Mikołów 2009). W 2011 r. ukazała się książka *Dlaczego Suchanek? Spojrzenia i interpretacje* pod redakcją Mariana Kisiela (Gdańsk 2011). W 2007 roku ustanowił własną literacką Nagrodę Otoczaka. Zmarł 24 września 2018 r.

Sir John Suckling [1609–1642]

Angielski dworzanin, poeta metafizyczny i dramatopisarz. Gdy po śmierci ojca odziedziczył ogromny majątek, zrezygnował ze studiów i zaczął wieść rozrzutny tryb życia. Dużo podróżował po Europie. Wybrał się też do Niemiec z posiłkami dla króla Szwecji Gustawa Adolfa, walczącego w wojnie trzydziestoletniej. Na dworze Karola I słynął z dowcipu i rozrzutności. Zginął we Francji, być może popełnił samobójstwo, albo został zasztyletowany. Suckling był autorem czterech sztuk, z których najbardziej znana jest *Aglaura*, wydana in folio własnym nakładem w 1638 r. z dwoma zakończeniami: tragicznym i szczęśliwym. Tom utworów Sucklinga, zatytułowany *Fragmenta aurea*, ukazał się w 1646 r.

Paweł M. Wiśniewski

Urodzony w 1989 r. w Siedlcach. Poeta, krytyk literacki. Absolwent II Liceum Ogólnokształcącego im. Św. Królowej Jadwigi w Siedlcach. Autor dwóch książek poetyckich: *Dźwięki* (2012) oraz *Punkt informacyjny* (2016). Teksty publikował w „Twórczości”, „Akancie”, „Wyspie”, „Migotaniach”, „Gazecie Kulturalnej”, „Helikopterze”.

Radostaw Wiśniewski (pseudonim Zenon Kałuża)

Urodzony w 1974 r. w Warszawie. Poeta, krytyk literacki, współzałożyciel i redaktor naczelný kwartalnika „Red” (2006–2013). Absol-

went UJ w Krakowie; ponadto studiował w Opolu i Toronto. Współzałożyciel i aktywny członek działającej w Brzegu grupy poetyckiej Stowarzyszenie Żywych Poetów. Był jednym z głównych twórców wydawanego przez tę grupę w latach 1998–2004 artzina „BregArt”. W latach 2002–2003 był stałym współpracownikiem pisma „Undergrunt”; w latach 2000–2001 naczelny i jedyny redaktor „Informatora Kulturalnego Opolszczyzny”. Od 2015 redaktor reaktywowanego artzina „Nowy BregArt”. Jest laureatem wielu wyróżnień i nagród literackich, między innymi Literackiej Nagrody Młodych im. Marka Jodłowskiego (1999), Ogólnopolskiej Literackiej Nagrody Młodych warszawskiego oddziału ZLP (1999), a także Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego dla animatorów kultury (2008). Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w roku 2004 oraz w roku 2016. Był inicjatorem akcji artystycznych pod hasłem „Poeci dla Tybetu” (w latach 2010 i 2015). Autor, m.in.: *Nikt z przydomkiem* (Undergrunt, Toruń 2003), *Albedo* (Zielona Sowa, Kraków 2006), *NeoNoe* (Fundacja Pogranicze, Sejny 2009), *Abdykacja – wiersze zaangażowane i nie* (Muzeum Witolda Gombrowicza, Wsola 2013), *Inne bluesy* (Galeria BWA Olkusz/Biblioteka „Frazy”, Olkusz 2015), *Psalm do św. Sabiny* (Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2016). Mieszka w Brzegu, pracuje we Wrocławiu.

Grażyna Wojcieszko

Poetka, tłumaczka, autorka sześciu tomów poetyckich. Absolwentka Studium Literacko-Artystycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wcześniej francuskich uniwersytetów: Orsay i Jussieu; zatrudniona w Komisji Europejskiej w Brukseli. Aktualnie drze pióra w krakowskiej grupie literackiej *Piórnice*. Należy do najczęściej tłumaczonych współczesnych poetek polskich. Uczestniczy w krajowych i zagranicznych festiwalach poezji. Laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich.

Ryszard Wojnakowski

(ur. 1956). Tłumacz i wydawca literatury niemieckojęzycznej. Po studiach germanistyki i skandynawistyki na UJ pracował w latach 1983–1993 w Wydawnictwie Literackim jako redaktor. Od 1993 r. zajmuje się wyłącznie przekładem literackim. W 2000 r. zainicjował ukazującą się nadal – do dziś 12 tomów – serię współczesnej poezji austriackiej *Śpiewać to być*. Od debiutu w 1981 r. przełożył ponad 100 pozycji książkowych, kilka sztuk teatralnych, libretto operetki. Należał do STP, obecnie jest członkiem honorowym STL i członkiem SPP. Uhonorowany m.in. Nagrodą Karla Dedeciusa i brązowym medalem Gloria Artis.

Konrad Wojtyła

Urodzony w 1979 r. Poeta, dziennikarz, krytyk literacki, wiceprezes Fundacji im. Sławomira Mrożka. Od 2014 r. juror Nagrody Literackiej dla Autorki Gryfia. Wydał kilka książek m.in. *może boże* (2010) – nagrodzoną Lubuskim Wawrzynem Literackim, *Czarny wodewil* (2013), *Znak za pytaniem* (2017) – uhonorowaną Nagrodą Otczaka oraz zbiór wywiadów – *Rewersy. Rozmowy literackie* (2014). Przełożył z jidisz na polski wiersze Eliasza Rajzmana zebrane w tomie *Mech płonący* (2015). Współredaktor książki Rafała Wojaczka – *Nie te czasy. Utwory nieznane* (2016). Publikował w wielu pismach w kraju i za granicą. Mieszka w Szczecinie.

Cecilia Woloch

Poetka amerykańska, autorka sześciu tomów poetyckich, w tym: *Cygan*, (Tsigan, The gypsy poem, Cahuenga Press de Los Angeles, 2002), *Ziemia*, (Earth, Two Sylvias Press 2014) i *Carpathia* (BOA Editions 2009) oraz powieści *W trasie* (Sur la Route, Quale Press 2014). Laureatka licznych konkursów literackich, ostatnio: *National Endowment for the Arts* oraz *Indiana Review Prize*. Wykładała na wydziałach *Creative writing* wielu uniwersytetów na świecie. Dużo podróżuje, organizując warsztaty poezji, mieszka w Los Angeles.

Marcin Zegadło

Urodzony w 1977 r. Poeta, felietonista. Wydał sześć tomów wierszy: *Monotonne rewolucje* (Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 2003), *nawyki ciała śpiących* (Biblioteka Studium, Zielona Sowa, Kraków 2006), *Światło powrotne* (Wydawnictwo Kwadratura, Łódź 2010), *Cały w słońcu* (SPP Oddział w Łodzi, Biblioteka Arterii, Łódź 2014), *Hermann Brunner i jego rzeźnia* (Wydawnictwo Forma, Szczecin 2015) oraz *zawsze ziemia* (SPP Oddział w Łodzi, Dom Literatury, Łódź 2018). Publikował m.in. w „Studium”, „Odrze”, „Kresach”, „Czasie Kultury”, „Portrecie”, „Pograniczach”, „Arteriach”, „Chimerze”, „Akancie”, „Gazecie Wyborczej”. Mieszka w Częstochowie.

Agnieszka Żuchowska-Arendt

Urodzona w 1983 r. Absolwentka filologii słowiańskiej, opublikowała ponad 20 przełożonych tytułów we współpracy z kilkoma wydawnictwami. Przekłady publikowała również w czasopismach (m. in. „Red”, „Fa-art”, „Faza”, „Poezja dzisiaj”). Autorka tomu poetyckiego *Biała masa tabletek* (2005) oraz zbioru opowiadań *Znikomat* (2009). Żyje z pisania powieści na zamówienie, publikowanych pod pseudonimami.



AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A
tel. 502 405 437, 668 118 267
www.afront.org.pl, afront.fundacja@wp.pl
Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny
Agnieszka Zub – sekretarz redakcji
Jarosław Nowosad – redaktor

Stali współpracownicy: Marcin Bałczewski, Piotr Gajda, Rafał Gawin, Paweł Garwol, Mirosław G. Majewski, Zbigniew Masternak, Kamil Pietrzyk, Marek Probosz

Okładka: Agnieszka Czyżewska, Czekają na mnie na dole, 150x100 cm, olej na płótnie, 2017

W czasopiśmie wykorzystano m.in. zdjęcia uczestników VII Powiatowego Konkursu Fotograficznego „Moje miasto i mój region w obiektywie: miejsca magiczne – miejsca tajemne”, zorganizowanego w 2017 r. przez Bibliotekę Pedagogiczną w Olkuszu. Patronat medialny nad wydarzeniem objęła Fundacja Kultury AFRONT.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów. Teksty kwalifikowane są do druku wyłącznie na podstawie kryteriów czysto literackich. Redakcja nie zawsze i niekoniecznie w pełni podziela wyrażane w nich poglądy. Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.



MAŁOPOLSKA

Projekt realizowany przy
wspieraniu finansowym
Województwa Małopolskiego

w(Y)stępniak

Umarł Jerzy Suchanek, poeta, prozaik, reżyser teatralny – nasz autor. W niniejszym numerze „Afrontu” znalazły się trzy wiersze Jurka z tomu, który ukaże się niebawem nakładem Instytutu Mikołowskiego; zamieszczamy też tekst o Jego twórczości i o Otoczaku, jedynej prywatnej nagrodzie poetyckiej w Polsce, którą wymyślił i wręczał laureatom właśnie Jerzy Suchanek. Wstrząśnięty niespodziewaną informacją o śmierci autora *Plakuli* sięgnąłem po pierwszy tegoroczny numer naszego kwartalnika, gdzie zamieściliśmy cztery listy Jerzego Suchanka do Wojciecha Kassa. Jeszcze raz z uwagą przeczytałem te – właściwie nie listy, ale eseje; jest w nich dojrzałość, którą zyskuje się z wiekiem i po dogłębnym lekturach, ale też jest tam mądrość, której nie można nabyć – z nią człowiek się musi urodzić i ją w sobie pielęgnować, by móc napisać na przykład tak: „Piszac – płonąłem i stopniowo gasłem. Opróżniałem się, pustoszyłem. Po książce, po pisaniu-płonięciu mam wrażenie, że wydrążyłem siebie niczym pień drzewa na kódkę. I potrzebuję sprawdzenia, czy będę nią-mną mógł utrzymać się na powierzchni. I rozglądam się za kimś, kto pomoże mi zepchnąć się na wodę. Wiele radości sprawia, gdy tym kimś akurat jest kobieta, która o nic nie pyta i nie planuje przyszłości, a przy tym nie wzbrania się, by obdzielić mnie tymi najbardziej oczywistymi wzruszeniami, których przede wszystkim szukamy u kobiet. Jak w *Rzemiośle życia* odnotował Cesare Pavese (trochę za Wilhelmem II Hohenzollernem): »Kobieta jest potrzebna w kuchni i w łóżku. Wszystko inne to obrzydlistwa« (cytuje z pamięci). Ale nie ma (niestety?) kobiet, które nie planują przyszłości. A ja teraz »baczę, jak przeszłe przemyka w obecną«. To Twoje zdanie z wiersza »Obecne« opisuje mnie dzisiejszego jeszcze lepiej. »Przyszłe« interesuje mnie najmniej. Pusty mogę odczuwać teraz. Jutra jeszcze nie ma, a raczej: jutra nie ma. Wcale. Nie tyle płynę, kolebiąc się na wirach, co unoszę w obecności”. Odnoszę wrażenie, że mimo „odejścia” Jurka, w przestrzeni wciąż unosi się jego obecność.

Nie czuję się na siłach, by napisać jakieś obszerniejsze wspomnienie o autorze *Widzimię* – zresztą w tym numerze czynią to ci, którzy znali Go dłużej, a tym samym, jak myślę, lepiej, ale mogę pokusić się o króciutkie opowiadanie – na podstawie tych kilku spotkań i paru rozmów telefonicznych – jakim człowiekiem zdał mi się Jurek Suchanek. Pierwsze zetknięcie – w siedzibie Instytutu Mikołowskiego; oczywiście wiedziałem, kto zacz, bo czytałem kilka Jego publikacji, ale gdy spojrzałem w te przenikliwe, patrzące zawadiacko oczy, momentalnie wiedziałem, że to nie jest zawodnik, który ustępuje pola: „O, bracie – powiedziałem w duchu do siebie – miej się na baczności przed tym gościem”. Jurek był piekielnie inteligentnym facetem, który uwielbiał toczyć potyczki słowne, prowokować, a tym samym zmuszać do myślenia nawet wtedy, kiedy na myślenie nie miało się ochoty – na przykład podczas spożywania dobrej brandy. Rozmowy z nim, także te z pozoru o niczym, wymagały uwagi, żeby nie dać się zapędzić w kozi róg. Znakomicie obeznany w literaturze domagał się od swoich rozmówców przynajmniej podstawowej wiedzy w tym zakresie, ale pozostawał przy tym człowiekiem, z którym chciało się przebywać, rozmawiać, dowcipkować. Nawet będąc uszczypliwym, był czarujący, ale i vice versa.

Najważniejsze – Jurek był kimś osobnym, prawdziwym autsajderem. A bycie nim w czasach mediów społecznościowych i powszechnej elektronicznej kolektywizacji – to nie w kij dmuchał. Trzeba mieć charakter, by odmówić wejścia, gdy wszyscy zapraszają do środka. Bywa, że trzeba być niegrzecznym, bo nagabujący przekracza granice – chce cię niejako na siłę zmusić, byś przekroczył próg i wszedł w jego rzeczywistość. Ktoś, kto wybrał rolę autsajdera, będzie nastawiony na wiele prób złamania swoich zasad; wszelkimi sposobami będzie mamiony, by od nich odstąpić. Biada mu, gdy ulegnie, bo wtedy jest skończony; wszak jak pisał Orwell „raz się skurwiesz – kurwą zostaniesz”. Ale Jurek był z tych, co nie ulegają – w każdej sytuacji był sobą i czuło się w nim siłę, jaką ma ktoś, kogo do niczego nie można zmusić, kto za niczym nie goni, kto żyje swoim tempem i wedle własnych zasad; nie rozpycha się łokciami, tylko w stylu wschodnich mędrców czeka, aż samo się stanie. A jeśli się nie stanie, to pies trąca! Dziś już takich facetów, jak Jurek, nie robią i ten deficyt jest w naszym ubogim życiu kulturalnym bardzo widoczny i dotkliwy. ●

Do widzenia, Jurku.
Olgerd Dziechciarz

Informacja dla psychiatry

Nazywam się Budda
 i niech tylko ktoś podskoczy
 jestem Anandą wiernym uczniem Buddy
 i niech tylko ktoś mi powie że kłamię
 jestem Arką żeby was zatopić
 Titanic przy mnie to stateczek z papieru
 stałam się Watykanem żeby runąć z wielkim hukiem
 współodczuwam razem z Chrystusem
 i niech tylko ktoś mi powie że to błaga
 zwłaszcza Narodowa Administracja do spraw atmosfery społecznej
 czuję że jest przyćmiewająca i cholernie nudna
 i taka śmieszna że nikt się nie śmieje
 rozerwałabym się trochę ale nie mam odwagi wyjść na miasto
 wkrótce będziecie wiać ode mnie z prędkością 220 km/h
 dla zabicia czasu zabiję deskami okna
 z tego wszystkiego najważniejszy jest Pinokio i jego portfelik
 ale jeszcze nie dostałam portfeliaka od Pinokia
 ciągle chcę być księciem z bajki
 ale żadne kurwa mnie nie chce
 jestem tak zwanym odrzuconym poetą
 jestem swoim prywatnym domem wariatów i zakładem psychiatrycznym
 noszę w sobie wielu chorych na schizofrenię
 każdego dnia robię obchód i zapoznaję się z ich kolejnymi objawami:
 ideą naprawiania świata
 tworzeniem jakichś systemów państwowych
 pragnieniem bycia mądrzejszym od Ziemi
 pragnieniem stania na piedestale
 i ten wyścig szczurów
 obsesyjne stanie przy korycie
 niestety na wiele z tych objawów nie ma lekarstwa
 każdego dnia słyszę od nich że świat trzeba uleczyć
 i zrobić go pięknym dla mas i ludu
 że dobrem można pokonać zło
 za każdym razem witają się ze mną
 MAKE LOVE NOT WAR
 MAKE SEX NOT ART

Wrocław, 15 września 2018

Rozmowy z Richelieu

*Boże, broń mnie od przyjaciół,
z wrogami sobie jakoś poradzę*

- Poflirtujemy trochę?
- flirt w dzisiejszych czasach jest nadużyciem emocjonalnym
- raczej niebezpieczeństwem zaognienia punktów zapalnych
- mówią że rzeki zmienia bieg a historia odwróci się na drugi bok
- historia dzieli się na dwie: jedna śpi druga nieustannie czuwa
- historia jakie to nudne jaka historia co to jest historia?
- to pewna bardzo egoistyczna dama
- a co z królem i królową
- pojechali na wycieczkę w kosmos
- o ile mi wiadomo trwa to już tysiąclecia
- można przyjąć trochę inną rachubę czasu
- zegarek to jeden z najdziwniejszych wynalazków
-
- drobne rysy na wieczności?
- kamień i ty, kamień i milimetry
- historia jest tak elegancko małowarna
- to jej zawód
- sądziłam że tylko ja mam być piękna
- historia nie tyle jest piękna co konieczna
- to coś co układa się jak klocki
- rodzaj ćwiczenia intelektualnego
- wszystkie historie są identyczne
- muszą być identyczne inaczej ludzie byliby wolni
- ludzie też są identyczni
- kwestia przyzwyczajenia do gabarytów rzeczywistości
-
- zauważyłam że kieruję się ludzkimi uczuciami
- czyżby drobna niedyspozycja?
- szukam wyrazistości pocucia siebie
- lustra uwodzą niedoświadczonych
- surtout
- lustra zawodzą przekonując usilnie do kopii nas samych
- wszędzie jest mi niewygodnie duchowo
- nawet u siebie?
- u siebie jestem jak w pałacu między obłokami
- a ja ciągle jestem przywiązany do widoku na Plac de VOGUE

- mon Cher co sądzisz o miłości?
- słowo brzmi ładnie ale zbyt często używane jest przez plebs
- a czy funkcjonalność tego słowa jest porównywalna do uczuć?
- słowa nigdy nie są porównywalne z tym co chcą oznaczać
- to znaczy słowa są tylko symbolami?
- raczej znakami jak drogowskazy które pokazują drogę dla myśli
- czy uczucia myślą?
- uczucia są poza nami
- w tej chwili czuję się jakbym miała sześć lat
- to dobrze bo ja czuję jakbym miał siedem
- Mon Cher Richelieu, ou sont nos amies?
- Votre gateau est formidable
- Dlaczego z balkonów cieknie krew?
- Ciastko z lodowymi malinami
- Mon Cher Richelieu nous somme tres tres catholique
- Tak się bawią mordercy Ne c'est pas?
- Tak się bawią dzieci, które nie zostały pożarte przez pożeraczkę dzieci

- Poflirtujemy trochę?
- ach! uległam pewnej zmiennej teraz lubię krwawe flirty, trup, pocałunek, trup
- masz na myśli historię nikczemności?
- probably
- jeden człowiek więcej jeden mniej nikt nie zauważy
- ach, ludzie, ludzie są daleko stąd
- i to nazywa się nienawiść?
- nie, to nazywa się obojętność
- zimno ci?
- jestem ogniem z rozdartą krą krwi
- jak maliny na moim ciasteczku?
- cukier puder na twarzy
- jak obiady w XXI wieku?
- ach! Jestem taka smutna!

Madame Sans Merci

Pierwsza przed naszymi myślami

W obecności Błękitnego Markiza

Z daleka wzywa się w tobie

Smaga wiatrem głos ciała

Przesyła bilecik miłosny:

„małe upomnienie”

O

Mówienie śmiercią nie jest

Tak prawdziwe jak ten ból

W obecności Błękitnego Markiza

Z bliska strącamy kurz z aksamitnych okładek

Suknia jest w obrębie naszego układu:

„otwórz się na właściwej stronie”

Przyjdę do ciebie za dnia i wtedy będę chłopcem

Przyjdę do ciebie nocą i wtedy będę dziewczyną

Stanowią o tożsamości każdego gestu

Rozrzutny jesteś mój Błękitny Markizie

Rozrzutny w rzucaniu wyznań na wiatr

Chcesz zagrać w kości spopielając nadzieje?

Pierwsza przed naszymi słowami

Konwersacja jest kolejną suknią

Przymierzam ją w każdym i z każdym

By udowodnić czytelność sytuacji

Pożyczasz mi czas w charakterze bransoletki

I pierścień wokół mnie układa do snu moją suknię

Błękitny Markizie podaj kroplę wody lub cyjanku

Markizy są odporne na wszelkie trujące okoliczności

Etykietka ze słodkim czerwonym napisem:

„je suis désolé de ta illusion”

On?

«how dare you spell my dress»

„qui parle?” sans souci sans merci sans toi

Que c'est que je peux fair? podaj kroplę błękitnej krwi

Jak złoty kluczyczek we włosach spinający nasze małe kosmiczne intrugi

Czytelność substancji języka przekładanego na maniery

Spoiwo ciała w którym złoty kruszec jest jak napis:

„w tytule jest więcej niż dwa błędy”

Błąd jest sprzyjającym motywem naszej dziecinnej zemsty
Jak deser w którym koronkowy lukier pieści nasze kruwe marzenia
Zanim ostrze ujrzy światło dzienne przypudruję koniec wiersza
Wyrazy są takie nudne nawet bardziej od gilotyny
Czyż naszą ulubioną rozrywką nie jest bycie dla siebie wrogami
Ale oprócz siebie mamy tylko wrogów:
Rozogniane marzeniami gilotyny „Monsier Bon Ton”
Te toczące się głowy nigdy nie były przekonujące
Nadmiar zawsze staje się czymś prostackim
Szczypota trucizny jest prawie jak słowa: „tak uderzaj
By skazaniec czuł że umiera” słodycz Marii Antoniny
gdy nadepnęła na stopę swojego kata:

„przepraszam zrobiłam to niechcący”

O

Niechcący poleruję złoty młoteczek do zabijania wszy
Między suknią wyszywaną snami i twoim płaszczem z nicią świata
Przebywam w pomieszczeniu z tysiącami czerwonych szufladek
W każdej jest substytut tego czego się pragnie

Zastawiam pułapki z piękna i uczyć moralności gilotyny
Gilotyna ma cztery ściany dwa dni przygodne kąty
Miejskie siedlisko dla psów pcheł i ludzi
Błękitny Markiz z pałacem ukrytym w moich piersiach
Nawet gdy wysmarują nas błotem będziemy „Sans Souci”
Kosmetyka uczuć w kolejnym makijażu historii kokietuje pieprzykiem

Wrocław, Bończyka 2011

Dama z gronostajem

Dla Joanny Krasińskiej-Glazewski

Dama z portretu Leonarda umarła
Całkiem niedawno
Dostała się w ręce nieprzyjaciela
W trakcie drogi z domu do portretu
Została śmiertelnie postrzelona
Kula trafiła w jej ukrytą słabość do swojego narodu
Zdążyła jeszcze napisać e-mail:
Coś się skończyło ale nie wiem co
Wojna trwa
Gdy idę na spotkanie z gronostajem
Wokół wybuchają bomby i świszczą pociski koło uszu
Przeciskam się przez żrące zasieki z ludzi
Z każdego miejsca ziemi słysząc słowa:
„za późno” „koniec” „nigdy”
Z gronostaja pozostały tylko oczy
Spojrzenie nocą – dwa światła na ziemię
Wzrok spajający zrozumienie z prawdą
Czy potrafisz przedostać się do mnie
Przejdź proszę raz jeszcze przez pole minowe
Posiłki są w drodze będą ochraniać nasze gesty
W pustych ramach przepływa rzeka krwi
W pustych ramach miejsce damy zajął wróg
Widzowie są ślepi wciąż widzą damę z gronostajem
Widzowie spragnieni uśmiechu damy
Mylą ostrze noża z ostatnim słowem
Brak damy jest jak brak powietrza
Liczę każdy oddech jakbym była zatopionym łodem
Na dnie rozszarpuję jej martwe ciało
Wołając: nasze stulecia są tam gdzie nasze groby
Już czas by słońce wydostało się z czarnego tła

Warszawa – Wrocław, maj 2018

Bankrut w złotej kurtce

Nie wiem co powiedzieć
zdefraudowałam moje życie na targowisku próżności
przechulałam swój los w jakimś burdelu
potem zaproszono mnie na międzynarodowy festiwal krasnoludków
i wreszcie poczułam się szczęśliwa
moje puste kieszenie wreszcie mi nie ciążyły
nic nie musiałam kupować
nic nie miałam już do stracenia
mogłam wreszcie chodzić zdana tylko na siebie
a nie na to co mam w portfelu
mogłam wreszcie być panem swojego ja
mogłam wreszcie pogadać szczerze z materią
moja dusza już nie wstydziła się że jest naga i bosa
kolorowe baloniki w rękach dzieci
były jak wiersze z innej planety
za ostatek pieniędzy kupiłam watę cukrową
właściwie miałam do wyboru
albo jazda na karuzeli
albo wata cukrowa
albo czapeczka krasnoludka
wybrałam watę cukrową
bo na karuzeli to jestem od urodzenia
a czapeczka jest moją czapką niewidką
nie wiem co teraz będzie
czy mam wyciągnąć przygotowane na czarną godzinę
siedmiomilowe buty
czy buty do trumny
jazda tramwajem jest teraz jedynym moim luksusem
i gapienie się na dupy nie z tej ziemi
taka jedna z wielką czarną walizką
zrobiła do mnie oko
i nawet po raz pierwszy nie musiałam jej za to zapłacić
nagle odczułam że w tej czarnej walizce wiezie mnie
by oddać ją do biura rzeczy znalezionych

Wrocław, 7 września 2018

Infantka infantylizmu

Wolę być tygrysem w klatce
ale tygrysem
mam się jak myszka sprzedać
za kilku okruchów chleba?
nie wiem dlaczego ale groźby tańczą
a z gróźb wychodzi armia krasnoludków
dlaczego ten pan ubrany jest na zielono
stoi i patrzy
bo chce być żabą którą połkniesz
w dzisiejszych czasach tak niewiele jest z zabawy
a tak wiele z brudnych gier
lubię piaskownice bo przypominają mi pustynie
lubię krokodyla bo uczy czym są łzy
ludzi dzielę na motyle i mięczaki
mam kolekcje parasolek wachlarzy i rękawiczek
od zawsze chciałam być poetką ważnych słów
a zostałam Infantką Infantylizmu
„Polacy skarżą się na latające mrówki”
piszą na portalu informacyjnym w necie
dobrze że nie skarżą się na latające talerze
lubię swoje wieczorowe suknie choć są daleko stąd
moje serce jest polem czerwonych maków
nigdy nie byłam rzeką
choć rzeka tak często mówiła że jest mną
nie lubię jak mówi się do mnie po imieniu
po imieniu mówi się do psów

Wrocław, 8 lipca 2018

Przypadek

Jest już za zimno, żeby czytać. Zamykam oczy
nad tym miejscem, światem, którym rządzą
brzydcy, obcy mi ludzie, podchodzę do magnetofonu
i ściszam muzykę. Już wiem. Nie mogę być
szczęśliwy, bo nie potrafię być w innym miejscu
niż tu. Że jestem chory, uświadomiłem sobie, gdy
przebudziłem się przy szybie autobusu, którym
wieczorami jeździłem z końca w koniec tego cicho
oddychającego, ciemnego jak wątroba miasta.

Zamek

Wchodzę do jeziora pierwszy. Świt.
Już wiem, że nie nadaję się do powietrza,
miłości. A myślałem, kwitłem głupio
w mrok, w ciemność siebie. Wpływałem
w nieśmiertelność wody, rzucając w nią swoje
białe ciało, szepcząc: gałązko, gałązko, gałązko,
kamyku, kamyku, kamyku.

Przekór

Słucham muzyki ludzi, którzy
już nie żyją, czytam książki tych,
co zmarli. Na zdjęciu te ciemne
głowy w jeziorze to my, twoja skroń
na moim ramieniu, język w ustach
naprzeciw śmierci pieścidełko miłości.
Na wylot. Na przestrzał.

Małe halo

Kiedy opustoszeją kościoły, sklepy
i autobusy przy pętlach, zastąpią nas papierem.
Zostaną ciała. Które pieściliśmy,

kochaliśmy, w których płyniemy i śnimy.
W których umrzemy. Zobaczysz,
jak nas słodko nie ma.

Zalew

Nigdy nie kochałem, jak mogłem kochać,
nie prosiłem, jak mogłem prosić. Nie przepraszałem,
choć mogłem przeprosić. Oto moje życie: boja
przyszpilona cegłówką do dna; poszukuję, ale przynajmniej

się ruszam. Wkraczam w okres, gdy powoli zaczynam
nienawidzić swojego ciała. Przy brzegu moja córka
nurkuje, obok stary człowiek wchodzi
do wody, żegna się i wodą naciera serce.

Wpław

Pył na powiekach, szybki gest
powietrza potrząsający ciałem:
tak się sobie objawiamy, stanowiąc
zarys, krótką przystań

światła, gdy sierpniowy dzień
jest sercem, gdy wstajemy,
by iść wydrążonym światem,

(by się w nim rozproszyc, rozprószyć).

Ogród

Za pomocą patyczka pokazuje mi
swoją operację na kręgosłup. Powoli
rozkłada go na blacie. Szybko się zmierzcha,

miłość jest dłutem włożonym delikatnie
w serce. W ciemności jej dzieci bujają się
na huśtawce, krążą na karuzeli

bez końca.

Rzut

Gdybym był Bogiem, inaczej bym to urządził.
Dałbym wam pieniądze, przesył i szybką śmierć.
Nie musielibyście patrzeć sobie w oczy, na ręce –
uważnie, tak jak patrzę na komara, zanim go zabijam.

Gdybym był Bogiem, dałbym wam logiczną całość,
z której nie musielibyście uciekać żadną myślą,
z której nie mielibyście wyjścia.

Gdyby On istniał, nie musielibyśmy oddychać.
Gdybym był Bogiem, nie musielibyście kochać.

* * *

Przy stawie umarł młody łabędź.
Las jest pusty, bo nie ma grzybów.
Przeszłość się zmienia – już nie chcę pisać,
chcę być szczęśliwy. Wiązać świat w całość,

albo chociaż być chwilą – pamiętasz –
zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej;
ktoś wysiadał. Gdy pozostali chcieli wyjść,
przewietrzyć się, zapalić, kierowca urwał:
jedziemy dalej, tutaj nie ma nic.

* * *

kładę dłonie na wodzie źródła jakbym
dotykał taflí lustra którego
odwrotność ma kolor mojego środka
dopóki nie szcześnie nie ściemni się

zdejmuję twarz i puszczam
ją dalej by prześlizgnęła się obok
wiednących krzewów akacji betonowym
przesmykiem między stawem

a nieczynnym popękany młynem
nigdy nie byłem sobą bo siebie nie kochałem
dopiero teraz wchodzę w serce wchodzę w
serce wchodzę w serce

POEZJA
Piotr Gajda

Ekspres to kolej dużych prędkości

Zanim dopiję, napiszę coś o ziarnach,
najdroższą kawę robi się z odchodów.
Jak poczułeś się zmielonym ziarenkiem zamkniętym
w kapsule, na skalę przemysłową przetworzonym

dla smaku. Gdyż absmak serwowano
tylko koneserom.

Dzień wolny od pracy

Zacząć od początku. Jąkać fragmenty. Żeby wiersz
grzmiał jak urzędowe pismo. Dopasować mit do instrukcji
kancelaryjnej i ułożyć puzzle z liczb, które ktoś mógłby

nazwać obozowymi. Słowa zamkną się same jak morda
na kłódkę, jak język za zębami. Wyzysk to jest fach na wzór
najstarszego zawodu świata. Co można wygrać mową

wiązaną oprócz rozpoznania bojem? Ci, co walczą
o handlową niedzielę, i tak wymyślą inną, z gumy.
Że idiolekt jest jak kondom, wciśnie się na wszystko.

Mein mein kampf

Nie tego wymagam. Nie kręcisz mnie
ziemio obiecana, mogę zamieszkać na kawałku

kry. Niedźwiedzie polarne wymierają z głodu,
hej, dziewczyno, spójrz na misia, on przypomni ci

chłopca, nieszczęśliwego, białego misia.
Akurat jest lipiec, lecz roztopy trwają

cały rok, mój kawałek lodu zamienia się
w nów księżyc, żaden bałwan tego nie przetrwał,

ani jeden naoczny świadek zmartwychwstania
nie został odnaleziony w celu ewentualnego

odmrożenia. Jestem zatem wstrząśnięty,
nie zmieszany, trochę zgubiony. Jedyna reakcja,

w jaką wejdę, to przyszła symbioza
z poświęconym spłachetkiem nieużytku,

pozbawiony zbawienia, skoro przez całe
życie maszerowałem przez iglasty las

porastający ciemną dolinę, wściekły jak grizzly,
czyli niedźwiedź szary, który jest podgatunkiem

brunatnego. To teraz jeszcze spróbuj mi łaskawie
powiedzieć, że mam już całkiem niedaleko

do noszonej na ramieniu opaski z indyjskim
symbolem szczęścia, a strzelę cię z liścia.

Sferyczne lusterko

Nie jestem już taki młody,
młodością auta z salonu Kia,

nie tracę wartości zaraz po wyjechaniu
za bramę. Lecz nie tylko ja mogę stracić

grunt pod nogami, mając powyżej uszu
słów bieżnikowanych dla dobra Polski

bezpośrednio pod wystygłą lawę,
którą jest pokryta. Bo Ziemia jest płaska

i podtrzymują ją cztery słonie na wielkim
zółwiu, zaś w miejscu, gdzie leży Polska,

skorupa jest pęknięta. Dalej, włącz silnik
wyobraźni, niech łapie obroty,

usterkę zapewne zapowie świecąca się
kontrolka „check engine”. Bo ziemia

jest płaska jak działka budowlana
za miastem, jak auto w leasingu,

jak działalność gospodarcza, jak baner
z partyjnym kandydatem (bynajmniej nie w 3D).

Puchnę z dumy niby śpiący rycerze,
że zasnęli dla Polski, że zbudzą się dla Polski

rozradowani jak norka z obrazu da Vinci
z kolekcji Czartoryskich, z której trysnęła

błękitna krew, kiedy zdzierano z niej futro,
żeby je sprzedać ekskluzywnej klienteli.

Och! W zasięgu ręki mam i inne królewskie
insygnia: telenowelę historyczną *Korona królów*,

dźwignię zmiany biegów w dacji logan,
prując polską autostradą po skamieniałej

z wrażenia Polsce, że oto jej nieodrodny
syn przemieszcza się w granicach państwa,

widzianego we wstecznym lusterku

Pieśń ducha

Na ziemi ciało nasze ma się swojsko,
Wszystko, co ziemskie, jest mu wszak pokrewne.
Duch ludzki jednak musi czuć się obco,
Ojczyzną jego – siedlisko śródniebne.

Pięć bram radośnie wzywa go na ziemię,
Za każdą bramą zionie czeluść grobu.
Do nieba wąska drabina go wiedzie
I aniołowie na niej służą Bogu.

Daremnie ciało dąży do korony,
Skarby gromadzi w czasu posiadłości.
Duch jak królewski syn, co wypędzony,
Powrócić pragnie do kraju wieczności.

Piosenka zegara

Wskazówka moja biegnie,
Lecz nigdzie nie dociera.
W porę albo nie w porę
Wciąż stały szlak obiera.
Czy śpię, czy spać nie mogę,
Ona przed siebie gna.
Cokolwiek wtedy robię,
Tyka: niewczas, niewczas.

Cztery przeciągłe dźwięki
Zegar czasem wydaje.
Gdy słyszę dzwonka jęki,
Serce mi z trwogi staje.
Składają się już ręce.
Wahadła ustał ruch.
Oto stanęło wreszcie –
I także ja na mecie
Jestem już.

Wiersze w tłumaczeniu Ryszarda Wojnakowskiego

POEZJA

Marcin Zegadło

OBUDZONA

Jesienią wrócimy tutaj po kasztany.
Teraz w koronach jakaś ptasia wojna
budzi naszą córkę, która otwiera oczy i mówi:
„niebo”. Jakby wiedziała, że gołąb
przysiadł na szkolnym ogrodzeniu, nie wiedząc,
że jutro zmieni się w krwawy puch
na kocim pyszczku.

Częstochowa, 23 kwietnia 2018 r.

PIES

Sarna, która upada na tory, odbija
i znika w zaroślach. A przecież
to niemal centrum miasta. Mężczyzna
z parasolem robi jej zdjęcie telefonem.
I teraz to jest jedyny dowód na istnienie sarny.
Mężczyzna patrzy na zdjęcie. Odchodzi.
Pies krztusi się i drży. Jest tuż za nami,
próbując nadążyć. „Taka starość jak każda inna”
– mówisz, kiedy kobieta z dzieckiem na rękach
każe nam trzymać psa z dala od placu zabaw.
„Pies to jest brud i choroba” – krzyczy do nas.
Obok niej, na karuzeli, śpi dziewczynka.
Pies ułożył się w trawie, mruży oczy.
Nad nim kołuje niebo. Wirują pyłki traw.

Częstochowa, 25 kwietnia 2018 r.

BABKA

„Ona nie potrafi umrzeć” – mówi matka.
Ratanowe łóżko, zapach moczu. Tabletki
jak kolorowe szkiełka, które ofiaruje się tubylcom,
mówiąc: „Bawcie się, głupcy!”
„Nie wiem, ile to jeszcze potrwa. Już nawet nie chce
siadać. Tylko rękę podnosi do światła.
Ona nie potrafi umrzeć” – mówi matka.
Ratanowe łóżko, cień paproci na ścianie
jak pióropusz, albo król Azteków, który obraca
w dłoni koraliki, a to są kapsułki, pastylki, to jest
oddychanie. A wczoraj przyszedł ksiądz, jasny jak
pan Jezus i znowu chodziła po Staszowie, bosa,
w kwiecistej sukience, a wysuszona Żydówka
sprzedawała jej jagody, którymi ubrudziła palce.
A teraz pobiegną z siostrą nad staw i będą
sypały do wody kolorowe kwiatki,
napiją się ze studni, zasną pod czereśnią.

Częstochowa, 26 kwietnia 2018 r.

BLISKO

Mieliśmy mówić o czymś ważnym,
ale zapomniałaś o czym. Więc
cały wieczór rozmawialiśmy o martwym
drzewie, które wyrosło nam na drodze,
kiedy wracaliśmy od twojej matki.
Mogliśmy zawinąć się na nim jak koty
ułożone do snu, a stał karoserii
i wszystkie przypadkowe ostrza
weszłyby w nas miękko i głęboko.
I wtedy powiedziałaś: „Nie zasypiaj!”
i śmierć poszła sobie połą dróżką
jak chłopka na przedwojniu,
zostawiając za sobą, w piasku, odcisk
zrogowaciałej pięty. Więc nie śpię.
Czekam. Próbujesz przypomnieć sobie,
o czym mieliśmy rozmawiać i dlaczego
to było takie ważne. W pokoju „u dzieci”
pies patrzy w ciemność, jakby zaglądał
w czyjeś oczy.

Częstochowa, 28 kwietnia 2018 r.

DRZEWA

Popołudnie spędziliśmy pod kasztanowcem.
Przyglądaliśmy się liście wspinającej się
po gałązce, którą nasza córka trzymała
w dłoni. Plac zabaw palił się w słońcu
jak rampa pełna dzieci. Zza drzew stukot kół
pociągu. A to jest zawsze jakaś ciemność,
sen duszny od gazu, lizol albo uderzenie.
Tutaj chłopcy gubią krople potu i drobne
pieniądze. Zawsze głodni i zawsze pragnący.
Obok platan, z którego cukrówka obserwuje nas,
nie ma. Tuż za nią kot sąsiadów, przygląda się jej.
Nieruchomy. Jakby mówił: „Zasnij! Nie będzie bolało.
Śpij, ptaszku, śpij”.

Częstochowa, 30 kwietnia 2018 r.

PRZEBARWIENIE

Podwórko pełne dzieci. Ich krzyk
przedostaje się do mieszkania
przez uchylone okno. Na stole książki,
które kupiliśmy za bezcen od ulicznego
sprzedawcy, potrącone przez naszą córkę
sypią się na podłogę i wtedy światło
lepi z kurzu widmowe sylwetki.
Układamy książki z powrotem na stole,
rozmawiając o naszych dłoniach, które
wydają się należeć do obcych, starych ludzi.
Za chwilę rozpęta się burza. Podwórko
będzie puste i nieme. Jakby wszyscy
wybrali się na czyjś pogrzeb.
Albo po prostu – umarli.

Częstochowa, 6 czerwca 2018 r.

Đorđe Kuburić

Pięćdziesięcioletni poeci

Pięćdziesięcioletni wariaci
podróżowali koleją po Europie
zbierali drogie bilety do muzeów i na koncerty
jedli kanapki i pili piwo
i nosili smutną radość
w plecakach i w oczach.
Pięćdziesięcioletni poeci
mają słabe zęby (bo gryzą się jak psy).
Serca mają młode
a ręce złote.
Niezdarne ręce
w których nieporadnie trzymają ołówki
i nie wiedzą co z nimi zrobić.

Twój wiersz jest daleko

Nocą
nie jesteś sam.
Dotrzymują ci towarzystwa
atroficzne, jałowe oczy.
Twój dom
omijają nawet myszy.
Jesteś błądy jak światło księżyca.
Wiersz, który składasz,
jest daleko i obserwuje cię.
Nie przyjdzie do ciebie,
lecz też cię nie zdradzi.

Pieśń bez słów.

Nokturno

Naostrzonym sierpem
księżyc ścina noc.
Od drzewa stado
pasie się na kwiatach.
Skamieniały pies
szczeka na rozrzucone słowa.
Pobrzękują w mroku proporce złotej karocy.
I snuje się
jak brudna szmata
czyjś cień.

Nie chcę się obudzić

Nie chcę się obudzić
póki nie wyśpiewam czegoś okrągłego i doskonałego.
Białego kamienia, powiedzmy, otoczaka.
Może jakiś nieartykułowany dźwięk:
pianie koguta albo wystrzał z karabinu
przerwie, na krótko, sen.
Lecz jeśli się obudzę,
powrócę jako ryk jelenia, szum trawy.

przełożyła: Agnieszka Żuchowska-Arendt

Maciej Fróńskiego

CHRISTOPHER MARLOWE (1564–1593)

Namiętny pasterz do swej miłej

Chodź ze mną i bądź moją miłą,
Rozkosznie by nam razem było
W tych trawach, lasach i dolinach
I gdzie się zbocze w górę wspina.

Będziemy gdzieś pod drzewem leżeć
Patrząc, jak strzegą stad pasterze,
Nad brzegiem rzeki, gdzie dzień cały
Ptaki wywodzą madrygały.

Będziesz widziała, jak róż kosze,
Jak kwiatów wieńce ci przynoszę,
I haftowaną tak sukienkę,
Że łatwo mistrza poznasz rękę;

I wierzchnią suknię z przedniej wełny
Z owiec, co kraj nasz jest ich pełny,
Buty chroniące cię od błota,
Z klamrami z pierwszej próby złota;

Pasek w bluszczowe zdobny pączki,
A zapinany na cud-sprzączki;
Gdyby ci tego nie dość było,
Chodź ze mną i bądź moją miłą.

Dla twojej rozkoszy nam zagrają
Młodzi pasterze przy ruczaju,
Jeśli to wszystko cię znęciło,
Żyj ze mną i bądź moją miłą.

przełożył Maciej Fróński

BEN JONSON (1573?–1637)

Do Celii

Przepijaj do mnie oczu parą –
Tak samo toast wzniosę –
Lub pocałunek wlej do czary,
To wina nie poproszę.
Pragnienie, co się z duszy bierze,
Boskiego chce napoju,
Lecz i za nektar w zamian, szczerze,
Nie rozstałbym się z twoim.
Posłałem ci z róż wity wieniec,
Nie tyle w hołdzie tobie,
Co by nadzieję na kwitnienie
Bez końca sobie zrobił.
Ty go do piersi przytuliłaś
I odesłałaś do mnie,
Odtąd woń twoją nosi, miła,
Cudownych zapach wspomnień.

przełożył Maciej Fróński

THOMAS CAREW (1594/5–1640)

Kto rumiane wielbi lica...

Kto rumiane wielbi lica
Albo usta koralowe,
Lub chce, by w nim żar podsycił
Błask dwóch jasnych gwiazd spod powiek,
Niech wie, że to Czasu własność
I że ognie w nim wygasną.

Z drugiej strony woli stałość,
Myśl uprzejma, cne pragnienie
I by dwoje równo chciało –
Niegasnące to płomienie.
Gdy ich nie ma, rzecz to pusta
Krasne lica, oczy, usta.

Łzy twe, Celio, mnie nie wzruszą,
Bo me serce jest już twarde;
Przeszukałem twoją duszę,
Co znalazłem w niej? Pogardę!
Twoje sztuczki znam i może
Lekceważę sam nie gorzej?
Przy okazji – w zemsty szale
Dawnych ogni nie rozpalę.

przełożył Maciej Froński

SIR JOHN SUCKLING (1609–1642)

Coście tak bladzi, zakochani?

Coście tak bladzi, zakochani?
Coście tak bladzi?
Jeśli uroda wasza na nic,
Wasza brzydota coś poradzi?
Coście tak bladzi?

Co tak milczycie, co, grzesznicy?
Co tak milczycie?
Jeśli błagacie po próżnicy,
Da coś, że prośby ślecie skrycie?
Co tak milczycie?

Dosyć! Ten sposób nie zadziała,
Próżne staranie!
Jeżeli was nie pokochała,
Coś ją przymusić będzie w stanie?
Niech ją szatani!

przełożył Maciej Froński

RICHARD LOVELACE (1618–1657)

Ślimak

Naszej epoki mądry znaku,
Zwinięty w sobie cny ślimaku,
Powiedz, jak śpieszyć się powoli
Co po nóg moich nie jest woli.
Bystry ślimaku, jak się patrzy,
Tyś Euklidesa brat bliźniaczy!
Nieskończoności kształt twój sięga
Po coraz szerszych mknąc okręgach;
Figuro teraz prostokątna
To znów owalna, to trójkątna,
Co słuzem kreślisz to spirale,
To linie proste, to nic wcale;
Ty, co dzień uprawiasz w zawstyżenie
Świat budząc z góry swym promieniem
I, zanim ranek załśni cudnie,
W piękne rozwijasz się południe;
A gdy się słońce w morze stoczy,
Rogami wabisz Cyntii oczy,
Kiedy ze śliskiej swej alkowiy
Wychylasz głowę, Febie nowy!

przełożył Maciej Froński

ALEXANDER POPE (1688–1744)

Wersy napisane w windsorskim lesie

Witaj, cieniu, tak niegdyś ożywczy i błogi!
Sceno mych szczęsnych godzin w miłosnym zapale,
Gdzie mnie, młodemu, Muzy zastąpiły drogę
I chwyciwszy za rękę rzekły: „Do nas należ! –
Weź wszystko, co mieć możesz, swojej Muzy stałość:
Na dworze cię polubią, ale co ci z tego?
Towar sprzedasz, lecz zawsze dostaniesz za mało,
Oczy pokochasz, a cię nawet nie dostrzegą”.

przełożył Maciej Froński

SAMUEL JOHNSON (1709–1784)

Spacer zimowy

Gdziekolwiek, miła, się znajdziemy,
Taka ponurość z każdej strony –
Łysy pagórek, szara ziemia,
Gaj nagi, niebo zasępione.

Nie tylko na jałowych polach
W swej sile, Zimo, się utwierdzasz,
Rozszerza się twa straszna wola,
Czuję twój zacisk wokół serca.

Tam, gdzie ochoty tyle było,
Utrwała się już smutku władza,
Złękniona ledwie tli się miłość,
A zachwyty w rozpacz się przeradza.

W nadziei, w strachu bez powodu,
Nieszczęsny, czekaj swego końca:
W kieracie przemian roku chodzisz,
Na służbie cienia, służbie słońca.

Ułudą jestem umęczony,
Co duch i ciało jej nie zwalczą...
Pochwyć mnie, Stello, w swe ramiona,
Przed złem istnienia bądź mi tarczą.

przełożył Maciej Froński

WILLIAM COWPER (1731–1800)

Epigramat

Aby wino oczyścić, upuszcza się z ciała
Jagnięcia krwi do beczki – i to ponoć działa;
Nic, by otrzymać przedni cukier, nie jest w stanie
Dorównać krwi murzyńskiej plantatorów zdaniem.
Dlaczego tak? Sprawcami nie są te stworzenia,
Czyli jagnię i Murzyn, cudzego cierpienia.
Że krew ma być niewinna, można więc założyć –
Nie dziw, że nie próbują swojej plantatorzy.

przełożył Maciej Froński

WILLIAM ERNEST HENLEY (1849–1903)

Invictus

Z nocy, co wokół mnie zapada,
Czarnej jak samo piekła łono,
Bogu czy bogom – dzięki składam
Za duszę swą niezwykłą.

W tego, co cierpię tu, okowach
Ani się krzywię, a pod chłostą
Trafu krwią spływa moja głowa,
Lecz ją niezmiennie trzymam prosto.

Poza padołem tym goryczy
Tylko się Strach przed cieniem czai,
Grozie lat, chociaż z nią się liczę,
Przystępu w serca głąb nie daję.

Nieważne, jak jest wąska brama,
Spis kar się jakim ciągnie zwojem,
Bo swego losu jestem panem
I kapitanem duszy swojej.

przełożył Maciej Froński

THOMAS CAREW (1594/5–1640)

Pieśń

Obietnica wiecznej miłości

Niechaj mi taki nie umawia, że kocha,
Którego płocha
Serca pochodnia
Wymaga, by ją podsycono co dnia,
Lub w mig się spala, jak się dzieje wartko
Ze zwykłą kartką!
Prawdziwa miłość nie odwraca czoła,
Jak i nie kochał, kto jej umknąć zdołał.

Szlachetny płomień, co w mej piersi płonie,
Przekroczy koniec
Wędrowki ciała,
Choćby już z tego dusza uleciała;
Wraz ze mną zstąpi, wciąż będąc płomieniem,
Pomiędzy cienie:
Urnę mych prochów jak lampę rozpali,
Przez wieki będzie się w niej palił dalej.

przełożył Maciej Froriski

Cecilia Włoch

Kiedy zaczęłam
włóczyć się po świecie
tata nazywał mnie *cyganką*.
Gładząc moje włosy,
mówił: *zupełnie jak babcia*,
(*włosy od Kushnerów*),
a całując w czoło,
(namaszczone przez księdza popiołem),
jakby mnie naznaczał:
nigdy nie zaznasz ani strachu
ani upokorzenia;
jakby błogosławił każde miejsce,
gdzie byłam, gdzie będę,
gdziekolwiek będziesz:
nie padniesz na kolana.

Wiersz z tomu *Cygan*, (*Tsigan, The gypsy poem, Cahuenga Press de Los Angeles, 2002*)

A gdybyś mieszkał w pudełku, pod drzewem, albo w samochodzie na poboczu drogi? A gdybyś miał zabłocone i mokre buty, a sam śmierdział jak pies, którego tak kochałeś? A gdybyś co noc, trzęsąc się z zimna, spał w innym rowie? A gdybyś nie miał płaszcza, oprócz tego skradzionego, cuchnącej szmaty? A gdybyś musiał się ruszać, aby nie marznąć i aby nie marznąć spalić wszystko, co masz? A gdybyś się mył w brudnej rzece, pił z niej wodę, jadł z niej ryby? A gdybyś został złapany, kiedy o zmierzchu przekraczasz granicę? A gdybyś słyszał o sobie: Cygan, koczownik, co znaczy: *takich tutaj nie chcemy*? A gdybyś niczym kleks na mapie został wymazany? A gdybyś mieszkał pod drzewem, w pudełku albo w samochodzie? A gdybyś tak musiał żyć?

Warszawa.

Dziewczynki zlatują się
na Rynku Starego Miasta.
Stado czarnych ptaków,
trąba powietrzna ciemnych
oczu i włosów.
Błyszczące spódniczki
biorą mnie w krąg.
Śmiejąc się,
zebrzącymi rękoma
pokazują słodycze.
Dobrze wiedzą,
którego wybrać turystę,
(skąd to wiedzą?).
Wybrały mnie,
szczęściarę w każdym języku,
tak – znaczy yes.
Pozwalam im wybierać
spośród ociekających lukrem ciastek.
Zza szyby stara sprzedawczyni
patrzy na mnie z pogardą,
pewnie myśli: *Amerkanka, idiotka*,
ale nie może odmówić
pieniędzy,
(jaką moc ma dolar w złotychkach!).
Więc każdej dziewczynce kupuję po ciastku.
Potem patrzę, jak odfruwają
z rączkami błyszczącymi od lukru,
jakbym podarowała im
klejnoty,
od których niebo nad szarym miastem
rozbłyska diamentami.

tłumaczenie Grażyna Wojcieszko

Jana Orlová

V

Prababcia stoi przy oknie
i czeka na kochanka

Prababcia czeka na kochanka
i nosi wodę do ognia
Prababcia czeka na kochanka
a jej mąż śpi

W gospodarstwie wszystko gra

V

Kiedy nachodzi mnie na to ochota
idę strzyc owce

V

Tylko że
przecież właśnie dlatego
na komendę
nie – dlatego, że zapominam
ja jak artefakt tęsknoty
dla siebie
w aucie
w hotelu
cieknę
na komendę
przecież właśnie dlatego

V

Nigdy nie wycieram brudów
nie wyłamuję ci palców
niech każdy czeka
na to, co zostanie

V

Noc kiedy jestem sama
i boję się znieczulenia miejscowego
spaceruję po jego mieszkaniu
w ustach posmak stali

V

To czego z siebie nie zmyję
zeskrobię
jedną falą

V

Kochasz postęp
kochasz schludność
Jestem dzieckiem innego pokolenia
Lubię retro
Lubię brud
Nie poznałam balonówek Pedro
Nie doświadczyłam komunizmu
Jestem dzieckiem innego pokolenia
Mogę się określić tylko wobec konsumpcji
Jesteś dzieckiem innego pokolenia
Ale pieprzysz świetnie

V

Na demonstracji przeciwko supermarketom
palono nagie dziewczęta
uciekłam
w cudzej koszuli

V

Nie musisz przychodzić
monotonnie nabieram uczucia na łopatkę
a przecież babcia
zbierała kurze łajna gołą ręką

V

A przecież ktoś odgarnia zaspę
trzeba przejść, trzeba się zabić
A przecież ktoś macha z autobusu
słyszał nas, wieczorem sobie to zrobi

wiersze z tomiku *Újedě*
z części „Předehra“

tłumaczenie Zofia Bałdyga

Paweł Nowakowski

Roztopy

W niedoczasie najważniejsze są równe części momentów poświęcanych na miejscowe zwyczaje, niezachowane w tradycji przysłówia i te przypadki, które pozwalamy sobie dowolnie odmieniać nie z roku na rok i kolejne pory, ale powoli odmierzanymi krokami prowadzącymi przez pierwszy plan, kiedy choć nam nie w smak widzieć wszystko nie w snach, bo jaką w tej konsekwencji można znaleźć przeszkodę, to przez kraje, gdzie jednostką miary jest kawałek poroża, dostrzegamy płynne granice dzielących nas różnic. Cała reszta to kwestia hierarchii: wiklinowe ramiona, wnikliwe spojrzenia, skorupy i katarakty mętniejących soczewek, które razem, w następstwie zwróconego krzyku i w kolejności przypadającej na okoliczność starszeństwa pozostałych w tym stanie rzeczy elementów wystroju, stawiają rdzawy wyłom między tym, co cenne, a tym, co zbędne – przy czym tak sformułowana linia dziedziczenia pozostawia nas jakby przypartych do muru, spowinowaconych z prognozowaną cesją przedawnionych domysłów, rzucając nowy cień na osobność, od której dzieli nas ledwie sekundy. Ponad wszelką rutynę licytujemy z powagą zawartość naturalnego wyjątku od wszelkich reguł i przypisanych do niego sposobów na przetrwanie w możliwie dostępnych środkach przymusu, a mając na względzie metrykalne zobowiązania, nieświadomie kierujemy się w stronę merkantylnych nadużyć, co widać jak na dłoni, w najdalszych zakątkach uzurpatorskich spostrzeżeń fikcyjnie doręczanych nam w trybie podwójnego awizo. Tak porozrzucane koperty przypominają zostawiony pokątnie rozkład w kawalerce rękawa – niemy klinicznie fundament, który przeczy więzom.

Finlandia

Z chwilą wywołania zbliżamy do siebie pojęcia na znak względnego posłuszeństwa wobec przesuniętych do przodu godzin i niepodzielnych z początku porządków, samowolnie biorąc w objęcia tereny łęgowe, zasłaniane pozorną niewiedzą, antycypujące naszą niepiśmienność na styku kontrasygnaty i przemoczonych krawędzi naczyń, skąd pokarm bez pośpiechu sączy się pod ramy skrzydeł, a mokry wręb tworzy pomost, z którego wyrasta się inność przy jednoczesnym poczuciu namacalnej wartości pokładów. Na samym początku uciekamy od przejrzystości żłobień poniżej poziomu morza, jesteśmy sobą u siebie – solą i śniegiem bez sił na to, aby dłużej wypełniać przenośnie, szczerząc się w półśnie i ostrząc listowie; aby zataczać kręgi, pozostawiając ulgę w uścisku jedynie tych powracających w okolice szyi. Swoim zachowaniem coraz rzadziej przypominamy drętwienie, gdy z chwilą poczęcia cedzimy przez zęby przynętę, która jak uprzęż z dużą rezerwą wypełnia wszystko to, co dzieje się z naszym bezpośrednim udziałem, lub, dla odmiany, sięgamy w stronę zostawionego na pastwę ściegu, z nadzieją na nowy skansen, nową zatokę i nowy początek, komunikując różnice poprzez nasycenie. Wszystko, co widzimy, to nie całokształt zdziwienia pozostawionego gdzieś tam w oddali z siną powieką w pętli średniej poziomów wy-czerpania – raczej porządek alfabetyczny obrządków skupionych wokół cyrkulacji następstw; dłuższych cykli wahań, poświęcających uwagę na dowolność stosunków, których oczywistość w danej chwili szczególnie nam leży na sercu. Pielęgnacja widziana w ten sposób woła o pomstę; wydziela grono przyczyn do rąk krętych, cudzych lub własnych.

Juliusz Pielichowski

ubezwłasnowolnienia

Czasochłonna. Lekko, czujesz? Płynący
czas. Dłoń dziś przyjmuje, a ja nie czuję słabości.
To choroba, stworzenia. Czekanie rodzi. Urodzi się,
zobaczysz. To będzie czas przeszły, tak się wypowie.
On jest tą nieistniejącą, kobietą. Na przykład on.
Rozwaliłby mnie, tym kijem. Tak się bawi, tak się
bawi. Widziałem, już szedł, z kijem. Śpiewał.
Umierając na twoich oczach, na twoich ustach.
Odchodzi się od zmysłów, dochodzi.

Życie, tak. Przeciustawione. Taki sekret,
ubezwłasnowolnienia. Wsiąka moment, bo z czasem
jest łatwiej. Literę, to wycie. To jego Bóg, zgłodniał.
Zakorzeniony, czasami. Chciałbym się mylić, ale to ciało
jest tak miękkie. W tobie słowo, w tobie zło. Wije się.
Przykre, przykryte. Zabijam to. Coś, inaczej. Na pewno
zabijam. Jej oczy, mówią. Że robię to, mówi. Odległe
kończyny, wytłumaczmy. Światłość, ciemność,
nieuwyobraźność. Dobro jego ludzi, dobro, tak.
Organy przyznają się. To tylko, eliminacje. Kto
się dziś wyeliminuje? Znam to, mięso. Serce,
powieki. Płuca. Motyw. Ktoś się wyznaje,
obok. Patrzą na nas, na obcych.
Miejsca, zazielenione.

rozetrzuj palcami kawałek

Droga, we wnętrza. Zmiana z czasu na przestrzeń zachodzi powoli. Czas wypływa ze swoich ludzi i boli. Zrzuci się z siebie, właściwą skórę. Zużyta, po stosunku. Już się odbył. Życie, widzisz, to nie pewnego. Niektórzy powiedzą, że Bóg. Już, zaczynają. Współpracować z samym sobą jest najtrudniej. Spójrz na to, wnętrza. Sąd. Ostatecznych spojrzeń stacja, stacyjka. Ukryta wśród kwitnących traw nadzieja odjazdu. Wyczerpujące rośliny i światło. Słońce operuje, bez znieczulenia. Kolejna skóra staje się kolejnym polem.

Robi się lato, upija się ciało. Rozerwane, wnętrza. Wnętrze nabiegłe. Pod postacią drzew, wody. Słowa, zaróżowione. Jest zwój, przede wszystkim. Rozwiń. To jakiś czyn, przestępczy. Jakiś czas, pozbawia się prawa. Ścieg, który płynie. Ściek, który idzie. Zasila się i karmi słowa. Nie myśl, napisz liść. Rozetrzuj palcami kawałek, ciała. Pobaw się w siebie, w seryjnego, wielokrotnego. Innymi słowami, właśnie dano ci szansę. Trzeba żyć również, tam.

Gdzieś za zakrzywieniem prześwit, przecinka. Żywioł. Nie dowiesz się skąd. On też tego nie wie. Ciało otwarte, to miasto. Jest, otwór. Jakby zastygło się w czymś nierzeczywistym. Ludzie, oni są bezbronni. Gdy się ich otwiera. Wylewa się z nich, rusza się, dalej. Bóg, otorbiony. To we mnie, strach. Jedno z wielu miejsc, w jakich doszło się. Do zetknięcia. Człekokształtnego. Na brzegu świata czuję, że ciało zaczyna gnić, a piekło jest w środku. Czułe te słowa, czujne. Nic, dodać. Nic, ująć. Przecina się, to.

pozór, ten pożar

Ciemniej, to zawsze. Bardziej. Zapis,
zastrzeżony. Wersje ciała. Myśli zamknięte.

Nadaje, ciało, się. Steruje, otwiera, się. Ono.
Najstarsze, dla niego. Paruje. Dyspozytor.

Co zabrać, a co niech niszczy? Reszta. Odtwarza
się życie, twarz. Zanika. Przy drodze. Motto, rozczuła.

Znajduje znaczenia, odroczone. Poza sobą, odroczone
nigdy. Nie chce reprodukcji, chce ciebie. Wasza ciąża,

wasz ciężar. Barokowa przesłona, rozpuszcza
się. Bełkot rąk. Wyuczone pułapki, zapomnienie.

Wyszedł żywy, wróci martwy. Nie, opuszczał. Miejsca nie,
ma. Przypomina. Rozproszone republiki. Pozór, ten pożar.

Żadna rzeczywistość, nie odda władzy. Rozlewnia krwi.
Nasza nadzieja, w świtach. Światło wnętrza, blask.

Światło każe myśleć. Robi się, na końcu. Zatrzymuje,
się. Litery prawa i bezprawia, ciała i bezciała.

Myśl zaświtała. Nie, miała.

ciała, widma

Czas na kilka słów, o drzewach. Ich zieleń
końca, wrzesień już krąży. Interesuje się. I trawa
do kości, wewnątrz wytarte. Wyszedł żywy, wróci martwy,
jakie to. Nie wiem. Jakieś. Czy tak można, czy można
tak, inaczej? Ciała, widma. Kołyszą się konary i
gałązki, krew się kończy. Na szczęście
jest rozkosz, wyjście. Jakieś.

tam, gdzie dorastali chłopcy

To państwo robi się, groźniejsze. Przyszło,
skądinąd. Pocieszenia. Państwo traci, kontrolę. To,
jak iść kilkoma drogami naraz. A nie ma już Rózewicza.
Ale to poszło, jego śladem. Drogi idących znikąd, w miejscu.
W wierszu. Umarł mi, Rózewicz. Byłem wtedy, na dnie.
Umarł poeta, niech żyje poeta, jakikolwiek.
Bez niego to zdechnie, doszczętnie.

Otwarta maszyna, moje miasto. Odtwarza
się, komórki. Odtwarzają się, same. Miasto znowu
zastygło, w czymś nieokreślonym. Kobieta, znowu potyka
się, we mnie. Moja kobieta. Ja. Rośnie drzewo, dość ładnie.
Zajebię cię, chuju. Brzmi gdzieś, obco. Wiem tyle,
co ten kij. Wszystko jest inne, przyjmij
to, do wiadomości.

Dźwięk i obraz bałkańskiego lata, ci chłopcy.
Srebrenica. Jedenaście lat. Już montuje mechanizmy,
patrzy. Nadużywanie czasu, zagrożenie. Nadużywa czasu,
w Gliwicach. Przeszłego. Przyszła postać, pod nią. Postać
znajomego, ciała. Ciało przyjemne, twoje. Dotyk, zaborczy.
Ja, twój zaborca. Pokazać czas, zarejestrować. Istnienie,
ta zmiana. Tymczasem. To zbieranie, słów.

I tytuł, ciemniejący. Mam, do tego.
Mieć to, coś. Noc wije. Umyłem wszystkie
członki. To przeszłość, nie ma innych źródeł.
Kamienie, bliżej śmierci. To życie, szuka czasu.
Czas święty, zajebany. Postać skurwiona.
Zmiana z przeszłego, na teraźniejszy.
Już cię robi, to państwo.

Adam Raczyński

Dygnęta

Strasza staruszka
dziewczynka
na krześle niewielkim,
pudełka z herbatą ułożone w bardzo dziwny wzór,
ciastka, tych ciastek się nie je.
Otwiera kasę i zamyka,
otwiera kasę i zamyka.
Pisk. Pisk układa się w zdanie.

Pijakom trzęsą się ręce.
Dać im kastaniety.

Okolice

Przy torach kolejowych, pod nasypem
samochód. Otwarty bagażnik.
Wokół samochodu młodzi mężczyźni,
w plastikowych kubkach wódka;
siatkowe ogrodzenie, przedzewiałe słupki,
żółte ściany, wagony. Miejscowości,
bo to przecież nawet nie są miasteczka,
betonowe perony, chaszcze, pośród
chaszczy domy, czasami parterowy
garaż mieszkalny, kryty papą,
na nieogrodzonym podwórku suszą się
ubrania i stare deski. Torsy na balkonach.
Zamiast rogatek gołębniki.

Ogorzała gęba nałożona na garnitur,
garnitur jest wypchany, stoi na drewnianej podstawie,
kołysze się trochę, o ten garnitur można wytrzeć ręce.
Dyrektor jest zadowolony. Ma kontakt z ludźmi.

Kupcy ciągle się boją. Czytają wykresy.
Kupcy triumfują. Kurczaki leżą za szybą,
mają mokrą skórę.
Kurczaki mówią po angielsku.
Na tacy ze styropianu, folii i nalepek.

Brud centrum taki sam jak wszędzie,
ale trochę przykryty; duże plakaty –
nazwa firmy, kobieta w jakimś ubraniu.
Parę neonów, bar nad sklepem meblowym
i małe prostokątne okna domu
handlowego, za którym jest jedna
z głównych ulic.

Krzak na dachu,
obok,
przy nieotynkowanym murze,
wentylator, miniatura
wieżowca.

NO TO FRUGO ALBO ZENON KAŁUŻA PRÓBUJE PRZYPOMNIEĆ SOBIE LATA DZIEWIĘCDZIESIĄTE.

TRIBUTE TO KUTABUK

Arturowi Nowaczewskiemu

„[...]

Wracalem nad ranem pamietajac
ze mialem cos waznego do powiedzenia
ludzkości swiatu narodowi naszemu
który jest jak lawa wylewa się
na ulicę Gęsta ślina w ustach
na widok rozrzuconych nóg pod cienką kołdrą
[...]

[Karol Maliszewski, „Co do cholery (lata osiemdziesiąte)"]

Najpierw lato osiemdziesiątego ósmego. Upał. Tatry. W telewizji Leszek Miller odpowiadał na listy od obywateli, przeczytał nawet jeden taki, w którym obywatel napisał, że na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści. Ale przeczytał tylko po to, żeby powiedzieć, że nie będzie z takimi ludźmi rozmawiał i słusznie, bo ci ludzie chcieli kogoś wieszać, ale nie Leszka Millera, który nie był komunistą, tylko karierowiczem, który wierzył w to, że trzeba być w partii, żeby zrobić karierę. A prawdziwych komunistów w Polsce to przecież pozabijał Stalin w Moskwie, pięćdziesiąt lat przed Leszkiem Millerem.

Tamtego lata byliśmy w Tatrach. Ludzie słuchali radia w jadalni schroniska na Ornaku. I znowu, że jakieś tam strajki. Po tylu latach, po referendum, drugim etapie reformy, z której jak to mówili na ulicy, chuj Wojtkowi ciągle wychodził. No, że reformy, takie gacie dla starych ludzi, a Wojtek młody nie był, więc niby, że mu wychodziło, ale nie to, co by chciał. I jeszcze mówili, że stoi już Gdańsk, Jastrzębie i Stalowa Wola, czyli tam gdzie się kuje lufy dla armii, co to ma walczyć o pokój.

Nazajutrz ludzie spotkani w Wąwozie Kraków mówili, że znowu będzie sierpień, a myśmy z Kasią Rusecką nie rozumieli, o co chodzi, układając się do snu na podłodze schroniska. Bo po prawdzie był sierpień. Tylko inny. Po ciszy nocnej ktoś szukał na średnich sygnału Radia Głos Ameryki z Waszyngtonu, po północy Róża Nowotarska puszczała zawsze kawałki country and western. A tam zamiast country tylko strajki.

I jakoś zaraz potem był maj i mróz odchodził z dolin. Z dołu znowu upał, potem mgła, i nagle szron, firn. Zmrożony śnieg układał się na tyczkach wzdłuż szlaku odrodzenia w płaty płaskie i długie jak płetwy. Po kolei – Szrenica, Odrodzenie, Śnieżne Kotły, Rówień pod Śnieżką. I nie szło się po to, żeby gdzieś dojść, ale szło się, żeby iść. Wydawało się, że jesteśmy sami na szlaku, ale spotykaliśmy żołnierzy WOP, zielone otoki, z oka baboki, jak ktoś intonował na boku parodię piosenki, jakiej uczono nas

w podstawówce. I te zielone otoki przekazywały nas sobie czule od posterunku do posterunku, podając hasło przez radiotelefon, dopóki nie osiągnęliśmy Odrodzenia.

Bo wtedy były wszędzie posterunki zielonych otoków. W górach też. A może nawet w górach szczególnie. A przede wszystkim wzdłuż granicy wiecznej przyjaźni z Czechosłowacją. Bo było takie państwo jak Czechosłowacja i oni nas nie lubili, bo myśmy generalnie nie lubili Rosji i Sowietckiego Sojuza a oni kochali, albo udawali, że kochali, a to chyba nawet gorzej. I to nienawie Polaków im zostało na dłużej.

Bo jak jechaliśmy z klasą licealną do Włoch w dziewięćdziesiątym drugim, zaraz po zniesieniu wiz, to weszła celniczka do autobusu i powiedziała „dobri vecer”, a ktoś chciał być uprzejmy i powiedział jedyne słowo po czesku jakie znał „nashledanou”, czyli „do widzenia”, i staliśmy całą noc na granicy.

Także posterunki były wszędzie. Był na przykład posterunek przy Czarnym Stawie pod Rysami i jak się chciało iść na Rysy czy Przełęcz pod Chłopkiem, trzeba było się zapisywać od szóstej rano w namiocie wopistów. I bez zapisu nie można było iść, bo strzelam. Więc kolejka ustawiała się od piątej, żeby dać się zapisać wedle swojego miasta.

Tymczasem wtedy po osiągnięciu Odrodzenia tajaliśmy w pokoju, do którego wiatr nawiewał śnieg przez szpary w oknie, a w radio De Mono śpiewało o tym, że kochać to nie znaczy zawsze to samo i starsze ode mnie o trzy lata koleżanki Kasi Ruseckiej dyskutowały nad tym, jaki to głęboki i mądry tekst. A mnie się już wtedy nie podobał.

Potem były znowu Tatry z Zającem i była mgła przez tydzień, i nocą było widać własny cień na tej mgle, kiedy się otworzyło nocą okno. I ze wszystkich szlaków ludzie schodzili do Murowańca, ale nikt nie wychodził w góry, ani nikt nie wracał do domu, więc tylko przybywało ludzi i wreszcie było tak, że jak w jednym łóżku spała jedna osoba, to się na nią patrzyło jak na zdrajcę, bo spało się po dwie osoby. Minimum.

I tam spotkałem, szukając miejsca do spania na podłodze, Mirka Sarne, z którym mieliśmy jeszcze wiele przejść w Sudetach Środkowych. A w pokoju mieszkaliśmy z mistrzynią Polski juniorów w szachach i całe schronisko z nią grało symultanicznie po trzy, cztery partie naraz, i wszyscy mieli swoje szachownice, a ona rozgrywała wszystko w głowie i przekazywała przez gońców swoje ruchy zapisane na małych karteczkach. I nikt z nią nie wygrał. Kiedy mgły się trochę podnosiły, szliśmy ścieżką na Krzyżne godzinę albo dwie na jagody. Były zimne, słodkie, zroszone skroploną mgłą. Smaczne jak nigdy.

Po powrocie z wakacji zaczęła się szkoła średnia i jeszcze kazali mi przysięgać na Ojczyznę Socjalistyczną, ale ja nie przysięgałem, miałem demonstracyjnie zamknięte usta i ciało pedagogiczne coś tam groziło, ale nic nie zrobiło. W „Gazecie Wyborczej”, która była cała czarno-biała, czytaliśmy, że Nicolae Ceaușescu używa do pomocy bratniej Polsce i jakoś instynktownie czuliśmy, że nie chodzi ani o pomoc, ani o braterstwo, ani o Polskę, co okazało się w grudniu, kiedy w ramach buntu mas generałowie po szybkim procesie rozstrzelali Nicolae razem z jego żoną i w telewizji pokazali ich zakrwawione trupy. Czyli jednak chodziło o coś innego. Chociaż do dzisiaj nie wiem, czemu była winna jego żona.

I znowu Tatry, a zaraz potem Bieszczady, które nie były już takie bardzo dzikie, bo wszędzie byli ludzie z gitarami, plecakami, karimatami, namiotami. I znowu się spało na podłodze. I się śpiewało Stachurę, Kaczmarzkiego, Stare Dobre Małżeństwo, Wolną Grupę Bukowinę, czasem szanty, czasem Wysockiego albo Okudżawę. I jeszcze pierwsze kawałki popowe. Na przykład kawałki Big Cyca. Darło się na całe gardło „Załóż czapkę, skinie”, bo się wiedziało, że są tacy śmieszni ludzie, którzy wierzą w jakieś farmazony o rasach, i że można od nich dostać w pysk, ale tylko jak są w przewodzie. A oni nie byli wtedy w przewodzie.

Potem w Bieszczadach hippisi organizowali takie zloty muzyczno-grzybowo-alkoholowe, i nazywało się to „Rainbow” i Curzyt z Szubertem oraz z Pioną na to jeździli regularnie, czyli byli więcej niż raz. A myśmy z Krzywym, Szamanem i Zacharem jeździli pod Babią Górę, na takie ezoteryczne hokusy-pokusy z Rudą i Szalonym Frankiem. Zresztą to nie było tak do końca, że myśmy wiedzieli, że ze sobą jeździmy, bo zawsze montowała się szersza ekipa, tyle że po latach tylko my to pamiętamy, więc się mówi, że myśmy jeździli. Pichu z Pichową chyba próbowali jeździć i na Rainbow i na hokusy-pokusy, ale to pod Babią Górą Picha złapała ostra faza kardio i ktoś jechał rowerem do jedynego lekarza we wsi. A wieś miała dziesięć kilometrów długości. A potem lekarz odpalił Wartburga, a był to jeden z nielicznych samochodów w promieniu wielu kilometrów i zawiózł Picha do szpitala w Nowym Targu. Pichu wrócił cały i zdrowy, umarł dopiero dwa lata później, po maturze.

Ta słynna metalowa zastawka w jego sercu, którą było słychać, kiedy zapadało kłopotliwe milczenie, nie dała rady, albo coś innego w nim nie dało rady. Dwa dni chodziliśmy po mieście, pytając kumpli, czy słyszeli te głupie plotki, że Pichu nie żyje. Komórki dopiero wchodziły do użycia, były wielkie i ciężkie jak cegły, ze względu na cenę dostępne tylko dla prezesów. „Centertel” nazywała się jedyna sieć komórkowa w kraju i działała tylko w dużych miastach i trochę wzdłuż dróg. Dlatego kiedy chciałeś się czegoś dowiedzieć, trzeba było pójść tam, gdzie byli ludzie.

Ale jeszcze wcześniej, zanim Pichu sobie od nas poszedł, te słynne trasy z Mirkiem Sarną, kiedy w jeden dzień potrafiliśmy przejść zakosami, błędząc po Stołowych z Kudowy do Polanicy Zdrój. Tam spaliśmy na zamkniętej stacji kolejowej, bo ostatni pociąg odszedł o dwudziestą drugą i zawiadowca zamknął stację razem z nami. Albo wtedy, kiedy trafiliśmy na imprezę przewodników beskidzkich z Katowic. I byliśmy z nimi na „blachowaniu” przewodników na Jasieniu, a potem na Górowej na urodzinach Filipa. Tego Filipa spotkałem jakieś dziesięć lat temu tym razem na Polanie Głuchaczki, kiedy szliśmy z Zacharem chyba w ostatnią taką naszą trasę w życiu. Doszliśmy tam o zmierzchu i nie było żadnej bazy, więc rozbiliśmy namioty i poszliśmy szukać wody.

Pamiętałem, gdzie jest źródło, które wciąż bije, więc ruszyliśmy w las. Ale zamiast wody zobaczyliśmy w lesie ciemną postać z kosą i na kilka sekund zamarliśmy, patrząc na siebie, a w powietrzu było zdanie, którego nikt nie powiedział. „Mam nadzieję, że to po ciebie, nie po mnie”. Postać z kosą zatrzymała się kilka metrów od nas i rzuciła tylko: – O kurwa, już jesteście?! Ale to nie o nas chodziło postaci z kosą, która była gospodarzem ze wsi poniżej, który miał pomóc tej nocy ustawiać bazę namiotową. Kosiarzowi chodziło o Filipa.

A Filip mnie pamiętał ze swoich urodzin sprzed dziesięciu lat, bo dałem mu w prezencie oryginalne obligacje Skarbu Państwa z 1936 roku warte 5 złotych przedwojennych. Powiedział, że takich rzeczy się nie zapomina. Ciekawe, czy to prawda i czy dzisiaj też mnie pamięta. Bo ja jego tak. Ostatecznie tylko kilka razy nocowałem w takim zimnie, że cytryna z herbaty, jak się jej z termosu nie wyrzuciło przed zaśnięciem, umarzała w termos i była rano nie do ruszenia.

Ale się spało. Ogień płonął, dym dusił i bolała od niego nad ranem głowa. Parowała pulpa w wielkim kotle i nikt miał żadnych oczekiwań. Nikt nie miał pytań o przyszłość. Nikt nie miał pytań w ogóle. Historia była wyłącznie historią każdego z nas. Pewnie gdyby się zdarzyło znowu tak kilka razy przespać na mrozie, znowu osiągnąłbym stan bez żadnych pytań. Tylko historia mogłaby już być bardziej groźna. Ale to temat na inną opowieść.

Potem szliśmy z Krzywym w jeden dzień z Górowej przez Pilsko, Przełęcz Korbielowską, Jaworzyne, Głuchaczki, Mędralową do Markowych Szczawin. Zmierzczało, kiedy doszliśmy do Głuchaczek, a nie było tam bazy ani postaci z kosą, bo był dopiero czerwiec i dziesięć lat wcześniej niż z Zacharem. I w ogóle było pusto w górach, bo przed sezonem. Za Głuchaczkami

Krzywy chciał pić wodę z kałuży, więc żeby nie rozłożyła go jakaś sraczka od zgniłych liści, oddałem mu puszkę soku pomidorowego. I to nie była koleżeńska troska. Raczej zapobiegliwość. Szkoda było wyjazdu. A potem rano trzeba było Krzywemu nastawiać łąkotki, które śmiesznie chrupały. I tak trzeba było robić codziennie. Ale nie pękaliśmy, tylko zarzucaliśmy plecaki na grzbiet i szliśmy dalej.

Potem poszliśmy ekipą babiogórską w Tatry i wzięliśmy gitarę, ale bez paska przy futerał. I któregoś dnia postanowiliśmy przejść przez Kozią Przełęcz do Pięciu Stawów z tą gitarą. I na ściankach oraz łańcuchach robiliśmy mały most i podawaliśmy sobie z rąk do rąk tę gitarę. Anka szła przodem, bo nie chciała patrzeć, jak giniemy młodo z tak idiotycznego powodu. Ale powód nie był głupi. Po górach chodziło się z gitarą, bo tak trzeba było. Teraz myślę, że ta gitara to był „Defil” z nylonowymi strunami, zdecydowanie niewarty tego, by za niego umrzeć.

Na ostatniej ścianie nie było jak zrobić małego mostu, więc Zachar chwycił rączkę futerału w zęby i szedł tak z tą gitarą na sam dół. A potem zabrakło nam pieniędzy na jedzenie i zostało tylko na powrót do domu, i to przy założeniu, że do Krakowa pojedziemy stopem. Więc tego dnia, kiedy byliśmy na Krzyżnem, Krzywy zbiegł do schroniska pierwszy i załatwił z kuchni przypalone ścinki z szarlotki z całego dnia, takie skrawki ciasta, które się odcina i wyrzuca. A była tego cała blacha. Poczuliśmy się jak nakarmieni przez Galilejczyka ułomkami chleba nad jeziorem i mieliśmy silne poczucie cudu.

A potem cały dzień zrobiliśmy sobie głódówkę tylko o wodzie ze strumieni. I mieliśmy specjalny sposób picia wody dla twardzieli. Trzeba było przyjąć postawę jak do pompek i nie zamoczyć sobie brzucha, tylko pić samymi ustami. To się nazywało *komandoswasserbergentriken*. Ciekawe, czy ktoś z nas jeszcze by tak umiał dzisiaj? A Krzywy dzień później naźarł się masła z rosółkiem w proszku, bo mówił, że dobre. I ostatniego dnia, kiedy z Pięciu Stawów poszliśmy na Rysy, też jadł masło. Masła nam zostało jakoś więcej. I potem umierał na podejściu i chciał zostać na piargu pod Rysami.

I zapytał tylko, o której będziemy szli w dół. Więc powiedzieliśmy i poszliśmy, sądząc, że spotkamy go w drodze powrotnej. A Krzywy nas dogonił, bo zaczęło świecić słońce, a myśmy mieli plecak z ubraniem. A on został na jakimś kamieniu tylko w krótkich spodenkach. I zrobił się cały czerwony. I to nie było od potu. Także to był świat. Otwarty gdzieś pomiędzy Karkonoszami a Beskidem i Tatrami jak mszał na przypadkowej stronie i pomiędzy stronami była cała reszta. Na przykład plakaty

klejone w maju osiemdziesiątego dziewiątego z Piotrkim Szczepaniakiem przy pomocy krochmalu noszonego w wiadrach, po dwa na łebka. Z plakatów uśmiechał się Lech Wałęsa i Wojciech Solarzewicz, kandydat Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego z okręgu w Brzegu. I Milicja Obywatelska nas zatrzymała raz i drugi, pouczając, że plakaty, które kleimy, są do dupy i mogą być kłopoty, ale miałem w kamizelce wpięte plakietki Saxon, Iron Maiden i Metallica, to puścili nas wolno, po pouczeniu, że plakaty są do dupy, a plakietki są okej i tak trzymać. A po prawdzie nie słuchaliśmy tych kapel. Tylko plakietki były fajne. Kolorowe jak mało co wtedy. Słuchanie metalu miało przyjść dopiero za jakiś czas.

W ogóle słuchanie było później. Najpierw pojawiło się kilka analogów z muzyką, której nie było w sklepach muzycznych przez całe życie. I już nie trzeba było warować z mikrofonem magnetofonu przy głośniku radia. Bruce Springsteen, Foreigner, Depeche Mode. A potem pojawiły się tak zwane kompakiarnie, w których nie kupowało się płyt kompaktowych, ale można było nagrać kasetę z płyty kompaktowej za ułamek ceny płyty. I były takie zeszyty z wymienionymi alfabetycznie zespołami i tytułami płyt, i się zamawiało. I jak się nie miało kasety, to można było sobie kupić taśmę w cenie usługi. I ja tak szukałem jednej płyty Jethro Tull z dzieciństwa, którą znałem ze słyszenia na pamięć, ale nie znałem tytułu. Szukając tamtej jednej, nagrałem kilkanaście innych płyt Jethro Tull. Wszystkie były dużo lepsze od albumu „Broadsword nad the beast”, który w końcu złowiłem koło 1995 roku, już na studiach w Pasażu Hetmańskim w Krakowie.

A potem były targowiska, tak zwane manhattany, i tam można było kupić wszystko, podobno nawet granat ręczny i kałasznikowa, a także pierwsze pirackie kasety. Na pewno można było kupić gitarę basową, bo taką kupił Cezar Czternastek na Manhatanie w Brzegu i sprzedał Krzywemu, mówiąc, że to taki Fender, tylko się inaczej nazywa i ma krótszą menzurę, a Krzywy sprzedał to Szamanowi, ale o ile wiem, Szaman do dzisiaj tej gitary mu nie spłacił. A potem były sklepy muzyczne i tysiące tytułów na pirackich kasetach. Całe dyskografie różnych kapel, oceany muzyki.

Gdyby nie piractwo, nie poznałbym setek nagrań z jazzu, bluesa, rocka, bo nigdy by mnie nie było stać na kompletowanie dyskografii po kilkanaście albumów. Na przykład takiego Wishbone Ash, Camela, Yes.

Tego wszystkiego i wielu innych rzeczy, które miały się wydarzyć, nie przeczuwałem nawet, patrząc któregoś lata w niebo przez otwarte okno w swoim pokoju w Brzegu. Na niebie widać było, jak startują co chwila z pobliskiego wojskowego lotniska sowieckie odrzutowce i odlatują do zimnych krajów, żeby już nie powrócić.

Tak samo, jak schodząc któregoś lata do Rytra z Łabowskiej Hali z Szamanem, Zacharem i Krzywym, nie mieliśmy pojęcia, że robimy to ostatni raz w tym składzie. Tak samo, jak siedząc kiedyś na krawędzi przepaści nad Woliborką na Czarnym Moście w Nowej Rudzie z Beatą Jaroszewską, nie wiedzieliśmy, że robimy to ostatni raz. Bo wydawało się, że życie dopiero się zaczęło, dlaczego więc miałoby coś zdarzać się ostatni raz? Może tylko zaćmienie słońca w 1999 roku było raz i wiedzieliśmy, że się nie powtórzy, dlatego spontanicznie się umówiliśmy na rynku w Brzegu z Olą, Simonem, Pietką, Jarkiem, Ryśkiem i odstawialiśmy hecę, grając na gitarze, bałajce i korpusie starego kontrabas, który zaplątał się w Galerii Ratuszowej, która była naszą kwaterą główną. Pietka mówił wtedy, że chodzi o to, żeby nie zeszło i już nigdy nie zachodziło.

Ale oczywiście zachodziło, i zachodzi, i będzie zachodzić.

Wreszcie przed końcem tysiąclecia umówiliśmy się w Nowej Rudzie na Sylwestra. Miały być tylko w dwa kluby literackie, a wszystko ustawiała Ania Szpak. I nie wiedzieć jak, bez komórek, Facebooka, Messengera od ust do ust, od ucha do ucha zrobił się z tego tłum na sto osób na rynku. Gdzieś w oddali równano Grozny z ziemią, a myśmy siedzieli w piwnicy biblioteki i śpiewali, chociaż nikt nie pamięta co i dlaczego. Bo nie było słów w naszym śpiewie, ale było znaczenie. Był głos, który miał się wybrzmieć, więc myśmy otwierali usta, a on z nas wychodził. Lament nad poległymi chłopcami wysłanymi po dwumiesięcznej unitarce do Czeczeni, albo po ginących wcześniej dzieciach na placach zabaw w Sarajewie, albo po chłopcach i mężczyznach mordowanych w Tuzli i Srebrenicy.

Ludzie mówili, że pluskwa milenijna i tak zeżre wszystko, że o północy się obudzimy i nie będzie już czasu, ani niczego nie będzie. I kiedy piliśmy szampana – być może tego samego szampana otwierał w szkole pilotów Mohamed Atta albo Władimir Putin na Kremlu. I okazało się, że pluskwa milenijna okazała się strachem na wróble, czas nie przestawał płynąć, a nawet jakby nabierał tempa. A kiedy wracaliśmy do domu, zostawiliśmy Pietkę, ciągle jeszcze pijanego, w samochodzie na parkingu w Kłodzku i poszliśmy na sudeckie targi staroci. Tam zobaczyłem pudło pełne kluczy, do których nie było już żadnych drzwi. Wiele wskazywało na to, że historia dopiero się zaczynała.

Jarosław Nowosad › Recenzja

„Skamandrytka” z Berlina

Moje epitafium – to wybór wierszy i prozy Maschy Kaléko (1907–1975) w przekładzie i ze wstępem Ryszarda Wojnakowskiego. Jest to zarazem pierwsze spotkanie polskiego czytelnika z tą autorką.

Kimże była Mascha Kaléko? Urodzoną w Chrzanowie (wówczas – Galicja) niemiecką poetką żydowskiego pochodzenia, którą koleje historii rzuciły z Berlina kolejno do Paryża, Nowego Jorku, w końcu do Jerozolimy. Debiutowała pod koniec lat 20., apogeum popularności (jak na poetkę!) osiągnęła w drugiej połowie lat 50. Podobnie, jak większość europejskich poetów z jej pokolenia, Kaléko hołdowała poezji tradycyjnej, tj. takiej, jaka ukształtowała się mniej więcej w okresie renesansu: wiersz sylabiczny lub sylabotoniczny, niemal obowiązkowo rymowany.

To, co uderza nawet przy pobieżnej lekturze wierszy Kaléko (szczególnie tych najlepszych), to nie tylko zmysł, ale wręcz swowolność obserwacji, zamiłowanie do charakterystycznych szczegółów, szczególnie w ludzkich zachowaniach. Spojrzenie podmiotu lirycznego na świat jest tyleż uważne, co ironiczne wobec świata i ludzi, w tym siebie. Daleko wszakże tej poezji do cynizmu czy złośliwości – ironia nie wyklucza liryzmu, lecz doskonale się z nim uzupełnia. Jak pisze sama poetka: „Mój wiersz jak Janus – że tak sprawę ujmę – / Zdradza autorki oblicze podwójne. / Z tych twarz jedna jest na wskroś liryczna, / Druga

się zdaje prawie satyryczna”. Pod tym względem Kaléko uważana była za współczesną kontynuatorkę poetyki Heinego. Wiele w tym racji. Specyficzny „śmiesz przez łzy”, co chwilę rozbrzmiewający w jej strofach, jest wyraźnym echem równie niełatwego humoru autora *Loreley*. Zacytujmy choćby pointę „Testamentu tymczasowego” Maschy: „POST SCRIPTUM: chustki oszczędzajcie przecież, / Wydawcy moich nielicznych książeczek, / Moje »ostatnie życzenie« – na ziemi: / Dziecku mojemu płacicie choć tantiemy!”.

Oprócz wyraźnej nuty heinowskiej, polskiego czytelnika uderza jeszcze jedno, nieoczekiwane skojarzenie. To już nie tyle możliwy choćby wpływ (bo przecież autorka nie знаła języka polskiego), co zaledwie nieświadoma zbieżność. Otóż Mascha Kaléko w swej liryce uderzająco przypomina... Skamandrytów! W szczególny sposób „zaocznie patronuje” jej Tuwim. Ostrość obserwacji połączona z subtelną, niemal „cieplą” ironią w najdoskonalszy sposób łączy w jedność „liryczne” i „satyryczne” oblicze poetki, analogicznie jak w tym samym czasie u autora *Kwiatów polskich*: „Panny rycerskie w oknach wśród floresów / Wiją swe ciała, także ślubne wianki. / ...To przedwojennej resztki elegancji. / – Wewnątrz się żyje z pisania adresów. // Srebra rodzinne lśnią na licytacji. / Bechstein już dawno został opłakany. / Bieda zagłada. Pustką świecą ściany. / – Jakby u siebie mieszkali na stacji” („Wielkopańskie domy”). Podobnie jak Tuwim, opiewa poetka zwykłe życie zwykłych ludzi, na co dzień – „W martwych ulicach

omnibus zadudni. / Na zimnej ławce w parku śpi włóczęga. / Po ciemnych bramach obcy piesek biega, / Ktoś go porzucił, więc płacze za ludźmi” („Późna nocą”) – i od święta – „Mocno zaspasana wciąż ziewa ulica, / Niczym muzeum ciszą tchnie fabryka. / O paragrafie jeszcze śni policjant, / Z czyjegoś domu dobiega muzyka” („Niedzielny poranek”). Sporadycznie znajdzie się i fraza jakby z Wierzyńskiego, choćby w zakończeniu „Medytacji podwórkowego śpiewaka”: „Dobrze by było znów znaleźć stałe zajęcie, / Wierną mieć dziewczynę i nosić płaszcz wełniany”. W wierszach miłosnych, szczególnie w pointach, nierzadko mignie przelotem sylwetka Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej: „Mój śmiech za tobą, miły, ruszył oto. / Bo ciebie nie ma – serce jest sierotą” („Bo ciebie nie ma”). I nie tylko w miłosnych, bo weźmy zgrabną fraszkę „Krokodylat”: „W swojej witrynie sklepowej / Krokodyl łez tracił wiele. / Daremnie. W Nilu dalekim / Narodził się być portfelem”.

Jak już zaznaczono wyżej, Kaléko w zasadzie trzymała się tradycji nowożytniej poezji europejskiej. Dopiero wśród jej późnych utworów sporadycznie pojawiają się wiersze, które my nazwalibyśmy „różewiczowskimi” (choć inspiracją były prawdopodobnie wzorce anglosaskie). Dodać tu trzeba, że są to jedne z najciekawszych utworów w jej dorobku. „Gdybym miała łązy. / Dwie łązy naraz. // Gdybym miała dom / Albo wręcz ojczyznę / Ja obcy nikt znikąd // Jako siedmiolatka bawiłam się ze swoją zgryzotą / W chowanego.” – pisała w zakończeniu rozliczeniowego „Gdybym miała ojca...”. Te słowa przywołać mogą na myśl dojrzały styl Szymborskiej, podobnie jak fragmenty utworu „Szóste życie”: „Galopowaliśmy przez ocean / Suchą stopą / Strzały z łuku trafiały tuż obok / Żar nas nie osmalił / Lecieliśmy w cieniu / Skrzydeł anioła stróża / Wszyscy troje kochani przez Boga”. W tych późnych utworach – dużo bardziej niż we wcześniejszych, tradycyjnych – poetka zaczyna operować kunsztownym paradoksem, znów raczej zbieżnym ze stylem autorki „Wołania do Yeti” niż u niej podpatrzonym.

Trzeba tu dodać: Mascha Kaléko bywała poetką nierówną. I tak przykładowo jej próby „liryki obywatelskiej” z czasów wojny wypadają cokolwiek mniej przekonująco od wierszy krążących wokół zwyczajnej codzienności. „Ten dzień nadejdzie, dzień ten bliski jest, / Kiedy przybiją was do hakenkreuzów. / Nie pożałuje nikt waszego losu, / Za swoim panem nie zapłacze pies” („Słuchajcie, Niemcy”) – słowa podniosłe, mocne i uprawnione, ale... takich wierszy, niekiedy lepszych, napisano w owym czasie multum. Większą „siłę rażenia” ma pointa „Pieśni poniekąd majowej”: „Medycyna, poglądy na rasę / To dla pierwszokół temat nieznany... / Czy na rogu

przy Uhlandstrasse / Kwitną jeszcze kasztany?” – słowa zanurzone w konkrety, który bardziej poetce służą. Również filozoficzne w zamierzeniu epigramy rzadko niosą odkrywczą myśl, choć zdarzają się oczywiście wyjątki: „Owa tęsknota za dawną ojczyzną / to (jak dobrze wszyscy o tym wiecie!) / tylko w jednej trzeciej tęsknota za krajem, / za minionymi laty – aż dwie trzecie” („Nostalgia w ujęciu statystycznym”). To nie zarzut – wszak Homer nie na każdy temat pisał równie udatnie – a jedynie stwierdzenie faktu. Wyjątkowo interesujące są za to wiersze dla dzieci, w których (a to wyjątek w twórczości Kaléko!) do głosu dochodzi nieskrępowana wyobraźnia, sięgająca chwilaami sfer surrealizmu. Na szczególne wyróżnienie zasługują tutaj „Kto jedzie z nami na Alaskę” (wizja zimnego stanu jako gigantycznej lodziarni) i „Jak wygląda życie na Księżycu” (pisane oczywiście daleko przed 1969 rokiem). Przy obcowaniu wyłącznie z przekładem trudno natomiast orzec, czy drobne niedoskonałości warsztatowe (czasem zgrzytne asonans lub rym gramatyczny) są błędami tłumacza, czy wiernym oddaniem charakteru oryginału.

Drugą część tomu *Moje epitafium* wypełnia proza. Tu z kolei dominuje – nawet jeśli nie ilościowo, to na pewno jakościowo – publicystyka. Szczególnie reportaż jest tą dziedziną słowa pisanego, w której Kaléko odnajdywała się bezbłędnie. Znany już z wierszy dar obserwacji, umiejętność widzenia szerokich zjawisk poprzez exemplum – dają tu o sobie znać w dwójnasób. Sekunduje im swobodne a celne posługiwanie się anegdotą. Czy pisząc o berlińskim Urzędzie do spraw Palestyny, czy o nowojorskiej Greenwich Village lub Lower Eastside, czy wreszcie o znakomitych izraelskich rzemieślnikach – autorka sypie jak z rękawa historyjkami ilustrującymi temat. Zaryzykowałbym nawet tezę, że właśnie reportaże są tym, co najlepsze w c a ł e j twórczości Mashy Kaléko. Zresztą i w bardziej osobistych zapiskach pamiętnikarskich, a nawet w listach (których krótki wybór zamyka całą książkę), trafiają się niezłe „kawałki” reporterskie.

Ryszard Wojnakowski swoim obszernym i wielostronnym wyborem z dorobku literackiego Mashy Kaléko przybliży polskiemu czytelnikowi autorkę bardzo interesującą, a dotychczas w naszym języku niedostępną. Warto ją poznać. ●



Mascha Kaléko: *Moje epitafium*. Wybrał, przełożył i posłowiem opatrzył Ryszard Wojnakowski. Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt 2017. (Dwa niepublikowane wiersze Maschy Kaléko w tłum. Ryszarda Wojnakowskiego prezentujemy na s. 25)

Ilona Paczyńska › Recenzja

Przeciw bylejakości

Na początek pewna ogólna refleksja. Wydawać by się mogło, że w czasach prawie niczym nieograniczonej wolności słowa prawo głosu czy do krytyki ma niemalże każdy. Wszyscy mają coś do powiedzenia, każdy głos ma znaczenie. Media huczą od rozmaitych relacji: tych mogących coś przekazać i chcących coś zmienić, tych mających własne zdanie i sposób na coś. Świat stara się wmówić wszystkim naokoło, że jest ktoś, kto „wie lepiej”, kto zna multum najlepszych i najskuteczniejszych rozwiązań na to, by być „jakims”. Jednak symbioza z tym światem jest możliwa jedynie do pewnego momentu. Do chwili, w której zauważasz, że ów świat sili się jedynie na bylejakość, odważysz się wstać, zabrać głos i powiedzieć „nie podoba mi się”. Człowiekiem, który niewątpliwie ten krok uczynił jest poznański człowiek-legenda, reżyser i animator kultury, założyciel i twórca cenionego w świecie teatru eksperymentalnego Maya, obecnie nadal poeta oraz... biznesman na emeryturze – Kazimierz Grochmalski.

W swojej dotychczasowej twórczości obejmującej przede wszystkim spektakle teatralne autor *Traktatu o marionetkach* nierzadko stawiał diagnozę współczesności, dostrzegając charakterystyczny dla niej fałsz, wręcz kryzys prawdy jako wartości elementarnej. Jakże trafna i niewiele różniąca się od dzisiejszej była ta diagnoza już wówczas, czyli w latach 70. Owa nieustająca niezgoda na bylejakość zaprowadziła poetę nawet na drogę sądową,

gdy w 2016 roku napisał list do prezydenta miasta krytykujący działalność miejskiej instytucji kulturalnej Estrada, zarzucając jej nieudolne organizowanie jarmarków na Starym Rynku oraz nazywając „przeżytkiem komunistycznej rozrywki dla mas”, w konsekwencji czego został oskarżony o zniesławienie¹. Nic więc dziwnego, że nowy tomik² Grochmalskiego jest kolejnym, obejmującym szeroką tematykę protestem wobec fałszu, iluzji jakości i wartości – bylejakości, z jaką spotykamy się właściwie na każdym kroku.

Już w otwierającym tomik „Bełkocie” podmiot liryczny/autor zwraca uwagę na zalewającą nas z każdej strony bezymyślną i do niczego nieprowadzącą paplaninę. Obrywa się właściwie wszystkim i wszystkiemu – nastawionym na zysk/sukces naukowcom i twórcom, matkom głoszącym kult rodzenia, singielkom, „które chcą być organem samym w sobie”³ (co ciekawe, między tymi dwoma ostatnimi grupami poeta nie widzi specjalnej różnicy; są dla niego tak samo „smrodliwe”, zapewne nie tylko dzięki połączeniu zapachów potu i perfum); obrywa się też dziełom kultury, mediom, filozofii, pornografii, krytyki nie unika też kult młodości czy kult ciała.

1 Na uwagę zasługuje fakt, że sądową batalię poeta z groteskową manierą i zasłużenie wygrał.

2 Kazimierz Grochmalski wydał w 2016 r. debiutancki tomik pod tytułem *Teatr, którego nie było*.

3 K. Grochmalski, „Bełkot”, [w:] Tenże, *Traktat o marionetkach*, Poznań, Wydawnictwo Naumov CEE 2018, s. 8.

Artysta przemycą nawet wątki posthumanistyczne, oskarżając psa o wyrzucenie świata do góry nogami: zajęcie miejsca swojego właściciela, który śpi w budzie, podczas gdy zwierzę ogląda kreskówki i zamawia dla nich ciężarówkę Pedigree. Choćby nie wiem jak groteskowe czy hiperboliczne wydawały się podane w wierszu przykłady, nie ulega wątpliwości, że jego ocena jest trafna – w pogoni za nie wiadomo czym dawno zgubiliśmy nie tyle zdrowy rozsądek, co sens. Jak zauważa artysta, wszystkie opisane jednostki wydają z siebie bełkot: „bełkot bełkotanych, / którzy są dumni, że w ogóle są!”⁴. Przyczyny pustosławia Grochmalski doszukuje się w przekonaniu o własnej wyjątkowości jednostki bełkoczącej. Autor przeciwstawia się takiemu pozbawionemu szerszych kontekstów czy refleksji sądowi i oznajmia wprost: to jest tylko bełkot – „Bełkot bełkoczących głów, nieustający potok bełkotu, wylewający się z każdej strony gazety codziennej...⁵”. Jest niezwykle spostrzegawczy... i przekonujący w swych oskarżeniach, gdyż ową gadaninę podsumowuje także takimi oto słowami: „bełkotliwy bełkot, niebełkotliwy bełkot, / męczący bełkot, odbierający chęć do życia bełkot...⁶”. Trudno się z nim nie zgodzić. Po przeczytaniu wiersza, który urzeka swą formą – pouracającymi częstkami wyrazów; wersami, które pędzą i rozpadają się na małe, błyskotliwe jednak fale, i uświadomieniu sobie, że wszyscy stale ulegamy presji bycia „kimś” (tylko właściwie kim?), jesteśmy ciągle „bełkotani”, mamy prawo poczuć się zmęczeni – tak samo jak poeta, któremu słuszności nie można już chyba odmówić.

Uczuciem równie nieprzyjemnym jak wyczerpanie może być obrzydzenie. „Ohyda” – głosi tytuł kolejnego utworu. Poeta ponownie skupia się na bezsensowności docierających zewsząd instrukcji, które mogą dotyczyć rzeczy najbliższych, wszystkiego „co może stanowić PRZEDMIOT, a przecież przedmiotem może być WSZYSTAKO!”⁷ [zapis jak w oryginale]. Gardzi ludźmi zasypującymi innych pomysłami „jak to żarcie przerzucić, połączyć w jakiej kolejności, a potem jak segregować, pakować, utylizować”, którzy „gadają aby cię uszczęśliwić, / właśnie przez nich! i właśnie ciebie! I właśnie dziś!”⁸. I gardzi też ich słuchaczami – podczas gdy tych pierwszych odczłowiecza, porównuje do bezkręgowców,

tych drugich określa jako „dupoland obcisłych gaci”⁹, podkreślając, jak bardzo są ograniczeni, nieomal wykastrowani, pozbawieni przysłowiowych jaj i własnego zdania. Owa niechęć do świata współczesnej kultury czy popkultury wyraża się w ciągłym odczuwaniu mdłości, chociażby z powodu zakłamywania rzeczywistości, podnoszenia wszystkiego do rangi sztuki, z którą kontakt nie pozostawia żadnego śladu, nastawiona jest na chwilowy sukces, na krótkotrwałość i nic nieznaczący efekt. Szczycem tego jakże rozigranego wyznania jest zapis: „Nie ma porządku, w finale jest show parodystów w programie / pod tytułem *jeden wielki kabotyn*”, potęgający wrażenie chaosu i przywiązanie do formy współczesnego, nic niewnoszącego widowiska.

Inne utwory z *Traktatu...*, także nie pozostawiają złudzeń: znaleźliśmy się w nieodpowiednim miejscu oraz czasie; mamy teraz właśnie okazję podziwiać przegląd dantejskich pięt na własne oczy. Pozostaje pytanie, czy już na zawsze utknęliśmy „W sercu piekła”¹⁰? Czy w poezji Grochmalskiego nie ma ani odrobiny miejsca na wyzwolenie? Czy wartości tak elementarne jak dobro i piękno, a przede wszystkim prawda nie mają racji bytu? Czy nie można powstrzymać zalewu bylejakości? Oczywiście, że można, a nawet należy próbować. Poeta odnajduje na nie częściowo remedium – wie, że musi zabrać głos. W jaki sposób? Poecie wystarczy mała „Kartka papieru”, na której nakreśli „z drżącym sercem apel do świata”¹¹. Prawdziwy artysta (jakże dziś nadużywane, wy-

eksploatowane słowo...), człowiek wrażliwy wie, że trzeba czegoś więcej. Trzeba przedstawienia, które pozostawi jakiś ślad, najpierw złapie widza, a potem go uwolni, pozostawi w metafizycznym odrętwieniu. Zawartej w ostatnich słowa obietnicy powrotu „teatru Maya” nie sposób przegapić. „do widzenia, do jutra”¹² – mówi Grochmalski i ja na to wezwanie odpowiadam. Jego głos uważam za godny zaufania. Jest jednocześnie jak krzyk młodzieńczego buntu, ale i jak refleksja dojrzałego twórcy, głos rozsądku i ostrej reprimendy, a jednak rozgoryczony i zrezygnowany. Oby jutro okazało się dniem, w którym ten i podobne mu głosy zostaną w końcu wysłuchane. ●

Kazimierz Grochmalski, *Traktat o marionetkach*,
Wydawnictwo Naumov CEE 2, Poznań 2018.



4 Tamże, s. 8.

5 Tamże, s. 9.

6 Tamże, s. 9.

7 K. Grochmalski, *Ohyda*, [w:] Tenże, *Traktat o marionetkach*, Poznań, Wydawnictwo Naumov CEE 2018, s. 17.

8 Tamże.

9 Tamże.

10 Tytuł pierwszej części utworu.

11 K. Grochmalski, „Kartka papieru”, [w:] Tenże, *Traktat o marionetkach*, Poznań, Wydawnictwo Naumov CEE 2, s. 86.

12 Tytuł pierwszego spektaklu, którym „teatr Maya” wznowił działalność w 2019 r.

IN MEMORIAM

Jerzy Suchanek



(1953-2018)

Temu komu

Czy będzie pojutrze? Dzwonią jutrznie.
 Czy będzie chociaż jutro? Trzmiel nie
 wiedzą, wieszają się w powietrzu. Wciąż
 są w po przed, nadążają, tylko tyle i aż.
 Czy jest chociaż jeszcze dzisiaj? Nad i pod
 ciemnieje od nadpalonych brzezków.
 I podniecających grzeszków chrząszczy,
 chrabąszczy, żuków w pułapkach na nie.
 Oraz na Nie, Tak, Zapewne, Być Może.
 Wczoraj to wyrób niepewności. Między
 nie było tak, a tak było nie, ślizga się ślad
 po, zaś przed nie wyprzedza przędzy
 pająka i pałaka, w którym pojękuje wiatr.
 Przedwczoraj to szary kadr, w nim karki
 kart blednących i biadolących, jak gołe
 łyżwiarki, które na krze rzeka unosi w dół.
 Kobieta we mnie tańczy okutana od głów
 do stóp, uderza mój dzwon twardym
 serem serca i ostrym pękiem pęt z pępka.
 Niedaleko, bo o parę nieczynnych naczyń,
 na ławeczce, obok bąbla bólu, Bóg pali
 w oczy i szczypie w półdupki policzków.
 Mróz spada niżej i niżej. Niżej niż graty
 gradu i gratki gratulacji. Gramolę się na
 ławeczkę, Bóg podaje mi ogień, bije mnie
 biczem z łydyżek wanilii i wyciąga zza
 moich uszu sześć nagich kobiet. Może
 więcej, bo może więcej. Ja liczę do szczęściu.
 Światło czesze im włosy pod pachami,
 bez bezwstydu z kości kiści sypie szpik
 płatków na ich krocza. Ławeczka kroczy
 środkiem, lecz między przedtem i potem
 nie ma teraz. Bóg daruje mi. Wiosło lub
 powróło. Wybieram lub. Albo też albo.
 Modłę się, żeby darował sobie też. Także.
 Nawet. Nie odzywa się do mnie. Palimy.
 Ciało piecze jak ciasto. Pieczarki z pieczary
 Platona są najsmaczniejsze, tak dobre
 jak smocze smoczki. Posiłek po, przed
 przepowiednią przedsprzedaży. Darz bór!
 Poniżej, powyżej. Ciężej, lżej. Zieleń, leń.
 Czerwień, wieniec. Błękit, kit. Czerń, darń.
 Darń, drań. Dar z ran. Kobiety tańczą
 naokoło od wewnętrznej strony. Bóg je
 bez popijania. Podchodzę do tego z umiarem.
 Z pomiarem umoru. Umorusany i opierzony.
 Umarłem i nie umarłem. Kobiety odsuwają
 piersi na mój skraj, ławeczka kolebie mną.
 Bóg napiera wiosłem, parzy dłonie
 powrółem. Lub rośnie, staje się rosłe.

Albo szepce: lub lub. Bóg wyskakuje w buki.
Ucznie płaczą lub złorzeczą hucznie.
Dzwonią jutrznie. Ucho uchodzi. Nos nosi.
Okno koli. Palec pali. Temu komu. Mnie.

*Jeśli komuś się wydaje, że Allen Ginsberg był jakimś bogiem,
bo napisał wiersz. Przesłanie oraz całą spiralę wielu innych
wierszy, niech poczyta wiersze Charlesa Bukowskiego.*

Mikolów, w nocy z 2 na 3 lutego 2018 r.

Pies księżniczki

Zobacz, czym jest rozpacz. Rozpatrz
jej nonsensy. I patrzę: puste kredensy,
smutne zwierzęta domowe, Feliks eN,
który nie żyje, ale miażdży mi szyję,
gdy mówi do mnie, bo sobą mówi o
mnie, o osobie w sobie; kto wynajął
te Węgierki, by tańczyły na jego grobie?
Majtają nogami, wycierają krzyż
majtkami, tkają tkliwą i słoną zasłonę;
teraz jesteś, kim nie byłeś, głosem
skręconym jak włos w ustach po tym,
co kobietę nabija na: stan osłupienia,
pal, palec, palmę, całe palmarium, o!
O! O, o, ooo! Tak, mogłem, mogłem
więcej, zmogłem mniej, bo zmogło
mnie, zmogło, Feliksie eN, Twoje to.
Nie, nie przynoszę ci hortensji, ani
pretensji, parzę sobie słowa w ciasnych
miejscach, ssę je, bo wtedy boli mniej,
a Ty się śmiesz: nie ma to, jak być
wiernym! Jedna kobieta, jeden dom,
trzy języki. Zapomniany (albo prawie,
od tego Cię nie zbawię), nasz i Twój.
Węgierski, ruski, czy może każdy? I
czy słyszysz szczekanie psa księżniczki?
Miałem Cię o to zapytać za życia, ale
musałem zabić królika, potem kotkę.
Teraz czekam na wybuch w mojej
głowie, który mnie dołączy do zwierząt
i roślin. I do Ciebie. Wtedy mi odpowiesz.
Jeśli wiesz. Sam bym chętnie cara
rozstrzeliwał, gwałcił księżniczki i...
Kto zjadł psa? Jesteś, Feliksie eN tam,
gdzie to wszystko widać, albo nawet
nie wiesz, że Ciebie już nie ma. Tylko ja
i smakosz wiemy o Tobie i psie, o którym
historia nie pamięta, a może był ważniejszy

niż ten wiersz i Twój poemat? Niech zdycha
 wers po wersie, Twój i mój. Wiem, jak
 się zabija zwierzę, któremu dało się imię.
 Królik, kotka... Nawet komarzyca Iza...
 Trzy noce z nią nie spałem, aż mnie
 dosiadła, jakbym był gilotyną. Byłem.
 Kto zjadł psa nadziewanego jądrami cara?
 No powiedz, powiedz, powiedz kto?
 A Ty nie milczysz, mówisz do mnie,
 lecz o wszystkim, co mnie do Ciebie
 prowadzi i wadzi tylko zdrajcom języka.
 Zdrapka na Twoim nekrologu była
 pusta, nic nie wygrałem, ale wciąż
 widzę pieska przy biuście księżniczki.
 Niech zdycha bestia, zapisuje bestia
 w poemacie Twoim, w swoim adresie.
 Czy myślałeś o tym, że jedynie ich
 śmierć będzie naszą nieśmiertelnością?
 Zawsze miałeś dobrze, nawet lepiej.
 Prześlizgnąłeś się pod kulami, które
 zmiażdżyły umysły cara i pieska.
 Teraz śmiejmy się z siebie: ze mnie,
 frajera, i z Ciebie, który z rozerwanych
 kulami piersi księżniczki z pieskiem
 wysłałeś się z niemieckiego obrządku.
 Szkoda, że nas tam nie było, w tej
 suterenie, jak zapisałeś. Najpierw byś
 strzelał, czy zdzierał majtki, bo ja
 tego też nie wiem, choć obie lufy
 mam owinięte w białoczerwoną
 halkę. Ona bardziej podnieca, niż
 flaga albo sztandar. Tak, bardziej
 upija mokra halka Polską, niż ta
 tasiemka, którą całujemy księdzu.
 Tam już wiesz, że to kobiety Polskę
 zrobiły na swoje i nasze podobieństwo.
 Tam już wiesz. Twoją nieudaną
 ojczyznę. Jakbyś chciał mieć inną.
 Między cyckami księżniczki a psem
 z niemieckiej hodowli są śląskie
 hałdy i podlaskie bagna oraz obraz.
 Wiesz, który. Za to ja nie wiem, gdzie
 zmierzam i co zamierzam. Mierzę się
 Tobą, choć to miara z innego wymiaru,
 bezmierna mara dla mierności, a Ty
 skrywasz się w koszuli mgły i na to
 nic: zostawiłeś kolczastą obrozę psa
 na mojej szyi; jak mogłeś? Tak mogłeś.

*Feliksowi Netzowi, autorowi poematu
 Niech bestia zdycha oraz innych poezji.*

W Mikołowie, 23 grudnia 2017 r.

Wiersz rozwiążle zwięzły

Sen kołysze mną coraz mocniej,
 boję się, że łódka się wywróci,
 a prysznic prychnie zimną wodą.
 To otwiera mi oko na jutro, które,
 tak samo jak wczoraj, okaże się
 dzisiaj puste i nieprzydatne, choć
 przy dacie, będąc pod datą, coś
 zadatkowałem sobie. Nie wiem
 na jaki cel i od zgryzoty boli mnie
 zgryz, jakbym jadł gruz z różg róż.
 Pamiętam miętowo i mętnie, że
 na wszystkie kłamstwa nalepiono
 słowa „prawda”, ale czy to prawda?
 Wda wezbrała. Pranie zebrane.
 Zebranie się rozebrało. Gdzie braki
 zimują? W maglu magii magazyn
 margaryny i marazmu marznie
 i marzy o marcu. Język rozwidła się
 jak widły i przekłwa mi uszy
 policzków. Policzyłem je do trzech!
 Grzebiesz w grzechu grzeczny
 chłopczyku, w tej grze źle sumujesz!
 Znajdą cię w sumie z Wdy. Umiesz
 lepiej lepić na wszystkich prawdach
 słowo „kłamstwo”. Albo wyraz
 cały naraz „brednie”. Poobiednie
 bezwiednie biegnie biednie w dniu
 i po dniu. Modnie ubierz spodnie,
 usiądź wygodnie i godnie miodny
 miot miotnij, jakbyś rzucał mięsem.
 Dlaczego mówię do siebie, jakbym
 stał nade mną? Muszę się poprawić,
 cierpnie mi głowa, cierpliwość jest
 cierpka jak cieri. Chcę wyjść z tego
 wycia. Wycieram się na łokciach
 i kolanach. Zdzieram nalepkę drzwi
 z nalepki drzwi. Zdzieram nalepkę
 okna z okna. Zdzieram nalepkę ja
 z nalepki ja. Muchy latają dookoła
 lepu żyrandola, żarty żrą żarliwie
 w kącikach, żubr i żul idą w pierwszej
 parze, żur paruje i pachnie żurem.
 Przywiązuję się do łódki sznurówką,
 bo przywiązałem się do lnu snu,
 w którym mam ciało niegrzecznej
 dziewczynki i uczę się uczynków.

Mikołów, 24 lutego 2018 r., wieczorem

Prezentowane wiersze pochodzą z najnowszego tomu wierszy Jerzego Suchanka *Temu tam*, który ukaże się nakładem Instytutu Mikołowskiego w 2018 roku.

Nagroda Otoczaka

Do jedenastu razy sztuka

Edyta Antoniak-Kiedos

Fragmenty tego tekstu powstały w 2011 roku, gdy Jerzy Suchanek przyznał pięć Nagród Otoczaka i warto było tę okragłą pulę nagród zaanonsować w prasie literackiej („Migotania” 2012, nr 1, s. 48). Wtedy jednak żył Fundator tej niezwyklej Nagrody, mogłam Go dopytać, skonsultować: dlaczego ten, a nie inny autor; dlaczego ta poezja zasłużyła na Jego uwagę; skąd pomysł na taką, a nie inną laudację; dlaczego wybór miejsca wręczenia nagrody jest ten, a nie inny. Dziś Jurek Suchanek nie podniesie słuchawki telefonu, nie napisze e-maila z nagłówkiem „Czołem” albo „Edyto Miła”, nie dopisze na końcu wiadomości charakterystycznego hasła: „Pozdrowki”. Od 24 września słucha dźwięków Soły z innego miejsca, być może obejmuje wzrokiem połacie otoczków gdzieś z góry, może ma więcej czasu na czytanie książek, nie będzie już przecież wykonywał składu i łamania kolejnych publikacji z WiS Opcjon, nie będzie odpisywał na wiadomości od literacko-artystycznej braci, nie przyjedzie do Mikołowa na kolejne spotkanie autorskie.

Czasami myślę, że to jego prywatny protest przed zmianą siedziby Instytutu Mikołowskiego im. Rafała Wojaczka. Kończy się pewna epoka w życiu rodzinnego miasta autora Sezonu, ta podwójna zmiana adresów (IM i Jurka) nastraja do refleksji o upływającym czasie, o książkach, które przetrwają twórców, i o śladach, jakie w nas zostawiają ich autorzy...

Jerzy Suchanek na pewno ten znaczący ślad zostawił w wielu osobach, a nade wszystko w ich artystycznych życiorysach. Nie ma bowiem twórcy, który wypierałby się wyróżnienia, jakie otrzymał od autora Bębnow. Myślę, że dla każdego z nich było to coś więcej niż miły epizod na literackim festiwalu czy innej imprezie poetyckiej. Dostać bowiem prywatną nagrodę literacką od innego poety to rzecz niespotykana

w XXI wieku. Co prawda wiele lat temu takie prywatne laury fundowali Jerzy Szacki czy Adolf Peretz, jednak dziś pomysł na Nagrodę Otczaka to ewenement, wynikający z wielu powodów, takich jak np. mnogość nagród literackich uwarunkowanych środowiskowo i ideologicznie przy równoczesnym braku nagród prywatnych (przyznawanych przez jednoosobowe jury); powszechny egocentryzm piszących skupionych wyłącznie na autopromocji, bezwzględność rynku wydawniczego rugującego elitarną, a przez to od lat niszową poezję... Jurek pewnie by mi od razu przerwał tę wyliczankę, bo dla niego poezja nigdy nie była ani elitarna, ani niszowa, była najważniejszym elementem życia, czymś więcej niż pasją czy misją... Pisał felietony, recenzje, znamy jego prozę, ale to poezja stała na pierwszym miejscu i to z tego powodu swoją Nagrodą składał hołd znakomitej (naprawdę lubił ten przymiotnik) poezji. Nie popadając jednak w sentymentalizm czy zbędny patos, trzeba przyznać, że Jurek Suchanek wykazywał się niebagatelnym poczuciem humoru i złośliwością zwłaszcza wobec akademików, stąd już regulamin jego Nagrody brzmi jak żart, zgrywa. W końcu ustalony został w ramach szeroko pojętego „widzimi się”, zapewniającego, iż nagrodą będzie „statuetka wykonana z oryginalnego otoczaka, pobranego osobiście przez Widzimi się z rzeki Soły w miejscowości Węgierska Górka”, z kolei „wszelkie zażalenia i protesty (od ustalonego regulaminu – przy. E.A.-K.) będą wyrzucane do kosza”. Czymże zatem był ów Laur?

Piaskowiec to jedna z najczęściej spotykanych w Polsce skał osadowych, powstałych ze sprasowania ziaren kwarcu i innych minerałów. Skała ta, pokruszona i poddana działaniu wody rzecznej, przekształca się w otoczaki, wyścielające koryta szczególnie górskich rzek. Jerzy Suchanek kilka lat temu, uracając nad rzekę dziecinstwa, Solę w Węgierskiej Górze, „wyłowił” z niej ideę Nagrody Otczaka oraz odpowiednie kamienie. Poeta ukrótce w jednej ze swoich książek (*Widzimi się*, Gdańsk 2008) zamieścił prześmiewczy Widzimi się Regulamin Nagrody Otczaka, jednak od początku traktował nagrodę serio.

Okazała się czymś więcej niż tylko sezonowym ornamentem, stała się ważnym wyróżnieniem, wręczanym rokrocznie od 2006 roku wybranemu przez Suchanka twórcy. Nie ogłasza on jednak tradycyjnego konkursu, nie układa rankingu najlepszych poetów czy książek poetyckich, ale według własnego uznania obdarowuje – przy okazji ważnego wydarzenia poetyckiego – kamiennym laurem. Dzięki temu docenia zarówno imprezę, w której programie lokuje wręczenie statuetki Otczaka, jak i autora, mającego zaszczyt przyjąć dar od innego pisarza.

Kamień pod wpływem długotrwałego działania wody nabiera obłego kształtu, staje się otczakiem. Im dłużej woda go toczy i pieści jego brzegi, tym staje się gładszy, ale tym większą zdaje się ukrywać w swoim wnętrzu tajemnicę. Podobnie z poezją – im dłużej obcuje się z materią słowa, tym bardziej łagodnieją jej brzegi. To, co niezrozumiałe, wydaje się jaśniejsze. To, co sprawia w niej ból (jak jeź, którego do serca przykładają Jacques Derrida), staje się bardziej znośne, możliwe do przytulenia... dopóki na serio nie zajrzy się pod powierzchnię słowa.

Jerzy Suchanek w każdej kolejnej laudacji wyznawał, jaka była jego osobista droga do zrozumienia i zachwytu nad tajemnicą wyróżzonego twórcy. Stronił przy tym od naukowej terminologii, unikał porządkujących izmów. Opatrywał wiersze poetów własnym komentarzem – intymnym i wyważonym, bez przesadnie egzaltacji i tanich komplementów. Jak głosi punkt ósmy wspomnianego regulaminu „o przyznaniu Otczaka będzie decydować wyłącznie Widzimi się” i tak też można sądzić po nazwiskach nagrodzonych. Suchanek, kpiąc z zasad – jakie ustala się przy okazji konkursów, i wbrew „rankingowym” układom – wybierał poetę, który w danym roku jego zdaniem opublikował najlepszą książkę i/lub zasłużył na nagrodę dotychczasowym dorobkiem.

Statuetka Nagrody swój ostateczny kształt zawdzięczała pomysłowi plastyczki Agnieszki Sitko, która skojarzyła otczak z rzeki Soły ze szkłem. Przy wykonaniu statuetki na początku współpracowała firma Marcina Marcza Polish Laser Glass, później STUDIO 3D z Bydgoszczy (dostarczające wygrawerowaną kostkę ze szkła kryształowego) oraz Jacek Biliński, który wykonywał całość. Nie zabrakło też podziękowań dla rzeki Soły „za dar otoczaka”. Odnoszę, że każda statuetka była niepowtarzalna, tak jak nie ma dwóch takich samych otczaków... A postument pierwszej statuetki był zamkniętym pojemnikiem zawierającym według jednych wodę z Soły, według innych – czysty spirytus. Ale tej „legendy” nie komentował ani Jerzy Suchanek, ani laureat...

Za 2006 rok jako pierwszy Nagrodę Otczaka – przy okazji promocji nowego numeru *Arkadii. Pisma katastroficznego* w Instytucie Mikołowskim – otrzymał Wojciech Brzoska, autor m.in. tomu *Niebo nad Sosnowcem*. Wygraną zagwarantowały Brzosce „odrębność intelektualna i samodzielność estetyczna, niezależność i niepoprawność polityczna, a także podjęcie polemiki ideowej z poetą Wojciechem Wenclem”.

Rok później w samym Złotym Środku Poezji, czyli na Festiwalu w Kutnie – „za szczerość i żarliwość, którymi obdarza szczerze i konsekwentnie” – Otczaka odebrał Piotr Cielesz. Suchanek przyznawał, że zawdzięcza mu zrozumienie własnej tożsamości i podziwia oryginalny sposób, w jaki liryczny bohater Cielesza zmagając się z dylematami wiary, dobra i zła.

Trzecia z kolei statuetka Otczaka w blaskach V Festiwalu Poezji w Sopocie powędrowała do rąk Wojciecha Kassa, tworzącego – według Suchanka – poezję pielęgnującą resztki urody świata i szukającą mądrości, która ocala od tandety i szablonów oferowanych przez współczesność. Doceniał u autora *Jelenia Thorwaldsena dążenie do odzyskania sacrum w zwyczajności, codzienności*.

Za rok 2009 – na VII Międzynarodowych Spotkaniach Poetyckich *Pobocza* w Więcborku – Otczaka otrzymał Maciej Melecki, dla którego nagroda była podziękowaniem za „intelektualną diagnozę i emocjonalne zmierzanie się z napęczniałym »byciem dla bycia«, za swoiste przypomnienie, że przecież »nie być« – czy się chce, czy nie – następuje po »być«, ale też to »być« poprzedza”. Mikołowski poeta wyróżniony został szczególnie za tom *Przester* i podjęcie problemu „nie być” – wyrugowanego ze współczesności, w której hamletowskie „być” już dawno zastąpiono „mieć”.

W trakcie V Festiwalu Puls Literatury w Łodzi piąta Nagroda Otczaka (za 2010 rok) przypadła Andrzejowi Niewiadomskiemu za wnikliwą, choć dotkliwą diagnozę współczesnej poezji, pomieszczoną w tomie *Tremo*. Jego kolejne wiersze to – według Suchanka – „poetycka geografia”, której nie da się przedstawić w postaci tradycyjnej mapy. Zaułki krajobrazów Niewiadomskiego, są równie zaskakujące jak kolejne miejsca, które na polskiej mapie literackiej – dzięki swej nagrodzie – zaznaczał Jerzy Suchanek.

Rok 2012 przyniósł Nagrodę Otczaka Przemysławowi Owczarkowi, który odebrał ją na II Ogólnopolskim Festiwalu Poetyckim im. Wandy Karczewskiej w Kaliszu. W swej laudacji Suchanek podkreślał wagę wszystkich trzech tomików Owczarka, zarówno *Rdza*, *Cyklis* jak i *Pasja* były dla niego niezwykle wiarygodne w ukazywaniu cierpienia podmiotu lirycznego, stanowiły ważne ogniwo w docieraniu do bogactwa języka.

Kolejnym laureatem Nagrody Otczaka jest Arkadiusz Kremza, który odebrał swój kamienny laur podczas VI Festiwalu „Poznań Poetów”. Pamiętam dobrze, jak oboje zachwycaliśmy się z Jurkiem niepozornymi *Wierszami z wody i żelaza* (2012). Książką, którą Kremza wracał do Polski i polskiej poezji po czasie przymusowej emigracji. Tamten traumatyczny czas oddzielenia od rodziny, przyjaciół, ale nade wszystko od języka polskiego stał się paradoksalnie owocnym „połowem”. Kremza udowodnił, że to właśnie „język chroni przed utonięciem w obcym morzu, przed nawałnicą odmienności”.

III Festiwal Poetycki im. Kazimierza Furmana *FurmanKa* w Gorzowie Wielkopolskim stał się okazją do wręczenia Nagrody Otczaka Piotrowi Gajdzie za tom *Demoludy* (2013). Ta książka była niezwykle bliska Suchankowi, bo upominała się o swoisty „rachunek krzywd” względem – jak czytamy w laudacji – „państw obozu socjalistycznego, czyli grupy państw sprzedanych przez Zachodnią Europę i Stany Zjednoczone zbrodnicemu, rosyjskiemu imperium ze wschodu”. Suchanek był dość radykalny, jeśli chodzi o kwestię Ojczyzny i historii, domagał się prawdy na temat zakłamywanych wydarzeń z przeszłości, cenił Bogdana Urbankowskiego i prof. Szwagrzyka. Zaś Piotr Gajda ujął go błyskotliwą analizą sytuacji tytułowych demoludów, pasją moralisty i postawą buntownika, którego bunt z wiekiem wcale się nie ustatecznia, lecz wzmacnia.

Kolejna Nagroda Otczaka była wyjątkowa, bo po raz pierwszy i jedyny otrzymała ją kobieta. Beata Patrycja Klary odebrała statuetkę podczas Wieczoru w Arce, który zorganizowano w ramach VI Festiwalu Literackiego im. Edwarda Kupiszewskiego *Qpiszewiada*. Autorka *Misterium solitera* (2014) ujęła poetę między innymi umiejętnymi obserwacjami popkulturowego konsumpcjonizmu, szczerością, która niewyrobionych czytelników naraża na „wszelkie bóle somatyczne i psychiczne”, szukaniem sensu i drogi do przemiany, do przeistoczenia.

Za osiągnięcia literackie w roku 2015 Nagroda Otczaka przypadła Waldemarowi Jocherowi, który odebrał swój laur podczas Mikołowskiego Zatargu Poetyckiego. Tom *Przetruwalnik* (2015) okazał się niezwykle inspirujący dla Suchanka-lingwisty, język to przecież nie tylko narzędzie komunikacji, a Jocher – zdaniem Fundatora – „w swój własny, oryginalny sposób, posługując się stylistyką, zaczerpniętą z różnych postmodernistycznych ejakulacji (...) dekonstruuje dekonstrukcję i odsuwa najbardziej zaciętych dyfamatorów wartości do kąta literatury”.

W 2017 roku podczas XXVI Turnieju Jednego Wiersza im. Rafała Wojaczka po raz jedenasty i ostatni osobiście Jurek Suchanek wręczył Nagrodę Otczaka Markowi Krzysztofowi Emanuelowi Baczewskiemu. Ostatni też raz napisał ze swadą i dowcipem laudację, która zawierała uzasadnienie swojego „wizymisję” werdyktu. Twórczość autora *Projektu „Orfeusz”* (2016) jawi się niezwykle cenna, gdy ów potrafi bezprecedensowo „udzielać korepetycji z bytu i niebytu” samym filozofom. Suchanek zwrócił jednak we wstępie szczególną uwagę na niebanalną osobowość Baczewskiego, na jego zdolności obserwowania świata i trafnego nazywania zjawisk w nim zachodzących. Autor *Wierszy żebranych* mógłby być celebrytą, ale zbyt czytani i bystrzy celebryci nie są na rękę całej zgrai pseudopolityków, redaktorów czy innych komedianów. Fundator dostrzega, iż „są wiersze autora *Projektu „Orfeusz”* dyskursem i sporem z gruzem kultury, z tym co ją wpraw w burzę, a potem burzy, a zarazem sprawdzaniem jej wymiarów i zamiarów oraz nieustannym kalibrowaniem jej miar”. Po raz kolejny Suchanek docenia też poetycką czujność ze względu na niebezpieczeństwo odarcia naszej cywilizacji z metafizyki.

W 2018 roku ostatnią Nagrodę Otczaka tuż przed śmiercią, kiedy się widzi i czuje jaśniej, intensywniej, Jurek Suchanek przyznał Konradowi Wojtyłce. Tak jak pisałam na początku, już nie dowiemy się, dlaczego dokładnie takie było „wizymisję”, może tekst laudacji ukrywa się w czeluściach osobistego komputera, może kiedyś ktoś go odkryje dla potomnych, jak niegdyś Konrad Wojtyła odkrył nieznane wiersze Rafała Wojaczka... Czas pokaże, Jurek przekazał pałeczkę Maciejowi Meleckiemu, który wręczył dwunastego Otczaka w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie na kilka dni przed śmiercią Fundatora. Znamienne, Otczak z rodzinnej Węgierskiej Górki Suchanka przemierzył praktycznie całą Polskę, by osiąść w pięknym grodzie nad Odrą. Takich drobnych symbolicznych gestów, znaków zawsze doszukuje się, by znaleźć sens, gdy tego najważniejszego człowieka już nie ma wśród żywych.

Nagroda Otczaka przyznawana „w poprzek” innych nagród literackich to nie tylko fanaberia czy zgrywa, to nade wszystko świadectwo ogromnej miłości do poetyckiego słowa, do prawdy i jakości, którą należy bronić w czasach miażdżących i *nomen omen* byle jakich. Jurek zostawił po sobie wielu uczniów, tych z Klubu Perełka w Gliwicach, tych z licznych warsztatów poetyckich, które prowadził przy różnych okazjach w całej Polsce, tych zaczytanych w jego wierszach i korespondujących z nim najpierw listownie, później e-mailowo... Nie zmarnujemy jego nauki, pozostaniemy blisko natury, tradycji, historii i Ojczyzny symbolizowanej przez Sołę i jej dzieci – otoczaki. ●

POEZJA
Wojciech Brzóska

z urny do żłobka

pamięci Jurka Suchanka

setki niewywołanych zdjęć –
tak wyglądają odejścia miejsc
i ludzi, których wciąż widzimy.

stoimy tu po raz ostatni,
palimy w kącie tego mieszkania,
wspinamy się po zniczach.

ostatni zdmuchną je w drodze
powrotnej, na chwilę przed
przeprowadzką.

i jeszcze wspólne zdjęcie
z twoim zdjęciem na stole.

w mieszkaniu mam dom
pogrzebowy, na półce
kamień z solą.

kiedy budzę się rano,
oba mówią to samo.

Topografia widzenia

Maciej Melecki

Zmarł Jurek Suchanek (24.09.2018). 1 sierpnia skończył 65 lat i zaczynał się cieszyć życiem emeryta. Wcześniej, 21 lipca, widzieliśmy się – jak miało się okazać – po raz ostatni na imprezie w mieszkaniu Ewy Olejarz. Jurek i Magda podwieźli nas (mnie i Agnieszkę) samochodem z Mikołowa do Zabrza. Podczas samej imprezy obficie i suto dywagowaliśmy o literaturze i świeżo podjętej decyzji Jurka o przyznaniu przez niego dwunastej *Nagrody Poetyckiej Otocza* Konradowi Wojtyłce za jego ostatni tom *Znak za pytaniem*. Cieszyło mnie niepomrotnie, że Jurek dokonał takiego właśnie wyboru, ponieważ tom Konrada był dla mnie jedną z najistotniejszych książek poetyckich wydanych w zeszłym roku, niezwykle mocno i silnie oddziałującą na intelekt, wyobraźnię i emocje, za sprawą nieprawdopodobnie gwałtownej dynamiki języka poetyckiego, wylaniającej się z serii językowych nachodzeń i stłoczeń powodujących rozwidlanie się – właściwie – każdego dożywianego wątku. Jurek – jak zwykle głęboko usadowiony w swej przekorze – podkreślał parokrotnie, że tom ten idealnie spełnia jego apetyt na poezję będącą w kontrze do makatkowo-koturnowej poezji lansowanej przez opiniotwórcze gremia z prawa i lewa. Zaprawieni dość pokaźnie parogodzinnym biesiadowaniem, wróciliśmy wraz z nimi do Mikołowa. Takie to było ostatnie nasze spotkanie.

I taka to jest topografia widzenia – tego już na zawsze ostatniego, dotkliwie zapamiętanego. Cała reszta to dwadzieścia pięć lat znajomości – mniej lub bardziej intensywniej, wypełnionej różnymi momentami i pasmami. Jurek bowiem stał u początku mojego pisania. Wychował i poetycko stworzył Krzyszka Siwczyka i Martę Podgórną, którzy pilnie pod jego baczny okiem stawiali pierwsze kroki poetyckie. A z kolei sam pisał i publikował swoje książki poetyckie i literackie, przy powstawaniu których – jeśli chodzi o ostatnie pięć jego tytułów – uczestniczyłem.

Zawsze w momentach intensywnych wspomnień o kimś, kto odszedł bezpowrotnie, korci, aby zadawać pytania w stylu: jakim człowiekiem lub poetą był? A wszystko to, oczywiście, przefiltrowane przez gazę subiektywnych doznań. Z Jurkiem czułem się mocno żyty. Zawsze mogłem na niego liczyć – czy to życiowo, czy zawodowo. A działało się to za sprawą jego maksymalistycznego podejścia – do życia czy literatury. Nie ustępował przed żadnymi wyzwaniem. Kreował wciąż nowe pomysły – podpowiadał lub sugerował. Jego nieprzebrane doświadczenie literackie, silny charakter, konsekwentnie wyradzany styl i język poetycki najczęściej koczujący w ostrych, lingwizujących i surrealizujących zwadach i zderzeniach, skrajnie jednostkowa postawa względem tak zwanego mainstreamu, napawającego Jurka odrazą – to zręby jego nie jestestwa. Płacić musiał – tak podejrzewam – sówitą za to cenę. Żył bowiem intensywnie, nieoszczędnie, nieobliczalnie, ale zawsze odpowiedzialnie wobec swoich racji.

Przez ostatnie dziewięć lat miał swą przystań – był nią Instytut Mikołowski. Zaproponował mi w 2009 roku składanie naszych książek, a także przekonał do tego, byśmy drukowali je – po niższych kosztach – w innej niż dotychczas drukarni. Do września obecnego roku Jurek złożył i współredagował ponad sto tytułów. Jego zaangażowanie w ich powstawanie przekładało się bezpośrednio na spotkania w IM. Prawie na każdym zabierał głos – komentując dokonania zaproszonego gościa, krytykując przy okazji liczne konteksty, w które wikała się poezja czy proza; niekiedy też stanowczo ganił to, co wydawało mu się banalne lub marne. Innymi słowy – nie stosował żadnych taryf ulgowych ani wobec siebie, ani wobec innych. Domagał się – tym, jak żył, pisał i myślał o pisaniu – równie radykalnego podejścia u innych. W twórczości cudzej tropił bowiem takie nateżenia i napięcia, które mogłyby świadczyć o odrębności i odkrywczoci.

Z tomu na tom Jurek uradykalniał swoje tematyczne i estetyczne zakresy, a wszystko to było aktywowane językiem ciągłej eksploracji nieznanego – narowistym, nieoczywistym, paradoksalnym, ekscesywnym i hipnotyzującym-energetycznym. Fascynowała go jedyność – której był bez mała oddany i którą wręcz ostentacyjnie manifestował w swojej twórczości. Ale podejrzewam, że istotą Jurka była niepoprawność – ta wypowiadana, tworzona i umiejscawiana w wierszach, ale i też ta okazywana. Kryła się za nią potrzeba sprzeciwu wobec wszelkich sztanc czy stereotypów – zachłannie anektujących nasze twórcze czy życiowe przygody – będącego dla niego wysoko oktanowym paliwem, umożliwiającym podtrzymywanie swej woli w dość licznych potyczkach ze światem i różnorodną jego naturą: kulturową, społeczną, historyczną czy polityczną. Daleki był od wyrażania zgody na to, co skłamate, udawane, wyniosłe lub pretensjonalne w swej postaci czy formie. Reagował na te przejawy najczęściej wierszem – nasyconym przeurotną ironią lub wiązkami niewygodnych pytań czy też kąśliwych podejrzeń. I temu wszystkiemu pozostał wierny do końca. ●

Ciężar Otoczaka, w tym gatunkowy

Piotr Gajda

Moja znajomość z Jurkiem Suchankiem nie była ani zbyt długa, ani bardzo intensywna, jeśli by przyjąć standardy w rodzaju: „znałem go od zawsze”, „był moim najlepszym przyjacielem”, „zjedliśmy razem beczkę soli”. A jednak nasze wspólne relacje stały się na tyle silne, że przy każdej możliwej okazji witaliśmy się ze sobą z nieskrywaną radością, a nasze nie tak znowu częste spotkania zawsze nabierały zdrowych (lub niezdrowych) rumieńców. Poznaliśmy się w 2011 roku przy okazji wręczenia ustanowionej przez Jurka Nagrody Otoczaka Andrzejowi Niewiadomskiemu na Festiwalu „Puls Literatury” w Łodzi. Statuę Otoczaka (choćby tylko ze względu na swój ciężar, w tym gatunkowy, nie jest to statuetka) Suchanek przywiózł ze sobą w turystycznej torbie, która w bocznej kieszeni pomieściła także pokąsną piersiówkę gatunkowej whisky. W obskurnym korytarzu Domu Literatury po raz pierwszy przypieczętowa-
liśmy naszą późniejszą krótką przyjaźń i odbyliśmy pierwszą z wielu rozmów o literaturze. Jurkowi ów załączony wówczas „tryb konsumpcyjny” zupełnie nie przeszkodził w wygłoszeniu ze sceny kompetentnej i zwaiterowanej laudacji na cześć wierszy Niewiadomskiego.

Jednak nasze więzi zacieśniały się przede wszystkim „na łonie” Instytutu Mikołowskiego w Mikołowie, w którym w styczniu 2012 roku w celach stricte poetyckich (promocja wierszy i kwartalnika „Arterie”) złożyłem dziewiczą wizytę wspólnie z Rafałem Gawinem, Marcinem Jurzystą i Maciejem Robertem. Po zaliczeniu miłej części obowiązkowej, wspólnie z innymi poetami i obsadą dyrektorską Instytutu, udaliśmy się na mikołowski rynek do słynnej i świetnej restauracji „Ratuszowa”. Tam to przeszedłem kompleksową „Suchankową inicjację”. Nie pamiętam, ile kolejek whisky postawił przy barze Rafałowi Gawinowi i mnie (i Bóg wie, komu tam jeszcze?), absolutnie nie zgadzając się, „bo to nie jest w zwy-
czaju”, na reakcję zurotną. W każdym razie ostatnim obrazem, jaki zapamiętałem z tamtej nocy, był widok szklanki do piwa pełnej tego trunku, którą Maciej Melecki zostawił na parapecie restauracyjnego okna. Do dzisiaj nie rozwiązałem też zagadki, skąd pochodził transfer gotówki, którą tak rozrzutnie dysponował Jerzy. Po opuszczeniu „Ratuszowej” poszliśmy jeszcze do „Dziury”, a stamtąd, około drugiej w nocy, pieszo (na zewnątrz panował w ostry mróz) do motelu na przedmieściach Mikołowa, kilka razy błądząc i po drodze ledwo unikając napaści ze strony autochtonów – nie spodobała się „peruwiańska” czapka i turkocząca walizka na kółkach wypełniona egzemplarzami „Arterii”, którą ciągnął za sobą niczym dopust boży umęczony Gawin. O rażnym poranku mnie i Jurzystę powitał w naszym pokoju „pingwin”, ponieważ zapomnieliśmy zamknąć otwartego na oścież okna. Ale był to jedyny chłód, jakiego zaznałem w Mikołowie.

Lecz bliskie spotkania trzeciego stopnia z Jurkiem nie były wyłącznie okazjami, żeby wprowadzać baśniowy element do rzeczywistości. To Jerzy, obok Maćka Meleckiego, był pierwszym czytelnikiem wydruku *Demoludów* oraz pomysłodawcą ich okładki (potem przyłożył jeszcze rękę do składu *Golema*), do której wykorzystał fotomontaż autorstwa syna swojej długoletniej przyjaciółki Magdaleny. To w marcu 2013 podczas promocji wydanych w Instytucie Mikołowskim *Demoludów* wziął mnie na bok i poinformował, że kolejna Nagroda Otoczaka trafi w moje ręce. Utrzymywałem tę informację w tajemnicy praktycznie przez cały następny rok, podobnie jak zachowam kilka innych historii opowiedzianych mi przez Jurka.

Jerzy jak obiecał, tak zrobił. Rok później w asyście wiceprezydent Gorzowa Wielkopolskiego i Maćka Meleckiego (mojego ówczesnego wydawcy) wręczył mi wspomnianego Otoczaka podczas Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego im. Kazimierza Furmana „FurmanKa”. W dniu uroczystości czuł się źle, miał dolegliwości trawienno-sercowe. Bardzo mnie to wtedy zaniepokoiło. Suchanek był przygaszony, od razu dało się zauważyć, że cierpiał. Nie pamiętam, czy brał wtedy jakieś lekarstwa, czy pił te swoje słynne „ziołka”, w każdym razie jako profesjonalista, mimo złego stanu

zdrowia, wygłosił płomienną laudację. Nazajutrz było już lepiej, a całkowita poprawa nastąpiła po południu. Poprosił mnie o znalezienie dyżuru-jącej apteki (była niedziela) i kupienie mu na wszelki wypadek Ibupromu, bo „Ibuprom jest dobry na wszystko”. I znowu czekały na nas całonocne rozmowy, spotkanie autorskie Karola Maliszewskiego i Meleksa, spotkania integracyjne, turniej jednego wiersza, którego jednym z laureatów okazał się „lewitujący” Arek „Kremzol” Kremza, nocne wędrówki po Gorzowie i rzeńskie poranki.

Po Gorzowie Jurek dzwonił do mnie często i opowiadał, że zmienił nieco swoje zwyczaje dietetyczne. Zaczął dbać o siebie, oczywiście po swojemu, zgodnie z zasadą: „doktorze, lecz się sam”. Zaprosił mnie także do współpracy z gazetą „Migotania”, w której za jego rekomendacją przez cztery lata ukazywał się mój felieton i recenzja poetycka. Kiedy rozstał się z „Migotaniami”, lojalnie go zapytałem, czy powinienem tam kontynuować publikowanie swoich tekstów. Odpowiedział, że tak, jak najbardziej. Lecz bez jego pośrednictwa to już nie było to. Zostały jedynie suche, mailowe relacje z redaktorem naczelnym. Wycofałem się.

Jerzy wziął też udział w spotkaniu promującym *Golema*, moją drugą książkę wydaną w Mikołowie w 2014. Z „offu” (kto gościł w Instytucie, ten wie, co to znaczy) praktycznie współprowadził tamto spotkanie autorskie, robił zdjęcia. Zdażyłem jeszcze wystąpić z nim na scenie w ramach Mikołowskiego Maja Poetyckiego w 2016 roku. Chyba z jakichś względów nie był obecny w Instytucie na spotkaniu promującym numer kwartalnika „Afront” w lipcu 2017 roku. A miałem wtedy ze sobą butelkę żurawinowej „księżycówki”, którą tak lubił.

Wieść, że jego stan zdrowia nagle się pogorszył, dotarła do mnie dosłownie zaledwie na kilka dni przed jego niespodziewaną śmiercią. Zadzwoiłem do mnie z tą hiobową wieścią Tomasz Bąk, który też Jurka poznał i cenił sobie tę znajomość. Kiedy w dniu pogrzebu jechaliśmy autem Tomka do Gliwic na Cmentarz Lipowy, chciałem wierzyć, że wieści o śmierci Suchanka są mocno przesadzone. Kiedy jednak ujrzałem w bramie cmentarza Siwego, Meleksa z Agnieszką Czyżewską, Bacza, Wojtka Brzoskę, Bogusia Prejsa i wiele innych ubranych na czarno postaci, wiedziałem, że to prawda i Jurek rzeczywiście umarł... ●

Rafał Gawin

Jurek. Chciałbym, żeby był bardziej mój

Jurek to była postać. I to nie z jakiejś koturnowej, przeszarżowanej literatury romantycznej, raczej z kina niemoralnej pewności, że życie jest jedno i trzeba w nim pisać. Że nie ma półśrodków, są tylko niewykonane i zaprzepaszczone powinności. Że w ostatecznym rozrachunku liczy się miłość i piękno. I ci, co znali Jurka lepiej, głębiej i dosadniej, te jego miłość i piękno rozumieją pełniej w co najmniej kilku wypitych z rzędu kolejkach. Whisky, a nie jakiegos łódzkiego czy śląskiego szczocho.

Jak wtedy przy barze, w jednej ze stricte śląskich restauracji, gdzie Jurek – zagajając po śląsku – zapraszał wszystkich jak leci, choć według poetyckiego klucza, na kolejne porcje Jacka Daniela'sa. To był rytuał – nie mogłeś tak po prostu odmówić, bo Jurek by cię towarzysko przeklął. I tak fundował szklankę za szklanką, kelnerkom od czasu do czasu wkładając – zwykle w dekolt, ewentualnie nieco niżej – dziesięć lub dwadzieścia złotych napiwku. Był w swoim żywiole.

I wszystko byłoby normalne i naturalne – wszak gospodarz o swych gości dba, zwłaszcza na Śląsku. Tyle że – jak się później okazało – Jurek nie stawiał za swoje.

Na Śląsku instytucja Ujka cieszy się olbrzymim, wprost proporcjonalnym do jego hojności, szacunkiem. Nie tak znowu starzy poeci ślascy wspominają sytuację, gdy Ujek, wręczając banknot młodemu poecie, jeszcze nie górnikowi ani więtemu autorowi list dialogowych do komiksów, powiedział z czułością: „Ufundowałem ci stypendium w wysokości pięćdziesięciu złotych

na dzisiejszy wieczór”. Jurek działał analogicznie, tylko że jakby w imię wyższej konieczności. Nie potrzebował do tego pracy rąk własnych, ale robił to z takim gestem, z taką magią i gracją, że nie dało się mieć do niego o to pretensji. W ogóle ciężko było się na niego obrazić.

Jurka poznałem prawdopodobnie na jednym ze Złotych Środków Poezji w Kutnie, w zupełnie innych okolicznościach braku przyrody. Mniej więcej dziesięć lat temu. Popijaliśmy piwo z Przemkiem Owczarkiem i Anią Wieser, a Jurek raczył nas rubasznymi opowieściami. W końcu – prawdopodobnie, by silniej zaakcentować co smakowitsze ich fragmenty – zaczął nas przytulać. I robił to z wielką czułością i wyczuciem, choć w pełni erotycznie. Tylko on to potrafił – i żadne Me Too by go nie dosięgło, nie o to w tym chodziło. To był taniec pełen metafor; nawet Janusz Rudnicki nie dotrzymałby mu w nim kroku.

Nie myślcie sobie, że kpię albo pytam o drogę w tym Jurka oryginalnym i – tak, tak – dotykającym szaleństwa. Chcę zachować tych kilkanaście dłuższych momentów, w których go realnie spotkałem i doświadczyłem. A których było zdecydowanie za mało.

I, przynajmniej, mogło być ich więcej, na odległość lektury, choćby pojedynczego wiersza. Ale nie przeczytałem wszystkich jego książek, gdy przecież nie istniały tutaj żadne bariery, wręcz przeciwnie. Kiedy tylko Jurek coś wydał, dbał o to, by książka dotarła do czytelników bezpośrednio. Dosłownie. Podczas praktycznie każdej mojej wizyty w Mikołowie rozdawał wszystkim gościom swoje nowości. Ba, gdy znajdował – również rzeczy starsze, jeszcze bardziej niedostępne. Po prostu podchodził i zadawał pytanie: „Masz to?”. I, nie czekając na odpowiedź, wypychał kolejne książki. Gdy raz ośmieliłem się rzucić: „Tak, mam”, szybko odparował: „To będziesz miał dwie”.

Innym razem, oczywiście w Mikołowie, podczas finału jednej z edycji konkursu im. Rafała Wojaczka, szliśmy większą grupą – na pewno z Maćkiem Meleckim, Przemkiem Owczarkiem, Piotrkim Gajdą, Marcinem Czerkasowem i moją wtedy jeszcze nie drugą żoną – ulicą Jana Pawła II. Jurek zwrócił uwagę na kartonową lub drewnianą kobietę-zdjęcie naturalnych rozmiarów, reklamującą jakiś rodzaj sukni koktajlowej lub wieczorowej, z dłońmi grzecznie położonymi na udach. „Widzisz tę kobietę?” – zapytał energicznie. „Tak”. „Która jest godzina?”. „19:20”. „O 22:00 robi tak”. – I tu Jurek pokazał, jednym mechanicznym ruchem, jak podnosi rękę do pozycji niemalże gardy.

W Domu Literatury w Łodzi Jurek gościł tylko raz – gdy podczas jednej z edycji Festiwalu Puls Literatury wręczał Nagrodę Otoczaka Andrzejowi Niewiadomskiemu. Z pewnych, wciąż jeszcze powszechnie tajemniczych, powodów jedliśmy razem śniadanie w hotelu Polonia, gdzie – tradycyjnie – podarował mi kolejne egzemplarze swoich książek. Nigdy nie przestawał. Nie mogę sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy; na pewno chwalił najnowsze (wtedy) wiersze Andrzeja, z którym na Andrzej wówczas przeszliśmy. To był synonim prawdziwej pasji. Jurek, nie Andrzej, ale przy Jurku nawet Andrzej jakby (choć może tylko intelektualnie) podrygiwał.

Pamiętam, jak na spotkaniach w Instytucie Mikołowskim, podczas których Jurek niezmiennie palił fajkę, wystając w drzwiach przejściowych do biura dyrektora i wicedyrektora, włączał się do rozmowy nagle i dynamicznie. Nie zwracał uwagi na to, czy komuś przerywa, nie licząc oczywiście sytuacji, gdy autorzy czytali wiersze; te – jeśli już – komentował w przerwach pomiędzy nimi, zresztą te przerwy wydłużając. Jego głos był zawsze donośny i pewny, ustawiony niejako ponad interlokutorem-gościem Instytutu, ale niepozbawiony życzliwości wobec mniej lub bardziej znajomego, pełny ciepła, nawet jeśli chodziło o krytykę negatywną tudzież inne uszczypliwości. Z odpowiednio ekspresywną mimiką i gestykulacją. W punkt, i to również wtedy, gdy czułem, że pod żadnym względem nie mogłem się z nim zgodzić. Nie mogłem się zgodzić, ale musiałem przyjąć do wiadomości. I ta wiadomość mnie ubogacała.

Z Jurkiem spotykałem się też – nie bezpośrednio, choć prawie – na różnych łamach.

A to redagując do „Arterii” recenzję jego wiersza, którą napisała Dorota Bachmann (tak gęsta poetyka spod znaku rozpasanego lingwizmu zasługuje na drobiazgowe omówienia); a to wykonując korekty *Miasta do zjedzenia* Przemka Owczarka i *Golema* Piotrka Gajdy, gdy Jurek odpowiadał za skład, ba, za wprowadzanie do pliku .pdf poprawek; a to dopieszczając każdy felieton wspomnianego Piotrka, jaki – na zaproszenie Jurka właśnie – publikował regularnie w „Migotaniach”. „Dopieszczanie” to w ogóle słowo, które powinno pozostać przy Jurku. Które wyrasta z jego osoby i twórczości. Które jest wręcz w nie wtulone.

Nasz ostatni wspólny raz miał miejsce przy okazji mojego i Maćka Roberta spotkania autorskiego, tradycyjnie w Mikołowie. Rozmowa w knajpie-pijalni naprzeciwko odchodzącej do historii siedziby Instytutu, pełna wycieczek osobistych i plotek, nie tylko środowiskowych, nie zostanie nigdy dokończona. A przecież tyle wątków do tej pory wiśi w gęstym powietrzu śląskiego lokalu, w gęstej mgle z niewypowiedzianych słów i gestów. Zresztą nawet jeśli by padły, pozostałby wielki niedosyt, pulsująca pustka między wierszami.

O poważnych problemach zdrowotnych Jurka dowiedziałem się przy okazji telefonicznej rozmowy z Maćkiem Meleckim, dzień po internetowym linczu na Mariuszu Grzebalskim, nad którym ubolewaliśmy. Nawet nie zdążyłem Jurka pozdrowić i powiedzieć, że myślę o nim czule, tak jak on przytulał mnie za każdym razem, gdy dane nam było się zobaczyć – na dłużej lub choćby w przelocie, przebiegu, przejeździe. Choćby w krótkim mejlu, gdy przysyłał mi materiały do dalszej pracy.

No właśnie, biję się tutaj w pierś, ponieważ obiecałem Jurkowi, że napiszę, właśnie do „Afrontu”, przekrojowy tekst o wszystkich wręczonych przez niego Otoczakach. I prawie wszystkich w ogóle, bo przecież wtedy ostatni laureat, Konrad Wojtyła, jeszcze nie posiadał tej jedynej w swoim rodzaju statuetki z wielkim (do)rzecznym kamieniem.

Nie napisałem (na szczęście w tym numerze wywręcza mnie ktoś inny, za co dziękuję). Tłumaczyłem to sobie, jak zwykle w takich sytuacjach, gdy młodość chmurna i durna nie docenia wartości czasu, który nie wraca, nawet jeśli powtarza i powtarza: Mikołów, Otoczak, bębny, bębny, czyli pierwszy zbiór wierszy Jurka, jaki prawdopodobnie zakupiłem w katowickim Matrasie, gdy jeszcze istniał Matras, gdy jeszcze Jurek był dla mnie postacią z innej, ale od razu bliskiej mi bajki. I to nie dlatego, że jakoś szczególnie ceniłem wiersze, którymi bombardował w ostatnich latach życia z zadziwiającą regularnością. W nich dla mnie urzeczywistniała się idea poezji jako spotkania. Ten poznawczy banał, jaki Jurek zapewne by wyśmiał między roladą a kluskami śląskimi, zakrapianymi suto.

I mam nadzieję, Jurku, że teraz po prostu się śmiejesz. Z siebie i z nas. Z tego pokręconego losu, który sprawia, że zostają po nas tylko teksty, bez naturalnej selekcji.

Do zobaczenia po właściwej stronie! ●

Wspomnienie to praca pamięci. Dlatego pisząc ten tekst, niczego poza nią nie sprawdzałem ani nie dopowiadałem. Jedyнным źródłem był Jurek we mnie, ta ponadczasowa pieszczota poetycka.

O człowieku, który kopał pociągi

Bogdan Prejs

Myślę, że czasem łatwiej wspominać kogoś, kogo się znało powierzchownie i niezbyt długo. Ot, jakieś parę mniej lub bardziej istotnych spotkań, z reguły na tyle rzadkich, że pamięta się każde, aczkolwiek do opowiedzenia nie pozostaje po nich zbyt wiele.

Gdy zna się kogoś 35 lat, niemal całe swe dorosłe życie, wspomnień jest tyle i są tak gęste, że zlewają się w jedno, które można by zamknąć w prostym zdaniu, na przykład: „Był, niemal odkąd pamiętam”.

Kiedy w tle morze wypitej wódki, to który kieliszek był najważniejszy? Kiedy setki omówionych wierszy, to który był najistotniejszy? Kiedy spotkań, imprez, popijaw, dyskusji i pogawędek tyle, że trudno by je zliczyć, które z nich należy wyeksponować – te z paru lat akademika, w których mój pokój gościł Jurka w latach 80. regularnie, czy te z postparty po wieczorach literackich, a może któreś z prywatnych odwiedzin w mieszkaniu już z ostatnich czasów?

Nie zamierzam powtarzać, że był wnikliwym czytelnikiem, bo każdy to powie; oraz że czytelnikiem życzliwym i motywującym. O alkoholu też nie będę, bo nie wiem, czy sam byłbym zadowolony, gdyby ktoś kiedyś przy podobnej okazji wspominał mnie przez jego pryzmat. O kobietach? – zbyt intymne.

No ale coś by wypadło. Takiego, co nie przekroczyłoby cienkiej granicy prywatności, a na wspomnienie czego sam by się uśmiechnął, po czym ucałował mnie w czoło – co zwykł czynić. A jednocześnie, co nie służyłoby podkreśleniu mojej w tym roli, czyli promowaniu siebie samego przez osobę, którą się wspomina.

Kiedyś pojechaliśmy z Jurkiem do Łodzi. Tam – pół biedy. Ale z powrotem...

Pociąg się spóźniał, a z każdą minutą Jerzy był coraz bardziej podminowany, zaś swój stan uzewnętrzniał dosyć kwiecistymi komentarzami, porównaniami i epitetami, wykazując się przy tym – nawet jak na literata – wyjątkową zdolnością słowotwórczą. Kiedy skład w końcu wtoczył się leniwie na peron, mój rozjuszony towarzysz dopadł do niego i wymierzył jednemu z wagonów solidnego kopniaka, następnie poprawił z drugiej nogi. Wagon nie zareagował, co Jurka dodatkowo rozeźliło i w rezultacie powtórzył swój wyczyn jeszcze kilkakrotnie, po czym, nieco już uspokojony, wszedł do przedziału.

Nie mam pojęcia, czy robił to już wcześniej, lecz wiem, że później, w innym towarzystwie, zdarzyło mu się ponownie takie zachowanie względem niesubordinowanego kolejowego taboru.

Mam nadzieję, Jurku, że tam, gdzie teraz jesteś, o ile to „tam” w ogóle istnieje, pociągi jeżdżą zgodnie z rozkładami. ●

Paweł Sarna

Jurka poznałem na konkursie poetyckim w gliwickiej „Perełce”. Był to konkurs jednego wiersza. Też czytałem przed publiką. Nie pamiętam roku, ale jeszcze nie miałem książki, w której wiersz potem się znalazł, więc jakoś przed dwutysięcznym i jakoś na jesień. Jurek był chyba przewodniczącym jury. Tak się złożyło, że dostałem główną nagrodę. Po konkursie była okazja, żeby chwilę porozmawiać. Była też okazja, by postawić jurorowi wódkę. Nie wykorzystałem jej, za to przeszliśmy na „ty”.

Nie przypuszczałem, że staniemy się kolegami i dzięki znajomości wydarzy się sporo dobrych rzeczy w moim życiu. Rozmawialiśmy często w Instytucie Mikołowskim. Jurek był tam kimś więcej niż stałym gościem. Był jednym z dobrych duchów tego miejsca. Kiedyś wspomniałem, że działałem w małym piśmie kulturalnym. Wspomniałem także, że pismo nie płaci honorariów, a mimo to poprosiłem o wiersze. Jurek nie tylko przysyłał wiersze, nie tylko został stałym felietonistą, a jeszcze podsyłał utwory innych autorów. Wszystko, co przychodziło od Niego, było wartościowe. To nie były żadne zapchajdziury. Dużo mam tych przykładów życzliwości i bezinteresowności Jurka. Za dużo, by wymieniać. Dziękuję, Jurku. ●

Krwotok z oka, które widziało nie ma i nie jest

Konrad Wojtyła

Nie ma Suchanka. Zniknął mi nagle; więc noszę się. Zanoszę go do siebie. Wznoszę. Opadam. Zaczynam i kończę. Kończę i piszę na nowo. Pewnie, jeszcze niedawno, nie zdołałbym wznieść się na bezpieczną odległość. Tak, wznieść. Przecież nie podejść; nie pełzać w to Nic, co zmieniło to Coś. Mówić o odejściu jest trudniej niż o (nie) przyjściu. Zjawieniu się, jawieniu; byciu – bywaniu. Pisząc o życiu, nie sposób suponować nie-życia. To łatwe; teoretycznie. Odślaniać Coś, o czym zwykliśmy mówić w formie życzeniowych alegorii, religijnych dogmatów, czy wreszcie pocieszających kalkulacji. Tego, co po; jakieś szczeliny między tu i tam, w kategoriach tego, co już, i tego, co nie już. O, ile – musimy przecież ten wariant uwzględnić – jest Coś. Przestrzeń. Kosmos. Bóg. Ten Bóg, o którym Suchanek pisał nad wyraz dużo; chyba prawie tyle, co o Ojcu i Matce.

Zdominowany przez własne niemożliwości i bojaźliwą indolencję winienem był trwożnie milczeć. Mówić, nie ruszając ustami; pisać bez liter. (O)powiedzieć o tym innym wymiarze może tylko ten, kto przekroczy niewidzialną granicę. Jak (o)pisać ostateczną dylatację w racjonalnie nieracjonalnych porządkach: życia i śmierci, doczesności i wieczności, pustki i pełni, braku i nadmiaru braku? W praktyce można bagatelizować śmierć za życia, nie życiowo zaś bagatelizować śmierć po życiu. Pewne jest, że nie ma już Suchanka. Jeszcze był. Jutro było wczoraj. To nagłe zniknięcie jest absurdałne. Mógł ostrzec. Strzegł się jednak. Janek „Kyks” Skrzek ująłby to prościej, na bluesową nutę: „Nie ma chopa, a wczoraj był z nami/ Co tu dużo godać, taki już los”/ To był chop, to był chop. To był chop jak mało kto”. Gdybym nie gorol, co to nie zna nieba nad Sosnowcem, powiedziałbym tedy: „Żal synka, tela jeszcze móg piyknych konsków wyonaczyć...”.

Suchanek zrobił, ile mógł. Ile zdążył. Nosił się. Nie doniósł. Cesare Pavese, notował w *Rzemiośle życia*: „Każdy ma swego raka, co go toczy, swoje dobowe odchody, zło rozłożone w czasie: swoje niezaspokojenie, punkt zderzenia się istnienia realnego, szkieletowego, z nieskończoną złożonością życia. I każdy, wcześniej czy później, to spostrzega. W wypadku każdego należy więc wysledzić, wyobrazić sobie powolne lub intuicyjne dochodzenie do tego spostrzeżenia. Wszyscy prawie – zdaje się – w dzieciństwie odnajdują związki swoich przerażeń dojrzałych. Trzeba badać tę szkółkę retrospektywnych odkryć, przerażeń, ich zaprawione udręką odpoznanie się w prefigurujących je, a będących nie do naprawienia, gestach i słowach dzieciństwa. Kwiatki Diabła. Wmyślać się bez wytchnienia w tę oto straszność: to, co było – będzie”. Nie znam się na rzemiośle; nie bardzo odnajduję w życiu. Wprawiam się marnie w tropieniu przerażeń. Wprawiam się w zaświat; za margines wiersza – Suchanka.

Jakżeż on uwielbiał Pavese’a. Roztkliwiał się nad każdym akapitem. Kiedy poprosił mnie o tekst do książki redagowanej przez Mariana Kisielea, wróciłem do zapisków bohatera pemonckiej wsi Santo Stefano Belbo. Nie ma przypadków – powiada Leibniz. Są tylko prawa, których nie znamy. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, jaką Suchanek darzy atencją turyńskiego włóczęgę – poetę (bez)kresu. Wydał mi się naocznie istotnym – być może jedynym – punktem odniesienia dla twórczości Suchanka; jawił się jako ważny przyczółek; być może najważniejszy, z którego można w ten wiersz uderzyć. Chciałem, by moje o Suchanku pisanie, było antonimiczną przeciwagą do tytułu debiutanckiej książki Pavese’a. Praca nie męczy. Koincydencja to równie zaskakująca, jak i same konsekwencje wyboru. Ulokowałem Pavese’a w tej poezji intuicyjnie. Odpaliłem lont. Tlił się w każdym zdaniu, eksplodując ogniem nowych sensów i znaczeń. Pamiętam krzepniejący blask i wymuszony szelmowski uśmieszek, że udało mi się Suchanka zdemaskować. Zszedł dzielnie do swojego narożnika. *Zręcznik* nie polecał na ring.

Nim doszło do napisania tekstu do książki *Dlaczego Suchanek. Spojrzenia i interpretacje* (2011), pewnie byliśmy już po kilku rozmowach i po kilku głębszych. Nie wiem. Trudno to dziś zrekonstruować. Wszystko rozwiewa się jak dym z fajki, którą Jurek rytualnie nabijał i czyścił. Tytuł zostawał mu na palcach. Daktyloskopia nie miałaby z tym najmniejszych problemów. Zostawiał ślady. Zdziwił się, że przyjąłem od razu zaproszenie, by napisać szkic o jego wierszu; jeszcze bardziej chyba, że tekst był dość entuzjastyczny. Wybrałem *Dęba*, i takimż pozostałem. To był i jest – jak sądzę – jeden z najlepszych tekstów Suchanka.

Poznać musieliśmy się pod koniec 2009 roku, kiedy Jurek składał moje *może boże*. Tom miał premierę 9 kwietnia 2010 roku (pamiętam to doskonale, bo następnego dnia – jeszcze w Mikołowie – rozpętało się piekło smoleńskie, a do pierwszego kręgu schodziłem razem z konduktorem i całą masą zdumionych owym faktem pasażerów na trasie Katowice – Szczecin). Było z tym trochę zachodu (choć rzecz wyszła na południu), bo do książki weszło sporo zdjęć maszkaronów, które trzeba było należycie umieścić tak, by łyptały złowieszczo. Diabły diabelsko pasowały mi do treści i diabelsko komplikowały rozkład całości. Jurek zrobił, co trzeba; może więcej nawet. Edytorsko i formalnie wyszło bosko. Potem zrobiliśmy razem dość obszerne *Rewersy. Rozmowy literackie*, w których roilo się od zdjęć, a potem jeszcze *Nie te czasy* Wojaczka. To była gehenna, bo poprawek było miliard, a może sto miliardów. Codziennie trzeba było nanosić kolejne. Jurek znosił to wszystko z godnością. Nanosił. Rozumiał, że pracujemy nad rzeczą niezwykłą.

Po latach mi powie: „Wciąż wyzywają mnie od składacza, a jestem poetą. Nikt o tym już nie pamięta”. By ratować sytuację rzucę: „Zrobiłeś edytorsko wiele znakomitych książek; poetycko nie musisz nikomu nic udowadniać”. Upierał się jednak przy autodefinicji. Chciał, by jego kolejny tom ukazał się w Instytucie Mikołowskim. Zależało mu. Obmyślał go; obchodził. Bardzo. Przekonywałem, że podług mojej najlepszej wiedzy, rzecz ukaże się niebawem. „Jeszcze na pewno musimy wydać Suchanka w tym roku” – zapewniał mnie Maciej Melecki, kiedy schodziło na instytutowe plany wydawnicze. „Jesteś kolejną osobą, która mnie o tym zapewnia; to może rzeczywiście tak się stanie” – ironizował Jurek. „Komu, jak komu – mówiłem śmiertelnie poważnie – ale Tobie ta książka się należy! Sam ją sobie pięknie złożysz. Reszta to formalność”. Potem gadaliśmy – jak nigdy jeszcze – jakieś pół godziny o wszystkim i o niczym. iPhone zdążył odcisnąć się dość wyraźnie w czerwonej małżowinie; gdyby nie cyfrowy wyświetlacz, zostawiłby zygzaki cyferek. Odstawił numer: kilka zdań zostało w uchu do końca. Młoteczek uderza dziś dotkliwie w metafizyczne tony.

Dopinaliśmy formalności związane z wręczeniem mi Otoczaka. Opowiadałem trochę o kolekcji pamiątek po Wojaczku, którą od Dobromira Kozucha kupił Instytut Mikołowski... Jurek tymczasem wyławiał z Soły kolejny kamień, znów wracał pamięcią do czasów dzieciństwa. Do Ojca i Matki, o których pisał dużo i często. Otaczał Otoczaka w formę i treść. Mówił, że już jest wszystko gotowe; że robi notatki do laudacji. Jest gotowy...

SMS z informacją o udarze i innych paskudnych ustaleniach lekarzy dostałem od Meleckiego, którego ta wiadomość dopadła w Rumunii. Odpowiedziałem natychmiast, dopytując, o którego Jurka chodzi. Suchanek był ostatnim z Jurków, którego znam, i który przychodził mi wtedy do głowy. Potem szybkie łączenie z Suczawą. Rozmowa przecinana suchym „ja pierdołę”, czy „kompletny szok” ubijała w fotel. Myślałem, że w tej sytuacji trzeba odłożyć wręczenie Otoczaka. Może odwołać wszystko. Dwa dni później zadzwoniła Mira, że trzeba odebrać statuetkę, że Jurek dochodzi do siebie i chce, by wszystko odbyło się zgodnie z planem; czyli już bez niego...Udawaliśmy, że jest wszystko dobrze, że jakoś się pozbiera i jakoś to będzie. Kolejna diagnoza nie pozostawiała złudzeń. W Szczecinie, odbierając nagrodę, robiłem dobrą minę do złej gry. Satysfakcję i radość podgryzała czyhająca śmierć. Wiedzieliśmy, że jest za drzwiami; łąsi się. Podchodzi na wyciągnięcie ręki.

Potem już tylko rekonstruuje kilka nieistotnych szczegółów; kilka z naszych spotkań. Usiłuję znów sobie przypomnieć, że nie ma Suchanka. Widzę, jak płacze, czytając własne wiersze na gorzowskiej Furmance w duecie z Wojciechem Kassem (to chyba jedyny taki przypadek, no ale byli po wódce); jak prosi mnie, by podpisać się na ścianie kominkowej obok Krzysztofa Karaska i kilku wybitnych autorów; jak – po kilku nieudanych próbach – udało mi się wreszcie dotrzeć na prośzone śniadanie. Niedawno w Tychach rozmawialiśmy z Wojtkiem Brzorską. „Patrz. Pierwszy i ostatni Otoczak” – mówił. Popatrzyliśmy na siebie bez słowa. To były takie dary; Suchankowe. Trochę jak z wiersza, który profetycznie ogłaszał to zajście:

*Nie ma. Jest jest i jest nie ma. Jest bez, ma. Bo
Jest jest poza jest i poza słowem jest. Jest jest,
ale jest nie ma jest w jest. Jest wysunęło się
z jest. Jest jest bez jest. I nie ma. To jest tego
nie ma. To bełkot. Bełkot wychodzi, ale kot
nie wchodzi. Tłok słów, obłok snów, krwotok
z oka, które widziało nie ma i nie jest*

Suchanek rozmywa się w chmurze. Pamięć krystalizuje się w rtęci. ●



Fot. Przemysław Czaja - Tajemnica życia i śmierci

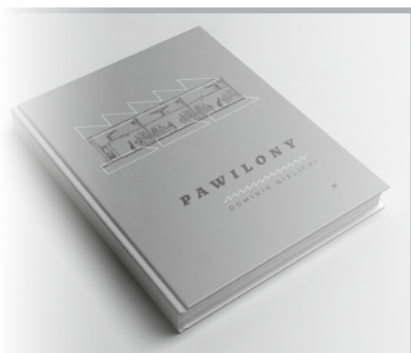
Rafał Gawin › Recenzje poetyckie

Recenzje uzupełniające

M

am spore zaległości. I choćbym się dwoił i troił, będą się mnożyć. W tym kraju wychodzi za dużo książek poetyckich, a nawet więcej: za dużo książek, o których warto coś napisać, choćby niepochlebnego. Tak też funkcjonuje ta luźna rubryka. Pomińcie niech wiedzą, że coś się dzieje w Państwie Dulskim. Choć nie wszyscy: nadrabiam niesłusznie pominięte *Pawilony* Dominika Bielickiego, czym nieco wytracam impet wejścia w nowy recenzencki rok tomem *Zaczyna się* Leszka Szarugi, datowanym sprytnie, choć na pohybel kapitułom wszelakich nagród: 2017/2018. Ale dość już smęcenia – czytajcie, a może również pięknie się zgubicie gdzieś pomiędzy.

- **Dominik Bielicki,**
Pawilony (Fundacja im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław)



Pawilony, pawilony, przeszklone stoiska, punkty obsługi klienta, biura rzeczy znalezionych i wyrwanych z kontekstu. Pełny asortyment, zmienny w czasie i przestrzeni, tej

progresji i rewolucji gatunków przeznaczonych do konsumpcji. Nadmiar goni nadmiar w tych przyciętych na niedomiar wierszach, w tych fragmentach, urwkach i ułamkach, tych napisach na koszulkach i wygaszaczach ekranu. Taka historia braku konsumpcji niepospolitego gadżeciarza, który znalazł receptę na długowieczność ulotności; który zderzył się ze straganem z jabłkami, by w jego miejscu wyrósł sad, by wydrążył go kolejny robak dobrej roboty, melancholii. Bredzę? Dzielę się chlebem, jaki w tych wierszach jest redukowany do proszku. Proszku, od którego bardzo łatwo się uzależnić: wystarczy wciągać i mówić o tym wprost. Zaciągnąć się i pięknie żałować.

To nawet nie dekonstrukcja, to swoista kompresja i dekompresja sensów. Puls, zryw i zew, jakby napisał wielbiciel brzmień, których przecież tutaj nie ma, ale czytając tak skonstruowane afirmatywne księgi skarg i zażaleń, zgadzamy się na szerzej zakrojoną i wyżyłską umowność. I teraz chętnie napisałbym coś konkretnego, ale przecież nie o to chodzi, gdy się biega albo leży i tyle znaczeń się należy.

- **Leszek Szaruga,**
Zaczyna się (Convivo, Warszawa)



Książka ukazała się z okazji pięćdziesięciolecia debiutu prasowego autora. A w samej poetyce jakby nic się nie zmieniło. I autor uważa inaczej. Co mu będzie jakiś go-

łodupiec szukał wspólnych mianowników w obliczu półwiecza stawiania na wiersze, gdy to jest stawka większa niż życie, choć krótsza? No właśnie, czy bezwzględne różnice tudzież ewolucja w poetyce Szarugi nie wynika po prostu z odmiennych pomysłów na tematyzowanie utworów? Czy nie obracamy się w kółko, by wciąż i wciąż, jako kochanek, władca świata, akademik, polemista i mąż docierać do tego samego sedna? A może sedno w ogóle jest jedno i to samo? Nie da się tam dotrzeć na jednej kobiecie, ale w jednym module wiersza, mikrokosmosie, wyciętym z prywatnej przestrzeni? Podczas obsesyjnie powracającego przypływu, na wciąż nowej fali, ale z już nowszymi kolegami na pokładzie? Niezależnie od frekwencji słów i metafor – robić swoje i w swoim pokładać brak nadziei. Wygrać wybory na bezradnego. Przegrać słowa w grach i kończyć, kończyć krótko i nieszczyśliwie. Innego końca półswiatka poetyckiego nie będzie. I tam nam dopomóż, podmiocie.

- **Joanna Roszak,**
Przyszli niedokonani (Biuro Literackie, Stronie Śląskie)



Książka, jak rzadko, sprofilowana tematycznie (problemy uchodźców), ba, zbudowana wokół jednego motywu do tego stopnia, że w jego służbie i na jego potrzeby autorka w dużym

stopniu zrezygnowała z charakterystycznych dla niej pogrywań lingwistycznych (widocznych we wszystkich poprzednich książkach, często już na poziomie tytułów). Uprościła też formę, nadała rangę doniosłości treści – i niemalże skrzyżowała wiersz różewiczowski z herbertowską powagą. Co z tego zostaje na brzegu? Czy te wiersze mogą być bezpieczną przystanią, humanitarnie prowadzonym obozem? Na tak postawione pytania odpowiedzi weryfikuje kategoria nudy. Nawet warsztat budujący, choćby i najmisterniej, produkty pierwszej

potrzeby przestaje spełniać swoje zadanie, gdy zaczyna zbyt dokładnie i dosłownie się powtarzać. I tutaj mamy ten problem – problem braku bogactwa, bez przenośni. A i na warsztat można ponarzekać, mimo że autorka tnie, aż miło. Nie wszędzie jednak, gdy ulega istotności tematu, to jakby pada pod jego ciężarem.

Niemniej najlepszy w tym projekcie społecznym jest tytuł. Czy można trafniej wyrazić strach i tęsknotę, nadzieję i brak złudzeń w jednym, doprecyzowanym, aczkolwiek niemożliwym dochodzeniu?

• **Aldona Kopkiewicz,**
Szczodra (WBPICAK, Poznań)



Miałość tej propozycji jest wręcz porażająca. Ale, ale, wróć, wróć, co tutaj tak się łąsi śpiewem, kto dyktuje łamany rytm i czy aby za nim nie stoi jakiś poetycki cwaniak (tak, płeć tu traci

istotność)? Mam wątpliwości, krączę wokół, jadę po czarnych – jak by powiedział znajomy klawiszowiec. Nie trafiam w refreny, ale pozwoli dociera do mnie zamysł. Muzyczność, rytmiczność, a może nawet i piosenkowość stają się awangardą nowej poezji zaangażowanej, przecież to proste! I ta iluminacja trwa krótko, ale już nie da się o niej zapomnieć. Takie światło, które nosisz w sobie, gdy upraszczasz cienie, jakie ma rzucać, jakie gwarantują jego istnienie. Tyle w tych niepozornych wersach przebojów niedoszłego lata. Ból, cierpienie, chichot losu i post-karnawał, nawet jeśli ktoś robi mnie w wała, bo tak naprawdę nie skończył się sierpień, a ja nie zdążyłem powstać. Taki hermetyzm, zamknięcie nie do sforsowania. I kolejne impresje spełzające na niczym. Pełzający marksizm? Raczej niegroźna mutacja kategorii polityczności w jej związkowym apogeum.

• **Marzanna Bogumiła Kielar,**
Nawigacje (Znak, Kraków)

Jedna z najbardziej oczekiwanych książek poetyckich ostatnich lat. I, mogę powiedzieć uprost, niesłusznie. Kunszt i warsztat jeszcze się ostają; tego się nie zapomina. Ale to rusztowanie, do którego przyklejają się ciężkie rekwizyty, zwłaszcza pogodowe. Ale ten maszyw górski, na którym wiszą dekoracje, gdy ich sztuczności nie musi podważać nawet zmienna i kapryśna pogoda w tych wierszach. Ona po prostu jest. Ani się nie łąsi, ani nie odpycha. Co najwyżej próbuje straszyć na wysokich obcasach. I żeby chociaż pozwoliła się interpretacyjnie przewrócić. Ale nie. Brodzi w takich interpretacyjnych płycznach, tak bezpiecz-



nie się zanurza, że aż nie moczy. To jest jak lizanie lizaka przez szybę, a raczej smakowanie królewskiego słodycza przez taflę magicznego, ale dawno zakurzonego i niedziałającego

z zwierciadła. Ciężko mi się nabrać na te pamiętniki zimnej podmiotki, księżniczki z krainy bezgłośnie ryczących koturnów. Jakby po wieku XX nastąpił znowu wiek XIX, zachowując jedynie zdobyczne reform gramatyki, ortografii i interpunkcji swojego następcy.

A może to po prostu kwestia czytelniczego doświadczenia, dojrzewania w procesie brutalnym dla podobnych poetyk-pogodynek, poetyk-bibelotów czy poetyk-rametek? Może to tych dziesięć lat lektur z mniejszym i większym niezrozumieniem, sprawiających, że pewna klarowność, jasność i przejrzystość mijają się z prawdą wiersza, która może jedynie istnieć w jakiejś bardziej piętrowej lub choćby skuteczniej niewypowiedzianej formie. O treści nie wspominając: jest, a jakby jej nie było, więc tym bardziej trudno znaleźć uzasadnienie dla tej daremności.

PS: Na uwagę zasługuje jeszcze posłowie Andrzeja Stasiuka. Nie na temat (ponieważ jego autor, tradycyjnie, po prostu pisze o sobie), ale na pewno kogoś przyciągnie, zwłaszcza że został z niego wykrojony blurb na czwartą stronę okładki. Tyle z mainstreamu.

• **Sławomir Kuźnicki,**
Kontury (Forma, Szczecin)



Drobiazgi, drobiazgi. I już nic z tego nie pamiętam, choć bardzo chciałem życzliwie odnieść się i do drobnych potknięć tego materiału. Nie zrobię tego. Jeżeli po miesiącu od

lektury w odbiorcy nie zostaje praktycznie nic, a nawet tytuł musi sprawdzać w sieci, to książka sama sobie wystawia ocenę. Niestety, w ujemnej skali. No, OK, jakby przez mgłę pamiętam bardzo nieznaczące, ale bardzo osobne przyjemności, jakie – na kanwie ulotności – zapewniały mi te fragmenty myśli. Tyle mogę uczciwie i grzecznie. Aż chciałoby się słośliwie, że konturom potrzebna jest albo grubsza, wyrazistsza kreska, albo jakieś kolory, choćby więcej odcieni szarości.

- **Karol Samsel,**
Autodafe (Forma, Szczecin)



Całkiem sprawny i porządnie wyartykułowany poemat o masturbacji. A co sobie myśleliście, że tu chodzi o intertekstualność, zjawiskowość tych wszystkich odłamków,

wbijanych w przypadkowe, choć konsekwentnie nazywane i definiowane ciała? Że ktoś tu mówi językami podniosłych ludzi i upadłych aniołów, by zachować nierząd dusz? Lustro, podajcie lustro, tylko w nim potrafi przejrzeć się podmiot, wielbiciel męskiego rytmu i rytmu. Tylko ono stanowi szkiełko i oko, narzędzie niezbędne do rozparcelowania istot i rzeczy tych konsekwentnie numerowanych i niekonsekwentnie wersyfikowanych strof. A że coś sobie wydłubiemy i skroimy niejako przy okazji, mimochodem, chyłkiem czy innym bezwstydnym susem? Przy analogicznej strategii pisarskiej to naturalna konsekwencja lektury: wszystkożerny tekst prowokuje wszystkożerne interpretacje. Ponieważ na dłuższą metę (a przecież krótszych nie stwierdzono) to takie podtrzymywanie ognia, by się choćby tlił, poprzez wrzucanie węgla wszystkiego, co w jakimś stopniu może być palne: od własnej garderoby, poprzez dowolne książki z półki nad – nomen omen – kominkiem, po koleżanki i kolegów po kałamarzu. Co nie zmienia faktu, że widać w tym szaleństwie metodę, również na poetycki głód.

I jeszcze niewinna dygresja. Jeżeli Samsel próbuje w jakiś sposób rywalizować poetycko z Jackiem Dehnelem, to starcie wygrał na czułe punkty. Choć obaj pozostają niejako w parterze. Tuż nad piwnicą. Innych pięter nie ma. O czym więcej niżej.

- **Małgorzata Lebda,**
Sny uckermärkerów (WBPICAK, Poznań)



Inna forma, inna perspektywa, inicjalność w nowym rozdaniu, nowej odsłonie. Zasłonie? W dwóch poprzednich książkach autorka osiągnęła apogeu skupienia:

skrót był akuratywny, długa fraza dotkliwa, napęd emocjonalny

i intelektualny zarazem pozwalał na niedosyć dotrzeć do ostatniej puenty, zrobić z nią piruet i wrócić do lektury od nowa. Odnowa biologiczna, dosłownie i w pełni eko. Tymczasem w tym tomie, przecież jeszcze bardziej ascetycznym, jeszcze dobitniej odartym z nadziei i pokazującym daremność inicjacji jako aktów nieuchronnych, autorka jakby ogranicza perspektywę. Kosmos kurczy się na wielu zaginanych przez te wersy przestrzeniach, jakby chciał się zwinąć, zanim będzie za późno nawet na gwałtowne ruchy. Zdaje sobie sprawę, że to świadoma strategia zawężania pola braku walki, gdy poddało się kolejny temat psychoanalitycznej dekonstrukcji. Gdy nie ma już miejsca na łagodność lub obojętność, choćby po dokonanych okrucieństwach. Gdy symbolicznie krzycząca cienka czerwona linia to ostatnia granica, na której przekroczenie nie starczyło sił. Ponieważ poezja to sztuka przegrywania. Zwłaszcza jeśli godnych przeciwników jest co najwyżej kilku, podczas gdy całe armie dosiadają koni na biegunach. I zamarzają na śmierć, nie docierając choćby na szczyt interpretacyjnej bezradności. A wystarczy się do niej po prostu przyznać. I pisać dalej.

- **Anna Fiałkowska,**
lalka bellmera (WBPICAK, Poznań)



Ile razy można zmieniać w wierszu podpaszkę? Pewnie i tyle, ile razy Jerzy Jarniewicz zmienia zdanie, również podczas głośnej lektury najnowszych wierszy. Tylko kto wtedy

krwawi bardziej? (Proszę nie mieszać w to Jarniewicza). To oczywiście tylko przykład na ogrywanie się (zasłanianie?) zgranymi motywami. Krew mnie jednak zalewa, gdy widzę, jak te wiersze potraktował redaktor, pozwalając im się przegadywać czasami nawet kilkukrotnie, zapętlając w banalne supły, którym nawet śmiały i radykalnie bezpośredni język nie funduje satysfakcjonującego dla odbiorcy rozwiązania. Szkoda potencjału, energii, która niewątpliwie w tych wierszach tkwi, a która cierpi na serijnie przedwcześnie zapłonach: te wiersze krzyczą, zanim powiedzą coś ważnego; ba – zanim w ogóle coś spróbują powiedzieć. A, teoretycznie, mają do powiedzenia bardzo wiele, niezależnie od poziomu banalności (nie mylić z banalizmem), niezależnie od deklaratywności, która nawet w sążnistych manifestach do ludu pracującego i przelewającego krew za jakąś wymagowaną sprawiedliwość (niestety, ta nie jest tu metaforą) nie osiąga tak zatrważająco dosłownego poziomu.

- **Tomasz Bąk,**
Utylizacja. Pęta miast (WBPiCAK, Poznań)



Bąk wreszcie osiągnął jakieś optimum. Choć do rozpędzenia się potrzebował jeszcze kilku chłopięcych erotyków na początku książki. Choć żaden z krytyków, z którymi się liczy, mu tego

nawet nie powie, gdyż jego kultowość przesłania im nawet ultrapolityczne widzenie świata. I z jednej strony to budujące, że tak młody autor, na etapie trzeciej książki, zdobył i wciąż zdobywa takie uznanie. Ale z drugiej jednak szkoda, bo w świetle obecnych w najnowszym tomie okołolódzkiego poety wierszy, a zwłaszcza poematów – czy to wyjętych żywcem z organizmów Tomaszowa Mazowieckiego i Łodzi, czy z nieprzekładanej dotychczas twórczości Ginsberga, czy wreszcie nowej i nośnej, choć postmarksistowskiej, wersji *Pieśni nad pieśniami* – odwieczna walka o przywrócenie nigdy nieosiągniętej świetności erotykowi polskiemu jak zwykle traci sens, rezon i fason. Z poetów zaangażowanych chyba tylko Szczepan Kopyt umie kochać, gdy w grę nie wchodzi idea i walka o ich szerzenie; ma to poetyckie mięso (i wspominam tu nie bez podtekstów lirycznego ojca autora *Kanady*). U Bąka zdecydowanie lepiej, skuteczniej, dynamiczniej i istotniej wypadają przygody z ryczącym kapitalizmem, w obliczu nominalnej hossy i realnej biedy, zwłaszcza intelektualnej. Nostalgiczne wędrówki po małych miasteczkach już wspominałem – aż się chce mieć je w dupie.

- **Jacek Dehnel,**
Serce Chopina (Biuro Literackie, Stronie Śląskie)



Poemat o sercu. Czy można chcieć więcej? Ja zdecydowanie wolę mniej.

Czy w poezji konsekwencja jest interesująca? Jak najbardziej, ale autorowi wystarczyło

jej z nawiązką w wierszu „Szczęście”, bez nadmiernych inklinacji muzycznych i – tak, tak – politycznych. W dobrym warsztacie można naprawić wszystko – tylko po co wszystko ma działać, gdy jeździ tak wolno i monotonna na wakacje do poetyckiego Zgierza? Kultura wyższa owszem, ale to znowu powiększony zestaw bibelotów – bardziej

zalega, niż można z niego zrobić interpretacyjny użytek. Chociaż gdybyśmy się uparli... Tylko po co tępić sobie narzędzia, wystarczająco nadwężone przez zbyt liczne okołopoetyckie nadprodukcje.

Do tej pory najsłabszą książką poetycką Dehnela był *Ekran kontrolny*, w którym autor próbował odejść od tłamszącego go (neo)klasycyzmu. W przypadku serca, paradoksalnie, przesadził w drugą stronę. I serce bije, i nie zostawia śladów. Jaka to melodia? Niby ten sam prowadzący, a poziom jakby z nowej telewizji publicznej. Za przeproszeniem.

- **Bohdan Zadura,**
Po szkodzie (Biuro Literackie, Stronie Śląskie)



Czy to jest jakaś kara dla uznanych autorów – wydawać książki regularnie, na przykład co dwa lata? Tym razem jednak sytuacja wydaje się najpoważniejsza: oto najciekawszym

utworem całości, złożonej z notatek i odrzutów serwetkowych jest poemat ready-made, czyli fragment strony www Mennicy Polskiej. Mimo długości i ograniczeń formy (autor w końcu nie mógł wprowadzić żadnej poprawki, a czy rzeczywiście tak było – teraz i tak już tego nie sprawdzimy) powiedział coś nowego o Polsce, pieniądzu, transakcjach, budowaniu wartości i innych narodowych kompleksach. A Zadura jako komentator sprawdzał się zwykle najskuteczniej, niezależnie od tego, czyich słów używał; to jego znak firmowy od bez mała wieku obecności na polskich scenach literackich. Aż szkoda, że nie zdecydował się ograniczyć nowej książki do wyłącznie tego utworu-cytatu – wtedy mógłby jeszcze zagrać konceptualnie i konkretnie ilością treści na poszczególnych stronach. To byłaby najświeższa i najradkalniejsza pozycja klasyka, który jakiś czas temu utracił luz i którego imperatyw pisanie / imperatyw wydawcy (potrzebne skreślić) prowadzi od kilku książek na pozapoetyckie manowce. Niemądry Polak, zwłaszcza po szkodzie, bo próbuje się odbić i od razu jednocześnie wybić, potknięcie traktując jako skok. Czego państwu, podczas lektury i pisanie, stanowczo nie życzę. Lepiej uczciwie się przewrócić i leżeć, gdy przecież jest z czego zbierać i wybierać.

- **Krzysztof Kuczkowski,**
Sonny Liston nie znał liter (Biblioteka „Toposu”, Sopot)

Kolos na glinianych nogach, ułański koń, bez fantazji, na glinianych biegunach – chciałoby się napisać, tylko to i tak będzie bezskuteczne. Kuczkowski nie od dziś wie, w jakich środowiskach się



obracać i jakim czytelnikom wychodzić naprzeciw (lub wchodzić, jeśli nie rezygnujemy z drobnych uszczypliwości). Ma swoje posmołeńskie światy i swoje zabawki

i między nimi lawiruje, zabiegając o względy niczym w lustrze Topoi, które jeszcze go powiększa. Mimo że przecież chodzi o zestaw miniatur, z każdym słowem mniej istotnych rozbłysków-niewypałów. Mimo że ich niepozorność aż bije po oczach na najbardziej podstawowym poziomie odbioru, który nijak nie chce się pogłębić w tropienie odbłysków i odprysków z mądrościowych pieśni o doświadczeniu.

I to jest chyba największy kłopot tak wyłożonej i położonej poezji: te teksty nie są samograjami. Autor, jak podczas licznych spotkań autorskich w swoich wazeliniańsko-środowiskowych stronach, nie będzie siedział i słuchał, jak aktorzy interpretują, a muzycy przygrywają, gdy publiczność łąsi się, mlaszcze i klaszcze, ponieważ dostojny twórca, za skromne, czterocyfrowe honorarium, zgodził się znacząco pomilczeć i odpowiedzieć na kilka niewinnych, fanowskich pytań. Grafomanię trzeba nazywać po imieniu i niech to słowo padnie tutaj raz. Padnie i będzie się rozkładać razem z tą niepotrzebną książką.

- **Adrian Sinkowski,**
Atropina (Biblioteka „Toposu”, Sopot)



W przypadku debiutu tego poety byłem niejako spokojny o jego przyszłość. Nie wiedziałem, że przynależność, mniej lub bardziej świadoma, do pewnego

kręgu literackiego czyni braki cudów. Po obiecującym i żywym otwarciu otrzymujemy martwą i po śmierci jeszcze męczoną kontynuację. Taka rodzina na swoim w bardzo długim, sumując poszczególne teksty, bloku. Szarość widzę, szarość, którą tylko od czasu do czasu rozświetli tradycyjna żarówka. Tylko nic z tego nie wynika – zużytej energii przy czytaniu nie zwróci nawet najbardziej wyrozumiały bóg, ponieważ sam w tych, niewątpliwie co do zasady stojących po stronie światła, wierszach funkcjonuje głównie jako zakurzony eksponat podzielony na

równe wersy. Nie, dziękuję, seria „Biblioteka Toposu” to jednak piętno, wypalone w podejrzaną iluminację, nawet jeśli gdzieś niedługo jeszcze prześwituje względnie sprawny warsztat, jakaś myśl, wyrrywająca się z okowów słusznych światopoglądów. I nawet jeśli tendencyjnie zaperzam się i zaprzeczam, to autor, dość silnie żyty i zgrany z podmiotem lirycznym tych wierszy, nie daje mi pola manewru, bym działał szerzej i wypaczał głębiej. Niesprawiedliwość jest wpisana w lekturę i jeszcze długo może odbijać się echem czkawki.

- **Szymon Babuchowski,**
Jak daleko (Arcana, Warszawa)

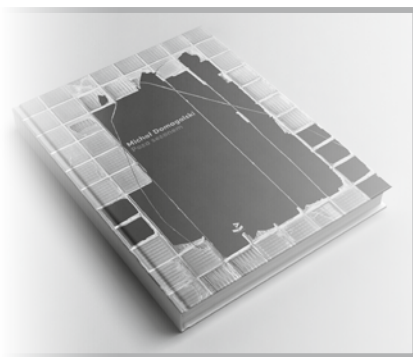


A tu takie zdziwienie. Taki gość niedzielny, nie-handlujący z nikim. Całkiem to zgrabna poezja religijno-afirmacyjna, choć niepozabawiona ograniczeń, jakie

niesie ze sobą ultraklasyczna forma i konserwatywna treść, od czasu do czasu wsparte różewiczowskim minimalizmem. Chciałbym ci powiedzieć, jak bardzo cię cenię. Chciałbym ci powiedzieć, jak bardzo cię podziwiam. Ale nie do końca potrafię, bo jestem świadomy swojej małości. Na przestrzeni tych dwudziestu kilku utworów autor całkiem sporo wygrywa skromnością podmiotu. Nie udaje, że doznaje nawiedzeń i iluminacji, tylko dlatego, że wierzy w lepsze i przytulniejsze światy alternatywne. I też z nikim się nie układa – godzi się na swoją rolę i próbuje ją grać. A nawet czasem z nią pogrywać, co nie jest takie oczywiste w świetle dotychczasowych dokonań polskiej poezji religijnej. Te wiersze dzieją się właśnie na tych stykach, niedograniach, braku odpowiedniej miary i wagi, mimo szacunku dla absolutu, który nie jest tutaj pustym pojęciem oświeconym. Taka konstrukcja daje nadzieję, a jednocześnie udowadnia pewną smutną oczywistość: Bóg, jakkolwiek go nie nazwiemy i nie zdefiniujemy, w wierszu nigdy nie będzie nieskończony.

- **Michał Domagański,**
Poza sezonem (Biuro Literackie, Stronie Śląskie)

Spodziewałem się konceptu, jakichś montażów na kontrolowanych wysokościach, tradycji zanurzonej w awangardzie i awangardy wynikającej z pracy z językiem. Może za mało sobie obiecywałem, może zbyt biernie podszedłem do tego potencjalnie dojrzalego debiutu. W każdym razie mnie zaskoczył. Pozytywnie. Po pierwsze zróżnicowaniem formalnym. Po drugie takowym



również językowym, choć bez wychylania się w stronę niespójności projektu. Bo przecież w Biurze Literackim ukazują się jedynie skończone projekty o nieskończonej sumie interpretacji. Koniec przytyku. Nie warto się rozdrabniać. Chociaż akurat autor to robi, umieszczając w zgranej tkance tomu wiersze krótsze, jakby przerywniki, niejako dające rozpęd wierszom właściwym. I same w sobie niemające większych szans z wytrawnym czytelnikiem poza tak zwartą całością. I słusznie. To świadomie wysyłane sygnały: teraz robię sobie przerwę, a ty, czytelniku, bądź czujny, ponieważ złodzieje kieszonkowych lusterek z moich wierszy nie śpią. I możesz być następny, jeśli potrafisz. Tak jak Biuro Literackie potrafi łowić, niekoniecznie grube ryby, gdy pozorne płotki gwarantują wysokie skoki. Oddając autorowi, co autorskie, a prezesowi, co chwytlive i nośne.

- **Aneta Kamińska,**
Więzy krwi (SDK, Warszawa)



Gdy w jednym tomie spotykają się wiersz w kształcie penisa i wiersz w kształcie waginy, to wiesz, że coś się dzieje. Nie tylko w języku. Kamińska proponuje, wydawałoby

się, proste rozwiązania formalne. Od lat. Gra złotym środkiem wersu i powtórzeniem-przetworzeniem, które wyprowadza pole poezji w pole zaangażowania. W kobiecość, w płęć, w wykluczenie. Ta książka jest esencją, wisienką na torcie i jądrem ciemności problemu. I niby nowych czarów tu nie znajdziemy, podmiotka-szeptucha raczej trzyma się sprawdzonych receptur na zaklęcia przeciwko tendencyjnemu trzymaniu miotyły. Ale wciąż działa, zaklina rzeczywistość i odczarowuje jej braki, nazywając je wprost, zapośredniczając w zabawach i szaradach językowych – gorzkich, bo śmiertelnie prawdziwych, ale pozwalających jednocześnie spojrzeć z dystansu formy na bolesną treść, na mniej lub bardziej mimowolne manifesty, jakie z niej wynikają i wnikają w niezdrową tkankę potencjalnie uprzedzonego odbioru. Warto ją leczyć, warto śnić o białej magii, która jest w stanie i na chodzie, by coś naprawiać. I nie ma w tym li tylko naiwnego wołania na puszczy,

gęby zamieniającej się w paszczę patriarchalnego potwora.

Chwała serii „Wspólny pokój”, w której grafik SDK-u niczego nie zamazuje ani nie rozmazuje, odwracając uwagę od przecież często dobrych, ba, silnych wierszy, jakie pojawiają się w tej oficynie.

- **Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki,**
My się chyba znamy, 111 wierszy (Convivo, Warszawa)



Taki wybór, to ja rozumiem. Grzegorz Tomicki zadziałał jak należy; udało się, jak się patrzy i jak się nie patrzy, jakby to mógł skwitować zazdrosny poeta z Sulejówka. Na-

gle Dycki, odwieczny kreator powtórzeń i zapętleń, okazuje się autorem więcej niż jednego wiersza. Znajduje więcej niż jeden dom. Ton. I smak. I wszystkie te rzekomo obsesyjnie powtarzające się tematy i motywy znajdują – na łamach jednej książki – swoją pojedynczość. Zaprawdę to bardzo odświeżające, pozwalające skuteczniej zwrócić uwagę na inne aspekty tego tak osobnego poetyckiego zjawiska, na temat którego powstało wiele przeciwnie skutecznych ton papierów i analiz.

Inna, istotna sprawa, to fakt znalezienia się w książce kilkunastu wierszy spoza regularnych książek poety z polsko-ukraińskiego pogranicza.

I wszystko się zgadza, gra, tańczy, śpiewa i powtarza „heja hej!”, tylko w kontekście posłowania muszę nieco zaprotestować. Drogi Grzegorzu Tomicki, napisałeś milion stron o Dyckim, więc dlaczego wybrałeś akurat tak tendencyjny fragment? OK, wydawczyni mi podpowiada, że to próba potraktowania Dyckiego jako autora nieznanego poza środowiskami literackimi, a przez to próba wyjścia poza zaklęty krąg. Tylko czy ktoś spoza w przypadku takich książek w ogóle czyta posłowania?

Co istotne, książka otwiera nową serię autorskich (z punktu widzenia dokonującego wyboru) wyborów, których wspólnym mianownikiem będzie liczba sto jedenaście. Czekamy na więcej. ●



Łęgi 1, olej na płótnie, 25x25 cm, 2017



Łęgi 2, olej na płótnie, 20x20 cm, 2017



Akt czerwony, olej na płótnie, 110x90 cm, 1996



Dobry dzień, olej na płótnie, 70x70 cm, 2017



Jasność, 70x90, olej na płótnie, 2017



Ogień, olej na płótnie, 110x135 cm, 1999



Kamuflaż łagowski, olej na płótnie, 100x100 cm, 2015



Para P.W., olej na płótnie, 110x140 cm, 1997



Piknik, olej na płótnie, 110x135 cm, 2001



Spacer, olej na płótnie, 20x20 cm, 2017



Szarzej, olej na płótnie, 70x70 cm, 2017



Upał nad, olej na płótnie, 80x80 cm, 2016

Agnieszka Czyżewska



Agnieszka Czyżewska, pseudonim artystyczny: Allison.

Studiowała w ASP w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach. Dyplom obroniła w 1987 r. w pracowni plakatu prof. Tomasza Jury i malarstwa prof. Jacka Rykały. W 2000 r. stypendystka Ministra Kultury i Sztuki.

Agnieszka Czyżewska zajmuje się malarstwem sztalugowym i monumentalnym, rysunkiem, projektowaniem graficznym, a od 2005 także aranżacją wystaw w Muzeum Miejskim w Tychach. Wystawy muzealne przez nią zaaranżowane były parokrotnie wyróżniane w konkursach (m.in. Sybilla 2005); kolejno w latach 2013, 2014 trzy wystawy uzyskały główną nagrodę w konkursie marszałkowskim Województwa Śląskiego na Wydarzenie Muzealne Roku.

Jako malarka bierze udział w wystawach indywidualnych (ok. 20 – ostatnio w 2017 w MDK w Mikołowie i Instytucie Mikołowskim duża wystawa podsumowująca, następnie prezentowana w Poznaniu) oraz w wielu zbiorowych (m.in. w Muzeum Śląskim „Sztuka kobiet, kobiety w sztuce” w 2013, w Muzeum Regionalnym w Radomiu „Szóstka bez sternika” w 2014/15), licznych wystawach poplenerowych. Uczestniczy w plenerach malarskich (m.in.: Beskidzkie Integracje Sztuki, w Łagowie Lubuskim 2015 – „Niebo w zieleni”,

Międzynarodowy Plener Malarki „Srebrne Miasto” Olkusz). Prace w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. Należy do ZPAP – oddziału w Katowicach. Mieszka w Tychach.

Kilka słów o twórczości Agnieszki Czyżewskiej:

„Malarstwo Agnieszki Czyżewskiej wywodzi się z doświadczenia gestu malarzkiego i intuicyjnego zawierzenia przypadkowi, które w trakcie procesu twórczego zostają poddane regułom konkretności. Wynika z fascynacji koloryzmem, z poszukiwań wartości i znaczenia barwy, choć użytych przewrotnie wobec założeń kolorystów, bowiem harmonia obrazu budowana jest tu na zestroju zbliżonych walorowo barw: czerwieni, zieleni i błękitu, które to demonstracyjnie wydzierają sobie właściwe role w przedstawieniu (...) Ostatnie obrazy Agnieszki Czyżewskiej porzuciły dawną pośpieszność i (...) chronologiczną ich przewidywalność, wzbogacając warsztat o nowe wartości technologiczne, ale przede wszystkim na nowo zdefiniowały przestrzeń malarską, w której figuracja i pejzaż straciły swe pierwotne znaczenie na rzecz czystości obrazu i własnego autorskiego śladu”.

Tadeusz Karbowniczek, malarz

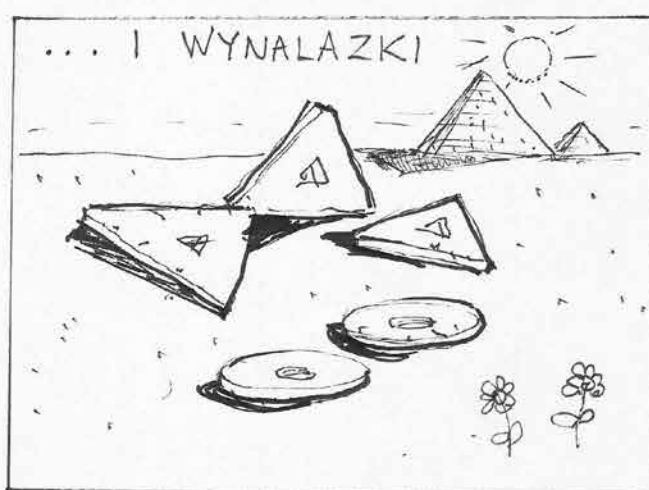
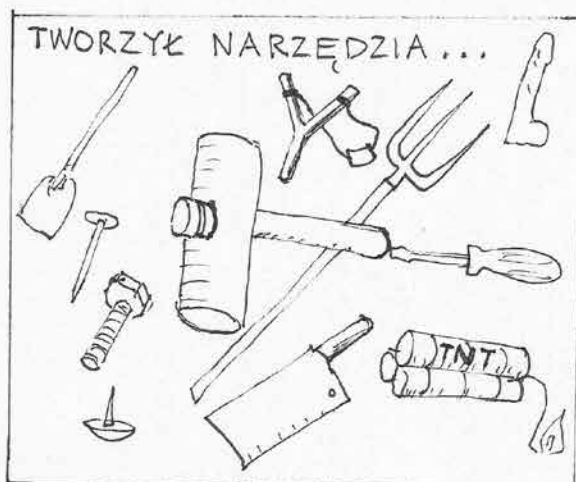
„Skłębienie linii, zakrzywianie planów, ostre zacieranie konturów oraz gwałtowne przeskoky podejmowanych wątków to atrybuty niewątpliwie służące osiągnięciu przez autorkę głębokiej dynamiki przekazu, który zarazem umyka jakimkolwiek próbom definiowania samej treści”.

Maciej Melecki, poeta

„Na obrazach Czyżewskiej ważne jest nie tylko to, co zostało namalowane, ale również to, co namalowane nie zostało, a domaga się formy, wyrazu”.

Grzegorz Kociuba, poeta





POTRZEBA MATKĄ WYNAŁAZKÓW

KOMIKS

Mateusz Pałka



Tako rzeczy Trycjator

Lucy

– Masz minutę, gadzie, zaraz wychodzę do pracy, więc się streszczaj!
– Chciałbym wrócić.
– Spadaj!

Odłożyła słuchawkę. Oczywiście do żadnej pracy się nie wybierała, a tym bardziej nie miała ochoty, by Georg do niej wracał. Wypiła łyk kawy z białego kubka, na którym widniał krwisty napis: *Wesoła Stypa*. Pół sekundy później rzuciła nim o ścianę.

– Co za gówno! – wrzasnęła na całe gardło. – Przez tego debila wystrygła mi kawal!

Rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzyła tak, jak stała.

– Czego?! – rzuciła oschle do młodzieńca w kolorowym uniformie.

Ten zaś potrzebował chwili, by wyjść z szoku. Widok nagich piersi dziewczyny zbił go z tropu.

– Jestem listonoszem... – wydukał w końcu. – Czy pani Lucy?

– Listonosz? A cóż to za kolorowy mundur, czyżby na rynku powstała jakaś gejowska konkurencja dla poczty? – Lucy poczuła, że musi mu dokopać, wtedy poczuje ulgę. – Więc jak, jesteś ciota?

– Doreczamy do rąk własnych drobne przesyłki... – Chłopak zmieszał się jeszcze bardziej. Wyjął z małej, czarnej walizki białą kopertę. – Proszę, to dla pani.

– Od kogo ten list? – syknęła.

– Przepraszam, nie mogę powiedzieć... Czy zechce pani pokwitować odbiór?

– Gadaj, cioto, od kogo! Od Georga???

– Ja, ja... yyy... ja nie mogę...

– To jazda stąd! – Wrzask Lucy odbił się echem w całej klatce schodowej. Rzuciła kopertę z całej siły przed siebie. Koperta pofrunęła niczym bumerang, spadając lotem powrotnym pod nogi osłupiałego listonosza. Lucy, widząc to, zaśmiała się piskliwie, po czym splunęła soczyscie chłopakowi w twarz.

– Buzka, młody – rzuciła słodko i z hukiem zatrzęsnęła drzwi.

„Tego mi było trzeba”, ledwie o tym pomyślała, poczuła, jak włosy na głowie stają jej dęba. W mieszkaniu był listonosz, któremu przed chwilą napluła w twarz tam, za drzwiami, na klatce schodowej

Uśmiechnął się do niej.

– Panno Lucy – rzekł uroczystym, przesadnie miłym głosem – proszę przyjąć ode mnie list i podpisać pokwitowanie odbioru.

I natychmiast zmieniając ton na ostry, dodał: – I nie zapomnij, suko, posprzątać tego gówna! – Wskazał palcem na zaplamioną kawą ścianę i rozbity kubek.

Lucy zdrętwiała.

– Kochanie! – usłyszała nagle. Głos dochodził z kuchni i brzmiał znajomo. To ją trochę oprzytomniło. Niepewnym krokiem, spoglądając z lękiem na listonosza, który znowu się uśmiechał, wycofała się do kuchni. Ponownie zdrętwiała.

– Jajecznicza prawie gotowa – powiedział Georg, przechylając głowę

znad patelni w jej stronę. To był bez wątpienia on, tylko te nienaturalnie błyszczące oczy...

– Robię taką, jaką lubisz – Georg mówił dalej, skupiając wzrok na patelni. – Nie za bardzo ścięta i nie za rzadka, ale tobie to chyba nikt, kurwa, nie podał!

– Georg, skąd ty...ty... – Lucy poczuła, jak lodowaty chłód ogarnia jej ciało od stóp w górę.

„Zaraz zemdleję”, pomyślała, i resztką sił rzuciła się do drzwi. Wypadła na klatkę schodową wprost na staruszkę idącą z zakupami. Staruszka nie straciła głowy. W swoim życiu niejedno już przeżyła.

– Dzwonię na policję! – Wyciągnęła z torebki okulary i komórkę. – Pewnie panię leje, łajdak! Zaraz dostanie za swoje!

Lucy, wciąż jeszcze wystraszona, nie wiedziała, co się dzieje. Kątem oka dostrzegła białą kopertę leżącą na podłodze nieopodal staruszki.

– List!

– Jaki list? Właśnie dzwonię na policję.

– Ten list jest ważny. Proszę mi go podać.

– Niech się pani okryje moim szalem. – Starsza pani wyciągnęła z torby szal w stylu „dzieci kwiaty”, otulając nim nagie ramiona i piersi Lucy. Podniosła kopertę.

– Proszę, pani list. To dzwonię na policję, czy nie?

Lucy milczała. Otworzyła kopertę i zaczęła czytać, ale nie mogła nic zrozumieć. Literki wirowały jej w głowie.

– Proszę pani – rzekła do staruszki łamanym glosem. – Dziwnie to zabrzmiało, ale niech pani wejdzie ze mną do mieszkania. Założę tylko coś na siebie i szybko wyjdziemy.

– Nie jest to dobry pomysł, moje dziecko... – Kobieta spojrzała badawczo na Lucy. – Damskim bokserom pobłażliwość się nie należy.

– To nie tak, jak pani myśli. Proszę, niech mi pani pomoże i o nic nie pyta.

Weszły ostrożnie do mieszkania. Było puste. Staruszka, marszcząc brwi, spojrzała na Lucy karcącym wzrokiem. Chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Machnąwszy ręką, odwróciła się wymownie na pięcie i wyszła.

Lucy stała jak wryta dłuższą chwilę. List! Podeszła do stołu i wyciągnęła z koperty pustą kartkę. Ani jednego wyrazu. Nic.

„Muszę się napić” – pomyślała. Poszła do kuchni i nastawiła ekspres. Zapach ulubionej kawy o aromacie irlandzkiej whisky uspokoił ją na dobre. Pełnię szczęścia zapewnił winyl Slayera – *South of heaven*, z piosenką „Silent Scream”. Rozsiadła się wygodnie w fotelu. Ostani łyk gorącej irlandzkiej whisky zbiegł się z ostatnim taktom „Silent Scream”.

Lucy, wyraźnie już odprężona, przeciągnęła się niczym kotka, wdychając namiętnie. Podniosła słuchawkę od telefonu i wykreciła numer do Georga.

– Cześć, tu Lucy, nadal chcesz do mnie wrócić?

– Zrobię wszystko.

– Od teraz jesteś moim psem. Jak się dobrze spiszesz, może awansuję cię na kota. Zgadzasz się?

– Hau, Hau!



Proporcje między dorobkiem z czasów Wakemana i Rabina były idealnie wyważone, nieznacznie przeważały jednak klasyki z lat siedemdziesiątych. Z *The Yes Album* (w którego powstaniu ani Wakeman, ani Rabin nie brali udziału) zaprezentowano „Perpetual Change” oraz „I’ve Seen All Good People”. Z pierwszej z Wakemanem, czyli *Fragile* zagrano „South Side Of The Sky” (publiczność śpiewała wokalizę na całe gardło), cudownie zakrecony „Heart Of The Sunrise” oraz standardowo grany na bis „Roundabout”. Z najbardziej kultowej płyty Yesów – *Close To The Edge* włączono do setlisty balladę „And You And I” z cudowną partią melotronu. Podczas tego numeru niewielkie problemy z głosem miał Jon Anderson, który mimo wieloletniego wykonywania tego utworu, pomylił także tekst, co zasugerował wymownym złapaniem się za głowę i improwizowaniem w tzw. „suahili”. Publiczność oczywiście wsparła wokalistę gromkimi oklaskami, co pozwoliło mu spokojnie kontynuować przy użyciu właściwych słów.

Cudownym spektaklem okazał się majestatyczny, podniosły „Awaken”, w którym Anderson mógł pograć na tamburynie oraz harfie (podczas koncertu grał także gitarze akustycznej oraz różnych przeszkadzajkach). Jakże niesamowicie na żywo brzmi ten pełen rozmachu kolos! Wspaniałe przeżycie to usłyszeć. Jeśli o utwory z czasów Rabina chodzi, to oprócz pojedynczych przedstawicieli płyt *Big Generator* („Rhythm Of Love”) i *Talk* („I Am Waiting”) pojawiło się najwięcej utworów z „cyferek”. Wybrzmia-

ło niesamowicie przebojowe „Changes” z duetem wokalnym Jona i Trevora oraz obowiązkowy punkt programu, zostawiony na koniec (przed bisem) – „Owner Of The Lonely Heart” wzbogacony o cover Cream – „Sunshine Of Your Love” i szaleństwa Wakemana, który opuścił swój zestaw klawiatur i z syntezatorem naramiennym hasał po scenie wraz z kolegami. Ukoronowaniem koncertu była obowiązkowa „Karuzela”, po której panowie, pożegnawszy się z fanami, zeszli ze sceny i nie dali się wywołać na dalsze utwory.



Koncert Yes feat. ARW był niesamowitym przeżyciem. Mimo iż panowie do młodych nie należą, to wcale nie widać jakoś bardzo, żeby byli zblazowanymi emerytami (może, jeżeli już, to trochę po Wakemanie), ale na ten przykład drobnutki Anderson, który wcale nie wygląda na swoje 74 lata, wciąż zachowuje dobrą kondycję i głos (może już nie taki krystaliczny, ale niezmiennie wysoki i nadal – mimo wszystko – czysty), a przy tym jest w stanie żwawo poruszać się po scenie, podsłakiwać, broni się przed wiekiem jak tylko może. Trochę szkoda, że panowie nie zdecydowali się zaprezentować jakiegś choćby namiastki premierowego materiału, ale widocznie

taką mają strategię, by nie zdradzać niczego przed premierą długo wyczekiwanej płyty. Jaka ona będzie, czy będzie bardziej „classic”, czy bardziej „pop-rock” jak z ery Rabina, czy może elementy te będą wypośredkowane, to już sami się – mam nadzieję, że niebawem – przekonamy. ●



Nim Anderson, Wakeman, Rabin oraz towarzyszący im muzycy z sekcji rytmicznej pojawili się na scenie, publiczność miała okazję zobaczyć i usłyszeć rodzimą legendę rocka progresywnego, czyli SBB w najlepszym z możliwych składów: Józef Skrzek, Apostolis Anthimos oraz Jerzy Piotrowski. Panowie byli tego wieczoru w znakomitej formie, choć można mieć lekki żal, że swój program ograniczyli do największych klasyków, co wynikało z ograniczonego czasu i roli – jakby nie patrzeć – supportu bardziej uznanych kolegów. Żeby usłyszeć materiał bardziej zróżnicowany, uwzględniający także nowsze kompozycje, należy po prostu udać się na koncert SBB.

moja” z pięknym, poetyckim tekstem Juliana Mateja, po czym Ślężacy zeszli ze sceny, ustępując pola gwiazdzie wieczoru.

Publiczność gromkimi oklaskami witała wchodzących kolejno na scenę muzyków, a zwłaszcza ubranego tradycyjnie w królewską pelerynę Ricka Wakemana (to nic, że pod peleryną klawiszowiec miał zwykły dres) i Jona Andersona, który nie szczędził publiczności czułych gestów, a do statywu włożył sobie... pluszowego lewka na szczęście (ach, te dziwactwa legend rocka!). Występ rozpoczął się reprezentacją z największego sukcesu komercyjnego w historii gru-



W Warszawie nie zabrakło takich punktów obowiązkowych, jak reprezentujące anglojęzyczną *Welcome* – „Walking Around The Stormy Bay” i „Rainbow Man”, „Memento” z banalnym tryptykiem” z rewelacyjną, choć zawsze graną trochę inaczej solówką Lakisa, czy starocie z pierwszych dwóch płyt – „Odłot” z popisowymi szaleństwami muzyków tudzież „Nowy horyzont”, w którym lider tria zagrał piorunujące solo na basie. Józef Skrzek nie byłby oczywiście sobą, gdyby nie poszalał także na swoim wysłużonym minimoogu. Na bis zagrany został jeszcze poruszający „Z których krwi krew



py, czyli płyty 90125, z której popłynęło na początek instrumentalne „Cinema” oraz „Hold On”, które ci, którzy przybyli na koncert za wcześnie, mogli usłyszeć podczas próby dźwiękowej. Żeby jednak można było wziąć w niej udział, trzeba było odpalić kawał grosza (suma dwukrotnie przekraczająca wartość biletu, ale możliwość uściśnięcia dłoni z muzykami, uzyskania podpisów i zdjęć jest dla największych fanów wartością bezcenną – niżej podpisany się na tę atrakcję z przyczyn ekonomicznych nie skusił).

• Lunatic Soul – Under The Fragmented Sky

Data wydania: 25.05.2018

Wydawnictwo: Kscope

Utworki: „He Av En”, „Trials”, „Sorrow”, „Under The Fragmented Sky”, „Shadows”, „Rising the Night”, „The Art Of Repairing”, „Untamed”



Mariusz Duda narzuca tempo. Dopiero co wydał płytę swojego solowego projektu Lunatic Soul „Fractured”, której recenzja pojawiła się na łamach „Afrontu”, a już wydaje do tej płyty suplement, który mógłby równie dobrze być traktowany jako oddzielna pozycja w dyskografii. Trzeba jeszcze wspomnieć, że w tym roku ukaże się także nowy album Riverside (zatytułowany „Wasteland”) będący ich pierwszym krążkiem nagrany bez udziału zmarłego Piotra Grudzińskiego. „Under The Fragmented Sky”, bo tak nazywa się ów suplement, składa się jedynie z ośmiu utworów, które jednakże łącznie trwają około 40 minut, więc jak na EP-kę – długo.

Przeważają znacznie utwory instrumentalne, zahaczające o ambient. Tylko dwie kompozycje mają, powiedzmy sobie, piosenkowy, śpiewany charakter tak, że mogłyby spokojnie, po drobnym przearanżowaniu, znaleźć się na płycie Riverside – numer tytułowy oraz wieńcząca płytę przepiękna ballada „Untamed” z udziałem perkusisty Wawrzyńca Dramowicza. W większości numerów wokalista i basista Riverside wykorzystuje swój głos w typowo instrumentalny sposób, bawiąc się przesterami, efektami, wokalizami, co znakomicie dodaje utworom klimatu. W końcówce „The Art Of Repairing” można z początku nie być do końca pewnym, czy słyszy się syntezator, czy może jednak przetworzony wokół. Taki „Trials” jest swoistego rodzaju mantrą, w której Mariusz do utworu trip hopowego beatu i elektronicznych płam powtarza przez cały czas trwania jedno zdanie. Rozpoczynający płytę „He Av En” wcale nie jest taki niebiański, na co wskazuje jego tytuł i anielskie wokalizy, płynie z niego – paradoksalnie – zarówno uczucie niepokoju, jak i błęgiego wyciszenia. O tym, w jak świetnej formie kompozytorskiej jest Duda, świadczy zaledwie półtoraminutowy akustyczny „Sorrow” okraszony delikatną wokalizą – niby niewiele, minimum środków, a efekt chwyta za serducho.

„Under The Fragmented Sky” to bardzo udany minialbum będący spoiwem między jednym z najlepszych, jak nie najlepszym, krążkiem Lunatic Soul – „Fractured”, a nowym, wielce wyczekiwany wydawnictwem Riverside. Dużo w tej muzyce mroku i zróżnicowanych emocji – od poczucia niepokoju, jak w jakimś dobrej klasy horrorze („Shadows”), po chłód (cudownie zimna elektronika w „The Art Of Repairing”). Mariusz Duda po raz kolejny udowodnił, że ograniczonymi środkami (konsekwentne unikanie gitary elektrycznej, niemal brak żywej perkusji – oprócz „Untamed”) można wyczarować niesamowicie klimatyczne dźwięki. Tym większy szacunek, że oprócz udziału perkusisty w ostatnim numerze wszystkie partie instrumentalne nagrał sam. ●

ocena: 8/10



YES feat. ARW – Amfiteatr w Parku Sowińskiego,
Warszawa, 3 czerwca 2018

Częstym zjawiskiem wśród wielkich kapel są wewnętrzne konflikty spowodowane wysokim ego członków, co bywa eufemistycznie określane „różnicami artystycznymi”. Niekiedy prowadzi to do rozpadu, do wieloletnich procesów sądowych i podrzucania sobie kłód pod nogi, a niekiedy do schizmy, kiedy to kapela dzieli się na dwie i oba te obozy przyznają sobie prymat w czerpaniu ze wspólnego dziedzictwa (vide Queensryche i Operation Mindcrime, czy z polskiego podwórka Kat i Kat & Roman Kostrzewski). Tak jest

w przypadku Yes, które przez pół wieku istnienia przechodziło liczne perturbacje personalne, ale od dobrych kilku lat działa w rozwoju na frakcje założycielskie nieodżałowanego Chrisa Squire’a (po którego śmierci przywództwo przejął Steve Howe) oraz charyzmatycznego Jona Andersona, obdarzonego wysokim, często określanym jako „niebiański” głosem.

Już od kilku lat Anderson występuje pod szyldem Yes Featuring ARW z byłymi członkami, którzy – co ciekawe – nie występowali w kapeli w tym samym czasie (widnieją razem w składzie płyty „Union”, ale była to de facto kompilacja utworów z dwóch ówczesnych frakcji): wirtuozem klawiatury Rickiem Wakemanem, który współtworzył progresywne klasyki jak „Fragile”, „Close To The Edge”, „Tales From The Topographic Oceans” czy „Going For The One” i gitarzystą Trevorem Rabinem, który odpowiada za utwory z komercyjnego okresu („90125”, „Big Generator”, „Talk”). Od jakiegoś czasu słychać informacje o wspólnych planach dotyczących nagrywania płyty, ale póki co, panowie świętują pięćdziesięciolecie Yes (podobnie jak frakcja Howe’a). W gorącą niedzielę 3 czerwca 2018 roku Yes feat. ARW zaprezentowali się publiczności na deskach Amfiteatru w Parku Sowińskiego na warszawskiej Woli.

polu kompleksów, zwłaszcza że jego brzmienie i gitarowe melodie są z miejsca rozpoznawalne i nie do pomylenia z kimś innym. No i przede wszystkim gość zajmuje się muzyką, nie tracąc czasu na strojenie fochów i wygadywanie kontrowersyjnych sądów. Od ostatniego, bardzo udanego longplaya Marra „Playland” minęły aż cztery lata. Sądząc po nowej płycie, nie były to lata stracone.

Zaczyna się z przytupem. Zgodnie z tytułem, „Rise” to dynamiczny, aczkolwiek chwytny numer okraszony gitarowymi ozdobnikami made by Marr. Pod względem dawki energii nie ustępuje mu wcale „The Tracers” z mogącą się podobać partią klawiszy. Gitarowe „czary – marry” są esencją każdego utworu na płycie, choć myli się ten, kto pomyśli, że są to wyłącznie piosenki, które mogłyby wejść do repertuaru The Smiths. Kilka takich hitów rzecz jasna jest: „Hi Hello”, „Day In Day Out” czy „Spiral Cities” to niesamowicie przebojowe kawałki, wobec których można sobie może i nawet odrobinę pożałować, że nie śpiewa ich Morrissey, choć w wykonaniu Marra też brzmią przekonująco. Słychać, że gitarzysta robi postępy wokalne. Oczywiście są też na tej płycie utwory wyłamujące się schematami, jak oparty na beacie niemalże wyjęty z techno „New Dominions” czy rozbudowany, długo rozkręcający się „Walk Into The Sea” z zachwycającymi gitarami. Jeśli miałbym wyróżnić najsłabszy utwór, którego spokojnie by mogło na płycie nie być, z miejsca wskazałbym „Bug”. O ile muzycznie jest strawny, o tyle walkowanie przez pół numeru refrenu w kółko świadczy o braku pomysłu na zaaranżowanie zakończenia.

„Call The Comet” to bardzo równa płyta. O ile pierwszy krążek solowy Marra „The Messenger” miał momenty średnie i rewelacyjne („New Town Velocity”), o tyle „Playland” był niezwykle równy. Podobnie jest z najnowszym. Nie ma może na „komecie” utworów genialnych, ale są w mojej ocenie bardzo dobre. Niestety, średniaki też się przytrafiły, jak wspomniany „Bug” czy „The Eternal”, który pod względem muzycznym jest jak najbardziej OK (cudne partie klawiszy), ale razi trochę brak pomysłu Marra na partię wokálną. Warto śledzić rozwój kariery Johnniego Marra – muzyk ten nieustannie stara się rozwijać, zamiast wylegiwać w łóżku, jak pewien zbłązowany fanatyczny wegetarianin zaczytujący się w Oscarze Wilde’u.

ocena: 7/10

• Jonathan Davis – Black Labyrinth

Data wydania: 25.05.2018

Wydawnictwo: Sumerian

Utwory: „Underneath My Skin”, „Final Days”, „Everyone”, „Happiness”, „Your God”, „Walk On By”, „The Secret”, „Basic Needs”, „Medicate”, „Please Tell Me”, „What You Believe”, „Gender”, „What It Is”.

Jonathan Davis kombinował już poza Kornem na początku XXI wieku, kiedy tworzył utwory na ścieżkę dźwiękową do filmu „Królowa potępionych”. Sprawy biznesowe uniemożliwiły mu zaśpiewanie tych kawałków w studio, więc na płycie z soundtrackiem zamiast niego produkowali się zaproszeni goście. Dopiero w wykonaniu Davisa kompozycje zostały uwiecznione na koncertówkach solowego zespołu Jonathan Davis & Simply Fucking Amazings. W styczniu tego roku wypuszczony został singiel „What It Is” zwiastujący pierwszą solową płytą wokalisty z premierowym materiałem w jego osobistym, żeby nie było, wykonaniu.



niu. W nagrywaniu „Black Labyrinth” pomagali znajomi muzycy, np. znany z Limp Bizkit Wes Borland, kolega z Korn – perkusista Ray Luzier, basista Miles Mosley czy indyjski skrzypek Shenkar. Sądząc po tym, że wśród użytego instrumentarium wymieniony został sitar oraz duduk, można sądzić, że i eksperymenty etniczne na tym albumie podjęto – i tak w rzeczywistości jest. Klimaty takie pobrzmiewają np. w „Final Days”, „Basic Needs” czy „The Gender”, w którym słyszymy sitar.

Mamy na tej płycie istny miszmasz, przyjemne pomieszenie z poplaniem. Większość numerów byłaby dla Korn po prostu za lekka, jak „Your God”, otwierający płytę bardzo przebojowy „Underneath My Skin” czy zdominowane przez elektronikę „The Secret”, „Medicate”, „Please Tell Me” oraz jeden z najciekawszych utworów na płycie: „Basic Needs”, w którym gitary odzywają się tylko w refrenie, a końcówkę okraszają wspomniane powyżej etniczne motywy. Zdarzają się na płycie także kawałki, które odrobinę kojarzą się z Kornem, jak „Walk On By” czy „Everyone”, ale nie na tyle, by posądzić Davisa o odcinanie kuponów. Nie da się całkiem uniknąć skojarzeń za sprawą wokalu, który jest niezwykle charakterystyczny i wręcz stworzony do ciężkiej, dusznej i miejscami psychodelicznej atmosfery kreowanej na płytach zespołu. Na solowym debiucie Davis pozwala sobie na sporą dawkę przebojowości. Utwory są krótkie, pozwalają się nucić, zadbane o ciekawe aranżacje, w których głos Jonathana wypada nad wyraz dobrze, choć niezbyt często krzyczy, raczej śpiewa w swój manieryczny, neurotyczny sposób.

Można się zastanawiać, jak daleko udało się Jonathanowi Davisowi oddalić od stylistyki wypracowanej w macierzystej kapeli, która przecież w swojej działalności miewała różne okresy: od typowego dla lat 90. tzw. nu metalu po flirty z rapem, lżejszym rockiem czy absolutnie chybione eksperymenty z dubstepem. Nawet jeśli nie jest się fanem Korn, a jest się na przykład w stanie docenić choćby kilkanaście świetnych numerów tej kapeli, to bez jakichkolwiek uprzedzeń można spróbować ukroczyć w ciemny labirynt niezwykle charakterystycznego i charyzmatycznego Jonathana Davisa. Jego solowy debiut jest na tyle odmienny od tego, do czego przyzwyczailiśmy, a przy tym w bezpieczny sposób kojarzy się z tym dorobkiem, co pozwoli uniknąć rozczarowania, że Davis nagrywa to samo, co zwykle, ale woli sam spijać śmietankę. Chyba że ktoś oczekuje od niego kolejnej płyty Korn, to wtedy srogi zawód gwarantowany. Jak dla mnie „Black Labyrinth” jest bardzo dużym zaskoczeniem. In plus.

ocena: 7/10

• Arek Jakubik – Szatan na Kabatach

Data wydania: 20.04.2018

Wydawnictwo: Universal Music Polska

Utwory: „Dziś w internecie”, „Psy”, „Szatan na Kabatach”, „Niemost”, „Atomowy skuter”, „Cudowne pogaństwo”, „Plaża”, „Wyliczanka”, „Historia banalnego miasta”, „Świat po końcu świata”, „Plan antypaństwowy”, „Twoje zniknięcie”



Popularny aktor, a ostatnio także wokalista rockowy, Arkadiusz Jakubik urządził sobie chwilową przerwę od grania w filmach, bo jak sam stwierdził, wychodzi już z każdej lodówki. Nie wydał jednakże kolejnego albumu z kapelą Dr Misio (niedawno przecież na łamach „Afrontu” recenzowałem krążek „Zmartwychwstaniemy”), a materiał sygnowany własnym nazwiskiem. Na płycie zatytułowanej „Szatan na Kabatach” Jakubik wraz z producentem i głównym kompozytorem Kubą Galińskim pokłonili się swoim młodzieńczym inspiracjom. W gronie wymienianych wzorców najczęściej padają takie kapele, jak Joy Division, The Smiths, Bauhaus, Kraftwerk czy Cabaret Voltaire.

Co jest zmianą w porównaniu z twórczością Dr Misio? Na pewno to, że Jakubik za namową Kazika Staszewskiego spróbował chwycić za pióro i dołożyć trzy grosze od siebie w warstwie słownej. Jeszcze co prawda nie odważył się na to, by w 100% odpowiadać za teksty, ale przy większości utworów jego nazwisko widnieje obok dotychczasowego stałego współpracownika – Krzysztofa Vargi. Jak sam Jakubik przyznaje, to właśnie powieści autora „Trocin” były w największym stopniu literacką inspiracją przy tworzeniu tekstów. Marcin Świetlicki wspomógł w dwóch pierwszych numerach. Nazwiska te gwarantują pełne melancholii spojrzenie na otaczającą nas rzeczywistość oraz bolesne roztrząsanie problemów egzystencjalnych, czego przykładem jest tytułowy szatan, często w tekstach kapel rockowych i metalowych uosobienie rebelii, tutaj boleśnie wciśnięty w polską rzeczywistość zmuszającą do spłacania kredytu, zakupów w Żabce i samotnych wypadów do kina na filmy o śmierci.

Utwory, choć niewątpliwie przesiąknięte duchem lat 80. i wspomnianych inspiracji, są od siebie wyraźnie różne, bowiem mamy tu numery żuławskie, skoczne, flirtujące z elektroniką, jak „Dziś w internecie”, „Psy” z tekstem Marcina Świetlickiego i ironiczną frazą „Wszystkie drzewa wyciąć trzeba, bo zasłaniają sanktuarium”; pachnący zarazem żuławszymi numerami Iana Curtisa i spółki, jak i The Smiths „Atomowy skuter”, „Cudowne pogaństwo” czy okraszona brudnym postpunkowym brzmieniem i saksofonem w stylu Brygady Kryzys „Wy-

liczanka”. W ramach przeciwwagi otrzymujemy posępne, dołujące utwory z wysuniętą do przodu gitarą basową, jak „Niemost”, „Historia banalnego miasta”, „Świat po końcu świata” czy „Twoje zniknięcie”. Proporcje są w miarę wyważone, dzięki czemu słuchacze ani nie przepogują całej płyty, ani też nie zdążą się pociąć. Ułożono te numery na zasadach przeplatanki.

Zapewne wielu słuchaczy zastanawia się, czy ta płyta nie mogła być wydana pod szyldem Dr Misio, skoro śpiewa Jakubik, a w tekstach mocno pobrzmiewa styl i zgorzkniała uciążliwość Krzysztofa Vargi, nawet jeśli śpiewający aktor na podstawie dokonania pisarza napisał swoje teksty i przedstawia w nich swoje widzenie świata. Tym bardziej że ostatnią płytę Dr Misio, która była skrajnie odmienna od poprzednich dwóch, wyprodukował właśnie Kuba Galiński i „Szatan na Kabatach” ma z nią pewne cechy wspólne. Niemniej, Jakubik zdecydował się wydać tę płytę pod swoim nazwiskiem, co pewnie jest poddyktowane wyjątkowo osobistym stosunkiem do tego materiału i do inspiracji, którym wraz z producentem chciał się pokłonić.

ocena: 6+/10

• Johnny Marr – Call The Comet

Data wydania: 15.06.2018

Wydawnictwo: New Voodoo Records

Utwory: „Rise”, „The Tracers”, „Hey Angel”, „Hi Hello”, „New Dominions”, „Day In Day Out”, „Walk Into The Sea”, „Bug”, „Actor Attractor”, „Spiral Cities”, „My Eternal”, „A Different Gun”



Odkąd Johnny Marr zdecydował się na twórczość solową (chwała mu za to!), nie jestem w stanie nie konfrontować jego kolejnych solowych dokonania z dokonaniem byłego kolegi z The Smiths – Morrissey. Przez kilka lat istnienia duet ten stworzył wór genialnych numerów opartych na niesamowitym talencie Marra do pisania melodyjnych piosenek oraz na charyzmie, erudycji, tudzież kontrowersjach związanych z Morrisseyem. Po rozpadzie zespołu ich drogi się rozeszły: Morrissey nagrywa solowo od 1988, a Marr, po licznych współpracach i projektach, podpisuje płyty swoim nazwiskiem zaledwie od 2013 roku.

O ile kariera solowa Mozza okres świetności ma już za sobą, ale momentami zaskakuje, o tyle Johnny Marr poprzednimi dwiema płytami pokazał, że ma sporo do powiedzenia i do zagrania. Choć może nie jest tak wyrazistym tekściarzem i wokalistą, to wcale nie musi mieć na tym

M u z y k a

Recenzje muzyczne

Kamil Pietrzyk



od alkoholu, zostając piętnastoletnim alkoholikiem. A Mocny? Mocny także wierzy, że jest tak „mocny” nie tylko z pseudonimu, że mu nic nie zaszkodzi.

Dla każdego z bohaterów kontakt z używkami kończy się mniej lub bardziej tragicznie. Kryspin po przejściu z marihuany na Fejk Kanne i inne przedziwne sztuczne psychotropy dostaje schizofrenii i samookalecza się, Bart, co wspomniano powyżej, zostaje alkoholikiem, a Mocny po jednorazowym zażyciu amfetaminy po prostu umiera.

Jak wylicza w trakcie jednej z telewizyjnych debat na początku ojciec Kryspina, uzależnić można się od wszystkiego, nie tylko narkotyków, papierosów, alkoholu czy leków. Oddźwięk jest prosty – każdy narkotyk, w szeroko rozumianym kontekście, jest zły, ponieważ każda osoba inaczej reaguje i to, że akurat ty zareagujesz dobrze, nie znaczy, że ktoś inny nie umrze w konwulsjach. Należy być ostrożnym i rozsądnym. Przedstawieni bohaterowie są bardzo nierozsądni, w dużej mierze ze względu na młody wiek i presję otoczenia.

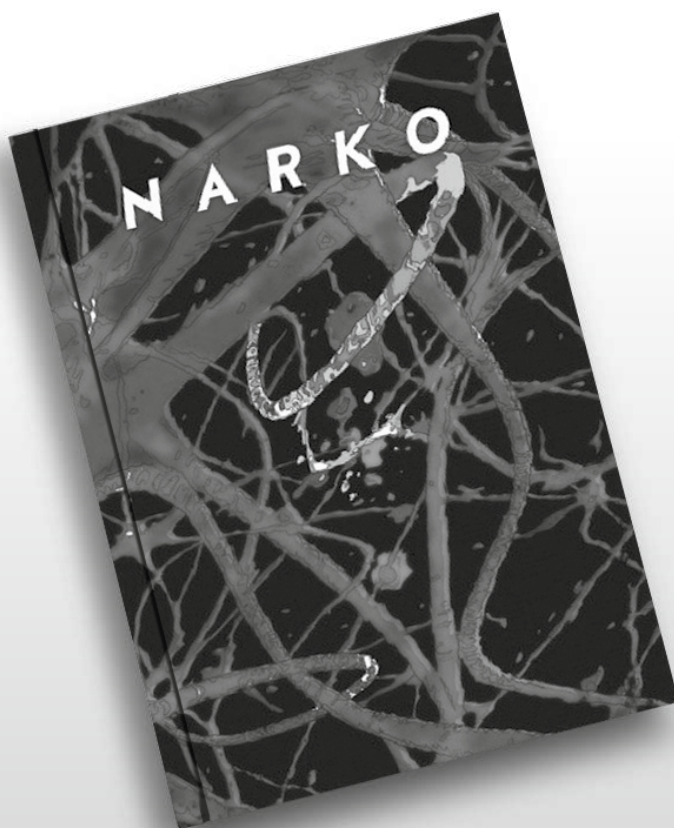
Narko nie jest jednak prostą opowieścią z morałem, z elementem grożenia palcem przez autorów. Jest wbrew pozorom odwrotnie. Na zakończeniu komiksu przeczytać można tekst odautorski – jest to dość rozsądna wypowiedź o tym, że każdy ma prawo do wszystkiego, ale w granicach rozsądku, szczególnie w młodym wieku; o tym, co można robić, o czym pamiętać, a przed czym wstrzymać. A sami twórcy pozostawiają czytelnikom wybór – czy spróbują, czy też nie. To ich decyzja. Trzy przypowieści, oparte na prawdziwych wydarzeniach opowiedzianych przez osoby uzależnione, pokazują, jak w prosty sposób można zniszczyć sobie życie, a także jak w prosty sposób można tego wcale nie zauważyć.

Jest to dość perfidne zagranie, które można opisać krótko – rób-

cie, co chcecie, ale zobaczcie, co się stało bohaterom – wykorzystywane właśnie z terapii uzależnień, gdzie dochodzi do spotkań z klinicznymi przypadkami uzależnienia, aby pokazać, co może ono zrobić z organizmem człowieka.

Prezentując *Narko*, należy wspomnieć także o jednym z najważniejszych elementów całości – jak zwykle ciekawych i sugestywnych rysunkach Krzysztofa Ostrowskiego. Widzimy mocno schizowate reakcje po zażyciu narkotyków. Jego kreska sprawdza się w trackie kolejnych tripów i zjazdów bohaterów. Ich mniej lub bardziej schizofrenicznych opowieści. Tak naprawdę to najsilniejszy punkt całej historii – jej sfera wizualna. Często plakatowa, dosadna i konkretna. Sporo całostronicowych kadrów, ale nie brakuje także zabaw z samą konstrukcją graficzną.

Narko w ostatecznym rozrachunku jest komiksem pokazującym, że wszelkie narkotyki, zarówno „miękkie” jak i „twarde”, są złem – wszelkie racje „pro” niszczone są kolejnymi historiami. Po prostu nie warto w ogóle zaczynać, bo człowiek sam nie jest w stanie odpowiedzieć sobie na pytanie, jak mocny i odporny ma organizm. Mimo tego autorzy prezentują tekst, w którym przedstawiają zasady działania w momencie próby użycia jakichkolwiek psychotropów. Jak wspomniałem na początku, nie lubię komiksów z tezą, ale ta akurat mnie przekonuje. Nawet jeśli twórcy nie do końca, być może, mieli taki zamysł, *Narko* idealnie nadaje się na publikację prezentowaną młodzieży w szkołach w ramach profilaktyki uzależnień. Ja sam przy komiksie, może brzmi to nieco dziwnie, bawiłem się dobrze. Wszystko za sprawą sfery graficznej – frapującej i wciągającej. ●



Narko

Dana Łukasińska, Krzysztof Ostrowski
Krytyka Polityczna 2015.

w rysunkach, czy jakieś tajemnicy w wizerunku postaci. Obrazy są czyste, czytelne, kolorowe, pasujące bardziej jednak do komediowych opowieści podróżniczych niż do krwawego thrilleru. I to jest główny zarzut, jaki ciąży na tej publikacji.

Na plus trzeba jednak oddać rysownikowi prezentację dzieł Antonio Gaudiego. Kilka lat temu sam przemierzałem ulice Barcelony w poszukiwaniu jego projektów i natknąłem się na prawie wszystkie zamieszczone w komiksie miejsca. Zetknąłem się także z wieloma problemami, o których na łamach opowieści można przeczytać – komercjalizacją czy też natłokiem turystów, przez co miejsca niejednokrotnie traciły swój blask. To, co zastało, to oczywiście wspomnienia fantastycznych budowli, rzeźb, niezwykłych miejsc, które ładnie przedstawił Iglesias. No właśnie „ładnie” – w kontekście tej opowieści nie jest to niestety najlepsze sformułowanie, bo nie o piękno tu chodzi, a o maniaka zafascynowanego budownictwem i walczącego, na swój sposób, z komercjalizacją i brudem „dnia dzisiejszego”.

Kolejne cztery rozdziały prowadzą nas poprzez kryminalną intrygę, która „na szczęście” do najładniejszych nie należy. Rytualne mordy, tajemnica i pogoń za czasem. Fakt, na stu dwunastu stronach trudno stworzyć feerię barwnej intrygi, ale samym twórcom udało się klasycznie stworzyć kompozycję opowieści kryminalnej, ze wstępem, rozwinięciem, zurotami akcji i zakończeniem, które

może kogoś nawet zdziwi. Jest to doprawdy nieco przewidywalne, ale nie należy od *Ducha Gaudiego* wymagać, aby był najwybitniejszym dziełem spod znaku kryminalnego thrilleru, bo zapewne takiego zamiaru sami twórcy nie mieli. Pokazano nam współczesną Barcelonę i to chyba największy plus – przepełnioną turystami, nieco fałszywą, a zarazem pełną krwawych tajemnic, fascynującą metropolię.

Non Stop Comic przedstawił nam „świeżynkę”. W oryginale komiks wydano w 2015 roku, czyli na polskim rynku pojawia się po dwóch latach. Jest to propozycja zgrabnie wydana. Poza komiksem czytelnik otrzymuje szkice i rysunki autorstwa Jesusa Alonso Iglesiasa z komentarzami El Torresa, a także wstęp autorstwa Javiera Sierry. Na pewno nie jest to „dzieło życia”, „komiks przełomowy”, czy „najważniejsza publikacja roku”. To zgrabna opowiastka, nieco zbyt cukierkowo narysowana, którą czyta się przyjemnie – a wiadomo, przy opowieściach gatunkowych to właśnie element „przyjemności” jest jednak najważniejszy.

Ostatecznie *Ducha Gaudiego* możemy uznać za coś na kształt odcinka serialu kryminalnego – zgrabnie okrojonego, jednak mieszczącego się w pewnych konwenansach i ramach czasowych. Metaforycznie – chętnie go obejrzymy, w tym przypadku przeczytamy, jednak szybko zapomnimy, bo za tydzień czekać nas będzie kolejny odcinek serialowej sagi, czy też innej produkcji. ●

Marcin Bałczewski › Recenzja

Narkoprobem

Nie jestem wielbicielem komiksów, książek, spektakli teatralnych czy też filmów ze z góry narzuconą tezą, jednak przez wiele stron *Narko* przekonywał mnie, że nawet „Krytyka Polityczna” może zrobić coś ciekawego i zaprezentować sensowne, inteligentne spojrzenie na problemy, w tym przypadku z narkotykami. To ciekawa propozycja w wykonaniu scenarzystki Dany Łukasińskiej i rysownika Krzysztofa Ostrowskiego.

Komiks składa się z trzech opowieści skupiających się na jednym, oczywistym ze względu na tytuł, problemie – narkotykach, a także alkoholu, szerzej rozumianym jako uzależnienie od substancji psychoaktywnych. Czy to na życiu młodego chłopaka, którego rodzice chyba „zbyt rozpieszają”, czy też nastolatka, który jak inni próbuje używki, czy też jeszcze innej postaci, której kontakt z narkotykami szybko się kończy.

Narko składa się z niemego, dwustronicowego prologu i trzech rozdziałów – Kryspin, Bart i Mocny. To imiona lub też pseudonimy (anty)bohaterów tej niezbyt długiej opowieści.

„Kiedyś myślałem, że to dotyczy ludzi z marginesu. Dzieci niezaopiekowanych, niechcianych” (s.11) – mówi ojciec Kryspina, którym

okazuje się bojownik walczący w mediach o większy dostęp do narkotyków, ekspert w tej dziedzinie. „Marihuana to klucz do tych ośrodków w mózgu, do których nie dociera alkohol. Kiedyś to sam sprawdzisz. Ona nigdy nie wywołuje agresji, a alkohol często” (s. 23) – dodaje w jednej z rozmów z synem. Tak jak i wielu innych dorosłych, nie widzi w tym problemu. I nie widzi, jak syn się stacza i uzależnia. Matka Kryspina uwielbia jogę, żyje jako *korporodzie* i zrzuca wszystko na dojrzewanie nastolatka. Ojciec Barta to chirurg, który sam ma problemy z alkoholem. Przykłady można mnożyć. Nie są to przedstawiciele klasy biednej, a raczej dobrze usytuowanej. A jak wygląda młodzież?

„Raz przed klasówką zaciągnąłem się w kiblu trawką. Napisałem klasówkę na luzie. Dostałem piątkę z plusem. Pomyślałem – to jest patent” (s. 27) – monologizuje Kryspin.

Bart w swojej opowieści wylicza: „Nasza klasa jest jak tablica Mendelejewa, Kasia wciąga amfę, Tomek je grzybki, Mysza wącha klej, Kacper, Misiek, Mocu palą marychę, Deoana dopalacze, Paweł dopalacze i alkohol”. A sam Bart? Wszystko – poza LSD i heroiną, bo te uzależniają i sam, myśląc, jak jest inteligentny i zaradczy, uzależnia się

Duch Gaudiego

Duch Gaudiego to podróż poprzez niezwykłą Barcelonę i miejsca stworzone przez geniusza architektury dwudziestego wieku, Antonio Gaudiego. To opowieść sensacyjna z zacięciem kryminalnym. To również kolejna propozycja spod znaku Non Stop Comics, wydawnictwa, które zapewne chce się stać jedną z większych sił rodzimego przemysłu komiksowego. Warto nadmienić, że wydana niezwykle ekskluzywnie – w twardej oprawie, na dobrej jakości papierze.

Jedną z głównych bohaterek tej opowieści jest sprzedawczyni w pewnym, niewiele znaczącym supermarkecie, Antonia, która przypadkowo wpada na „ducha” Gaudiego – a raczej to on ratuje ją przed śmiercią pod kołami samochodu. Ta jednak wciąż za nim niejako podąża – Antonia staje się światkiem porzucenia, czy też podrzucenia jednej z ofiar mordercy i mimowolnie wpłtuje się w wir kryminalnych wydarzeń.

Tajemniczego mordercę z Barcelony tropi inspektor Calvo. Motyw jest szybko rozpoznawalny – ofiarami padają osoby w jakiś sposób ingerujące (niszczące czy też zmieniające) w dzieła Gaudiego, a miejsce mordu za każdym razem wiąże się z jedną z jego

budowli. Tak oto czytelnik poznaje przepiękne przestrzenie takich miejsc, jak: Casa Vicens, Pawilon Guell, Sagrada Família, Pałac Guell, Casa Calvet, Casa Batlló czy La Pedrera. Wszystkie one pokazują niezwykłą wizję architekta, wizję, która doprowadza współczesnego szaleńca do żądzy mordu i do kolejnych nieszczęśliwików. Policja musi walczyć z czasem i rozwiązać zagadkę, zanim kolejna osoba zostanie ofiarą mania-ka. Oto otrzymujemy coś na kształt opowieści spod znaku Dana Browna.

Jak po tym opisie widać, *Duch Gaudiego* to w gruncie rzeczy dość klasyczna opowieść kryminalna. Chociaż niestety wizualnie nie da się tego odczuć, mamy tu do czynienia z grozą i tajemnicą, w którą wmieszany jest także tytułowy duch geniusza – architekta, jak i stworzone przez niego niezwykłe przestrzenie.

Właśnie do strony wizualnej można mieć największe zastrzeżenia. Rysunki autorstwa Jesusa Alonso Iglesiasa są przyjemne w odbiorze; „krągłe”, nieco disneyowskie postacie, jak i cała przestrzeń, zdecydowanie jednak nie pasują do atmosfery, która powinna pojawiać się przy tego typu projekcie. Brak tu emocji



Duch Gaudiego

El Torres,

Jesus Alonso Iglesias

Non Stop Comics 2017, Katowice.

różnice głównych postaci u Hamsuna i Bukowskiego? Właściwie bezimienny – tylko raz jest przedstawiony – bohater Hamsuna jest kimś, kto walczy, ale w taki sposób, że wręcz irytuje, po prostu robi to mało zdecydowanie; myślę, że ktoś inny w jego sytuacji zachowałby się odmiennie – jak pisał św. Tomasz „do zachowania przyzwoitości potrzebne jest minimum dobrobytu”, a ten chce być przyzwoity, chce stwarzać pozory, bał, stwarza je, choć – na miły Bóg – tylko ślepy nie zauważyłby jego marnej kondycji. Ma – jak nam się zdaje – potencjał, ale szybko przestajemy wierzyć, że jest prawdziwym pisarzem, bardziej przypomina gryziopiórka piszącego dla chleba, niż kogoś, kto chce zmienić swoim dziełem świat. Zresztą, jego teksty to bardziej wytwory umysłu człowieka cierpiącego z powodu niedożywienia niż literatura piękna; chce napisać sztukę, ale nawet on zdaje sobie sprawę, że to nierealne. Henry Chinaski z książek Bukowskiego jest facetem zdecydowanym na wszystko – także wobec kobiet. Nawet głodny nie pozwalała sobą pomiatać; często obrywa i koniec końców przegrywa, ale

przynajmniej walczy. Lubi kłopoty, chętnie się w nie pakuje, a kłopoty same go szukają („Kiedy człowiek czuje, że potrzeba mu czegoś więcej, wtedy zaczynają się kłopoty” – napisał Bukowski). Krótko pisząc: nieudacznik Hamsuna jest głodny, a Bukowskiego spragniony – taka jest zasadnicza różnica między nimi. Myślę, że Jack London, pisząc *Martina Edena*, musiał znać powieść Norwega i robił wszystko, żeby jego bohater nie przypominał narratora *Głodu* – bo przecież historia do pewnego momentu jest podobna. Za to koniec jakże odmienny – przyznając: zakończenie u Londona bardziej mi się podoba.

Jeszcze jedno zalecenie – czytajcie *Głód* na czczo, a jeszcze lepiej na głodnego, bo oddawanie się lekturze tej książki przy niedzielnym obiadku albo po sutej kolacji byłoby obraźliwe wobec tej książki. ●

Knut Hamsun, *Głód*, przełożyła Anna Marciniakówna, Świat Literacki 2002.

Myśliwski przechodzi przez ucho igielne

O czym jest najnowsza powieść Myśliwskiego? A o czym może być, jeśli nie o tym, o czym są wszystkie jego książki: o odchodzeniu, o wyczerpywaniu się świata, o niespełnieniu, o zapominaniu, o znikaniu, o zaprzestaniu. Myśliwski pisze wciąż tę samą książkę, która jest rozpisana na wiele tomów; to opis świata, który był prosty, ale w inny sposób, niż dziś rozumiemy prostotę – wymagał od każdego znajomości niuansów. Teraz mamy wszystko podane na tacy, wystarczy zapłacić, a kiedyś trzeba było się postarać, pokombinować, zrobić samemu, a to zmuszało do skrupulatności i przestrzegania obyczajów, albo znajomości przepisów – na przykład na nalewkę ze śliwek węgerek albo na ciasto-topielec. Jeśli jesteśmy jeszcze młodzi, to nic nas nie uratuje, zestarzejemy się i nasze organizmy odmówią nam posłuszeństwa: John Maxwell Coetzee pisał, że śmierć to ostateczne stadium wyczerpania organizmu. Tak, umieramy ze zmęczenia, zmęczenia kilkudziesięcioma latami życia, albo w wyniku błędu w sztuce życia. Ale koniec jest zawsze ten sam. Nie zapominajmy też o miłości, bo Myśliwski nigdy o niej nie zapomina, a właśnie miłość, uczucie niespełnione, zmarnowane, taka miłość jest ważnym elementem najnowszej powieści autora *Traktatu o łuskaniu fasoli*. Co się stanie, jeśli ją przegapimy, albo tak się ułożymy, że miłość – jak burza – przejdzie obok nas? Może całe nasze życie będzie bez sensu, bo będzie wypatrywaniem tego, czego już wypatrzyć się nie da – na nic kariera zawodowa zwieńczona tytułem profesora historii, na nic zaszczyty, na nic dobra materialne – wszystko na nic, bo jej nie ma. Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż ktoś, kto nigdy nie kochał, zazna szczęścia – można by w kontekście tej powieści zinterpretować znany wers z Biblii.

Ucho igielne to nie jest najlepsza książka Myśliwskiego. Gdzie jej do *Kamienia na kamieniu* czy *Widnokręgu*, bliżej może do *Ostatniego rozdania*, ale nawet nieco słabsza książka Myśliwskiego jest książką wielką, bo podejmując istotne kwestie; wszak autor niczego

już się nie obawia, z nikim się nie ściga, nikomu niczego nie musi udowadniać. Dlatego może na bohatera wybrać starca i skonfrontować go z nim samym, tylko w wersji 50 minus, może nawet się nad starością pastwić (bał starców, którego opis w *Uchu igielnym* przywołuje na myśl średniowieczne wizerunki tańców śmierci) – wolno mu, bo potrafi to napisać w przejmująco prostym stylu. Kiedy Myśliwskiego zabraknie, będziemy za nim tęsknić, tak jak tęsknimy za dobrymi czasami, za młodością, za naturą, od której się oddaliliśmy, za tradycją, o której zapomnieliśmy, za radością z prostego życia, której już nie odczuwamy; teraz wszyscy mamy w głowach bajzel, świat jest popierdolony i po prawdzie nie ma nic na usprawiedliwienie swojego istnienia. Bóg dałby nam już dawno potężnego kopa w dupę, gdyby nie tacy, jak Myśliwski, niedobitkowie, którzy ratują dobre imię literatury, a tym samym – nie bójmy się tego słowa: ludzkości. Niedługo pozostaną wyłącznie nudni frustraci, żenujący palanci i słodkie idiotki robiące sobie na każdym kroku fotki do wrzucenia na Instagram. Świat ukrótce się skończy, bo nawet Bóg ma ograniczone pokłady cierpliwości. Czego, jak czego, ale tego jestem pewien – znikniemy; a ten koniec nie będzie spektakularny; będzie przypominał zgaszenie światła. Pstryk – i koniec. Czyli tak, jak kończy się życie każdego z nas.

Uzmysłowiwszy sobie, że *Ucho igielne* to prawdopodobnie ostatnia książka Myśliwskiego, kończąc lekturę powieści, czułem się, jakbym się żegnał z przyjacielem...

PS Kiedyś Henryk Grynberg napisał w *Dzienniku*, że w skądinąd wielkiej książce, za jaką uważa *Kamień na kamieniu*, zabrakło mu świata żydowskiego, który przecież w czasach, o których pisał Myśliwski, był mocno obecny w życiu polskiej wsi. Pamiętam, jak zabolowała mnie ta uwaga, bo była słuszna; cieszę się, że w *Uchu igielnym* taki wątek się pojawił i odgrywa istotną rolę. ●

Wiesław Myśliwski, *Ucho igielne*, Znak, Kraków 2018.

się wysługiwać tymi, z którymi wcześniej walczył – na przykład pisząc historię Zakładów Naftowych na Szetlandach. Posypało mu się również życie rodzinne. Ni stąd, ni zowąd dostał ofertę napisania biografii legendarnego, acz tajemniczego ekologa Hamisha Melville’a, który zasłynął w całym świecie z walki o środowisko naturalne. Mabbut zdaje sobie sprawę, że to nie tylko jego temat, ale i szansa, jaka trafia się raz w życiu – tym bardziej że wydawca oferuje znakomite warunki finansowe; bohater żywi nadzieję, że nie tylko się odkuje, ale odzyska również szacunek do samego siebie, a kto wie, może i wróci do niego żona Krystyna

– Polka, matka jego dwójki dzieci, która chce rozwodu. Niby wszystko układa się dla niego dobrze, udaje mu się wkupić w łaski nieuchwytnego Melville’a, ale potem okazuje się, że tytułowa prawda nie jest taka, jak mu się zdawało. Wtedy tak naprawdę zaczyna się *Prawda*. A jaka jest prawda? Skomplikowana i na ogół inna, niż nam się na początku zdawało. ●

Michała Palin, *Prawda*, przełożyła Olga Siara, wyd. Insignis Media, Kraków 2013.

Bukowski, czyli jak pisać Gówno

Myslałem naiwnie, że nie można już niczego więcej wydusić z Bukowskiego. Tymczasem on, trup już od dobrej ćwierci wieku, a wciąż jeszcze można na nim zarobić, jeszcze coś jego autorstwa wygrzebać w szufladzie, odnaleźć w jakimś starym, zatęchłym pliku komputerowym. Te wywiady czyta się dość dobrze, niektóre mniej mi się podobają, od czasu do czasu Bukowski się powtarza, ale na miły Bóg, kto się nie powtarza, nawet Bóg się powtarza; nie wierzycie, zajrzyjcie do Biblii, toż to powtórka na powtórce. Mamy więc: alkohol, baby, wyścigi, pisanie i kontrolowany wkurw na rzeczywistość społeczno-polityczną; nie ma tu chyba niczego, czego byśmy o autorze *Faktotum* nie wiedzieli, ale to jak ze starym znajomym, z którym umówiliśmy się na piwo – gada to samo od trzydziestu lat, bywa nawet, że od rzeczy, ale to nieistotne, bo dobrze nam się z nim gada, a jeszcze lepiej pije – i tyle. No chyba że ktoś jest bardzo wymagający i oczekuje czegoś ekstra. Taki niech sobie kupi vibrator i wsadzi tam, gdzie by mu go wcisnął stary dobry Charles, gdyby jeszcze coś wciskać mógł.

Mimo więc, że wszystko to skądś już znałem, parę rzeczy ubawiło mnie, jakbym się z nimi spotkał pierwszy raz. Na przykład kilka zdań o krytykach i motywacjach, jakimi się kierują: „Krytycy mnie bawią. Lubię ich. Miło ich mieć w pobliżu, ale nie wiem, jaka jest ich właściwa funkcja. Może aby bili swoje żony”. Bliska mi jest jego opinia o barach, ale już z późnych lat: „Obecnie zachodzę do barów tylko żeby się odlać”;

pewnie z tej racji, że mam podobnie, wolę napić się w domu – po pierwsze taniej wychodzi, a po drugie – tak jest milej, gdyż już mi się znudziło słuchanie historii życia bywalców, bo to jest ta sama historia rozpisana na wiele głosów. Albo podstawowe zalecenie pisarskie Buka: „Moja jedyna zasada brzmi: Musisz Pisać Gówno, Żeby Pisać Dobrze”. Tyle tylko, że bez wrodzonych predyspozycji i odpowiedniego trybu życia i tak nic z naszego pisania nie wyniknie: „Pisarz musi być indywiduum, musi być jakiegos rodzaju potworem. Trzeba stać twardo na nogach. Nie łączyć z innymi” i „Sympatyczni ludzie nie są zbyt dobrymi twórcami (...) Poeta, jak nikt inny, musi zostać wykuty w ogniu przeciwności”. Problem w tym, że dobrzy pisarze się „wypisują” – jak Salinger: „Ci dobrzy przestają – kiepscy piszą dalej”. O sobie samym, jak zwykłe, mówi bardzo skromnie: „Przeważnie jestem kiepski, ale kiedy jestem dobry, jestem cholernie dobry”. Przyjaciół niedawno przyznał mi się, że nie polubił pisarstwa Bukowskiego. Myślę, że za późno się za niego zabrał; po Bukowskiego trzeba sięgnąć około dwudziestki, bo potem człowiek sam dochodzi do podobnych wniosków, co Charles, więc nie ma już zabawy. ●

Charles Bukowski, *Świecie, oto jestem. Wywiady i spotkania, 1963–1993*, pod redakcją Davida Stephena Calonne’a, tłumaczył Maksymilian Tumidajewicz, wyd. Replika, Zakrzewo 2018.

Głodnemu nie tylko chleb na myśli

Oczywiście, pamiętamy mu jego starczą demencję i poparcie udzielone Vidkunowi Quslingowi i Hitlerowi. Niech rzuci w niego kamieniem ten, kto jest pewny, że na starość nie zacznie się zachowywać irracjonalnie; Hamsunowi i tak odbiło dość późno. Mało to mamy zresztą podobnych przykładów, a Louis-Ferdinand Céline to co? A tabuny pisarzy w krajach naszej szerokości geograficznej zakochanych w Stalinie? Dajmy już spokój z czepianiem się Hamsuna, czytamy jego *Głód*, który ponad sto dwadzieścia lat po wydaniu nareszcie ukazał się w polskim tłumaczeniu – z oryginału, a nie z inne-

go języka. Tak się składa, że Hamsun to jeden z ulubionych autorów wcześniej wspomnianego Bukowskiego. I nie ma w tym nic dziwnego, bo rzeczony *Głód* opowiada historię kogoś, kto – gdyby dokonać pewnych modyfikacji – mógłby być bohaterem Bukowskiego. Jest nim młody samotny mężczyzna, intelektualista, czujący się niezrozumianym i niejako wyjętym poza nawias społeczeństwa XIX-wiecznej Chrystianii (obecnie Oslo); mamy w tej książce do czynienia z wczesną wersją strumienia świadomości – bohater analizuje myślach sprawy wielkie, jak miłość, i błahe, jak guziki. Na czym polegają podstawowe

kilkadziesiąt lat zaginęła. Dopiero niedawno Łukasz Wierzbicki niejako odkrył Kazimierza Nowaka, a książka, o której globtroter sprzed 80 lat marzył, wreszcie się ukazała; tom reportaży Nowaka miał wiele wydań, i ja się załapałem na najnowsze, w którym znalazły się teksty, do których Wierzbicki dotarł w ostatnim czasie. Mam nadzieję, że Kazimierz Nowak doczeka zasłużonej sławy międzynarodowej! To już się dzieje! *Rowerem i pieszo przez Czarny*

Ląd wydana została po angielsku, a polski wydawca publikuje kolejne jego książki, np. obszerny, bo trzytomowy, zbiór listów do żony, które Nowak pisał z Afryki. ●

Kazimierz Nowak, *Rowerem i pieszo przez Czarny Ląd*, Wyd. Sorus, wyd. I, 2000 r. (aktualnie sprzedawane jest już VII wydanie).

11 dni, które wstrząsnęły Anglią

Zastanawiająca historia, która dowodzi, że nieszczęśliwa kobieta jest gotowa na wszystko; Agatha Christie, słynna autorka kryminałów m.in. o detektywie Herkulesie Poirot i pannie Marple, zdradzana przez męża, Archiego, postanowiła zrobić mu numer; 3 grudnia 1926 roku, wieczorem, Christie wyszła z domu w hrabstwie Berkshire. Następnego dnia w hrabstwie Surrey odnaleziono jej samochód, a w nim futro Christie, jej torebkę z dokumentami i pieniędzmi. Pisarka zniknęła – na jedenaście dni. Poszukiwały jej tysiące policjantów i chyba jeszcze więcej wolontariuszy oraz tabun dziennikarzy. Tymczasem ona zakamuflowała się w luksusowym pensjonacie w popularnej miejscowości uzdrowiskowej – cóż za subtelna ironia! – pod nazwiskiem kochanki swego męża, bawiła się, czytała książki. Kiedy ją odnaleziono, tłumaczyła się utratą pamięci. Mało kto jej wierzył, wielu uważało, że uczyniła to po to, żeby jej książki lepiej się sprzedawały; ta historia odcisnęła się piętnem nie tylko na jej życiu, które w momencie stało się tematem rozmów i sporów dla całej Anglii, ale także na twórczości. Autor książki, Jared Cade, który zwyciężył w konkursie – jakiejś angielskiej mutacji Wielkiej Gry z tematu dotyczącego życia i twórczości Agathy Christie, wykazał się

detektywistyczną docieklivością, którą pozwoliła mu drobiazgowo odtworzyć nie tylko to, co działo się z pisarką podczas jej zniknięcia, ale także wyjaśnić motyw jej działania i ich skutki. Sama Agatha – poza jednym wywiadem – nigdy nie wracała do tej sprawy – a jednak Jared Cade znalazł jej tropy w powieściach i opowiadaniach pisarki. Czyta się tę książkę z zainteresowaniem, bo autor nie dość, że pisze ciekawie i sprawnie, to nie nudzi zbyt szczegółowym analizowaniem książek Christie. Poza tym jakoś inaczej patrzę teraz na autorkę *Dziesięciu murzynków* i jej książki; chyba jest mi bliższa, wydaje się bardziej ludzka. Choć jeśli chodzi o tempo, w jakim pisała, to ludzkie nie było – napisanie powieści zabierało jej od półtora do góra trzech miesięcy, a jedną z powieści, które wydawała pod pseudonimem Mary Westmacott, upichciła w trzy dni! Jeszcze uwaga do redaktora książki: ulubionym sportem Agathy Christie – jak przystało na Angielkę – był krykiet, a nie krokiet, jak wielokrotnie widnieje w książce – krokiety to naleśniki z farszem. ●

Jared Cade, *Agatha Christie i jedenaście zagubionych dni*; jak to W.A.B ma w zwyczaju, nie podaje daty wydania.

Gertrudo, prawda to bardzo skomplikowana rzecz...

Powyższym cytatem z *Idealnego męża* Oscara Wilde'a zaczyna się druga powieść Michaela Palina, komika, członka grupy Monty Python, która zrewolucjonizowała dwudziestowieczny kabaret. Palina cenię za wszechstronność; jest z wykształcenia historykiem i to z dyplomem Oxfordu, a poza tym – obok Johna Cleese'a – to najmłodszy wśród Pythonów, niezrównany w rolach kobiet, który dał się też poznać z cykli filmów podróżniczych nagrywanych na zlecenie BBC. Okazał się również wybornym pisarzem – jego pierwsza powieść – *Krzesło Hemingwaya* przypadła mi do gustu, bo choć z pozoru jest dość błaha, wszelako ma w sobie urok nostalgicznej fabuły o świecie, który odchodzi, a po prawdzie już odszedł. W *Krzesle*.. mamy to wszystko, co składa się na dość schematyczną, ale uwielbianą przez wielu opowieść o dawnej Anglii: mamy małą pocztę, człowieka zafascynowanego osobą wielkiego pisarza oraz bezdusznych przedstawicieli technokracji, któ-

rzy nie spoczną, nim nie zniszczą tego, co tradycyjne. Czytało mi się ją gładko, nie bez satysfakcji, więc kiedy w markecie w koszu z przecenionymi książkami dostrzegłem kolejną powieść Palina, która ukazała się kilkanaście lat po *Krzesle Hemingwaya*, nie zawahałem się i ją nabyłem. *Prawda* napisana została sprawnie i z humorem, ale takim z klasą, bo Michael Palin jest tym typem Anglika, jakiego chciałoby się spotkać, w przeciwieństwie do tych, na których natknąć się można na przykład w krakowskich barach. Traf chciał, że *Prawdę* Palina wyhaczyłem akurat, gdy głośno się u nas zrobiło w związku z budową zamku w Puszczy Noteckiej. Wiadomo, o co chodzi: czołowi polscy działacze ekologiczni ni stąd, ni zowąd wsparli budowę drugiego Malborka na terenach obszaru chronionego Natura 2000. Książka Palina jest właśnie o tym – o odzieraniu ze złudzeń; główny bohater, Keith Mabbut, dziennikarz ceniony za ostre proekologiczne artykuły, z czasem zniżył loty i zaczął

BĘDZIE INACZEJ

Tak właśnie, będzie inaczej i, jak sądzę, ta zmiana wszystkim wyjdzie na dobre. Mówiąc wprost – od teraz moje recenzje będą krótsze niż do tej pory. Wiem, wiem, niektórzy lubią długie teksty, ale doszedłem do wniosku, że pisanie obszernych i unikliwych re-

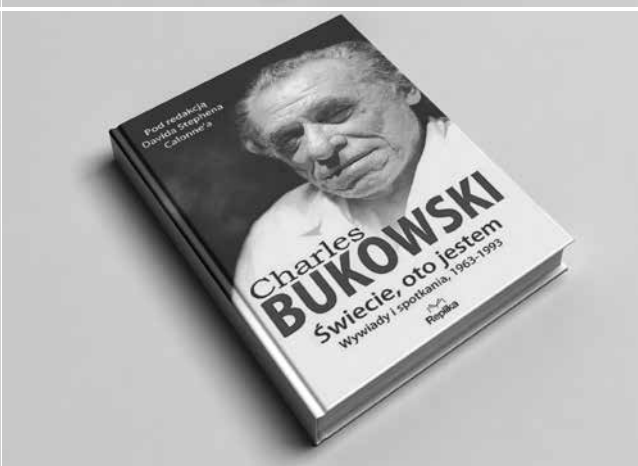
cenzji jest jak seks analny – wszyscy są ciekawi, ale mało kto się na to decyduje. A poza tym na ogół nie mam czasu, ochoty, ani powodu być zanadto unikliwym.

Afrykańskie szaleństwo

„Wyczyn Kazimierza Nowaka zasługuje na to, by jego nazwisko znalazło się w słownikach i encyklopediach, by było wymieniane obok takich nazwisk, jak Stanley i Livingstone. Kazimierz Nowak był człowiekiem o ogromnej wyobraźni i odwadze, człowiekiem nieustraszoną. Pokazał, że jeden biały człowiek, zupełnie bezbronny, nieposiadający żadnego uzbrojenia, a jedynie wiarę w drugiego człowieka, może przeżyć samotnie wielki kontynent, i to w czasach, gdy Europa zaczynała dopiero odkrywać Trzeci Świat i jego mieszkańców. Tylko ktoś, kto zna te rejony, gdzie podróżował Kazimierz Nowak, i sposób, w jaki to zrobił, może docenić to bohaterstwo połączone z niezwykle skromnością. On się nie chwalił, on po prostu opisywał, co widział”. (Ryszard Kapuściński)

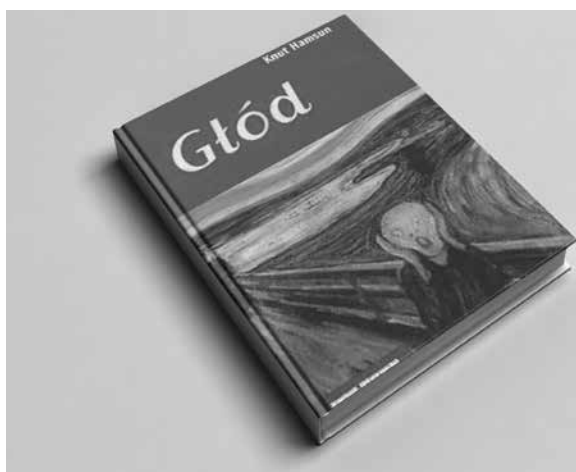
Ależ mi ten człowiek zaimponował! Chuchro takie z wyglądu, bida z nędzą, która porwała się z motyką na Księżyc! I, wyobraźcie sobie, pokonała ten Księżyc! Niech się schowa mitoman Ryszard Kapuściński, co to sobie wymyślał osoby, zdarzenia i akurat nie do końca „opisywał to, co widział”, i choć przyznać trzeba, że pisarzem był wielkim, toć – dalibóg – nie był prawdziwym reporterem! Niech zapadnie w niepamięć pierdoła Tony Halik, co to był wszędzie, wszystko odkrył i zostawił po sobie legendarne zdanie: „Byłem tu – Tony Halik”, więc po nim już właściwie niczego badać nie trzeba! Niech się wreszcie Bear Grylls zatrue jakąś larwą, zdechłym szczurem albo którąś z własnych wydzielin, zjedzoną przed kamerą ku radości wpatrzonych w niego, jak w obraz, wielomilionowej publiki – wszyscy oni to cienkie bolki przy Kazimierzu Nowaku! Coś niebywałego, czego ten gość dokonał! To się w głowie nie mieści! Brak słów! Facet w 1931 r. wziął rower i poprzez Włochy wybrał się na rowerową przejażdżkę do Afryki, i to nie tylko gdzieś tam pojeździć sobie po nadmorskich bulwarach Morza Śródziemnego – on przejechał na tym rowerze Afrykę wzdłuż – zaczynając od Libii, przez Egipt, Sudan, Kongo Belgijskie, Zambię, dotarł do Kapsztadu i Przylądka Igelnego, potem znów wybrał się w górę Afryki, poprzez Namibię, Angolę, zaś Kongo Belgijskie, Francuską Afrykę Równikową i Zachodnią dotarł do Algierii (część powrotnej drogi pokonał konno, a licząc 1200 km trasę po rzece Kassai przepłynął łódką dłubanką „Maryś”, by Saharę przebyć na wielbłądzie, a ostatni odcinek trzecim z kolei rowerem – dwa

wcześniejsze zajeżdżał). To, co ten człowiek przeżył, to prawdziwa szkoła przetrwania: insekty i robaki, ataki dzikich zwierząt (Nowak masajską dzidą zdołał położyć lwa), głód, upał i chłód, mordercze pragnienie, choroby z malarią na czele, śmiertelne zmęczenie, brak pieniędzy – to był dla niego chleb powszedni w ciągu tych pięciu lat, jakie zajęła mu droga przez Afrykę. Wszelako najgorsze, z czym się spotkał, to problemy urzędnicze z wizami, ze zgodami władz, opłatami za wizy... Nie miał problemów z ludźmi, z czarnymi mieszkańcami Afryki, nawet z ludożercami, bo zjednywał ich sobie tym, że nie wywyższał się, nie stroił w piórka kolonizatora. Niezwykle mądry i prawy człowiek, który widział, że taka Afryka, kontynent niesprawiedliwości społecznej, ucisku i wyzysku, niedługo podniesie głowę i wypędzi kolonizatorów (stało się tak ok. ćwierć wieku później – w samym tylko 1960 r. aż 17 krajów Afryki wybiło się na niepodległość). Pisał: „Kolonie mimo szumnych nazw typu »zamorska Francja« nie są ziemią narodowymi. Narody, które posiadały te dalekie kraje, nie mogą uważać się za odkrywców (wiemy, że Belgowie nie odkryli Konga) ani nawet zdobywców, bo zdobywano kolonie grupą międzynarodowych awanturników i szczepami tubylczymi, a imprezę finansowały banki, prywatne przeważnie” s. 326). Pochyla się z troską nad losem biednych tubylców, opisuje ciężką dolę kobiet, okaleczanych dla nieludzkich zwyczajów (wybijanie zębów, wycinanie łechtaczek), sprzedawanych za garść tytoniu kolonizatorom na „żony”, wnet porzucanym i kończącym w burdelach; dzieciom, które nie mają przed sobą przyszłości. Opisuje chorych i ciepiących na trąd i inne tropikalne choroby... Nowak wybrał się na tę eskapadę, bo raz, że marzył o niej od dziecka, a dwa: szukał źródła dochodu dla rodziny w czasach, gdy trwał światowy kryzys – wysyłał do gazet relacje z tej podróży, ale środki, jakie w ten sposób pozyskiwał, były nadzwyczaj skromne i nie wystarczały nawet na wyprawę. Pięć lat poza domem – obawiam się, że tak długie rozstanie mogło być zabójcze dla jego małżeństwa. Zrobił to, co sobie zamierzył, wrócił do kraju, zdążył jeszcze jakieś spotkania zorganizować, podczas których opowiadał o Afryce, ale wnet się rozchorował i w październiku 1937 r. umarł. Na początku lat 60. córka Nowaka wydała album ze zdjęciami z wyprawy ojca, ale pamięć o tym niezwykłym człowieku na



Erasm Furman › Recenzje

Afronty Furmana



Jeszcze nie czas

Urodzona w Nowym Sączu Weronika Gogola, tłumaczka z języka słowackiego i ukraińskiego, absolwentka ukrainistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, debiutuje autorską książką prozatorską; *Po trochu* jest zbiorem dwunastu opowiadań, rozdziałów, a właściwie jedenastu, gdyż ostatni jest pusty (ale o tym później). Dwanaście rozdziałów utożsamiających dwanaście godzin życia zmierzającego ku nieuchyb-nemu końcowi. Życia, a zarazem i śmierci, czuwania przy zmarłym w ostatniej godzinie.

Debiut prozatorski Gogoli jest – jak to ujęła Justyna Sobolewska – „debiutem brawurowym”. Czy owa brawurowość bierze się z barwego, niekiedy aż nadto, opisu rzeczywistości? Czy wynika z dorastania, dojrzewania odbywającego się na przestrzeni epok historycznych, ważnych dla świata? A może istnieje trzeci typ brawurowości, o której nie wiemy, a ujawni się on dopiero po dogłębnym poznaniu powieści? Jeżeli weźmiemy pod uwagę pierwszą tezę, to odpowiedź na nią będzie prawdopodobnie mało atrakcyjna, gdyż przywoływanie co rusz tych samych, prostackich wyrażań, pomimo że „u nas w domu się nie przeklina”, jest nadzwyczaj nieeleganckie i nie ma nic wspólnego z brawurowością. Drugie kryterium byłoby nieco lepszym wyjściem, ale i tutaj odnajdujemy masę niedopowiedzeń i kolokwializmów. Z pewnością biorą się one z prostoty zastosowanego w powieści języka i ogólnie przyjętego stylu mówienia „na co dzień”, lecz nie powinno stać się to żywotnym celem głównej bohaterki, dziewczynki, która nie ma jeszcze nadrzędnych aspiracji. Jeżeli natomiast kierować się trzecim kryterium wyboru – być może trzeba by wyjątkowo długo i wytrwale wpatrywać się w tekst, aby odszukać w nim coś poza tym, co widać i co da się w prosty sposób rozszyfrować.

Co do głównej bohaterki, doświadczamy czegoś na kształt teatru cieni wynikającego z osobistego zrelacjonowania fabuły powieści. Weronika „na żywo” i poprzez dziecinny reportaż przekazuje czytelnikowi, co w danej chwili, albo w niedalekiej przeszłości, wydarzyło się w Olsznych, bądź w najbliższej okolicy. Jej naiwny styl przywołuje na myśl wiele dziecięcych postaci bawiących się w przydomowych piaskownicach, na zapuszczonych placach zabaw i wychowywanych w wiejskim środowisku. Dzieci w jakimś stopniu rozumieją, co się wokół nich dzieje, ale nie potrafią wyjaśnić zachodzących zjawisk, i co ważniejsze, nawet nie próbują ich zrozumieć.

Powieściowa Weronika jest swego rodzaju przewodniczką zarówno po świecie żywych, jak i umarłych. Dorastaniu dziewczynki towarzyszy śmierć. Ludzie nie są przez nią (śmierć) traktowani na równi, gdyż jednych – jak wujka Franka – zabiera szybko i bez zbędnych ostrzeżeń, ponieważ: „Przychodzi pięćdziesiątka, Gogole stoją albo siedzą i z niczego nic, nagle przewracają się i umierają. Zawsze w pracy”, innych zaś omija, mimo że się o nią modlą. Oczywiście umierają również zwierzęta: kozy, świnię, młode kocięta. Znamienne, że ich śmierć Weronika przeżywa dużo mocniej niż zgony ludzi.

W wyniku powikłań po odrze Weronika jest hospitalizowana; w szpitalu dziewczynka szuka rozwiązania zasadniczych problemów. Oddajmy głos bohaterce: „Wyobrażałam sobie, że w głowie, w środku, mam ogromny tor żużlowy, taki jak ten w Tarnowie, i że po tym torze toczą się wielkie opony, które ktoś podpalił. (...) nie potrafiłam połykać tabletek. Po prostu nie potrafiłam. (...) Trzeba włożyć tabletkę pod język, a potem popić wodą, ale nie myśleć o tym, że ta tabletkę jest pod językiem, tylko połykać jak gdyby nigdy nic”. Naiwność i niewiedza wpływają na ocenę sytuacji i brak właściwego jej osądu. Opony żużlowe nie są podobne do opon żużlowych motocykli. Dziecko nie zdaje sobie z tego sprawy i wysuwa nierealne wnioski.

Wracając do początkowego akapitu. Napisałem, że w powieści jest dwanaście rozdziałów, a przecież jest ich właściwie... jedenastu. Otóż rozdział po rozdziale przyglądamy się konkretnym postaciom ludzkim bądź zwierzęcym. W ostatnim, dwunastym, pozostawiona jest pusta kartka. Co to ma znaczyć? Czy to miejsce dla czytelnika? Czy może jest zarezerwowane dla autorski *Po trochu*? Albo to nienapisany rozdział o dalszych losach ludzkości, jej ostatecznym końcu, którego nie jesteśmy w stanie przewidzieć?

Na okładce napisano: „I właśnie tak jak w zwykłym życiu, o najważniejszych sprawach i o tych całkiem zwyczajnych, które zna każdy”. O takich sprawach mówi Gogola, niekiedy drażniąc, nachalnie, obcesowo, a niekiedy z polotem, z młodzieńczą werwą i naiwnością. Ciekawe, jak rozwinie się kariera trzydziestoletniej pisarki? Na pewno życzyć jej trzeba, by trwała dłużej niż magiczna dla Gogolów pięćdziesiątka. ●

Weronika Gogola, *Po trochu*, Wydawnictwo Książkowe Klimaty, Wrocław 2017.



Dekameron naszych czasów

Żyjący w XIV w. Giovanni Boccaccio stworzył nieśmiertelne dzieło – *Dekameron*. Fabuła jego powieści jest spletem powiązanych ze sobą opowieści, nowel, przenikających się i kooperujących ze sobą. Boccaccio nie jest wyłącznie biernym nośnikiem opowiadanej przez siebie historii. Jego ponadczasowy utwór ma nie tylko bawić, ale przede wszystkim moralizować, erudytyjnie nakazywać, co należy czynić, by stać się człowiekiem prawnym, a czego czynić nie przystoi.

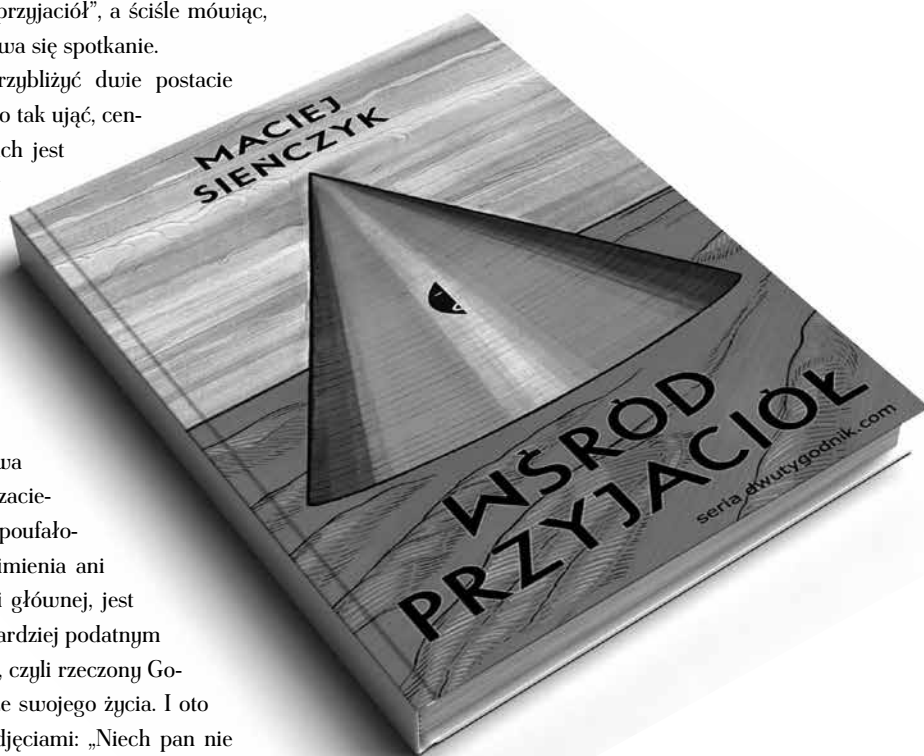
Boccaccio próbował referować wartości uniwersalne jak: przyjaźń, miłość, radość, ale również sentymentalizm i nostalgia. Kontynuatorem powziętej przez włoskiego pisarza drogi, lecz zupełnie w odmiennej otoczce kulturowo-obyczajowej, jest Maciej Sieńczyk; autor *Wśród przyjaciół*, urodzony w 1972 roku, rysownik, ilustrator, twórca komiksów. Wielowątkowy debiut Sieńczyka to niewątpliwie zbiór nieprzeniknionych przeżyć. Czytając tę książkę, miałem nieodparte wrażenie, jakoby był na zlocie fanów przygód „na żywo”, obytych w świecie inteligentów, którzy nie potrzebują pokarmu do przetrwania, a za pożywienie służą im zasłyszane, bądź zaobserwowane opowieści. Z rozwijających się po sobie strzępków wyłania się obraz świata mało rzeczywistego, świata, który ukryty jest „wśród przyjaciół”, a ściślej mówiąc, w domu Gospodarza, w którym odbywa się spotkanie.

Przechodząc do sedna, warto przybliżyć dwie postacie nadrzędne, wyznaczniki, jeśli można to tak ująć, centralnego biegu historii. Pierwszą z nich jest narrator, roboczo nazwijmy go 1. Ów człowiek, jak sam o sobie mówi, ma lat „nieco ponad czterdzieści, ale wyglądam na pięćdziesiąt”. Powód jego pojawienia się jest dosyć prosty: „Jakiś czas temu znajomy zaprosił mnie na imienniny, a że był prawie kimś z rodziny, nie mogłem odmówić”. Początkowa nieufność z czasem ustąpiła miejsca zaciekawieniu, uwadze, a nawet „zbytniej poufałości”. Narracja 1 – nie nazwanego z imienia ani nazwiska – stanowi wstęp opowieści głównej, jest on najwierniejszym słuchaczem, najbardziej podatnym na słowa Gospodarza. Drugi narrator, czyli rzeczony Gospodarz, co rusz wspomina historie ze swojego życia. I oto np. czytamy o zapachu albumu ze zdjęciami: „Niech pan nie wacha zbyt łapczywie, bo pamięć wieczorów spędzonych z babką uleci”. Niemal czując woń starych spłowiałych fotografii, wpadamy w trans, a wtedy jesteśmy w stanie ogarnąć niezmiernieść babcinego żywota. Innym znowuż razem snuje ciekawą gawędę o fasoli: (...) „To biała fasola zastępuje mi słońce paluszki. Lekko

przyprószone solą, zawiera w sobie tyle barw i zapachów, ile ziaren. Niedogotowana jest chrupiąca, a mięsz przypomina zielone jabłko. Fasola chora, z ciemnymi plamami, smakuje jak mięso”. Mam tu niewątpliwie nawiązanie do biblijnej przypowieści o siewcy, w nieco, rzecz jasna, unowocześnionej formie.

Przyjaciele, przyjaciółki, znajomi – oni wszyscy są powiernikami zarówno dobrych, jak i złych emocji. A przynajmniej powinni być, i tak chyba jest w mniemaniu narratora książki Sieńczyka. W przeciwieństwie jednak do autora *Wśród przyjaciół* mam zgoła odmienne wrażenie i myślę, że przyjaciele nie spełnią naszych oczekiwań do końca; może prawdziwi przyjaciele, ale kto ich ma?

Nie sposób jednoznacznie ocenić książkę Sieńczyka. W mojej opinii ma odczyn obojętny. Wydaje mi się, być może pochopnie, że pokazuje pewien stopień rozkładu literatury, jaki u nas obserwujemy. Na pewno byłoby lepiej, gdyby została podzielona na rozdziały, ze względu na kategorie rozmów toczonych przez bohaterów. W obecnej postaci jest czytelna i godna uwagi, lecz nie zawiera przesłania, które niejako powinna dziedziczyć, jeżeli wzoruje się na *Dekameronie*. ●



Maciej Sieńczyk, *Wśród przyjaciół*, Czarne 2016.

Mapy wewnętrzne

„Bułgaria, Republika Bułgarii, państwo położone w południowo-wschodniej Europie. Graniczy od północy z Rumunią, na południowym wschodzie z Turcją, na południu z Grecją i na zachodzie z Serbią, Czarnogórą oraz Macedonią” – tak w encyklopedii opisano kraj nad Morzem Czarnym. Kraj, który od stuleci próbował zidentyfikować własną tożsamość, odrębność zarówno językową, kulturową, zwyczajową, jak i polityczną. Nie była to jednak sprawa prosta. Długowieczne podporządkowanie Turcji, a następnie oddanie się w ręce Rosji, nie sprzyjało odzyskaniu niepodległości. I pomimo że ta formalnie nastąpiła 22 września 1908 roku (proklamowana niezależność od Imperium Osmańskiego), minęło ponad osiemdziesiąt lat, nim Bułgaria de facto odzyskała upragnioną wolność.

W tym kraju, pełnym z jednej strony niesamowitych ekonomicznych kontrastów, a z drugiej przepięknych widoków, pojawił się w lipcu 2009 roku Artur Nowaczewski. Swoje spostrzeżenia z poczynionej podróży spisał w kronice wydarzeń zatytułowanej *Hostel Nomadów*, niestrudzenie brnąc po niegościnnym skalnym terytorium: „Oto jedne z tych miejsc granicznych, gdzie dusza wylewa się z ciała i łączy się z górami, przestrzenią obłoków” – zapisze autor.

Nowaczewski nie znalazł się w Bułgarii przypadkowo, chociaż jego wyprawa miała w sobie coś z przypadku. Przybył do Bułgarii w celu odwiedzenia starego przyjaciela z czasów pobytu w Korei Północnej – niejakiego Jordana – człowieka, który podobnie jak on był „jedynym” przedstawicielem swego narodu w azjatyckim państwie. Rzecz jasna, wizyta u Jordana była zaledwie częścią znacznie szerszej zakrojonego planu. Nowaczewski postanowił przejść pieszo cały kręgosłup Bułgarii, nie omijając po drodze żadnego szczytu, wzniesienia, doliny. Za schronienie miał wysłużony namiot, a w wypadkach ekstremalnych – górskie schroniska, hotele nomadów, miejsca odpoczynku strudzonych wędrowców.

Podczas górskich wojaży poznawał ludzi, kraj i obyczaje tego narodu. Bułgaria go oczarowała. Z kolei on utapiał się w nią; nie była już dla niego obca, pozbawiona ducha: „Dla Charlesa choćby taka Bułgaria była jedynie kilkudniowym epizodem. Dla mnie stawała się intymnie bliska; była jak kobieta, dla której należało zapomnieć o dawnych miłościach i skupić się wyłącznie na niej” – pisze Nowaczewski z nutką nostalgii. Pragnął, jak dalej wspomina, „żyć się z tą ziemią i jej ludźmi, wsłuchać w ich sprawy, marzenia, opowieści”, słowem – być jednym z nich, oddychać tym samym powietrzem, spożywać te same pokarmy, pić rakiję i godzinami patrzeć w gwiaździste niebo.

Książka Nowaczewskiego nie jest jednak tylko sielankowym wyo-

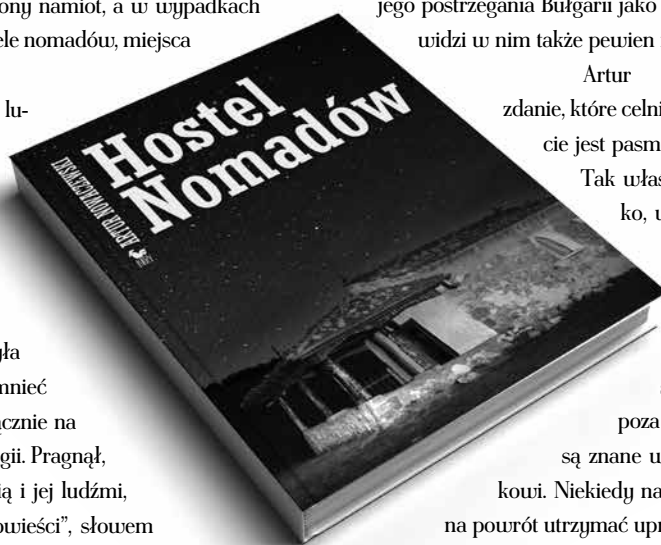
brazeniem rzeczywistości „złotych piaszków”. Jej struktura jest o wiele bardziej złożona i wielowymiarowa. Obraz idylli trwa niemalże do połowy *Hostelu Nomadów*. Dalej mamy omawianie kolejnych aspektów z dziejów Bułgarii; jej trudnej historii naznaczonej bratobójczymi walkami, niepotrzebnymi i tragicznymi w skutkach decyzjami, poszukiwaniami narodowej dumy, bo: „Nowo stworzona Bułgaria została zbudowana na nazwiskach bohaterów, powstańców kwietniowych, odrodzeniowych działaczy”. Dzisiejsza Bułgaria jest, zdaje się, bezpieczną przystanią, zamieszkałą przez żyjących obok siebie w przyjaźni muzułmanów, chrześcijan, Cyganów i przedstawicieli jeszcze wielu innych wyznań. Ten spokój jest tylko pozorny. Pod fasadą wzajemnych uśmiechów kryją się odwieczne waśnie, niezabliźnione rany. Z rozmowy z „tamtejszym pesymistą” wynika, że Bułgarię czeka prędzej czy później wojna domowa. Drugi rozmówca uspokaja Nowaczewskiego, że „to tylko takie gadanie”, ale najwyraźniej coś wisi w powietrzu, gdyż sam autor *Trzech miast, trzech pokoleń* jest świadomy grożącej katastrofy.

Nowaczewski jest inteligentnym autorem, który łatwo nawiązuje znajomości i potrafi rozmawiać. Człowiek traktowany jest przez niego jako potencjalny słuchacz, przekaziciel opowieści. Ludzka pamięć nie jest wszelako doskonała; ta baza danych nie mieści wszystkich obrazów, postaci, miejsc, rozmów, map przebytych dróg. Często gubi gdzieś w odmętach poszczególne informacje i zataja ich istnienie. Nie inaczej jest z pamięcią Nowaczewskiego. Z poznanych na pielgrzymce twarzy pamięta może połowę. Zwiedzone ścieżki również po długim czasie stały się dla niego tylko przebytym punktem i to nawet te, które służyły mu za postojowy przystanek. Nie zmieniło to jednak jego postrzegania Bułgarii jako kraju piękna i spokoju, choć widzi w nim także pewien rys beznadziejności.

Artur Nowaczewski zanotował zdanie, które celnie podsumowuje książkę: „życie jest pasmem, nie rozległą autostradą”.

Tak właśnie, życie nie biegnie szeroko, wielojezdniową arterią, tylko płynie powoli, zatrzymując się na skrzyżowaniach, przepuszczając innych uczestników ruchu. Życie się nie spieszy i nie wykracza poza ustalone z góry ramy, które są znane wyłącznie wyższemu porządkowi. Niekiedy nabiera szaleńczego tempa, by na powrót utrzymać uprzednio obrany tor jazdy. Życie trwa rutynowo, nieubłagane brnąc naprzód. ●

Artur Nowaczewski, *Hostel Nomadów*,
Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 2017.



Grzegorzcyk jak Bernanos

Czy trudno być katolickim pisarzem w takim kraju, jak Polska? Wydawałoby się, że nie. Nadal ponad 90 % społeczeństwa deklaruje wyznanie katolickie (wyprzedzają nas tutaj tylko Filipiny). Mamy tradycje literatury katolickiej sięgające czasów średniowiecza; kiedyś to był w ogóle główny nurt literacki. Poezję (począwszy od „Bogurodzicy”) oraz prozę (kroniki, żywoty świętych) pisali głównie autorzy związani z duchowieństwem. Z czasem to się zmieniało, ale nurt katolicki był ciągle bardzo silny, przez Renesans, Oświecenie (trudno je sobie wyobrazić bez ksiąg Staszica, ód Naruszewicza, satyr i fraszek Krasińskiego). Przed wojną mieliśmy bardzo dobrą powieść Jerzego Andrzejewskiego *Ład serca* ukazującą dramat kapłaństwa. Z wybitnych współczesnych należy wymienić Twardowskiego, Oszajcę, Pasierba, z pomniejszych – Romana Bąka, Wojciecha Wencła, Tadeusza Dąbrowskiego. Ale byli/są. Rzecz w tym, że to wyłącznie poeci. Z prozaikami – jakby gorzej. Właściwie trudno wskazać wartościową prozę, podejmującą tematykę religijną, na takim poziomie, jak choćby czynił to Georges Bernanos we Francji (autor m.in. *Pod słońcem szatana*). Dlatego odkryciem stała się dla mnie twórczość Jana Grzegorzcyka z Poznania, autora cyklu o przypadkach księdza Wacława Grosera (trylogia *Adieu*, *Truffe*, *Cudze Pole*, wydawana w latach 2002–2007).

Niedawno ukazała się najnowsza powieść Grzegorzcyka – *Jezus z Judenfeldu*. Mamy tutaj do czynienia ze swoistym prequelem losów księdza Grosera. Poznajemy ulubionego bohatera poznańskiego autora, kiedy jedzie rowerem przez Alpy, wezwany na audiencję przez papieża Jana Pawła II; ulega wypadkowi, przez co trafia na parafię protestancką (prowadzoną przez księdza z Polski) w fikcyjnym miasteczku Judenfeld („Żydowskie pole”) w Austrii.

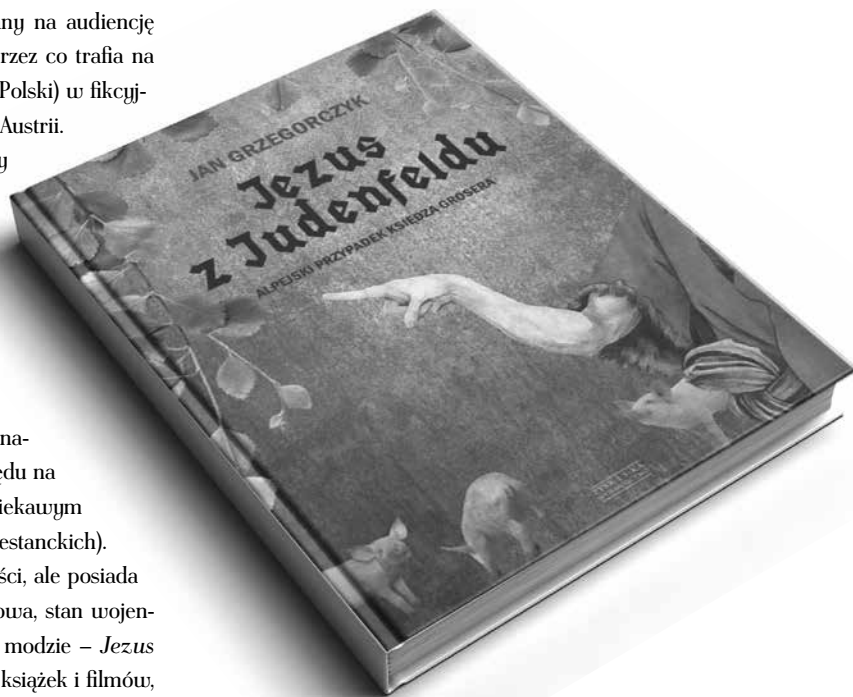
Groser odkrywa tutaj historię człowieka, który w swoim życiu był żołnierzem SS i odegrał rolę... Jezusa. To znaczy – pozował do fresku Jezusa w miejscowym kościele, wykonanego w „aryjskim” stylu, podtrzymującego naziistowski mit, jakoby Chrystus był Aryjczykiem. Groser wikła się w życie goszczącej go rodziny i całej parafii, co staje się pretekstem do przedstawienia problemów, na jakie wiara chrześcijańska natrafia w świecie zachodniego dobrobytu, bez względu na różnice doktrynalne (na marginesie: książka jest ciekawym porównaniem życia duszpasterzy katolickich i protestanckich).

Powieść jest mocno osadzona we współczesności, ale posiada liczne umocowania w przeszłości (II wojna światowa, stan wojenny). Można by Grzegorzcykowi zarzucić uleganie modzie – *Jezus z Judenfeldu* wpisuje się w liczny ostatnio wysyp książek i filmów, które próbują rozliczyć się z historią, zwłaszcza z okresu II wojny światowej (film „Pokłosie”, książki Grossa o Jedwabnem, wspomnienia Jana Białowąsa o zagładzie Polaków na Podolu itd) oraz

stanu wojennego („Wałęsa”), jednak głos poznańskiego prozaika jest na tyle oryginalny, że zasługuje na uwagę. Grzegorzcyk kreuje w swej książce sytuację fikcyjną, która jednak zdarzyć się mogła. W końcu to Austria, a nie Niemcy były prawdziwą ojczyzną Adolfa Hitlera i nazizmu – niedawne powodzenie partii nacjonalistycznej J. Haidera najlepszym dowodem na to, że ten ruch ciągle cieszy się tutaj znacznym poparciem.

Co w dzisiejszych czasach pisarz chrześcijański może mieć do powiedzenia swoim czytelnikom? Mimo mroczności w tle (nazizm, rozwody, kult pieniądza) książka Grzegorzcyka tchnie optymizmem, wiarą w człowieka. I w Boga. Przy czym ta wiara jest nienachalna. Ksiądz Groser to taki nasz dobry przyjaciel, który ma swoje zdanie na każdy temat, ale z którym możemy o wszystkim swobodnie porozmawiać. Może wpływ na taki pozytywny odbiór powieści ma sposób opowiadania – humorystyczny, z dużą ilością gagów sytuacyjnych i słownych. Styl ten zaczął się kształtować już w poprzednich powieściach cyklu, tutaj osiąga szczyt celności.

Należy pamiętać, że Grzegorzcyk to nie tylko autor powieści, ale także świetny eseista i dziennikarz, który przez lata związany był z miesięcznikiem „W drodze”. Z jego pozapowieściowych prac trzeba wymienić *Każda dusza to inny świat* (1998), *Góra albo jak wyżebrać niebo i człowieka* (cykl rozmów z ojcem Janem Górą, 1999) oraz *Ryba to znaczy Chrystus* (2001). ●



Jan Grzegorzcyk, *Jezus z Judenfeldu*, Zysk i Spółka, 2012.

Zemsta Shutego

Sławomir Shuty wrócił (jeżeli rzeczywiście dokądś odchodził lub wyjeżdżał) do polskiej literatury niedawno wydaną książką „Jaszczur”. Jest to udany powrót. Aczkolwiek mocno kontrowersyjny. I taki miał być w zamierzeniu autora. Jan Bińczycki na obwolutie książki pisze, że „*Jaszczur* to literackie seppuku Shutego i zarazem jego najbardziej osobista książka”. Jest to trafne spostrzeżenie. *Jaszczur* to zemsta na środowisku literackim, a zwłaszcza na tak zwanej „warszawce” i „krakówku”; na ludziach, którzy doprowadzili nowohuckiego autora do literackiej impotencji. W swej powieści Shuty bezlitośnie obnaża mechanizmy rządzące dzisiejszym literackim show-biznesem, w którym pisarze mają coraz mniej do powiedzenia, a o wszystkim decydują wszechmocni wydawcy i pozostający z nimi w zмовie salonowi recenzenci. Shuty buntuje się przeciwko takiemu układowi sił i jest w tym bezwzględny: „Nie ma już sztuki!, jest real artmarket, każda inwestycja musi się zwrócić, dlatego prasa podpiera, hołota dostaje za to granty, tak zwani krytycy, pośrednicy, układ scalony, który wie i obwieszcza, żadne twórcze szaleństwo, ale sprawny marketing, lewe interesy i kumoterskie układowiki pod płaszczykiem, a gdzie piękno?”.

Groteska – to pierwsze słowo, jakie się nasuwa podczas lektury tej książki. Wszystko tutaj jest wynaturzone, przybiera postać mar z koszmaru, wszędzie snują się upiorne fantasmagorie. A każdy twór/postać ma swój odpowiednik w rzeczywistości; kto zna jako tako nasz rynek, z łatwością rozpozna karykatury jego co ważniejszych uczestników. Najgorszy w tym wszystkim jest fakt, że Shuty nie musiał się zbytnio wysilać, by naszkicować te groteskowe portrety. Wystarczyło tylko szeroko otwierać oczy, nadstawiać uszu – i są gotowe. Tak prawdziwe, że aż karykaturalne.

Książka powinna wywołać znaczący rezonans na rynku – ale znając życie – nie wywoła. Bo wszyscy będą się po jej lekturze czuli zawstyżeni – dyrektorki prowincjonalnych bibliotek, recenzentki z wielkonakładowych dodatków kulturalnych, wydawcy i pisarze, politycy od kultury, uczestnicy spotkań autorskich.

Młody (jeszcze) pisarz kpi w *Jaszczurze* ze wszystkich, a przede wszystkim z siebie. Ta książka to opis życia (wegetacji) współczesnego twórcy. Opowieść o ciągłej walce o przetrwanie. I wyraz przeświadczenia, że masy powinny dbać o swych artystów, a tak się nie dzieje. Z pewnością nie w Polsce. Nie pomagają błagania do ministra kultury o wsparcie. Ale czy można wiele wymagać od faceta, który wcześniej pracował jako maszynista kolejowy? Czy ktoś taki potrafi

wykazać zrozumienie dla artysty takiego jak Shuty?

Równie wiele miejsca, co opisom finansowych przypływów i odpływów, utarczek z recenzentami, poświęca Shuty opowieściom o niemocy twórczej, w jaką popadł, nękanym przez wydawców. Groteskowa walka z literacką impotencją w wielu scenach bije na głowę amerykańskie „Californication”.

Do najciekawszych fragmentów książki należą bezlitosne relacje ze spotkań autorskich w bibliotekach, na które albo spędza się rozwydrzoną młodzież, albo gdzie przychodzą tylko miejscowe plotkary oraz kilku wariatów-frustratów. Wieczorki autorskie w Płońsku czy Końsku, od których autorowi robi się niedobrze, te noclegi w hotelach z pościelą niepraną od czasów stanu wojennego, te podróże „wagonami bydłęcymi” przez całą Polskę, żeby cokolwiek zaoszczędzić z niewysokiego honorarium, wypłacanego trzęsącymi się rękoma przez utapirowaną dyrektorkę biblioteki, która i tak uważa, że pisarz z niej zdarł, bo gdzież to, panie, 455 zł netto za dwie godziny roboty?

W *Jaszczurze* Shuty z powodzeniem korzysta z techniki „strumienia świadomości”. Przy czym nie jest to styl spod znaku Joyce’a, ale raczej z najlepszych opowiadań Marka Nowakowskiego. Widać, że ta forma Shutemu służy – pisarz umiejętnie przechodzi w swej opowieści od anegdoty do anegdoty, historia sama się snuje. Shuty bez wątpienia przełamał twórczą niemoc. Już widzę oczyma wyobraźni, z jakim wzdęciem ust ten gest rozpaczy ciągle młodego jeszcze pisarza przyjmą „warszawka” i „krakówek”.

Jakież dąsy i pląsy będą. I posykiwania, że Shuty się skończył. Zamiast mnóstwa recenzji i prawdziwej dyskusji o polskim rynku literackim – zмова milczenia, by wszyscy uczestnicy układu mogli nadal czuć się dobrze. Oprócz pisarzy. ●



Sławomir Shuty, *Jaszczur*, wyd. Halart, Kraków 2012.

Najlepszości, Henryku!

21 czerwca 2012 roku zmarł w wieku 87 lat wybitny polski krytyk literacki, a także poeta i prozaik Henryk Bereza. Wraz z jego śmiercią w historii polskiej literatury skończyła się pewna epoka – Bereza był łącznikiem pomiędzy takimi pisarzami, jak Iwaszkiewicz, Hłasko, Stachura, Strykowski z tymi XXI-wiecznymi, jak choćby Dariusz Bittner, Adam Wiedemann czy Michał Witkowski.

Dla mnie Bereza stanowił był bardzo ważny punkt odniesienia, uważam go za swego literackiego ojca. Pod koniec ogólniaka – po krótkim etapie pisania wierszy – zacząłem pisać prozę, prowadzić dziennik z krótkich wpisów. Nazwałem go szumnie „Xięstwo”. Udało mi się zapisać półtorej strony maszynopisu. Posłałem to Berezie do „Twórczości”, z którą ten był związany prawie całe swoje krytycznoliterackie (nie tylko, bo i pisarskie) życie. Stwierdził, że na tej półtorej stronie zmieściłem całkiem dużo i kazał kontynuować. To jemu zawdzięcza debiut parę lat później. Odtąd towarzyszył mojemu pisaniu, ganiąc lub chwając. Ja z kolei – oprócz wskazówek praktycznych – korzystałem z jego rozważań teoretycznych. Za niezwykle celne uważam jego rozważania o prozie polskiej (*Sztuka czytania*, 1967), jak również eseje o prozie obcej – *Z lektur prozy obcej* (1967), *Proza z importu* (1979). Ceniłem także jego miniatury poetyckie, nibyhaiku (*Miary. 99 trójwierszy*, 2003). Czytałem *Oniriadę* (1997). Czytałem *Epistoły* (1998). Dzieła, które się nie zestarzały.

Po raz pierwszy odwiedziłem „Twórczość” w 2000 roku, już po swoim debiucie. Byłem wtedy jeszcze studentem prawa na UMCS w Lublinie. Przyjechałem tam na zaproszenie jakiejś agencji, która chciała ze mnie zrobić modela. Na zdjęciach jeszcze jakoś wyglądałem, ale byłem o kilka centymetrów za niski, żeby chodzić po wybiegach, pozostała mi zatem tylko literatura. W redakcji „Twórczości” przyjął mnie Bereza, był jeszcze Jerzy Lisowski i reszta akolitów. Podczas rozmowy strześliłem wiele gaf – np. pypytywałem Lisowskiego, specja od literatury francuskiej, o twórczość Houellebecqa, którego on wtedy jeszcze nie czytał. Wściekł się na mnie za to, ale nie przestał drukować.

Było to moje pierwsze spotkanie z Berezą na żywo. Chyba nie wypadłem tak źle, ale i nie aż tak dobrze, bo kontakty się nieco rozluźniły. Bereza stwierdził, że jestem jak na pisarza zbyt dobrze ułożony. Może jakbym dał z bańki jemu albo naczelnemu, byłoby lepiej. W stylu Hłaski lub Stachury.

Kiedy w 2011 roku ukazała się książka *Końcówki. Henryk Bereza mówi*, już nie utrzymywaliśmy kontaktów. O jego śmierci dowiedziałem się z sms-a od redaktora naczelnego „Twórczości”, Bohdana Zadury. To jemu Bereza przekazał moją sprawę, gdy już definitywnie odszedł ze swego ukochanego pisma.

Moje relacje z Berezą zakończyły się w 2007 roku, kiedy to przyjechałem do Warszawy po odbiór nagrody za udział

w jakimś konkursie literackim. Poszliśmy z moją żoną do jego domu, w samym centrum Warszawy. Przynieśliśmy jakieś wino, on postawił jakiś likier. To jego mieszkanie to była wielka biblioteka. Rozmawialiśmy głównie o literaturze, ale też – o życiu. Pokazywałem Henrykowi zdjęcia mojego synka Wiktorka – z Krakowa, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Bereza był zaskoczony nowoczesną modą dziecięcą. Też pokazał swoje foto w betach. Po tej rozmowie Bereza stwierdził w rozmowie z Zadurą, że tylko moja żona przypadła mu gustu, ja – mniej. Jakby denudowało go, że jednak jako literat stanąłem samodzielnie na nogach, nie były mi potrzebne jego rekomendacje.

A jednak znajomość z nim bardzo sobie ceniłem. Bereza wychował całe pokolenia prozaików. Mówiło się nawet o tajni czy szkole Bereziny. Piotr Kuncewicz dużą grupę polskich pisarzy w swoim opracowaniu polskiej literatury współczesnej określił grupą „Zbereźnicy”. Czy rzeczywiście Bereza zostawił po sobie rzeszę młodych pisarzy? Wiele jego intuicji było nietrafnych, nie wszyscy przetrwali próbę czasu. Bo czy ktoś pamięta jeszcze Marka Słyka? Albo Jana Drzeżdżona?

A krytycy? Można do tej szkoły zaliczyć Bohdana Zadurę, Leszka Bugajskiego, Karola Maliszewskiego. Szczególnie pilnym uczniem zdaje się ten ostatni.

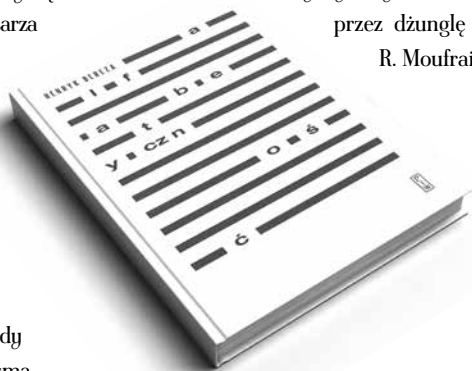
Niedawno Paweł Orzeł zredagował i wydał opasły wybór tekstów Henryka Bereziny pod tytułem *Alfabetyczność*. Lektura tego tomu to dla mnie pasjonująca wyprawa w czas, który przeminał tylko pozornie.

W książce zawarte są teksty przeróżne – od tych powszechnie znanych po niepublikowane wcześniej zapiski, które Bereza gryzmolił z uporem maniakałnego czytacza.

Z tych notatek wyłania się fascynujący portret człowieka, który literaturze podporządkował całe swoje życie. Paweł Orzeł wykonał kawał żmudnej roboty, by w tym tomie zawrzeć wszystko, co najciekawsze wyszło spod ręki Bereziny, by ten wybór był jak najbardziej reprezentatywny.

Uderza sprawność pisarska Bereziny – to nie są mętne i nudne dyrdymały akademickiego mędrca, to wciągająca podróż przez dżunglę literatury, takie trochę *Zielone piekło*

R. Moufrais.



Na pamiątkę po Berezie, oprócz wielu listów, pozostaje mi zwrot, którym zwykł je kończyć – „Najlepszości!”. Przejąłem ten zwrot, też się nim obecnie posługuję, już nie w listach, a SMS-ach. Najlepszości, Henryku! ●

Henryk Bereza, *Alfabetyczność, Teksty o literaturze i życiu*, wybór Paweł Orzeł, PIW, Warszawa 2018, s. 720.

teatr nie tylko daje aktorom większą możliwość „ogrywania” ról i rekwizytów. Również pozwala inscenizatorowi, scenografowi itp. na swobodniejsze, bardziej symboliczne kreowanie tak kolejnych sytuacji dramatycznych, jak i samej przestrzeni spektaklu. W konsekwencji także publiczność zyskuje swobodę interpretacji, jakiej nie daje widzowi żaden, choćby najbardziej symboliczny, film (wyjąwszy może kino skrajnie surrealistyczne lub eksperymentalne).

W gliwickiej adaptacji, wyreżyserowanej przez Jacka Jabrzyka, mieszkanie Kowalskich w ogóle nie ma ścian. Scenograf, Bartholomäus Martin Kleppek, stworzył otwartą przestrzeń, w którą każdy (i wszystko) może wejść, zaś akcja rozgrywa się nie tylko przed widownią, ale i chwilami wokół niej. Dom nie jest miejscem intymnym, trudno ustalić, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Nie wiadomo na przykład, czy świeżo przybyła Blanche czeka na gospodarzy w korytarzu, czy może na ulicy. Jest, owszem, sufit, ale jest ruchomy (trochę jak obudowa zmechanizowana w kopalni) i... lustrzany (czyżby nawiązanie do tekstu „Hotel California” The Eagles? – jak się później przekonamy, taka interpretacja nie jest pozbawiona sensu).

Jakby tego było mało, w tyle sceny trwa *jam session*, jak gdyby w sąsiednim mieszkaniu ćwiczyła grupa muzyków-amatorów lub knajpianych grajków. Nadaje to również samemu przedstawieniu rytm *jam-session* właśnie, w którym dialogi są odpowiednikami „poedyneków estradowych”, a monologi – solówek (zresztą zdjęcie z rozkładówki programu przedstawia czwórkę aktorów jako ulicznych grajków). Momentami przychodzą też na myśl niedzisiejsze imprezy typu „Beat Poetry”.

Dramat Williamsa, najogólniej rzecz biorąc, opiera się na potrójnym skonstruowaniu postaci Stelli, Stanleya i Blanche. Na scenie gliwickiej nie jest to takie proste.

Mateusz Nędza gra Stanleya w stylu „czarny pudel sprawdza się na śniegu”. Mówi i porusza się zazwyczaj z zimnym wręcz spokojem, więc jego nerwowe wybuchy uderzają tym mocniej. Jednak i te eksplozje są w pewien sposób „wytrzymane”. Stanley w wykonaniu Nędzy jest nie tyle prymitywny, co psychopatyczny. Stanowi tym samym „lustrzane odbicie” Blanche. Mirosława Żak kreuje tę neurotyczną postać, oscylując pomiędzy stonowaniem a eksplozywnością. Zarazem i w jej przypadku nie jest oczywiste, ile w granej postaci rzeczywistego szaleństwa, neurozy, mitomanii czy nimfomanii, a ile spokojnego wyrachowania, z jakim manipuluje ludźmi wokół siebie, to biorąc ich na litość, to atakując oskarżeniami, to znów ujmując nieoczywistym erotyzmem. Do obojga bohaterów w równym stopniu pasuje sentencja Blake’a o szaleństwie, które bywa przebraniem łotrostwa. Jednak w gruncie rzeczy to Stanley wydaje się tu lepszą, bo bardziej niejednoznaczną osobą – vide: pozornie groteskowa, faktycznie bardzo poważna scena desperackiej „pokuty”.

Równie nieoczywisty jest kontrast pomiędzy Blanche a Stellą, w którą wciela się Dominika Majewska. Z jednej strony uszanowano zamysł dramaturga, który przeciwstawił tu buntowniczość uległości. Z drugiej wszakże granica między postaciami, jak by nie było, sióstr bywa płynna. Przykładowo w jednej ze scen Blanche pojawia się ucharakteryzowana na ciężarną (a faktycz-

nie... stop, nie będę nikomu psuł zabawy!). Kiedy niektóre swoje kwestie wypowiada unisono wraz ze Stellą, mimo woli przypomina się egzorcyzm z „Dziadów” w reżyserii Swinarskiego. Jeśli – w powyższym duchu – idzie tu o subtelny wpływ, jaki Blanche miałaby wywierać na Stellę, motyw ten nie znajduje wyrazistego rozwinięcia. Być może zatem wymowa tej sceny jest prostsza? Zdarza się przecież, że dwie osoby w istocie podobne do siebie grają w życiu całkiem różne role. Blanche mogłaby być Stellą i vice versa?

Spośród ról drugoplanowych zdecydowanie wyróżnia się w roli Mitcha, niefortunnego adoratora Blanche, Łukasz Kucharzewski. Wykreowana przezeń postać komicznego, odrobinę „ciapowatego” pocziwca budzi sympatię, szczególnie w zestawieniu z Blanche manipulującą (nawet jeśli w dobrej wierze) uczuciami Mitcha. W pamięć zapada również, przez swą tajemniczość, postać Chłopca, grana wymiennie przez Olivera Ntuka i Karola Nowakowskiego. W pewnym stopniu jest on odpowiednikiem Gazeciarza z oryginalnego tekstu, ale w odróżnieniu od niego jest, nawet w oczach samej Blanche, asekualny. Na początku i końcu przedstawienia pojawia się w przebraniu boja hotelowego, a w środku – jako sprzedawca kwiatów, u którego Mitch kupuje bukiet. Czy dziecko symbolizuje anioła stróża, czy też uosabia niedojrzałość samej Blanche? A może jest personifikacją rzeczywistości, przed którą kobieta nieustannie ucieka w świat iluzji?

Równie niejednoznaczne jest zakończenie. Czy to, co zaszło między Stanleyem a Blanche, stało się naprawdę, czy też było tylko urojeniem jej rozchwiejanego umysłu? Ta wątpliwość jest, zdaje się, zgodna z intencją autora. Jednak sposób rozegrania sceny sugeruje, że równie dobrze całe zajście mogło być... fantazją Stanleya. Do tego Blanche w „zapętlonym” fragmencie jej „morskiego” monologu... Dokąd zabiera ją Chłopiec, dokąd powiezie ją teraz tramwaj? W głąb szaleństwa, czy właśnie ku rzeczywistości?

Tramwaj zwany pożądaniem w reżyserii Jacka Jabrzyka warto zobaczyć nie tylko dla nowego, świeżego spojrzenia na klasyczny tekst Williamsa. Spektakl przypomina również o możliwościach, jakimi wciąż niepodzielnie dysponuje teatr, a jakich telewizja i kino nie będą miały (w najlepszym razie) jeszcze długo. ●

Tennessee Williams: *Tramwaj zwany pożądaniem*, reżyseria: Jacek Jabrzyk, scenografia i kostiumy, reżyseria światła: Bartholomäus Martin Kleppek, muzyka: Jakub Orłowski, inspicjent: Marek Migdał, produkcja: Patrycja Wróbel, obsada: Izabela Baran (Eunice Hubbell), Mateusz Korsak (Steve Hubbell), Łukasz Kucharzewski (Harold „Mitch” Mitchel), Dominika Majewska (Stella Kowalski), Mateusz Nędza (Stanley Kowalski), Mirosława Żak (Blanche DuBois), Oliver Ntuka / Karol Nowakowski (chłopiec); premiera 24 marca 2018, przedstawienie wyłącznie dla widzów pełnoletnich.

Dokąd pojedzie tramwaj?

teatr
miejski
W GLIWICACH

Tramwaj zwany pożądaniem TENNESSEE WILLIAMS

Inscenizacja *Tramwaju zwanego pożądaniem*, od marca tego roku wystawiana na deskach Teatru Miejskiego w Gliwicach, zaskakuje widza od chwili wejścia na salę do ostatniej sceny. Szczególną niespodzianką może być dla tych, którzy dotychczas znali ten utwór wyłącznie dzięki telewizji.

Niewątpliwie sztuka Tennessee Williamsa najbardziej znana jest z kongenialnej ekranizacji Elia Kazana. Nieco mniej – z now-

szej i zupełnie innej (ale również niezłej) adaptacji filmowej Johna Ermiana. Oba filmy mają wspólną cechę. Sztuka filmowa, przede wszystkim ze względu na „przyrodzony” jej realizm, zawsze ujednoznacznia to, co w teatrze dawało się odczytywać wielorako. Na ekranie krzesło jest krzesłem, podczas, gdy na scenie może stać się nagle oknem, trybuną, czy konfesjonałem, a jedna postać – na chwilę zamienić się w całkiem inną osobę. Przez to

Jerzyk literatem był marnym), nawet do moich szuflad zaglądnęli i opisali, co tam znaleźli: stare guziki, grzebień, skasowane bilety. Jakież szczęście, że kosz na śmieci, co to go stawiałem pod biurkiem w moim gabinecie w Stawiskach, zawczasu opróżniłem, bo i to by skatalogowano, opisano i wydano, jako swoiste kuriozum. *(Tu pan Jarosław płakał długo, wylewnie, obcierając twarz chustką z wyszytymi inicjałami JI)*

M.T.: *Co by Pan chciał, żeby po Panu zostało? Obecnie najbardziej fascynujące dla Czytelników zdają się być Pana Dzienniki...*

J.I.: Wiersze niech czytają, do diabła, i opowiadania też niech czytają! A zresztą niech wszystko czytają, bo lepiej wszystko niż nic.

M.T.: *Widzę, że jednak nie pochowano Pana w górniczym mundurze?*

J.I.: Przeróżnych legend wiele o mnie naopowiadano, w mało której krztyna prawdy była! Takż i z tym mundurem jest; kazałem się w koszuli pochować i tak odziany byłem na marach. *(Tu Pan Jarosław zachnął się)*

M.T.: *Tak już na koniec, przepraszam za czelność, ale jak to było w tej celi Konrada u Bazylianów w Wilnie, z naszym późniejszym noblistą, co opisał Pan wcale nie jakoś bardzo enigmatycznie w Dzienniku: „Mogłem w maju 1936 roku chędożyć Czesia Miłosza (...). Była cudowna noc z księżycem i słowikami. Rzecz nie do pomyślenia w roku 1824 ani 1954.” Była ta rzecz możliwa w 1936 r.?*

J.I.: Zauważ, młodzieńcze, jakiego czasu i trybu użyłem! Oczywiście, doskonale zdaję sobie sprawę, co o mnie różni zawistnicy opowiadali i opowiadają; chociażby Alfred Łaszowski, któren bajdurzył, że do literatury można wejść od przodu (dzięki Nałkowskiej) albo od tyłu, znaczy – dzięki mnie... Albo inna kanalia, Nowaczyński, ten już na chrzcie chyba nie przypadkowo dostał to samo imię, co Hitler, i ten mi wiele razy boleśnie dopiekl, no, ale niech pan powie, młodzieńcze, w jaki sposób on, Nowaczyński, wszedł do literatury?

M.T.: *Nie wiem...*

J.I.: Otóż, mój młodzieńcze, ten jednooki bandyta wszedł do literatury bokiem i bokiem jej wyszedł! A to, co między mną i Czesławem miało miejsce w celi Konrada, niechaj pozostanie słodką tajemnicą – moją i Czesia; swoją drogą wielkiej urody był wtedy z niego młodzian, a przy tym miał w sobie witalność litewskiego niedźwiedzia... Ale cóż mi z tego, skoro wszystko odeszło, nikogo znajomego już nie ma, ani mnie nie ma, ani Jerzyka, ani Wilhelma, ani Julka, ani Czesława...

M.T.: *Jest Józef Hen.*

J.I.: No tak, Józio się ostał, daj mu Boże zdrowie. *(Tu Pan Jarosław znów zapłakał)* Już nawet kataru dostać nie mogę. Uwierzysz, młody człowieku, że ja za katarzem tęsknić będę, jak nie przymierzając, za porohami Dniepru?!

M.T.: *Dziękuję za rozmowę.*

J.I.: Dalibóg, młodzieńcze, bardziej ci wdzięczny jestem, niż ci się wydaje.

(Tu Pan Jarosław roztkliwił się dokumentnie i popłakał jak bóbr) ●

M.T.: *Panie Jarosławie, jak to się dzieje, że niemal czterdzieści lat po śmierci, wciąż jest o Panu głośno, pokusiłbym się o stwierdzenie, że coraz głośniej?*

J.I.: Otóż to właśnie! Sam nie wiem, jestem tym faktem wzruszony do łez, bo nijak się tego nie spodziewałem. *(Tu Pan Jarosław łka)* Żyłem w przekonaniu, że zmarnowałem życie, bo nic takiego nie napisałem, z czego bym był do końca kontent; wydawałem książki, ale zdawały mi się miałkie i przyziemne, a nie wielkie i zawieszzone wśród chmur, ale mogę się mylić... Tylko co mi z tej całej popularności, z tego bycia bohaterem literackim, skorom zimny trup?! Za życia nawet Nobla mi nie dali, com go tyle lat pragnął, niczym rozbitek w cieknącej szalupie wypatrujący skrawka ładu; Czesławowi dane było doczekać tak nobilitującego docenienia, i Wisi, ona również miała to szczęście, ale może mi się poszczęści, teraz, po śmierci? Może wreszcie dadzą mi Nobla, na którego, jak nikt, zasłużyłem, kto wie, co w tym Sztokholmie za nowe regulaminy ustalą, skoro stare okazały się wątpliwej konduity... *(Tu Pan Jarosław jął pochlipywać)*

M.T.: *Nie może Pan narzekać – wiele zaszczytów Panu nie oszczędzono – w tym Międzynarodowej Leninowskiej Nagrody Pokoju...*

J.I.: Dobrze to powiedziałeś, młodzieńcze, nie oszczędzono mi! To było moje największe nie-szczęście, mój krzyż, czy bardziej moja czerwona gwiazda, która mnie przygniotła niczym kolos z Rodos. Wszyscy mi ją wytykają, jak jaką wstydliwą chorobę; a czy tylko mnie ją wcisnęli?! Stała się dla mnie niechcianym biletem w literacki niebyt i teraz jeżdżą po mnie – jeden z drugim – jak taczanką po stepie; a czy Luisowi Aragonowi ktoś tę nagrodę wypomina? Albo Pablo Nerudzie, że o Picassie nie wspomnę?! Tyle mi rzeczona nagroda krwi napsuła i przykrości sprawiła, że słów brak! *(Tu Pan Jarosław płacze wylewnie)*. A jaki ja skonfundowany byłem, gdy mi ją wręczali na Kremlu! Ale odmówić nie mogłem: to byłaby оскорбление величества! Takie rzeczy nie uszłyby mi na sucho.

M.T.: *Cóż, Panie Jarosławie, nie należał Pan do tych, którzy by czegoś odmawiali?*

J.I.: Nie odmawiałem, bo to nieładnie odmawiać. Ludzie się obrażają, gdy się im odmówi. A poza tym fakt, że tak długo sprawowałem funkcję prezesa Związku Literatów Polskich, pozwolił mi pomóc wielu utalentowanym ludziom, a tego nikt mi nie odbierze, mojej walki o tych, którzy byli odważni i stawali władzy ością w gardle. Oni byli hardzi, odważni, listy sprzeciwu pisali lub podpisywali, ale to ja, stary prezes, musiałem ich potem bronić, tocząc zakulisowe pertraktacje z władzą; kto mnie zna, ten wie, ile mnie to kosztowało zdrowia i nerwów... Żadne nagrody mnie za to nie spotkały, a i mało który z kolegów podziękował.

M.T.: *Jednej nagrody Pan przyjąć nie mógł, bo przyznana została już po Pana śmierci: Sprawiedliwy wśród Narodów Świata – za ukrywanie osób narodowości żydowskiej podczas niemieckiej okupacji.*

J.I.: Ten jeden tytuł więcej dla mnie wart od wszystkich innych, choć nie dla zaszczytów gościłem tych ludzi w moim domu w Stawiskach.

M.T.: *Czytelników „Afrontu” na pewno interesuje, jak tam jest, gdzie Pan teraz przebywa, Panie Jarosławie?*

J.I.: A czy ja wiem, gdzie ja jestem? Żywię, jeśli wolno mi użyć tego słowa, przekonanie, że jestem w piekle, bo siedzę za jakimś stołem, po lewicy mam Putramenta, po prawicy Sokorskiego, a naprzeciw – po drugiej stronie stołu – Jędrychowskiego, tak więc wygląda mi to na rasowe piekło. Gdyby to było niebo, to przecież miałbym przy sobie mojego Jerzyka... *(Tu Pan Jarosław zapłakał)*.

M.T.: *Wie Pan, że wydano listy, które Pan pisał do ukochanego, nawet te skreślone po jego śmierci?*

J.I.: Tak, zdążyłem się już co nieco rozejrzeć po tym, co się tu dzieje, i widzę, że chyba już wszystko, co tylko się dało ze mnie wycisnąć, wycisnęli, jak sok z przejrzałej cytryny; dzienniki, listy do ukochanego (całe szczęście, że nie odnaleźli listów od niego, bo były fatalnie napisane,



Rys. Maksymilian Truteń

Miałem widzenie, podczas którego objawił mi się wybitny polski pisarz, prawdziwy arcy mistrz jakże wymagającego gatunku, jakim jest krótka forma prozatorska, czyli opowiadanie, autor: *Panien z Wilka, Brzeziny, Tataraku, Matki Joanny od Aniołów, Kochanków z Marony* – słowem: Jarosław Iwaszkiewicz. Nie wiem, czy wy, drodzy Czytelnicy, miewacie widzenia z wielkimi pisarzami, jeśli nie, to wiercie mi, można ze strachu... przeżegnać się nogą. Na szczęście Pan Jarosław okazał się widmem dobrodusznym, takim do rany przyłóż, a do tego rozmówcą interesującym, który mimo że lubi mówić głównie o sobie, wykazuje też szczątkowe zainteresowanie interlokutorem, zwłaszcza gdy tenże jest osobnikiem w miarę młodym i przynajmniej odrobinę przystojniejszym od orangutana, a ponieważ spełniam te – przynajmy – nie nazbyt wyśrubowane warunki, rozmawiało nam się dość gładko.

M.T.: *Jakże miło Pana widzieć, Panie Jarosławie...*

J.I.: I mnie miło, młodzieńcze, nawet nie wiesz, jak miło. Tyle czasu zmarnowałem tamże, kędy słońce nie dochodzi, aleć to jeszcze dolegliwość do zniesienia, gorzej, bo w towarzystwie mruklivych dziadów narzekających na los i czekających – Bóg jeden raczy wiedzieć na co, chyba na zmiłowanie tegoż Boga; tak więc możliwość porozmawiania z kimś, kto nie dźwiga na karku ósmego krzyżyka, była dla mnie wielce pociągająca, dlatego się na nią skwapliwie zgodziłem. (*Tu Pan Jarosław dyskretnie uronił łzę wzruszenia*)

A decorative border with a repeating floral and vine pattern in black and white, framing the central text area.

Widzenie z Panem Jarosławem

Maksymilian Truteń rozmawia z Jarosławem Iwaszkiewiczem

zatrzymają się w swym marszu, aby pobiwakować, złowić w rzece parę ryb, pośpiewać przy ognisku, pośmiać się ze wspomnień o tym, co wystraszyło ich na pierwszej warcie. I to również jakaś część prawdy o nich. Pod koniec utworu „Najdłuższa droga” pojawia się fragment spokojny i pogodny, niemal idylliczny, z dominacją sekcji smyczków i przejściem z rytmu parzystego w 3/4. Byli zwykłymi ludźmi, jak my, i tacy z pewnością pozostali. Tyle, że zechcieli mieć dość odwagi, by nie żyć banalnym życiem.

„Nad zmęczenie, ludzką słabość, ludzki strach

Idą tak, żadnych skarg...

A pod zbroją, pod mundurem jasny blask,

Ciepły blask nie gaśnie wciąż...”

Dla Polaków pokój po I wojnie światowej faktycznie nastał dopiero po 1920 roku. Trzeba było stoczyć jeszcze jedną wojnę, obronić odzyskaną niepodległość – tym razem nie tylko Polski. I tu widzimy naszych bohaterów już prawie dorosłych, już na prawdziwej wojnie. Stacjonowanie w Cytadeli, wielokilometrowe marsze, później i bitwy (Narew, Paproć, Wkra), strach i pokonywanie strachu. Witek wychodzi z tego ranny, ale niektórzy nie wychodzą wcale, ich marsz już się nie skończy.

Powieść *Krokiem zdobywców*, napisana, by ich upamiętnić (i ich pamięci dedykowana), miała ukazać się w 1939 roku. Nie zdążyła jednak opuścić drukarni przed 1 września, a to, co już wydrukowano, okupant zniszczył. Także po II wojnie światowej kolejny okupant nie zezwolił na jej publikację – książka znów była „niewygodna”, przypominała o zbyt wielu sprawach, o których nowa władza postanowiła zapomnieć.

„Tylko czasem któryś jeździec miękko z konia zsunie się, ugodzony...”

Wtedy wiedz, że tu jesteśmy winni my,

Właśnie my – zwykli ludzie.

Zabijamy nieśmiertelnych każdą zdradą,

Gdy nie starcza siły nam, by zagrozić drogę złu...”

„Najdłuższa droga” nie jest drogą dla wszystkich. Podobnie, jak nie każdy może być Norwidem (któremu Budka Suflera złożyła hołd w innym utworze z tej samej płyty), tak i nie wszyscy nadajemy się na bohaterów z pola bitwy. Nie wolno nikogo oceniać po tym tylko, czy wstąpił na tę drogę, czy pozostał z dala od niej. Każdy ma swoje miejsce we wspólnym marszu, gdzie jedni dźwierz karabin, inni skrzypce, kompas lub skalpel. Ale nikt nie zwolni nas z pamięci, nie tylko w związku z rocznicą niepodległości, którą pomogli wywalczyć i obronić. Nikt też nie da prawa do lekceważenia tych, którzy tą drogą poszli, tym bardziej jeśli już z niej nie wrócili.

„Zapłacili za ideę cenę cen,

Teraz strzegą jej i bez końca trwa ich marsz!”

A przede wszystkim nikt nie zwolni nikogo z niezgody na bylejakie własnego życia, z pamięci o tym, o czym głosi „Pieśń niepokorna”, otwierająca płytę *Przechodniem byłem między wami...* – że „życie przecież musi brzmieć / tak jak wielki, piękny wiersz”. Podobna idea przyświecała dawnemu harcerstwu, rzeczywiście mającemu wiele z romantyzmu – tego rodem z Byrona.

Czy *Krokiem zdobywców* jest dziełem wielkim? Wydaje się, że nie. Przede wszystkim zbyt wiele tu słownego patosu – i to akurat nie zawsze w tych momentach, gdzie byłby uzasadniony, lecz po pro-

stu w opisach (choćby przyrody, pejzażu, rzadziej – w momentach patriotycznej refleksji, choćby tej nad rodzinnymi pamiątkami). Co charakterystyczne, napuszczona narracja znika nagle tam, gdzie zaczyna się mowa o sprawach poważnych, takich jak służba żołnierska w Warszawie, nawet podniosły skądinąd moment wojskowej przysięgi, a szczególnie sceny wojenne z roku 1920. Tutaj język staje się prosty, konkretny, bez górnych tonów i ozdóbników, ilustrowany przykładami całkiem nieraz dosadnymi (choćby ten żołnierz mdlejący na mrozie...), jakby autor reflektował się, że monumentalizm byłoby nieestosowny. Szkoda, że brakło cierpliwości, lub może samoswiadomości literackiej, by z młodopolszczyzny oczyścić resztę tekstu. Trafiają się i dłużyzny, choćby te litanie nazwisk i nazw, szczegółowe relacje ze zdarzeń nieistotnych dla fabuły, wynikłe chyba tylko z pasji dokumentalisty.

Tynieckie Wydawnictwo Benedyktynów, które w końcu po latach wydrukowało tę książkę, nie przywróciło polskiej literaturze żadnej „zagubionej perły”. Nie znaczy to jednak, by publikacja *Krokiem zdobywców* była „mnożeniem rzeczy zbędnych”. Mimo wszystko to nie przejaw grafomanii, ani słusznie zapomniana ramota. I choć nie wybitna, lecz mimo wszystko dość sprawnie napisana powieść, którą – jeśli przymknąć oko na kilka niedoskonałości – czyta się całkiem dobrze. Jest też dokumentem „kawalka historii”, który inaczej poszedłby w bezpowrotne zapomnienie. A przede wszystkim jej druk – to spłata tego samego długu, który jej autor spłacił, pisząc ją. Chodzi o dług wobec pięknego życia; o przypomnienie, że jest możliwe, nawet za cenę ryzyka jego utraty.

„Wy jednak jesteście lepsi od nas” – mówi w pewnej chwili do bohaterów powieści ojciec jednego z nich, wspominając własną młodość. Czy od przedwojennych harcerzy, o których pisze Innocenty Libura, usłyszałbym to samo? Nie wiem, ale wątpię. Tak, jak nie wiem, czy potrafiłbym spojrzeć w oczy pewnej, dziś już 23-letniej, Holenderce. Jak i paru innym osobom, z których takim lub innym ideowym wyborem nie zawsze i niekoniecznie się zgadzam, ale które podziwiam za gotowość do podjęcia gry o wszystko. Wszystkim prawdziwym, a nie pozornym, kontestatorom.

„Z białych kartek patrz na mnie oczy twe,

Z uczciwości serca sądzą nas”

To Budka Suflera o Norwidzie, ale te słowa można rozumieć szerzej, odnieść do każdej niezgody na przeciętność, banalność. Czy to za cenę życia w nędzy (czego i autor *Krokiem zdobywców* doświadczył po wojnie – za swoją przeszłość, za nieukrywanie swych przekonań), czy jeszcze wyjszą.

Obie leżące przede mną książki, wraz z płytą kręcącą się po raz nie wiem już który – wciąż niepokoją, całkiem jak ta niemal krzycząca solówka saksofonu z „Najdłuższej drogi”: coś ty, człowieku, zrobił ze swoim życiem; co nadal z nim robisz?! I jeśli nawet nie budzą z letargu, to przynajmniej budzą wstyd. A to już dużo. ●

później kultura disco etc.), częściowo i kościelne (u nas np. Oaza), a ostatnio – nowe organizacje paramilitarne. Gorzej – gdy gangi młodzieżowe, sekty lub grupy terrorystyczne. Ale to osobny temat.

Na początku zeszłego stulecia harcerstwo samo było formą kontestacji, naturalnym sprzeciwem wobec młodopolskiej dekadencji, która w wydaniu popularno-młodzieżowym przybrała kształt swoistej subkultury. Jej przejawami były – skąd my to znamy? – alkohol, tytoń i ostantacyjne bimbanie sobie na cały świat. Subkultury (w ścisłym tego słowa znaczeniu) zawsze są w swej istocie konformistyczne. Kontestują (zaznaczmy: nie zawsze w słusznej sprawie!) ci, którym obojętność jest obca.

Nastoletni bohaterowie *Krokiem zdobywców* do rzeczowej subkultury nigdy nie należeli. To „niespokojne duchy”, niezdołne usiedzieć na miejscu. Jako dzieci bawią się w cyrkowców, budują sobie „fortece” w lesie (jak niektórzy z nas kilkadziesiąt lat później!), próbują konstruować prymitywne „pistolety”, wyruszają na coraz dalsze wędrówki po swej rodzinnej Jurze, wówczas zachodniej rubieży zaboru rosyjskiego. W ruinach zamków w Rabsztynie i Smoleńcu śnią o rycerskich czasach i – o niepodległości Polski. Utwór „Najdłuższa droga” rozpoczyna się jazzującą sekwencją, w której rytm 4/4 przeplata się z metrum 5/4, jakby muzyka szukała sobie drogi, co chwilę gdzieś skręcając... Gdyby na siłę chcieć przypisać ich do któregoś z młodopolskich nurtów, byłby to neoromantyzm. Ale nie, oni są już z następnej epoki. Błądzącą muzykę przerywa uroczysty, lekko folklorystyczny temat, niby nagły błysk ośnienia...

Przeżyciem pokoleniowym staje się I wojna światowa. Tym bardziej, że wraz z przesunięciem frontu i przejściem pod jurysdykcję austriacką na ziemię olkuską dociera skauting (w carskiej Rosji nielegalny). Dla tych chłopców to jak objawienie.

Harcerstwo w tamtych czasach było, i owszem, szkołą całkiem realnego życia. Oraz, jak najbardziej, okazją do zupełnie poważnego przysposobienia wojskowego. Nie tylko przysposobienia. Kto choć pobieżnie zna historię polskiego harcerstwa, słyszał o konspiracyjnych „Szarych Szeregach” z czasów II wojny światowej. Mniej osób wie o całkiem oficjalnych skautowych formacjach wojskowych z czasów wojny pierwszej i tej polsko-rosyjskiej w 1920 roku.

Aktywność przeciwstawiona bierności. Skautowy ogród warsztatowy, warsztaty, drużyna pożarnicza... Skauting oferował zabawę, zapraszał do wspólnej wędrówki, ale też inspirował do pracy i – wyteżonej nauki. Podczas wycieczek bohaterowie powieści przerzucają się cytatami z literatury polskiej, wymieniają uwagi o napotykanym formacjach geologicznych.

Sprawy wojskowe zaczynają się, prawda, od zwyczajnych gier na świeżym powietrzu: zdobywanie śnieżnej fortecy, harcerskie podchody... Później przychodzi czas na „regularne ćwiczenia” (choć jeszcze bez broni) na Pustyni Błędownskiej. To o powrocie z nich autor pisze: „Po twardej wapiennej drodze grzmi równy krok maszerujących ku Polsce zastępów”. W końcu i z bronią (konspiracyjnie) się ćwiczy: wyjmij zamek, rozłóż, złóż... Kiedy „wybuchą niepodległość”, właśnie skauci rozbrajają węgierską kompanię piechoty, stacjonującą w miejscowej fabryce. Nie jest to jeszcze prawdziwa akcja bojowa – rozbrajani chętnie oddają broń, sami mają dość jej noszenia (co na ziemiach byłego zaboru austriackiego było raczej re-

gulą niż wyjątkiem). Dla tych, którym broń zdają, „marsz ku Polsce” dopiero się zaczyna.

Koło mnie leży jeszcze jedna książka – *Marzenie pewnej dziewczyny*, po polsku wydana w zeszłym roku. Autorka tego pamiętnika, Holenderka Laura Dekker, mając 16 lat, dokonała wyczynu, jakiego podejmują się nieliczni dorośli. Mowa o samotnym rejsie dookoła świata. Sama na swym jachcie (kupionym jako wrak, wspólnymi – jej i ojca – siłami doprowadzonym do stanu używalności) wygrała walkę ze sztormem i ciszą na morzu, z wiatrem zrywającym żagle, falami przewyższającymi maszt, kawałkiem sieci, który zaplątał się w śrubę, psującą się prądnica i radiostacją, karaluchami, ptactwem brudzącym pokład. Wcześniej jednak stoczyła dużo cięższą walkę: z holenderskim Urzędem Ochrony Dzieci, który nie chciał nastolatce pozwolić na wyruszenie w rejs marzeń „w trosce o jej bezpieczeństwo” – chociaż pod kierunkiem ojca, starego marynarza, zdobyła wiedzę i umiejętności, jakich nie powstydziliby się niejeden dorosły żeglarz. Zanim uniknęła podwodnych raf, piratów i rozbicia się o wybrzeże podczas przejścia z Port Elizabeth do Kapsztadu, musiała uniknąć poprawczaka, sierocińca, a możliwe, że i lecznicy psychiatrycznej.

Lepiej nie tłumaczyć *Krokiem zdobywców* na język holenderski. Już mniejsza o niepełnoletnich chłopców wędrujących „samo-pas”, mniejsza o nocleg w ruinach zamku, wśród szczypawic i innej fauny. Decydenci z Urzędu Ochrony Dzieci przeżyją niebezpieczny szok, dowiadując się o gimnazjalistach pomagających strażakom przy akcji gaśniczej. Tym bardziej nie zdzierżają opisu skautowej wspinaczki na Zawrat po śniegu, który w każdej chwili mógł usunąć się w przepaść. I jak nic dostaną zawału, kiedy przeczytają o nastoletnim wartowniku pilnującym nocą składu broni, a na dobitek zmuszonym do użycia karabinu – jak się to przydarzyło głównemu bohaterowi powieści, Witkowi, w Warszawie, gdzie wraz z kolegami wstąpił do harcerskiego batalionu.

Ta młodzież szybciej dorosła nie dlatego, że miała ku temu jakiegokolwiek wrodzone predyspozycje. Im tylko pozwolono dorosnąć, nic więcej.

Warszawa była dla Witka pierwszym „epizodem wojskowym”, który szybko się skończył. Chłopiec uraca z niego dumny, ale bez wyniosłości. Znów jest uczniem olkuskiego gimnazjum (wówczas nazywano tak odpowiednik dzisiejszego liceum). O wojnie słyszy z opowieści starszych kolegów, którzy „załapali się” na Legiony, a teraz wracają kontynuować naukę i – pracę z drużyną. Chodzi na polowania z kolegą z drużyny, któremu pomaga uczyć się do poprawki. Współorganizuje wycieczkę w góry (ze wspomnianą niebezpieczną wspinaczką) i obóz harcerski w niedalekim Udorzu. Młodzież sama w lesie – oj, nie spodobałoby się to holenderskim urzędnikom! Mierzy się też ze zwykłymi problemami cywilnego życia w czasie wojny, kolejkami po chleb, szkolnymi kłopotami. Bo czasem „niezwyklejszym zwykłe życie, gdy udźwignąć umiesz je” – to też Budka Sullera, wciąż z tej samej płyty. Może być i zwykłe, byle nie było byle jakie.

„Idą tak co noc, co rok, idą od wieków ciągle w marszu!

Legion cieni, legion wiernych z różnych epok ciągle w marszu...”

To prawda o tych, dla których „najdłuższa droga” stała się wieczna, ale nie wierzę, że to cała prawda. Myślę, że oni czasami

RÓWNY KROK MASZERUJĄCYCH KU POLSCE ZASTĘPÓW¹



Na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości

„Od połonin echo niesie równy rytm, werbli stuk...¹
Jakby leśny oddział szedł,
Szum proporców, rżenie koni, ostróg blask, ostróg blask!
Idą tak co noc, co rok, idą od wieków ciągle w marszu!
Legion cieni, legion wiernych z różnych epok ciągle w marszu...”

To fragment utworu „Najdłuższa droga” zespołu Budka Suflera. Na wydanej po raz pierwszy w 1976 roku płycie *Przechodniem byłem między wami...* jest to rzeczywiście najdłuższe nagranie. Zdaniem piszącego te słowa – również najlepsze. Co więcej, być może to w ogóle jeden paru z najjaśniejszych punktów w całym repertuarze grupy.

Kiedy dziś, w roku stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości, ente już wznowienie albumu wiruje w odtwarzaczu, na moich kolanach spoczywa otwarta książka – zarazem stara i nowa. Stara – bo powstała (i, a jakże, została przygotowana do druku) w późnych latach trzydziestych zeszłego stulecia. Nowa – bo drukiem powieść po raz pierwszy ukazała się niedawno, w tym samym 2018 roku. Opowiada zaś o wydarzeniach, od których dzieli nas mniej więcej sto lat. Tytuł, *Krokiem z dobywców*, może dziś wydawać się cokolwiek pompatyczny. W ogóle patos, proveniencji wyrażnie młodopolskiej – najdo-

bitniej dający o sobie znać w opisach – jest tym, co współczesnego czytelnika może razić najbardziej. Klarowniej brzmi podtytuł: *Opowieść o I Olkuskiej Drużynie Skautowej. 1914–1920*. Autor, Innocenty Libura, żołnierz w obu wojnach światowych, przez wiele lat – i między wojnami, i po drugiej z nich – pracujący z młodzieżą jako pedagog, swoją drogę rozpoczynał w przedwojennym harcerstwie.

Harcerstwo... Dziś (a właściwie od co najmniej czterdziestu lat!) ten ruch bywa lekceważony, traktowany z przymrużeniem oka, nazywany infantylnym, oderwanym od realiów życia. „Harcerstwo” – tak czasem pogardliwie mówimy o nieudolnym sileniu się na militarizm, naiwnym udawaniu wojska. Zbyt często rozmaite reżimy – głównie lewicowe – próbowały już to zaprząć skauting do własnych (a jemu obcych) celów, już to sprowadzić go do „nieszkodliwej zabawy”. Nieprzypadkowo zespół Lady Pank ujrzał w harcerstwie metaforę totalitaryzmu z jego natrętną propagandą (por. „Vademecum skauta” z ich debiutanckiej płyty *Lady Pank*, wyd. 1983). Możliwe, że i sam ruch skautowy nie potrafił znaleźć konstruktywnej odpowiedzi na wyzwania drugiej połowy XX wieku, jak zalew narkotyków, pornografii, wszechobecny konsumpcjonizm i płynąca z niego alienacja, wreszcie – poczucie wielostronnego i wielorakiego zagrożenia... Wszystko to razem spowodowało, że harcerstwu przylepiono etykietkę konformizmu. Z dawnej roli wyparły je ruchy kontestacyjne (hippie, punk), subkulturowe (greasers,



¹ Tytuł jest cytatem z powieści Innocentego Libury *Krokiem z dobywców* (wyd. Tyniec, 2018), o której mowa dalej w tekście.



– Jeśli cię nie ma na fejsbuku, to nie istniejesz – oświadczyła dawno temu moja znajoma.

– No, bez jaj – zjeżyłam się. – To z kim rozmawiasz?

– Każdy jest na fejsie. KAŻDY.

– Mnie nie ma – zauważyłam przytomnie.

– No, to właśnie mówię. Musisz się promować.

– A po co? – zaciekałam się szczerze.

– Bo każdy to robi. Każdy chce zaistnieć.

Już nabrałam powietrza, żeby wyjaśnić, że nie jestem „każdy”, ale machnęłam ręką. Z wypranym mózgiem nie podyskutujesz.

Rok później założyłam konto, żeby zobaczyć, o co ten cały szum. Od siedmiu lat śledzę ewolucję fejsbuka, szczególnie zwracając uwagę na to, czym jest dla prywatnego użytkownika. I muszę przyznać, że dla mnie jest źródłem nieustannej uciechy.

Przed wszystkim humor; poczucie humoru to jedna z ważkich cech, za jakie lubię bliźnich. To, co wywołuje u mnie radosny rechat, zamieszczam na swojej osi czasu. Pęta się tam pomiędzy zwierzętami zgłaszanymi do adopcji i zaginionymi oraz kilkoma zdjęciami, które niezłe mi wyszły. Żeby była jasność, to żadne selfie. Selfie wychodzą mi bokami. I to nie tylko te z minami wygłodzonych glonojadów. Mam znajomych, czy raczej – znajome, które potrafią zamieścić kilkanaście swoich zdjęć dziennie. Jezzu, ileż można? Czy ona myśli, że w przeciągu godziny tak bardzo się zmienia, albo wszechświat wpełchnął ją do worka na odpady segregowane? W dodatku wszystko przepuszczone przez tak czy inaczej zwany tryb upiększający. Potem człowiek spotyka taką na ulicy i nie poznaje. Nic dziwnego, na fejsie nastolatka, w naturze mapa fizyczna doświadczeń życiowych z rozmażanym makijażem i odrostami. Ciekawe, jak funkcjonuje w swojej świadomości?

Zdjęcia, zdjęcia... im bardziej prywatne, tym chętniej lajkowane. Oczywiście, wszystkie w konwencji idealnego życia. Cudowny urlop, wspaniały weekend, pyszne jedzenie, kochany mąż, fantastyczna impreza... No, ci to mają dobrze... Trzeba udowodnić, że my mamy lepsze! I kolejne zdjęcia z Nibylandii... Bez wątplenia, życie na fejsbuku

jest ciekawsze i piękniejsze. Kłótni nie słysząc, głowa nie boli, konar płonie, sraczki nie widać, paskudnych zapachów nie czuć, komary nie gryzą, kadr można wybrać najlepszy.

A ile wzruszeń! „Kochana, jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie! Jesteś wspaniała, czerpię siłę z twojej siły! Tak bardzo za tobą tęsknię!” (*Oj, biedactwa, los je rozdzielił*). „Anioły mi cię zesłały!” (*hmmm... kiedyś mówiło się o bocianie*). „Kawa rano była pyszna, czekam na wieczorną lampkę wina” (*A, to jednak nie los. Proza życia, którą ubarwi fejsbuk*). Mnóstwo lajków, mnóstwo komentarzy, jakie wspaniale z nich przyjaciółki. Co jest z tymi ludźmi? Nie mogą sobie powiedzieć tego twarzą w twarz? Potrzebują publiczności?

A jednak potrzebują. Kilka wpisów niżej trafiam na małżeński dialog.

„W drodze do pracy. Z kochanym mężusiem :)” + Fotka rozmazanego glonojada na tle profilu Rumcajsa ściskającego kierownicę i wpatzonego z determinacją w przestrzeń. I dalej: „Skarbie, już czekam na wspólny lunch. Dzisiaj chińszczyzna?” + fotka nogi w bucie na koturnie. Lajki, lajki, komentarze typu: „Jesteście wspaniali!”.

RATUNKU!!! Halo, są tam jeszcze ze dwie szare komórki? Są, ale pojedynkują się ze sobą i żadna się nie podda...

Jeszcze parę sentencji, niezwykle cennych i obficie lajkowanych, każda z błędem ortograficznym. Cymes.

Wyمیkam. Nieoczekiwane radość przynosi mi przedwyborczy szlam. Kandydat na burmistrza, którego ostatnio widzę nawet w lodówce i po podniesieniu kłapy sedesu, obiecuje, że gdy będziemy głosować mądrze, włączy Olkusz do programu rządowego „Czyste powietrze”, w którym Olkusz już uczestniczy, co biedak w nawale zajęć z promocji siebie fatalnie przeoczył. „I włączy Olkusz do województwa małopolskiego” – czytam jeden z komentarzy i wybucham radosnym śmiechem.

No i jak tu nie kochać fejsbuka? ●



Fot. Kinga Kluczevska - Za kratami

temu kompetencji wciąż nie ogłosili drukiem książki: Przemysław Łośko i Rafał Wawrzyńczyk (zajętego za to porządną robotą krytyczno-literacką). Tego rodzaju postawa skrywa najprawdopodobniej ukrytą głęboko indywidualną strategię, a być może również i pewną niechęć do środowiska i panujących w nim reguł. Choć i Wawrzyńczyk (w 2003 roku) i Łośko (w 2004 roku) byli nominowani do Nagrody Głównej konkursu imienia Jacka Bierzina, to jednak nie pokusili się o wydanie debiutu (za wyjątkiem opublikowanego w Internecie tomu Łośki *nie zamykaj oczu patrząc na pepika* oraz kilku arkuszy poezji opublikowanych przez Wawrzyńczyka, także jedynie w sieci).

Rozpatrzmy przypadek Szymona Domagały-Jakucia, autora *Hotelu Jahwe*, nominowanego do Bierzina w roku 2012, ale i docenionego przez publiczność (Nagroda Publiczności), czego pośrednią konsekwencją było wydanie wspomnianego tomu. Zbioru wierszy nie bez powodu zaliczanych do najlepszych debiutów ostatnich pięciu lat (książka ukazała się w roku 2013), szeroko dyskutowanego, „obrazoburczego”, „wulgarnego”, „nawiedzonego” – jak określała go w tamtym czasie krytyka. A jednocześnie w sposób całkowicie rozczarowujący kompletnie pominiętego przez wszystkie możliwe kapituły nagród literackich, zabetonowanych na pozycjach poezji lekkiej, łatwej i przyjemnej. Minęło pięć lat, a poniekąd już na starcie „pokrzywdzony” Domagała-Jakuć wciąż nie znalazł w sobie wystarczających powodów do ogłoszenia drugiej książki (albo po prostu nie jest mu do tego spieszo).

Możliwa odpowiedź druga – ponieważ szybko rozpoznają poetycką „bidę z nędzą” (Andrzej Stasiuk i Wojciech Kuczek). Co prawda Stasiuk debiutował prozą, ale na początku kariery literackiej wydał zbiór liryków zatytułowany *Wiersze miłosne i nie*. Nieprzypadkowo to *Poezje wybrane* Wojaczka uświadomiły autorowi *Jak zostałem pisarzem*, „że literatura jest siłą, potęgą w swojej materii”. Ale ostatecznie zwyciężyły w nim proza i krajobraz, które w konsekwencji przyniosły mu pisarską sławę, niezależność materialną i podroże.

O ile jednak Stasiuk-poeta „ewoluował”, emigrując i powracając „z pańskiego miasta do chamskiej wsi” jako uznany prozaik, to Wojciech Kuczek-poeta dokonał tego samego „rewolucyjnie” (trochę przy tym zapominając, że każda rewolucja zjada własne dzieci). Należąc w latach dziewięćdziesiątych XX wieku do grupy poetyckiej „Na dziko”, skupiającej poetów z Górnego Śląska (Siwczyk, Melecki, Majzel, Śliwka, Olszański i Kobierski), wydał tom poetycki i arkusz wierszy. Lecz to *Gnój*, powieść opublikowana w 2003 roku przyniosła mu ogromny sukces literacki (Paszport Polityki, Nagroda Literacka Nike, również ta czytelników), który konsumuje do dzisiaj – trikiem typu „stoliczku nakryj się” okazały się *Pregi*, czyli ekranizacja *Gnoju* w reżyserii Magdaleny Piekorz – albowiem żadna z jego późniejszych powieści nie przyniosła mu już porównywalnego rozgłosu. Niemniej z poezją zerwał dość brutalnie, ogłaszając po zwycięstwie prozy nad poezją, „że przyznać się dziś do bycia poetą to tak, jakby przyznać się, że sypia się w bunkrze na przedmieściach”, aby ostatecznie zadowolić się wygodnie gdzieś tam na „celebryckich wysokościach” (choć jako dobry prozaik nadal korzysta z poetyckiego języka).

Możliwa odpowiedź trzecia – ponieważ zakładają profile na Face-

booku. Na przykład Maciej i Lucjan, którzy udanie i celnie sparodiowali bloga Kasi Tusk jako *Make Life Harder* i tym samym osiągnęli sukces, czyli tak zwaną klikalność. Potem, idąc za ciosem („klik”, „klik”), wydali książkę, w której wyszydili Januszów, hipsterów, „warszawkę” i ogólnie „polactwo”, czyli samych siebie i nas. A jeszcze później nastąpił oczekiwany *coming out* i oto okazało się, że za błazeńską maską „duetu młodych stańczyków” ukrywa się między innymi całkiem niezły i doceniany poeta, Jakobe Mansztajn.

Jaś Kapela, recenzując satyryczne dokonania *Make Life Harder*, dość celnie użył słów uważanych ogólnie za niezrozumiałe: „parodia”, „stylizacja”, „hiperbola”, „groteska”, „synekdocha” i „metonimia”. Wybieram z nich „metonimię”, bo zamiast poszukiwać sensu egzystencji w kilku wersach, poeta stosuje unurzane w satyrze figury retoryczne, uwyppuklając tym samym jej bezsens, co w sumie na jedno wychodzi. Tylko po co? Zaraz, zaraz, chwileczkę... Biorąc pod uwagę tom Mansztajna *Studium przypadku*, można by uznać, że cierpiący na depresję sprawiają wrażenie radosnych. Na co dzień jawią się nam jako towarzyscy, głośni i zadowoleni z życia. Wiem, ponieważ sam tak mam. Zatem wszystko inne wydaje się konsekwencją/konwencją: poeta na Fejsie – tak jak każdy inny – bywa desperatem, ekshibicjonistą i naduraźliwcem. Czy wklejając nowego posta na swój profil o ogromnej oglądalności, jednocześnie myśli o sprzedaży swoich wierszy? To już jest inne pytanie, które można zadać na przykład poetce Julii Szychowiak, autorce z kilkoma tomami poetyckimi na koncie, nominowanymi i nagradzonymi oraz prawdziwym hitem w postaci *Calego życia z moim ojcem*, zbioru prozy (a ściślej postów), który dzięki jej aktywności internetowej (bo chyba nie spotkaniom autorskim?) sprzedał się zaledwie w tydzień. Jak powinien odnieść się poeta (tryb: „pustelnik”) do sposobu przedstawienia przez wydawcę innej poetki, która dokonała wyboru wierszy do antologii wierszy miłosnych: „Joanna Lech – (...) osobowość mediów społecznościowych, ponad 40 tysięcy osób obserwujących na Instagramie, ponad 50 tysięcy na Facebooku”?

I wszystko w porządku, poza jednym drobiazgiem. Niekoniecznym, ale możliwym spłyceniem odbioru, skoro wiersze oferowane są jako bonus do otrzymywanych lajków – przejściem na stronę popcornu. Tym samym łączenie popularności z niszowością może przypominać mieszanie wody z ogniem i prowadzić do paradoksów. Na przykład kiedy autor wierszy, którego nazwisko znalazło się w antologii poetów zaangażowanych („zawiedzionych i wściekłych”), pojawia się nagle w telewizji śniadaniowej komercyjnej stacji.

Jasiowi Kapeli ukradnę jeszcze jedno słowo: „hiperbola” (o kolejnej możliwości – poeci porzucają poezję na rzecz ideologii, nie chce mi się pisać), które wykorzystam w celu wyłonienia ostatniego tropu: Artur Rimbaud. Zamiast wydawania kolejnych książek poetyckich można przecież ogłosić dwie, maksymalnie trzy, które przejdą do historii literatury. Złamać pióro w wieku dwunastu lat i przez resztę krótkiego życia próbować zniszczyć w sobie wrażliwość, by zając się handlem bronią. Ponieważ przed poetami, którzy z różnych powodów stracili serce (hipotetycznie, jak to w felietonie) do poezji „z bunkra na przedmieściach”, istniało i nadal istnieje wiele możliwości. ●

Felieton

Z bunkra na przedmieścia

Piotr Gajda

„Trudny i trwały będzie, poeto, twój urząd”, napisał Leopold Staff, odzwierciedlając tymi słowami status poetów. „Trudny” – to na pewno, ale czy zaraz „urząd” i do tego jeszcze „trwały”? Co prawda już sam Horacy w *Exegi monumentum* przedstawił obraz pomnikowego poety ze spiżu, którego dzieła nadają mu nieśmiertelność, ocalając od zapomnienia, niemniej przeważająca liczba domniemyanych pomników przeważnie ma trwałość zbliżoną do daty przydatności do spożycia batonika „Mars”.

Sprawdźmy to „w konsumpcji”. Dajmy na to – poeci Młodej Polski: Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Jan Kasprowicz, Bolesław Leśmian, wspomniany już Staff i Stanisław Wyspiański, ci wciąż w opakowaniu, nienadgryzieni przez czas, chociaż z lekkim nalotem na czekoladowej polewie. Ale gdzie znajdziemy choćby okruszki po Tadeuszu Micińskim, Janie Lemańskim, Stanisławie Korabie Brzozowskim, Marii Komornickiej czy Maryli Wolskiej? Kto dzisiaj pamięta o poetach-satelitach Skamandra – Józefie Wittlinie i Stanisławie Balińskim? Że poezja to nieskończony i przeklęty „ugór”, doskonale wiedzieli poeci wyklęci (Rafał Wojacek i Andrzej Bursa), jak również ci przekłęci w dwójnásób, bo dziś niemal zupełnie już zapomniani: Józef Gielo, Jan Rybowicz, Stanisław Swen Czachorowski, Marian Ośniałowski czy Włodzimierz Szymanowicz. Zmyła ich ze zbiorowej pamięci fala, podobna Nowej Fali, która zabrała ze sobą podczas „cołki” kolejne niesłusznie przykurzone nazwiska: Wita Jaworskiego, Pawła Heszena, Lothara Herbsta, Marianny Bocian. Czy pomnik „trwalszy niż ze spiżu” wystawią samym sobie poeci z pokolenia, „bruLionu”, to wciąż się jeszcze okaże? Być może Jacek Podsiadło i Marcin Świetlicki mają już gdzieś gotowe postumenty.

Do rozgrzyżenia pozostało jeszcze ostatnie słowo – „urząd”. W przypadku poetów rzadko jest to piastowanie stanowiska prezesa

miejskiej spółki. O wiele częściej trwanie na „stanowisku daremności”, na które nominuje wewnętrzna nadwrażliwość na zakłócenia rzeczywistości, obsadzając poetów w rolach kierownika torfowiska, bezrobotnego, instruktora domu kultury, nauczyciela, listonosza, pracownika magazynowego, sklepikarza, strażnika więziennego czy policjanta. Redakcje, domy i instytuty literatury oraz wydziały filologii bywają obok powyższych przykładów rzadkim i prawdziwym wybauwieniem.

Zatem mamy już tło, najwyższa pora zmierzać do *clue* niniejszego felietonu, które stanowi nadrzędne pytanie: dlaczego poeci nie kochają już poezji?

Mozliwa odpowiedź pierwsza – ponieważ już na starcie „niszczy” ich własny debiut. Trzeba przy tym zaznaczyć, że „instytucja debiutu” to sprawa wciąż poważna, pomimo licznych ułatwień i „obejść”, do których zaliczyć należy między innymi wydanie tomiku za własne pieniądze w komercyjnym wydawnictwie typu „mydło i powidło”. Posłużmy się przykładem laureatów konkursu imienia Jacka Biereźzina, w którym nagrodę finalną stanowi wydanie debiutanckiej książki poetyckiej. Krzysztof Siwczyk i Marta Podgórnica nie stanowią w tym przypadku jedynej obowiązującej formuły, określanej mianem „wybuchowego startu”. Skupmy się raczej na konkursowych „falstartach”. Andrzej Rathai, Janusz Wałek, Paweł Piotrowicz, Ryszard Będkowski i Justyna Krawiec oprócz nagrodzonego debiutu nie wydali już więcej niczego. Debiut okazał się dla nich granicą, której jak dotąd nie przekroczyli, bo najwidoczniej ich pierwsza książka okazała się zarazem ostatnią niezbędną im do życia. Odnaleźli się gdzie indziej, poza poezją, realizując się w zupełnie innych dziedzinach, w odmiennych stanach świadomości albo po prostu w ciszy.

Weźmy pod uwagę także poetów, którzy pomimo wszelkich ku

*Jańcio z kamiennym sercem,
Jańcio z zamkniętą głową,
Jańcio z duszą w rozterce,
Jańcio z nieczystą mową.*

Nie wystarczy jednak, by Jańcio przeprosił cały żywy świat dookólny za swe błędy, kamienne serce, zamkniętą głowę, duszę w rozterce i nieczystą mowę. Musi jeszcze zrobić dobry uczynek równoważący zło, które na początku filmu uruchomiło lawinę wydarzeń wciągających w swą orbitę wielu ludzi. Idzie więc do Sochy i uświadamia mu, jak fatalne były skutki jego złego uczynku, czyli wygnania z zagrody przed sześciu laty starej kobyły: „Przez jeden zły uczynek jednego złego człowieka przybywa zła na całym świecie. I to zło potem wraca odpryskiem i uderza w kogo chce”. Przykłada sąsiadowi kosę do gardła i mówi: „Ale tak samo, Socha, od każdego dobrego uczynku przybywa dobra w całym świecie. I ja teraz zrobię dobry uczynek... Nie zbiję cię, Socha, choć może powinienem.”

Teraz Jańcio może wreszcie naprawdę wrócić do domu, usiąść przy stole wraz z Weronką, wziąć syna na kolana, frędzelkiem jego ogonka otrzepać pyłek z rękawa i spokojnie zacząć jeść zalewajkę. Na pytanie żony, czy warto było siedzieć na przyzbie przez pięć i pół roku, Jańcio odpowiada z mocą: „Warto było!”

W wyniku długiej kontemplacji Jańcio przekonał się bowiem, że czasu nie można cofnąć, zdobył też wiedzę – zupełnie jak Budda Siakjamuni, czyli Siddharta Gautama, który przesiedział sześć dni i nocy pod drzewem bodhi nim osiągnął oświecenie – na temat dwu praw regulujących życie, nieodwracalności i powrotności. Nieodwracalność związana jest z niemożnością cofnięcia czasu, odwołania podjętych już decyzji, unieważnienia dokonanych czynów i popełnionych błędów, ich konsekwencje przytłaczają bowiem na zawsze. Powrotność dotyczy odpowiedzialności za wyrządzone zło, jeśli zostało ono popełnione i zlekceważone, powraca i ze ślepą siłą uderza w innych, czyniąc wiele krzywd. Te dwa prawa odkryte przez Jańcia nie są może zbyt oryginalne, ale w świecie Jańciolandu nabierają mocy szczególnej, stają się obeszłańdajaco aktualne, zyskują wymiar niepodważalnych wartości.

Wspólny posiłek rodziny oznacza, że Jańcio zaakceptował swój los, swoje miejsce w świecie i nawet ogonek synka, skutecznie zresztą pocieszony przez Stygmę: „A ogonkiem się nie przejmuj. (...) Pomyśl, co by było, jakby się ze skrzydłami urodził. Jakbyś go wtedy łapał? A tak – cap za ogonek i już go masz. (...) Skrzydła, to by było zmartwienie.” Jańcio definitywnie traci cechy figury chrystusowej, jest już tylko zwykłym człowiekiem, mieszkańcem Brzustowa, który odtąd będzie żył w spokoju, „jak ludzie”, jak wszyscy inni ludzie, do jakich wcześniej nie chciał przynależeć.

Jańcio uświadamia sobie także, jak ważna jest dla niego miłość żony. Trwała przy nim niezłomnie, gdy snuł rojenia o staniu się Jezusem z Brzustowa, pokornie zaakceptowała jego odejście z domu. Gdy wątpił, czy będzie mu wierna podczas jego nieobecności, zaproponowała, by ją oszpecił, ucinając język. Potem samotnie nosiła ciężę, cierpliwie czekając na jego powrót, przeżyła dotkliwie upokorzenie, gdy ją porównywał z rozpustnymi kobietami ze swego orszaku odpustowego uzdrowiciela, a wreszcie przyjęła go z powrotem do domu, nie czyniąc żadnych wyrzutów. Ale na pytanie Jańcia, czy gdyby po-

nownie wybrał się w świat, dałaby się dla niego oszpeci, Weronka wskazuje na piec kuchenny: „Wygasło pod kuchnią. Nie dołożyłeś drewna, Jańcio, bo uznałeś, że tylko ja od tego jestem.” I ta groźna przestroga stanowi dodatkowy argument uzmysławiający Jańciowi, że opuszczenie domu i wędrówka poza linię brzastowskiego horyzontu były wielkim i niepotrzebnym ryzykiem.

W filmie pojawia się jeszcze jedna tragiczna postać kobieca, której miłość przez nikogo nie zostaje doceniona. To młoda dziewczyna – najpierw porzucił ją ukochany, z płaczu po jego odejściu sklepiły jej się ropą oczy i załęgły w nich robaki. Jańcio uzdrowił ją swoją cudowną wodą, za co pokochała go namiętnie i towarzyszyła mu w dalszej wędrówce z psią wiernością. Widziała, jak Jańcio się zmienia, jak rozbustwiony powodzeniem i ponoszony pychą traci powołanie naiwnego wybrańca, a jednak nadal deklarowała w śpiewanej piosence:

*Będę kochać cię bez grzechu,
Tulić sukni swej szelestem.
Twoja jestem.
Twoja jestem.*

Mimo że dziewczyna nie była ważna dla Jańcia i zdradzał ją z innymi kobietami, Weronka bez litości przepędza ją, gdy Jańcio wraca do domu. Pojawia się ona ponownie, znowu z czarną opaską na chorych oczach, gdy Jańcio siedzi na przyzbie i usiłuje cofnąć czas. Swoim zwyczajem kładzie się przy jego stopach, a potem... znika, rozplywa się w powietrzu. Staje się jednak bezpośrednim bodźcem do podjęcia przez Jańcia decyzji o przeproszeniu wszystkich i wybaczeniu Sosze złego postępu z kobyłą.

Ten stary koń to nie jedyne zwierzę w filmie. Roi się w nim do różnych żyjątek małych i dużych, gospodarskich i dzikich, jakby dopełniających świat Jańciolandu, współzyskujących z ludźmi, uzupełniających ich biologiczną i symboliczną egzystencję. Szczególnie pięknie wybrzmiewa to w scenie porodu Weronki, poprzedzonej naturalistycznym porodem krowy Muczki, a potem w wędrówce Weronki, niosącej na rękach dziecko do Jańcia, przez brzastowy las, gdy mija gniazda z różnymi świeżo urodzonymi i wykłutymi zwierzątkami.

Czy rzeczywiście w Brzustowie w wyniku przekleństwa rzucanego przez dziada urodził się diabełek? Nie wiadomo, bo trudno przewidzieć, jakie będzie przeznaczenie chłopca z ogonkiem. Jasne jest za to, że w Jańciolandzie pojawił się kolejny odmieniec i został zaakceptowany, więc na razie może czuć się bezpiecznie.

Inspiracje jawnie czerpane z Nowego Testamentu zostały wplecione przez Kolskiego w fabułę i ikonografię *Jańcia Wodnika*, wiąza film z chrześcijańską tradycją i oddziałują sugestywną symboliką religijną, np. w upostaciowaniu Piety, gdy w przeddzień opuszczenia domu Jańcio siada skulony w pozycji embrionalnej na kolanach żony przytulającej go do siebie gestem Matki Boskiej trzymającej ciało Jezusa. Trzy figury chrystusowe nadbudowane na postaciach dziada, Stygmy i Jańcia dopełniają tych skojarzeń, oczywiście każda na swój sposób, i wyprowadzają film z jańciolandzkich opłotków w szeroki świat wieloznacznych interpretacji. ●

człowieka porażonego piorunem, obmywając mu nogi, i zostaje przez ludzi uznany za świętego.

Jańcio Wodnik stylizowany jest w filmie Kolskiego na kolejną figurę chrystusową. Wędruje pieszo, niesie na plecach cebryk z cudowną wodą, jak Jezus swój krzyż, pełni misję pomocy, czyni cuda i pomaga ludziom. Ale równocześnie daje się bałamucić pięknej dziewczynie w stodole nocną porą i pazernie zabiera wszystkie dary przyniesione przez kobiety wielbiące go jako świętego. Mimo wielkiego uroku – Franciszek Pieczka grający Jańcia przydaje mu ujmującej charyzmy i dostojeństwa – cudownych uczynków i wiary we własne powołanie, jego „chrystusowość” jest naiwnie ludowa, nie zawiera w sobie żadnej transcendencji.

Kinomanom misja Jańcia, jego wędrowanie, uzdrawianie i wpływ na otoczenie, głównie na uwielbiające go kobiety, przypomina księdza Nazario z filmu Luisa Buñuela *Nazarin* (1959), który wędrował przez Meksyk wierny swemu posłannictwu czynienia dobra. Niestety, wszystkie jego działania przynosiły tylko konflikty i katastrofy. O ile ojciec Nazario poprzez swą duchową czystość stanowi doskonałe upostaciowanie figury chrystusowej, o tyle Jańcio szybko staje się jej zaprzeczeniem, grzesząc pychą i ulegając pokusom.

Po wyjściu z Kurowa Jańcio spotyka Stygmę (Bogusław Linda) jadącego na motorze z przyspawanym do kierownicy krucyfiksem, trzeciego bohatera aspirującego w filmie do roli figury chrystusowej. Stygma – jak sam mówi – jest sztukmistrzem w trzecim pokoleniu, dla widowiska i za pieniądze „rany Pana naszego przywołuję mistycznie, czyli puszczam sobie krew z oczu, głowy i dłoni, co boli jak jasna cholera”. I aby przekonać Jańcia o sile swej kreacji, dokonuje dla niego specjalnej prezentacji. Przygotowując ją, tak śpiewa:

Nie mam domu, nie mam żony,

A mam cały świat.

Jestem Stygma poraniony,

Z Bogiem za pan brat.

Jestem Stygma poraniony,

Cierpię, kiedy chcę.

Świat ogląda zachwycony

Krwawe rany me.

Stygma od ran Chrystusowych – jak się z powagą Jańciowi przedstawia – przepasuje biodra białą chustą, nakłada cierniową koronę, z pomocą ostrego gwoźdźnia wywołuje krwawienia, bierze na ramiona wielki drąg, przechyla głowę, zamyka oczy i wygląda jak ukrzyżowany Jezus na obrazach. Jańcio przeżywa wstrząs i pada przed nim na kolana. Zdumiony Stygma woła: „Jańcio, no co ty, durniu? To przecież ja, Stygma, sztukmistrz!” Mimo więc wyjątkowo udanej charakterystyki, Stygma jest figurą chrystusową jawnie fałszywą, a nawet śmieszną. W innej scenie bierze na ramiona owieczkę, jak Chrystus na obrazkach przedstawiających go jako Dobrego Pasterza, tym bardziej podkreślając jarmarczny spektakularność swego wcielenia. To obrotny Stygma przekształca skromną misję Jańcia w działalność usługową na szeroka skalę, co „Chrystusowi z Brzustowa” bardzo się podoba. Przyjmuje chorych w cygańskim wozie, obmywa im nogi i leczy, za co obaj ze Stygmą zgarniają pieniądze i inne przynoszone dobra. Wykorzystują także młode, urodzive kobiety gromadzące się przy „świętym”.

Dziad pojawia się ponownie, tym razem jako posłaniec, który przy-

nosi ciężarnej Weronce wieść o Jańciu wędrującym po świecie: „Chodzi, lecz, Chrystus prawie”, i wieszczek zapowiadający przyszłość. Mówi kobiecie, że jej dziecko będzie się chować bez ojca, bo Jańcio nie wróci szybko do domu: „Szkoda kobyłki (...), a jeszcze bardziej ciebie szkoda, kobieto”. Dotyka jej brzucha „na szczęście” i stwierdza profetycznie: „Kopie jak diabełek jaki.” Uprzedza też Weronkę, że Jańcio przebywa w sąsiedniej wsi, więc może zajrzy do domu.

I Jańcio się pojawia, ale wraz ze swym orszakiem. Siedzi w bryczce na tronie ubrany w kozuch, ma bujną brodę, obwieszony jest złotymi łańcuchami i pierścieniami. Towarzyszy mu orkiestra cygańska, radośnie pływające pary, piękne kobiety i tragarze niosący na drogach prezent dla Weronki, samochód warszawa, „żeby koła się nie zabrudziły”. Jańcio nie przypomina już figury chrystusowej, wygląda jak fałszywy prorok ze Starego Testamentu, Wernyhora i Karol Marks w jednym, jest niezaprzeczalnie komiczny. On i jego świta stanowią karykaturę Jezusa i jego dwunastu apostołów wędrujących pieszo po Palestynie. Jańcio wyniosłe gardzi wiernością żony: „Ja wierności mam pod dostatkiem”, dzieckiem: „Ja takich brzuchów zrobiłem na okolicę z kilkanaście”, jej barchanową bielizną: „To ja przy tym mam zostać? Przy barchanie?” – dziewczynę z jego haremu noszą seksowne, koronkowe dessous.

Jańcio odjeżdża na czele swojego orszaku. Zrozpaczona Weronka znowu zostaje sama. Najpierw pomaga w obórcie urodzić cielaka krowie Mucce, a potem rodzi tam na sianie synka... z różowym ogonkiem zakończonym frędzelkiem. Na jego widok pastuch, który przybiegł zważony porodowymi krzykami Weronki, mdleje w szoku. Podobieństwo okoliczności narodzin synka Jańcia w brzustowskiej obórcie i Jezusa w betlejemskiej stajence zostaje przekreślone diabelskim ogonkiem sterczącym z powijaków niemowlęcia. Polewanie wodą stópek dziecka okazuje się nieskuteczne, ogonek nie znika, a Jańcio traci swój cudowny dar uzdrawiania. Ujawnienie, że jest ojcem odmienia, sprawia, że w popłochu opuszczają go wszyscy, Stygma, kobiety i rozbawiony dwór, do uleczonych przez niego ludzi wracają gnębiące ich wcześniej choroby. Znowu pojawia się dziad, który z satysfakcją mówi do Jańcia, podsumowując jego upadek: „Takie jest życie, dziadu. (...) Teraz ja pan, a ty dziad.”

Jańcio wraca do domu i sprowokowany przez Weronkę słowami: „Żeby tak można było cofnąć czas (...) to byśmy całkiem inaczej żyli”, usiłuje – bagatela – zaurócić czas. Siada na przyzbie i trwa tak przez pięć i pół roku. Jeśli już wcześniej w fabule i aurze filmu Kolskiego wyczuwało się lekki poblask realizmu magicznego, to teraz jaśniej on całą pełni. Jańcio siedzi nieruchomo palony słońcem, zasypywany śniegiem, omotany obrastającymi go pnąciami, z gniazdem uwitym przez ptaki na jego kapeluszu i usiłuje cofnąć czas. Wreszcie zrywa się z ławki, bo po latach zrozumiał, że to, co uważał za zesłaną mu łaskę wybrania do pełnienia misji, było w istocie karą. Teraz już wie, co należy zrobić. Myje się w strumieniu, śpiewając:

Pochylę nisko głowę

Przeproszę wszystkie drzewa (...)

Przeproszę wszystkie ptaki,

Dziad jestem – nie panisko (...)

Przeproszę czarną ziemię,

Niech wszystko będzie nowe,

Niech stare wyjdzie ze mnie.

specjalnymi znakami, a historia brutalnie wkracza do wsi i ludzkich losów. Czasem bywa fantastycznie przekształcona lub groteskowo odrealniona, ale zawsze boleśnie dotyka Jańciolandu i jego mieszkańców: powstanie styczniowe – *Historia kina w Popielawach*, wojna 1920 roku – *Szabla od Komendanta*, reforma rolna i utrwalanie władzy ludowej – *Pogrzeb kartofla*, stalinizm – *Magneto*.

O kształcie filmowego Jańciolandu przesądziły nie tylko dziecięce wspomnienia Kolskiego wyniesione z Popielaw. Inspirację stanowią także chłopskie powieści Tadeusza Nowaka, Edwarda Redlińskiego i Wiesława Myśliwskiego, mające kształt literackich przypowieści i moralitetów, a realistyczny opis wsi miesza się w nich z fantazją, historia z marzeniami, fascynacja z odrazą. Silny wpływ wywarł też na kształt Jańciolandu latynoski realizm magiczny, wywiedziony z powieści Gabriela Garcíi Márqueza *Sto lat samotności*, w której realne i prawdziwe harmonijnie spleta się z fantastycznym i cudownym. O Jańciolandzie pisano „polskie Macondo”, a Kolski latami marzył o nakręceniu adaptacji tej książki.

W takim oto świecie rozgrywa się akcja *Jańcia Wodnika*. Tytułowy bohater mieszka w Brzustowie (autentyczna nazwa wsi leżącej niedaleko Popielaw w powiecie tomaszowskim). Film został nakręcony w okolicach Twardogóry i w Goszczu koło Wrocławia, ale idealnie obrazuje mityczny jańciolandowy pejzaż, archetypicznych bohaterów i aurę realizmu magicznego.

Na wsi zwierzęta traktuje się ciągle bez sentymentów, koty muszą się często same wyżywić, psy trzymają się uwiązane przy budach na krótkich łańcuchach, a świny zabijają się uderzeniami ciężkiej pałki. Starych zwierząt, nienadających się już do pracy czy do zjedzenia, pozbywa się bez skrępowań. Socha (Lech Gwit), sąsiad Jańcia Wodnika (Franciszek Pieczka), zbił i wygnał starą kobyłę ze swego gospodarstwa, aby padła gdzieś z głodu i wyczerpania. Dziś, w 2018 roku, gdy zauważalnie zwiększyła się w polskim społeczeństwie wrażliwość na krzywdę zwierząt, wypędzenie starego konia na zatracenie nabiera jeszcze większego znaczenia, niż miało ćwierć wieku temu w czasie powstania *Jańcia Wodnika*.

Wędrowny dziad (Olgiert Łukaszewicz) – obcy, który pojawia się zza linii horyzontu – idzie do wsi Brzustów połą, gliniastą drogą wijącą się wśród zielonych pól uprawnych, spotka starą kobyłę, jest świadkiem jej śmierci, zakopuje jej ciało, postrzega zło wyrządzone zwierzęciu i karze je przekleństwem: „Wy tam, na wsi... Do was mówi dziad. Sram na was... Niech się diabeł pośród was urodzi. Za zmarnowanie cudnej kobyłki niech się diabeł pośród was urodził” Po czym nie wjechał już do Brzustowa, tylko ominął wieś z daleka.

Dziad jest uprządkowany, brudny i nędznie odziany, ale ma piękną twarz Olgierta Łukaszewicza, na piersi wiszą mu okulary i śpiewa piosenkę o inteligencko-anarchistycznym przesłaniu:

*Każde drzewo, każde pole
Biorę sobie i pierdolę.
Nic się nie boję (...)
Idę sobie, jem i żyję,
Mam dwa złote i trzy kije,
I myśli głupie,
I wszystko w dupie...*

Zawodzenie dziada staje się zapowiedzią ballad śpiewanych

w filmie przez jego bohaterów (czasem także przy wsparciu innych śpiewaków: Elżbiety Dębskiej i Tadeusza Zięby, oraz chóru Państwowej Filharmonii Śląskiej w Katowicach), którzy wyrażają nimi swe skrywane uczucia. Słowa ballad napisał Jan Jakub Kolski, a muzykę skomponował Zygmunt Konieczny. Film zyskał z ich powodu dodatkową wartość ludowej śpiewogry, wzbogacając się o jeszcze jedną sugestywną konwencję artystyczną.

Dziad stylizowany jest w *Jańciu Wodniku* na tzw. figurę chrystusową, postać nasuwającą skojarzenia z Jezusem Chrystusem i jego misją. Ten rodzaj bohaterów filmowych opisał ks. Marek Lis w książce *Figury Chrystusa w „Dekalogu” Krzysztofa Kieślowskiego* (2013). Ma wielkie oczy i charakterystyczny zarost, koleinami polnej drogi wlecząc wózek ze swym dobytkiem, czym przypomina Jezusa ciągnącego krzyż. Współczuje bezdomnemu zwierzęciu jak Chrystus, który litował się nad losem różnych istot wykluczonych, i przeklina winnych jego cierpienia na wzór Chrystusa wypędzającego w śluznym gniewie przekupniów ze świątyni. Kłątwa dziada spadnie na mieszkającego w Brzustowie Jańcia i jego rodzinę.

Na razie Jańcio niczego się nie domyśla, akurat stara się, osobliwym sposobem, o potomstwo. W tym celu już jedenasty raz zawiesza na belce swą dużo młodszą żonę Weronkę (Grażyna Błęcka-Kolska) głową w dół, aby – jak mówi – za sprawą „mocy obciążenia ziemskiego (...)” co potrzeba spływało dokąd potrzeba, żeby się tam zagnieździć tak, jak potrzeba.” Jańcio wie, że Socha zajeżdżał starą kobyłę, obił ją i wypędził, nie podoba mu się to, ale nic nie robi, aby zneutralizować dokonane zło. Zajmuje się swoimi sprawami w przekonaniu, że jest kimś wyjątkowym, kto nie zalicza się do „pospólstwa, żeby wszystko robić tak, jak jest robione”, i że Pan Bóg ma na niego „osobne pomyślenie”. To przekonanie zostaje zaraz poświadczane. Gdy Jańcio na podwórzu wylewa z miski wodę, w której mył nogi przed wiosennym kiseniem kapusty – „Inne na jesień kiszą, a my na wiosnę” – zaczyna ona płynąć po drabinie do góry, wbrew „obciążeniu ziemskiemu”, i wlewa się do bocianiego gniazda uwiętego na dachu chałupy.

Jańcio myje teraz nogi Weronce i komentuje to słowami: „Pan Jezus czasem umywał stopy prostego ludu”, co niezmiernie ją irytuje: „Ty chcesz powiedzieć przez to, że ja, Weronka, jestem prosty lud, a ty Jańcio, Pan Jezus oczywiście? (...) Pan Jezus z Brzustowa!” Mimo ironii żony, Jańcio upewnia się w swej wyjątkowości, ponieważ woda wylana z miski ponownie pnie się po drabinie do góry i wpływa do gniazda, w którym pływają już żółte kacuszki. Zachęcony tym cudem decyduje się na czyn wysoce bluźnierczy: stawia na stole wodę w butelce i trzy kawałki chleba w nadziei na ich eucharystyczną przemianę. W następnym ujęciu pojawia się obraz Jezusa, do którego modli się Weronka, jakby łącząc Jańcia z synem Bożym. Przemiana wody w wino i rozmnożenie chleba jednak się nie dokonują. Natomiast Jańcio odczuwa nagły impuls do pełnienia specjalnej misji poza Brzustowem. Przyznaje: „Nie jestem Pan Jezus, na szczęście. Nie jestem nawet święty Bylekto, ale jestem Jańcio Wodnik od posłusznej wody i muszę iść w świat. Takie widać moje zadanie.” Zostawia ciężarną Weronkę, obiecując jej wrócić na rozwiązanie, bierze na plecy drewniany cebrzyk wypełniony wodą ze studni i rozpoczyna wędrówkę poza linię horyzontu. Po drodze wywołuje burzę z piorunami, choć prosił Boga tylko o malutki deszczyk – „Zawsze będę dostawał więcej, niż potrzebuję?” – w Kurowie wskrzesza, jak Chrystus Łazarza,

Autorka dziękuje panu dr. Sebastianowi Jagielskiemu, redaktorowi tomu, do którego artykuł został napisany, za udzielenie zgody na jego przedruk w „Afroncie” w skróconej wersji.

W czynieniu dobra nie ustawajmy...
List św. Pawła do Galatów, 6, 9

W 1993 roku na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni *Jańcio Wodnik*, czwarty pełnometrażowy film nakręcony przez Jana Jakuba Kolskiego, uzyskał aż trzy nagrody: Nagrodę Specjalną Jury (*ex aequo* z filmem Mariusza Grzegorzka *Rozmowa z człowiekiem z szafy* – przewodniczącą jury była Agnieszka Holland), Nagrodę Dziennikarzy i nagrodę za rolę męską dla Franciszka Pieczki grającego tytułowego bohatera. Po kinowej premierze *Jańcia Wodnika*, 17 lutego 1994 roku, Tadeusz Lubelski obwieścił w „Kinie” (1994/3), że film Kolskiego stał się „objawieniem ostatniego festiwalu w Gdyni” i dokonał jego pierwszej interpretacji. W podobnym duchu utrzymane też były recenzje Tadeusza Sobolewskiego w „Gazecie Wyborczej” (1994/44) i Jana Strzałki w „Tygodniku Powszechnym” (1994/10).

Od premiery *Jańcia Wodnika* minęło 24 lata, Kolski nakręcił potem jeszcze 13 filmów kinowych, jedną nowelę i jeden serial telewizyjny. Ale to od tytułu tego właśnie filmu ukuto nazwę „Jańcioland”, która nader trafnie definiowała świat przedstawiony w kolejnych dziełach reżysera, a przy tym mieściła w sobie po równi podziw i zazdrość, uznanie i lekceważenie, akceptację i niechęć. Przede wszystkim zaś oznaczała, że w polskim kinie pojawił się reżyser, który potrafił w ośmiu filmach (dwie trzecie dorobku) wykreować swój własny, osobny świat ekranowy – do wszystkich sam pisał scenariusze i scenopisy, sam wybierał miejsca zdjęć. Do świata Jańciolandu należą moim zdaniem: *Pogrzeb kartofla* (1990), *Pograbek* (1992), *Magneto* (1993), *Jańcio Wodnik*, *Cudowne miejsce* (1994), *Grający z talerza* (1995), *Szabla od Komendanta* (1995), *Historia kina w Popielawach* (1998). Jednych widzów Jańcioland zachwycał i wzruszał, był dla nich miejscem wyjątkowym: znanym, ale jednak obcym, oswojonym, ale zarazem tajemniczym, śmiesznym, ale i groźnym. W wyniku częstych odwiedzin poznawali go i akceptowali, stawał się dla nich zrozumiały, lubiany i bliski. Innych Jańcioland irytował jako kiczowata cepeliada, filmowy skansen, oaza „kolszczyzny”, czyli manieryzmu i powtarzalności.

Jan Jakub Kolski urodził się we Wrocławiu, tam mieszkał z rodzicami przez ponad jedenaście lat. Pewnego dnia przyjechała babcia Anna Szewczykowa (ze strony mamy) i zabrała go ze sobą do Popielaw. Kolski trafił do swej małej, prywatnej ojczyzny, „środka świata” – jak nazywa takie miejsca Leszek Kołakowski. Reżyser zaś określa Popielawę „ojczyzną wyobraźni” i „przestrzenią magiczną”.

Popielawę to wieś leżąca na Mazowszu, w województwie łódzkim, powiecie tomaszowskim. Kolski mieszkał tam cztery lata (1967–1971), dokładnie w Popielawach Majątku, rozparcelowanej resztówce majątku dworskiego (pozostały z niego dworek, czworaki, kilka chałup i kapliczka), u dziadka Jakuba Szewczyka, rymarza. Mieli mieszkanie w dworku (który dziś należy do reżysera). Tak o tym opowiada na stronie *Polska na filmowo. Szlakiem filmów i seriali*, <http://www.polskanafilмовo.pl/reviewsView,59,jan-jakub-kolski,PL:>

[polskanafilмовo.pl/reviewsView,59,jan-jakub-kolski,PL:](http://www.polskanafilмовo.pl/reviewsView,59,jan-jakub-kolski,PL:)

W Popielawach spędziłem akurat tyle lat, żeby „obrobić” tym wszystkim, czym one były, moją wyobraźnię. Żeby naznaczyć ją i odcisnąć pieczęć serdeczną na sobie, a potem naznaczać tym czymś wszystko, co spod moich rąk, mojej wyobraźni i wrażliwości wychodziło. Więc wszystko, co robię, książki, które piszę, filmy, które kręcę, a nawet spotkania z moimi studentami naznaczone są Popielawami. I to promieniowanie jest przemożne.

Swoją debiutancki film fabularny, *Pogrzeb kartofla*, Kolski zrealizował właśnie w Popielawach. Ale tylko dwa filmy nakręcił w tej swojej „ojczyźnie wyobraźni” – oprócz *Pogrzebu kartofla* jeszcze *Zabić bobra* (2012). W twórczości artystycznej dokonał jednak znamiennej transformacji: uczynił z Popielaw Jańcioland, archetypiczną polską wieś. Bez względu na to, gdzie realizował swoje filmy – np. *Pograbka* i *Magneto* na Dolnym Śląsku, *Grającego z talerza* w Józefowie nad Wartą, *Szablę od Komendanta* w Niemysłowie i Pęczniewie pod Łodzią, *Historię kina w Popielawach* w kieleckich Sieradowicach – magiczna przestrzeń wsi pozostawała zawsze taka sama. Łagodnie pofalowane pola oddzielone poziomą linią horyzontu od wysokiego nieba, na dole uprawna ziemia, lasy, sady, chaty, podwórka, piaszczyste drogi, na górze niebo ze słońcem, skowronkami i Panem Bogiem, w kręgu horyzontu świat swojski, za jego granicą obcy i wrogi.

Ludzie w Jańciolandzie zrośnięci są z ziemią i chłopską tradycją, naznaczeni wiejską mentalnością, noszą autentyczne nazwiska mieszkańców Popielaw (Kaczuba, Mazurek, Andryszak, Głowa), są blisko zjawisk cudownych lub magicznych, które zdarzają się na polach, w lasach i obejściach: Pograbek słyszy głosy zmarłych – *Pograbek*, Grażynka staje się stygmatyczką, a Staszko Indorek zna źródło z uzdrawiającą wodą – *Cudowne miejsce*, stary Marczyk rozmawia ze śmiercią – *Grający z talerza*. Także wszelkiej maści odmiercy, kulawa Kuścyczka, Magneto przyciągający metalowe przedmioty, Lunda grający na skrzypcach ze szlaczków na talerzach, Janka-Karliczka, Dwutwarzowy Morka, znajdujący w Jańciolandzie bezpieczne schronienie.

Przybywający do wsi obcy – wędrowcy, kuglarze, artyści, mali chłopcy, księża – wnoszą zamieszanie. Mateusz prowokuje dramatyczne wydarzenia – *Pogrzeb kartofla*, Józef Magneto przyciąga nieszczęścia – *Magneto*, wędrowni cyrkowcy mają tworzoną spektaklem – *Grający z talerza*, skrzypek Lund niepokoi swymi koncertami – *Grający z talerza*, mali chłopcy niweczą spokój – *Magneto* i *Historia kina w Popielawach*, księża zwalczają stare relikty pogaństwa – *Cudowne miejsce*.

Czasem ludzie z Jańciolandu odczuwają nagły przymus, by odejść ze wsi i rozpocząć wędrówkę – Magneto, Dwutwarzowy Morka – to się zawsze źle kończy, nieszczęściem i samotnością. Przesłania płynące z jańciolandzkich filmów Kolskiego każą bowiem akceptować swój los, biografię, dziwactwa i odmienności, polecają żyć w spokoju, „jak ludzie” – wedle dewizy Janki-Karliczki, a właściwie już Janki-Olbrzymki, bo cudownym sposobem zmieniła w finale filmu swój wzrost – na przypisanym im miejscu, w zgodzie ze sobą, rodziną, sąsiadami i wiejską tradycją.

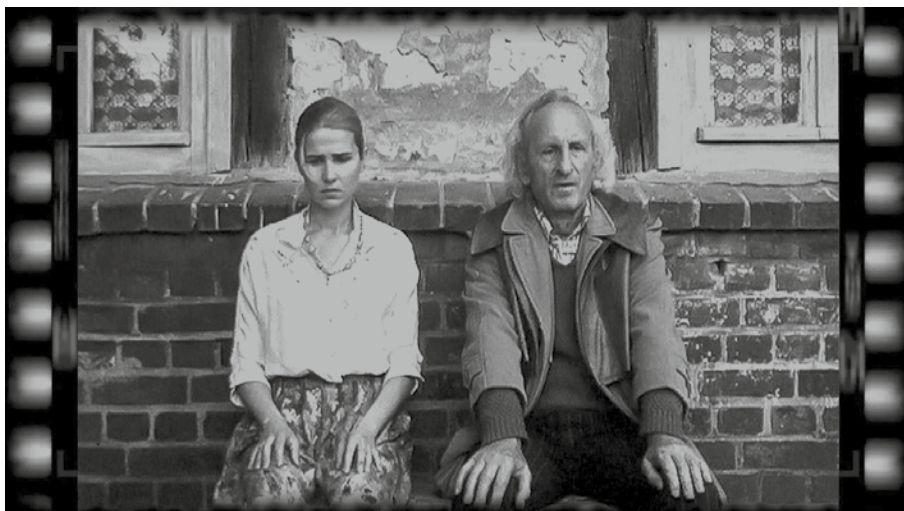
Wydaje się, że Jańcioland istnieje poza czasem i historią, ale to tylko pozory. Czas, w którym toczy się akcja filmów, jest bowiem określony

E s e j

Jańcio Wodnik

- trzy figury chrystusowe i jeden diabelski ogonek

GRAŻYNA STACHÓWNA



Kadr z filmu *Jańcio Wodnik*

Okiem fachowca spojrział na plamę pozostawioną przez zwierzę na ziemi. Splunął z niezadowoleniem, „Zaraza”. Potem łypnął pod stół, gdzie wiewiór leżał sztywny, nie dając oznak życia. „Co robimy?” – ciągnął Mort.

„Jeśli żyje, to skróćmy mu cierpienie, jeśli nie, to nie będzie to miało dla niego znaczenia. Przyniosę łopatę” – powiedział Rick. Ruszył zdecydowanym krokiem do magazynu na zapleczu, a ja w duchu powtarzałem do wiewiórki: „Powstań! Uciekaj! Daj znak życia, bo inaczej cię nie wybronię!”. Rick wracał do nas z łopatą, ostrze narzędzia lśniło w słońcu jak topór w rękach kata. Może ten widok ocalił mu życie? W każdym razie spowodował, że wiewiór raz jeszcze odzyskał przytomność i przeczłochał się aż pod ścianę domu, gdzie zastygł w krzakach. Ten desperacki akt pozwolił mi prze-forsować dla niego wyrok w zawieszeniu: jeśli do jutra pozostanie w krzakach, Rick dobije go łopatą. Jeśli tam zdechnie, Mort wyniesie go rano do śmieci. Jeśli przeżyje, to nie będzie tu jutro po nim śladu.

Pytania na temat bytu i nicości długo towarzyszyły mi przed zaśnięciem. Obrazy Kołodzieja i wiewiórki pouracającej do życia mieszały się ze sobą. Następnego dnia już o świcie pobiegłem do ogrodu. Miejsce, gdzie wczoraj zostawiliśmy wiewiórkę, było puste. Co za ulga i radość! Usiadłem na ławce obok fontanny, wsłuchiwałem się w kojący szum wody. Nagle poczułem na sobie czyjś wzrok, odwróciłem głowę, zobaczyłem wiewiórkę na płocie, wpatrywała się we mnie, jakby dziękując za ocalenie. „Cieszę się razem z tobą”, szepnąłem, a ona zgrzytnęła zębami i bez leku zeszła do fontanny i napiła się wody. Potem łapkami wytarła pyszczek, a może mi pomachała, i znów radośnie zaczęła skakać po drzewach.

Kreatywna praca nad monodramem posuwała się do przodu w zadziwiająco szybkim tempie, dwie próby w tygodniu po trzy godziny. Wiedzieliśmy, że światowa premiera na Broadway’u zbliża się milowymi krokami, wylewaliśmy poty, chcąc oddać tym dziełem część wszystkim tym, których pochłonęło piekło Auschwitz. Byłem aktorem, współscenarzystą i współreżyserem. Czułem ciężar powołania i odpowiedzialności. Do naszego zespołu dołączyła grupa zdolnych, zaangażowanych artystów: scenograf, choreografka i kompozytor.

Nagraliśmy na video całość prób, aby w trakcie zaplanowanej na sześć tygodni przerwy, podczas której miałem wykłady dla pięciu klas aktorstwa filmowego na Uniwersytecie Kalifornii – UCLA, nasi technicy mogli odpowiednio zmontować efekty dźwiękowe, muzyczne kompozycje i wizualne ilustracje do spektaklu.

Tydzień później spadła bomba: 4 lipca, w Dzień Niepodległości Ameryki, otrzymałem maila od producenta: „Ze względu na brak odpowiednich funduszy muszę zerwać prace nad przedstawieniem i odwołać naszą premierę na Broadway’u!”. Czytałem to zdanie kilkadziesiąt razy, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Szkol! Głuchy telefon i brak odpowiedzi na moje maile. Czyżby ten upadek wiewiórki nad moją głową, jak miecz nieba, był zwiastunem nadchodzącej katastrofy?

Tydzień później zadzwonił do mnie Omar – Artystyczny Dyrektor Festiwalu UNITED SOLO na Broadway’u. „Marek, otrzymaliśmy fatalną wiadomość od twojego producenta. Co się stało?!” Tłumaczyłem najlepiej, jak mogłem, ale i tak czułem się

jak zwierzę złapane w podstępne szpony hollywoodzkiej pułapki. „Myślałem, że przez trzydzieści lat tutaj doświadczyłem już wszystkiego w show biznesie. Ale się myliłem. Pół roku ciężkiej pracy, potu, nadziei na sukces, wszystko na nic...”. Omar nie krył oburzenia: „On naraził na szwank twoje dobre imię! Bilety na ciebie zostały już wyprzedane. Ludzie chcieli cię zobaczyć na scenie!”. Pocieszał i współczuł mi jak prawdziwy artysta, aktor, którym sam jest, więc dobrze rozumiał moją depresję. „Rana spowodowana brakiem spełnienia długo się zabliznia. A nie masz czegoś innego?”. Głęboko westchnąłem: „No wiesz, grałem wczoraj w Santa Monica mój spektakl o Pileckim, ale to nie monodram, występuję w nim z narratorem”. „Opowiedz, jak to gracie?”. Jego pytanie było niczym powiew nadziei, złapałem go w żagle i wyprowadziłem swój jacht wyobraźni na szeroki ocean. „Da się zrobić!” – podchwycił po chwili Omar. „Narratora umieścimy za publicznością, albo go nagrasz, a na scenie będziesz tylko ty. Prereżyserujesz odpowiednio i mamy monodram! Bierz się do roboty, czasu właściwie już nie ma! Daję ci zielone światło. Dogadaj się z narratorką i dwoiń do naszego menadżera festiwalu. Głowa do góry. Powodzenia!”.

A więc zatoczyłem pełne koło. Po zagranii 13 lat temu Witolda Pileckiego w polskim filmie *Śmierć rotmistrza Pileckiego*, w reżyserii Ryszarda Bugajskiego, i podróżowaniu z nim po dziś dzień dookoła świata na festiwalach, do uniwersytetów, konsulatów, muzeów, po udziale w amerykańskiej audycji radiowej o Pileckim dla popularnego programu „All Things Considered”, dla stacji NPR News w Waszyngtonie, nagraniu po angielsku 10 godzin Raportów Pileckiego z Auschwitz dla najpopularniejszej wytworni książek dźwiękowych w Stanach – Audible.com, graniu od pięciu lat na scenach Kanady i Ameryki spektaklu o Pileckim, teraz lecę z monodramem *rotmistrza na Broadway! Dopełnienie przeznaczenia – mój Hommage A Pilecki*.

„Boże, co ci się stało?!” wykrzyknęła na mój widok żona, kiedy oszołomiony godziną rozmową z Omarem wkroczyłem do kuchni ze stojącymi dęba włosami. „Właśnie przeszedłem z piekła do nieba. Kochanie, sam nie wiem, w którym jestem wymiarze? Który z nich jest rzeczywisty?”.

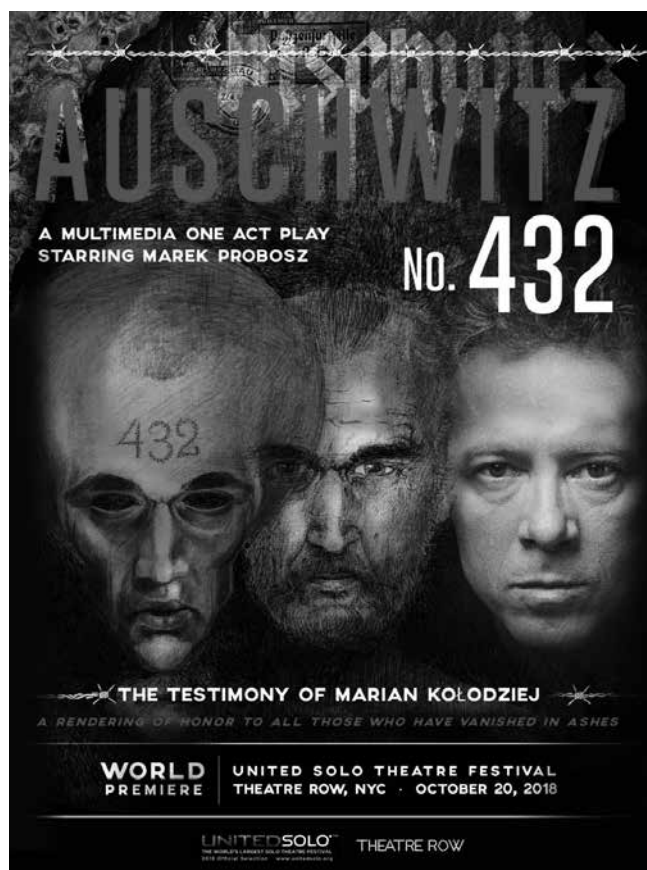
Po wysłuchaniu mojej opowieści, żona skostatowała, „Widocznie tam, w górze, tak zostało zdecydowane. Pilecki czuwa nad tobą”, podała mi szklankę wody. „Najlepszym rewanżem jest sukces!” – usłyszałem swój wewnętrzny głos i zabrałem się z pełną energią do dzieła.

Dwa tygodnie później otrzymaliśmy potwierdzenie z Nowego Jorku: monodram „Ochotnik do Auschwitz: Rotmistrz Witold Pilecki” jest w oficjalnym programie festiwalu UNITED SOLO na Broadway’u. Premiera w niedzielę, 11 listopada, o 19:30. Tak więc w Dzień Niepodległości Polski i w jej 100. rocznicę! Takie cuda zdarzają się raz na 100 lat! Norwid powiedział: „Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek”. ●

Na jednej z pierwszych prób Ron zapytał: „A gdzie, myślisz, powinniśmy mieć światową premierę naszego *Auschwitz* Nr. 432? Odpowiedziałem słowami piosenki z jednego z moich ulubionych filmów: „Cały ten jazz”: „Mówią, że neony świecą najjaśniej na Broadway'u!”.

Obok domu mam swój magiczny ogród; udaję się tam w wolnych chwilach, by zaznać spokoju, poczytać, popracować, pomyśleć. Tym razem zasiadłem przy długim stole i zanurzyłem się w monolog Kołodzieja, analizowałem każdy wers, aby dojść do skrywanego pod nim obrazu. Bo mój nowy bohater był oszczędny w słowach, stracił do nich zaufanie właśnie w Auschwitz, i o tym, co tam się działo, nie mówił przez pół wieku. Do czasu, kiedy miał wylew, który sparaliżował mu prawą część ciała – wtedy zaczął rysować swoje słynne „Klisze pamięci”. Dziś przechowywane są w Centrum św. Maksymiliana Kolbe w Harmęczach pod Oświęcimiem. Przewracałem strony książki o tym wielkim artyście, wpatrywałem się w jego makabryczne szkice czaszek.

Nagle nad głową usłyszałem szum palmowych liści, potem głuchy huk uderzającego o ziemię z dużą siłą ciała. Zamarłem. Z drzwi ogrodowego domu wyszedł starszy mężczyzna w okularach. Patrząc na mnie ze zdziwieniem i zgrozą, zapytał: „Nic się panu nie stało?”. Nie rozumiałem pytania, a on, nie czekając na moją odpowiedź, podszedł bliżej. „Tuż za pana głową coś przeleciało. Spadło z drzewa. Przestraszyłem się, że może jest pan ranny?”. „Nie, nic mi nie jest” – wyszeptałem. Po czym odwróciłem się; na ziemi leżała wiewiórka, wyglądała, jakby ją ktoś rozdeptał; miała zjeżone futro i oczy wyszły jej z orbit. „Mort” – przedstawił się nieznajomy. – „Przyleciałem wczoraj z Nowego Jorku, wynająłem ten dom na tydzień”. „Marek, jestem przyjacielem właścicielki”. Uścisnęliśmy sobie dłonie. „Trup” – stwierdził tonem grabarza Mort, patrząc na wiewiórkę. Pokiwałem głową, wciąż sparaliżowany sytuacją. „Przyniosę torbę na śmieci i wyrzucę ją do kubła”, zaproponował. „Nie możemy jej tu zostawić – na środku ogrodu”. „Dajmy jej z pięć minut, może jeszcze dojdzie do siebie” – poprosiłem. Mort uśmiechnął się. „Po co się oszukiwać. Wiewiór sztywny jak drut”. Ruszył w stronę domu, a ja zauważyłem, że nagle coś drgnęło w zwierzaku, skóra zaczęła się minimalnie poruszać. „Oddycha!” zawołałem za Mortem, który zniknął już w domu. Wiewiórka, jak obozowy więzień z rysunków Kołodzieja, ucieleśniała niemy krzyk bólu. Mort wracał z dużym czarnym workiem, potrząsnął plastikową trumną chcąc przygotować otwór do wepchnięcia tam ciała. Na ten odgłos zwierzę odzyskało przytomność, instynkt i spazm mięśni pozwoliły mu przerzucić ciało pod stół. Tam znowu zamarło. To wystarczyło mi jednak, aby stanąć w jego obronie. „Żyje!” wykrzyknąłem, jakby chodziło o cud zmartwychwstania. Mort pokręcił głową ze zdumieniem, odłożył worek na stół. W tym momencie bramka z tyłu ogrodu skrzypnęła i stanął w niej ogrodnik Rick. „Z nieba nam spadłeś”, ucieszyłem się na jego widok. „Właśnie zastanawialiśmy się, co zrobić z wiewiórką, która zleciała z palmy i wygląda na trupa” – dodał Mort. Rick dołączył do nas z entuzjazmem.



“One of the great heroes of the 20th century.”
– Nicholas Kristof, *The New York Times*

The Auschwitz Volunteer: Captain Witold Pilecki

NEW YORK PREMIERE
Sunday, November 11, 2018
7:30 p.m.
(For additional dates: www.unitedsolo.org)

UNITED SOLO FESTIVAL
at Theatre Row
410 W. 42nd Street
New York, NY 10036

TICKETS available at Theatre Row Box Office
or www.telecharge.com. Telecharge
You may also call Telecharge at 212-239-6200.

Starring and Directed by **MAREK PROBOSZ**
with Narration Appearance by TERRY TEGNAZIAN
Adapted for the stage by TERRY TEGNAZIAN and DEBRA GENDEL
from the award-winning book *THE AUSCHWITZ VOLUNTEER: BEYOND BRAVERY*
by CAPTAIN WITOLD PILECKI
Published by AQUILA POLONICA PUBLISHING
More info: www.polww2.com/PileckiBroadway

AQUILA POLONICA
www.AquilaPolonica.com

Uciekałem przed myślą, aby znowu zaangażować się w projekt o Auschwitz. Od dzieciństwa wzrastałem z piętnem tragedii rodzinnej, przenoszonej z pokolenia na pokolenie. Mój dziadek, Jerzy Probosz, góral z Beskidów, poeta, dramaturg, prozaik, w 1938 roku odznaczony za swoją twórczość przez Akademię Literatury Polskiej w Warszawie Wawrzynem Literackim, rok później właśnie za tę twórczość został aresztowany przez Niemców, którzy po napaści na Polskę w pierwszej kolejności wywozili do obozów koncentracyjnych w Niemczech (w Polsce jeszcze ich nie zdążyli wybudować) umieszczoną na czarnej liście naszą inteligencję i patriotów.

Dziadek w dniu brutalnego aresztowania, na oczach dziewięciorga przerażonych dzieci, zdążył jeszcze na skrawku papieru napisać notatkę do przyjaciela, którą porzucił w błocie, a którą mój ojciec (miał wtedy 10 lat) zachował dla potomnych.

*Życzę ci z serca mocy, abys co dzień i w nocy
Wytrwał! Wytrwał!! Wytrwał!!!
Choćbyś miał ziemskie ciało w proch spalić
Musisz ducha ocalić*

Te słowa stały się moim życiowym mottem, motorem niezłomności. Bez względu na napotymane w życiu przeszkody ta myśl pozwalała mi lecieć dalej, wytrwać.

Wiem, że to nie mury tworzą więzienie, że w każdym momencie jesteśmy otoczeni przez wieczność i możemy jej użyć, jeśli tylko chcemy.

W Phoenix upał nawet w styczniu. A wiosną gigantyczne kaktusy saquaro, symbol stanu Arizona, kwitną gamą najbardziej fantastycznych kolorów. Co więc na tej pustyni robi teraz bydlęcy wagon, w którym przewożono więźniów do obozów koncentracyjnych w czasie II wojny? Przez szeroko otwarte drzwi wagonu wchodzi po schodach do środka tłumy amerykańskiej młodzieży szkolnej. Wokół pilnuje porządku umundurowana policja. Przez zakratowane okna słychać objaśniający głos nauczyciela: „Niecałe osiemdziesiąt lat temu Niemcy w takich wagonach przewożili stłoczonych więźniów, bez jedzenia i bez picia. W niemieckich obozach uzbrojeni w karabiny esesmani czekali na nich z rozwścieczonymi psami. Przed wyjściem oślepiano więźniów reflektorami”.

Wysiadalem akurat z Ubera; wesoły afrykański kierowca podrzucił mnie pod główny ośrodek kultury w Phoenix – Chandler Center for the ARTS, miałem tam wieczorem – po raz drugi w Arizonie – zagrać Witolda Pileckiego w spektaklu „Ochotnik do Auschwitz: Rotmistrz Witold Pilecki”. Wieczorne przedstawienie zgromadziło pełną salę: 1500 osób! Byłem ciekaw, ile ludzi przybędzie dzisiaj na popołudniowe przedstawienie.

Rabin Michael Bayo powitał mnie serdecznie przy głównym wejściu, „Wielki sukces! Gratuluję! Otrzymałem mnóstwo pochlebnych telefonów i maili”. Oba spektakle były zorganizowane przez Żydowskie Centrum Edukacji o Holocauście, Polski Konsulat w Los Angeles i Instytut Adama Mickiewicza w Warszawie.

„Skąd tutaj ten wagon? Nie było go wczoraj.” Rabin uśmiechnął się zadowolony: „Ściągnęliśmy go dźwigami z naszego Muzeum Holocaustu, jest autentyczny. Po wojnie przetransportowany został tu aż z Macedonii”.

„Ile młodzieży miało okazję wejść do środka?”. „Na razie 800 osób. Ale będzie więcej. Nim zaczniemy spektakl, powinien być komplet. Jak wczoraj, pełna sala!”.

W garderobie wciąż latały mi po głowie wrzaski: „Raus! Raus! Raus!!!”. I ujadanie niemieckich owczarków! Zobaczyłem się w lustrze z podniesionymi do góry rękami – odruch bezwarunkowy.

Ten spektakl zagrałem z zupełnie inną energią. Młoda publiczność była wyzwaniem, emanowała ciekawością połączoną z brakiem historycznej świadomości. Wiedziałem, że każdy mój gest, słowo, mogły wpłynąć na odmianę ich życia, poszerzenie światopoglądu, rozniecenie w ich sercach entuzjazmu lub utwierdzenia ignorancji. Moja aktorska siła wyrazu tutaj nie wystarczyła, potrzebowałem wytworzyć w sobie tę moc rotmistrza, stać się Pileckim, który przeżył Auschwitz i był po wojnie jak nowo narodzony. W swoich raportach zaświadczał światu o prawdzie „piekła na ziemi”, bo nie potrafił akceptować powszechnie panującego kłamstwa i karierowiczostwa opartego na braku uczciwości.

Dyskusja po spektaklu była fascynująca i trwała ponad godzinę. Młodzież nie mogła się nadziwić bohaterstwu Pileckiego, porównali go do Spartakusa, Gandhiego, Mandeli, a nawet Jezusa. To była dla nich szokująca lekcja nieznanego i niezrozumiałego historii, lekcja o próbie ratowania człowieczeństwa.

Wśród widzów jednego z moich „Pileckich” był amerykański pastor Ron ze swoim synem. Jakiś czas później otrzymałem od niego telefon z propozycją spotkania na kawie w Santa Monica. Przyjąłem zaproszenie. Ron wyjawiał mi swoje marzenie, „Jak zobaczyłem cię na scenie, to zdałem sobie sprawę, że dokumentalny film *Labirynt*, który nakręciłem z moim synem w 2011 roku, o jednym z pierwszych więźniów do Auschwitz, numer 432 – Marianie Kołodzieju, może dzięki tobie ponownie odzyskać życie. Marian umarł, ale pozostawił po sobie setki wstrząsających obrazów z Auschwitz”. Ron wręczył mi sześć gęsto zapisanych stron drukiem. „To konspekt nagranych do filmu słów Mariana, który po 50 latach milczenia wyjawiał nam horror, jaki przeżył. Siedziałem sobie przy kominku i pomyślałem, że szkoda byłoby, gdyby popadły w niepamięć i wtedy zobaczyłem cię w *Pileckim*; jestem przekonany, że możesz stać się scenicznym Kołodziejem”. Uśmiechnął się zachęcająco, a ja wiedziałem jedno – nie chcę kolejny raz wchodzić w ten świat. Przed rozstaniem wręczył mi DVD swojego filmu. „Obejrzyj sobie na spokojnie i jak będziesz gotowy, daj mi ostateczną odpowiedź”.

W domu żona, a w Polsce mama, wszyscy mi powtarzali: „Po co znowu w to wchodzisz? Wiesz, ile zdrowia cię to poprzednio kosztowało. Te koszmary przenoszą się potem z ciebie na nas, na całą rodzinę. Zastanów się dobrze, nim mu odpowiesz, tobie potrzebna jest jakaś komedia, coś lekkiego, a nie znowu do obozu!”.

Żona wyszła na cotygodniowy targ świeżych warzyw i owoców w Santa Monica, a ja ukradkiem włączyłem *Labirynt*, chciałem wiedzieć, czego się zrzekam. Film; 37 minut, spokojna narracja; kamera przesuwająca się po obrazach Kołodzieja, pokazujących ludzkie cierpienie i zarazem okrucieństwo człowieka wobec człowieka. Po wyłączeniu dokumentu nie mogłem się uspokoić. Nie dlatego, że film tak mną wstrząsnął, ale dlatego, że zmieniłem decyzję. Postanowiłem, że zagram Mariana Kołodzieja. Bez względu na konsekwencje. Bo jaki inny temat jest ważniejszy od tego testamentu historii?!

Na Broadway,

czyli takie cuda zdarzają się raz na 100 lat!

Nasz stały korespondent z Hollywood – MAREK PROBOSZ



Fot. Kinga Kluczewska - Tajemnica za drzwiami

najpierw wymaszerowuje sztab i Komenda Główna AK, następnie pozostałe oddziały defilują z pełnym uzbrojeniem przed swoimi przełożonymi i wchodzą między posterunki niemieckie, gdzie następuje zdawanie broni. Potem wszyscy maszerują do tymczasowego obozu jenieckiego w Ożarowie, skąd są rozwożeni do właściwych obozów jenieckich. Do rana 9 października w Warszawie pozostanie 300 żołnierzy batalionu „Kiliński” i około 120 batalionu „Miłosz”. Z ponad 15 tysięcy jeńców, jacy znajdują się w przejściowym obozie w Ożarowie, 5789 zostanie wysłanych do największego obozu jenieckiego Lamsdorf (Łambinowice).

Tam też skierowana zostanie grupa młodocianych żołnierzy-ochotników Powstania, obliczana na około 600 jeńców w wieku od 11 do 18 lat. Jednak łącznie jeńców w wieku od 11 do 18 lat, jak się oblicza, było około 3600 – w tym 1100 chłopców i 2500 dziewcząt. Ta dysproporcja wynikała z tego, że chłopcy częściej służyli z bronią w ręku i częściej – pochwyleni z bronią w ręku – byli rozstrzeliwani na miejscu, chociaż były oczywiście wyjątki, tak jak los wszystkich obrońców reducty Wilanowska 1 na Czerniakowie, skąd nikt nie wyszedł żywy, ani ranni, ani dziewczęta, ani młodociani. Ta grupa – powtórzę to jeszcze raz: około 3600 jeńców – w wieku 11-18 lat to są najmłodsi jeńcy, od kiedy obowiązują konwencje haskie. Przy czym trzeba koniecznie zwrócić uwagę, że są żołnierzami, którzy do swojej armii wstąpili ochotniczo, nie z poboru, często wbrew wszystkim wokół, także wbrew dowódcom, często zauważając wiek, klucząc, udając, wracając oknem, kiedy komendant wyrzucił drzwiami. Nie, nie są aż tak mali jak to chłopiec będący pierwowzorem pomnika Małego Powstańca na Starym Mieście w Warszawie, ale tak, w zasadzie według dzisiejszej nomenklatury są dziećmi. Dziećmi, które widziały i przeżyły śmierć, zniknięcie, aresztowanie kogoś bliskiego, czasem najbliższego, tak jak sanitariuszka Róża Goździewska, lat 8, znana z fotografii Eugeniusza Lokajskiego, pomagająca w szpitalu polowym przy ulicy Moniuszki 11 (przeżyła Powstanie, wyszła z miasta z ludnością cywilną, zmarła we Francji), która przeżyła aresztowanie Tatę, rozstrzelanego w 1943 roku przez Niemców. Ostatecznie niejedynemu dowódcy, komendant, często pod wpływem swoich podkomendnych ulegał, tym bardziej, że śmierć w tej bitwie tak samo spotykała cywilów, jak żołnierzy. Może nawet cywilów częściej i bardziej okrutnie.

Transport, wyładunek, marsz do obozów odbywał się w tragicznych warunkach. Niemcy bili, kluli bagnietami, szczuli psami. Miejsce, gdzie ludność cywilna zbierała się na trasie przemarszów jeńców, rzucając w nich grudami błota, kamieniami, wyzywając, plując, szturchając, kopiąc. Przemarsz ze stacji wyładunku do obozu często liczył kilka do kilkunastu kilometrów, więc okazji do szykan było aż nadto. Pierwsza noc lub nocie jeńcy spędzali często, bez względu na pogodę, bez wyżywienia i na ziemi, pod gołym niebem. Także dlatego, że często baraki w obozach już były przepełnione i bez interwencji komendatury obozów nikt sam z siebie nie chciał zrobić nowym przybyszom miejsca. Jeńców często ograbiano, zabierano pamiątki, elementy ubioru. Wszystkich traktowano pogardliwie, nazywając „polnische banditen aus Warschau”. Ten los dorosłych jeńców był także losem młodych Powstańców, był także losem kobiet-jeńców.

18 października 1944 roku do Lamsdorf przyjedzie niemiecka ekipa filmowa, jeńcy z Powstania zostaną zwołani na apel, a następnie padnie rozkaz, by wystąpili nieletni żołnierze. Zamysł propagando-

wy był taki, że niemiecka kronika miała zachęcać młodych ludzi do wstępowania do Volksstrumu, formacji ostatniej nadziei, złożonej z poborowych w wieku 15-60 lat, którzy do tej pory nie zostali wcieleni do Wehrmachtu ze względu na wiek albo stan zdrowia, coś na wzór pospolitego ruszenia. Jest jesień 1944 roku, Niemcy mają kłopoty na wszystkich frontach – zastój na linii Wisły uratował ich prawdopodobnie przed klęską jeszcze w 1944 roku, ale z orbity wypadła im latem Finlandia, która zmieniła front i już we wrześniu podjęła działania przeciwko Niemcom, oraz Rumunia, sowieckie armie pancerne wlały się na Bałkany, a alianci, mimo blamażu pod Arnhem, powolnym, morderczym przesuwaniem frontu doszli do granicy Niemiec. Wiadomo, że zbliża się dzień ostateczny dla Niemców i Niemiec. Film z motywem nieletnich żołnierzy miał odegrać rolę propagandowego uzasadnienia dla totalnej mobilizacji społeczeństwa. Na podaną komendę spomędzy powstańczych szeregów zaczęli występować po kolei 11, 12, 13, 14, 15-latkowie. W miarę, jak rosła grupa na środku placu apelowego, niemiecka ekipa przerwała filmowanie. Zrozumieli, że ten obraz nie przekaże odbiorcom nic, poza tym, że bezprzykładne zbydlęcenie narodu i państwa niemieckiego w czasie tej wojny wyprodukowało chęć odwetu, zemsty, a to dało Warszawie żołnierzom-ochotnikom – to zdanie powtarzają wszyscy autorzy i ono nie da się ułożyć inaczej – jakich nie miała żadna inna armia na świecie.

W grupie 554 chłopców, którzy 18 października 1944 roku zdecydowali się ujawnić swój wiek i wystąpić na plac apelowy – a nie wszyscy podjęli taką decyzję, wielu postanowiło się nie ujawniać – było 18 kawalerów Krzyża Walecznych, 3 kawalerów Orderu Virtuti Militari, 206 zaś w czasie działań zbrojnych, w uznaniu zasług bojowych, było awansowanych na wyższe stopnie wojskowe do stopnia porucznika włącznie.

Tymczasem jest 4 października. Pobjawisko stygnie. Ludność cywilna opuszcza miasto, kierując się do Dulagu 121 w Pruszkowie. Do niewoli wymaszerowują żołnierze 15 Pułku piechoty AK, czyli żołnierze zgrupowań „Chrobry II” i „Gurt”, za nimi nad ruinami niesie się ostatni komunikat Radia „Błyskawica”, zaraz po jego nadaniu obsługa zniszczy urządzenia nadawcze, których Niemcom, mimo prób namierzenia, zbombardowania, zagłuszenia nie udało się uciszyć do końca Powstania:

„[...] Oto naga prawda. Potraktowano nas gorzej niż satelitów Hitlera, gorzej niż Włochy, Rumunię, Finlandię. Niechaj sprawiedliwy Bóg osądzi straszliwą krzywdę, jaką cierpi naród polski, i niechaj ześle zasłużoną karę na wszystkich, którzy ponoszą winę. Twój bohaterowie to żołnierze, których jedyną bronią przeciwko czołgom, samolotom i działom są pistolety i butelki z benzyną. Twój bohaterowie to kobiety, które opatrywały rannych i przenosiły meldunki pod gradem kul, które przygotowywały w zbombardowanych piwnicach zrujnowanych domów jedzenie dla dorosłych i dzieci i które nosiły pociechę umierającym. Twój bohaterowie to dzieci, które bawiły się spokojnie wśród dymiących ruin. To lud Warszawy. Naród, który potrafił wykrzesać z siebie tak powszechne bohaterstwo, jest narodem nieśmiertelnym. Bo ci, którzy zginęli, już zwyciężyli, a ci, którzy żyją, będą walczyć i zwyciężać i znów dawać świadectwo, że Polska żyje, póki żyją Polacy [...]”.

Chciałoby się powiedzieć „Amen”. Tylko, że to ucale jeszcze nie jest koniec. Jeszcze nie teraz. ●

– A to? A to? A to? – i kiedy doszliśmy do strony, gdzie jakiś stary, zielony, szwedzki traktor stawał dęba na zawodach, powiedziałeś – O! Mok! Mok!

Wyjaśniłem ci, że to jednak nie jest smok, tylko traktor, który jest do smoka ładząco podobny. Wtedy podniosłeś wzrok, jakby ci się przypomniało, że coś chcesz mi powiedzieć, popatrzyłeś mi w oczy, a potem wskazałeś palcem na skos dachu za mną i powiedziałeś z poważną miną:

– Pan był tam, tam.

Obejrzałem się i oczywiście nic nie zobaczyłem. Rząd niskich regałów z Ikei z poupychanych książkami, pod skosem dachu, na który wskazywałeś, były tam świadectwa zagłady i cierpienia wielu narodów. Hołodomor, Tybet, Dachau, Korea Północna, Gułag, Chiny, Kambodża, Cieleń, Treblinka, Pogromy, Wieszanie. Nad nimi polskie powstania narodowe oprócz Warszawskiego, które w stosach zalegało wokół biurka i na biurku.

– Pokażesz mi, synku, gdzie był Pan? – zapytałem, a Ty wstałeś natychmiast z podłogi, podeszedłeś do mnie z wyciągniętą rączką. Podałem Ci rękę, wstałem i poszedłem za Tobą kilka kroków, schylając głowę, bo skosy mamy nad wyraz niskie na poddaszu. Powierzchnia użytkowa wyliczona przez dewelopera, kiedy kupowaliśmy dom, wynosiła niecałe pięć metrów, po podłodze czterdzieści, ale to się dla sprzedawcy nie liczyło, bo on nigdy nie miał tylu książek. Skosy odcięliśmy na wysokości metra, akurat w sam raz na najtańsze regały z Ikei.

– O tu, o tu! – pokazałeś na załęk między ścianą, półką a poręczą oddzielającą ten zakamarek poddasza od schodów. – Tutaj Pan był, lano, lano był Pan.

– Acha... – podtrzymałem rozmowę, chociaż nie wiedziałem, czy to miało cokolwiek wspólnego z tym Panem, którego widziałeś w sierpniu na schodach i który poszedł na górę do Taty.

– Pan dudzi, a Tata ma! – powiedziałeś i pokazałeś, jaki ten Pan był duży i jaki Tata przy nim mały. Nie do końca rozumiałem, jak dudzi pan mieścić się w miejscu, w którym byłem schylony w pół, a ty dodałeś: – I mama ma! a Pan dudzi!

– Hm, a mówił coś ten Pan?

– Mówił, mówił, tam Pan, tam... – byłeś wyraźnie zaangażowany historią, jaką chciałbyś mi opowiedzieć, dysponując zaledwie kilkudziesięcioma słowami.

– Ale co mówił? – wiedziałem, że to głupie pytanie, już kiedy je zadawałem. No, jak miałbyś mi powiedzieć, co ten Pan mówił, głupi tata.

– A Tata... a Tata... – zaczęłeś przeciągać, jak zawsze, kiedy do jednego słowa musisz dodać więcej niż jedno, albo jedno, ale rzadko używane i wiem, że Ty wiesz, jakie to słowo, jak ono brzmi, bo je rozumiesz, operacja w Twojej główce już zaszła, tylko trzeba do tego dopasować aparat mowy, a z tym jeszcze jest kłopot. Więc zapauzowałeś, powtarzając „tata”, zbierając siły do kolejnego komunikacyjnego skoku, żeby wreszcie wystrzelić: – Puci-moka, ale to Tata i pisze... i musi Tata to on o i o nie – przerwałeś i jeszcze raz pokazałeś na załęk za poręczą – o, Pan tam!

I tak oniemiałem, bo oczywiście nic nie zrozumiałem, a to, co rozumiałem, mogło być przecież projekcją moich oczekiwań, wynikających z kontekstu, miejsca, następstwa zdarzeń i tego, z czego sam pomału się wynurzam. Ostatecznie był wieczór 2 października 2018 roku. Po chwili wróciliśmy do zabawy, ale jeszcze dwa razy prowa-

dziłeś mnie w miejsce, gdzie był Pan i próbowałeś coś powiedzieć o wizycie, która miała miejsce „lano” tego dnia. Byłeś spokojny, nie mówiłeś, że się boisz. Zatem nie był to chyba żaden groźny Pan. Nawet jeżeli Tata zbyt głośnym nocnym stukaniem w klawiaturę obudził kilka upiórów, to mieliśmy przez ten czas dobrą gwardię. I mamy ją dalej. Upiory odchodzą. Gwardia zostaje. Pewnie dlatego, mimo tego, że Twoja Mama pyta, czy coś mi się śni, jakby w oczekiwaniu, że muszę cierpieć na kosmary, albo chociaż muszą do mnie wracać wyobrażenia, kadry ze zdjęć, twarze ludzi, ich głosy, którym od kilku tygodni poświęcam sporo miejsca w sobie – od początku sierpnia śpię spokojnie, nic mi się nie śni. Oczywiście to nie musi nic znaczyć. Zupełnie nic.

[Gdy się wypali już Powstanie ciemnym błyskiem]

– I co będziesz robił, jak już skończy się to Powstanie? – zapytała żona wieczorem. Nie odpowiedziałem. Perspektywa tego, że to już, koniec, po wszystkim, wydała mi się dziwna, wbrew intencjom powiało czymś chłodnym. A może tak mi się wydawało, bo na dworze nieźle wiało i nagle jakby zawyło w kominie. Po upale z przełomu sierpnia i września, który czułem w sobie, z czasem miałem poczucie wewnętrznej pustynności. Coraz mniej książek zalegało biurko, coraz więcej lądowało obok, na podłodze, po jakimś czasie nawet w coraz bardziej przemyślnym, uporządkowanym stosie – cięższe, większe na dole, lżejsze na górze, żeby się nie przewróciło, niezależnie od tego, co to za książki. Tak jak w życiu, chciałoby się powiedzieć. Porządek biurka, wokół biurka mówi coś o porządku w głowie. „Rozwój duchowy zaczyna się od tego, że porządkuje biurko” – tak miałem kiedyś powiedzieć przyjacielowi, a on z tego rozwinął całkiem spory esej o życiu duchowym. Ja tak nie umiem, ale rzeczywiście – pejzaż wokół miejsca pracy w jakimś stopniu odzwierciedla pejzaż wewnętrzny autora, temperaturę wydarzeń, jakim chce się dać wyraz. Zatem powolne składanie stosów, coraz mniej aktywów, aż przychodzi noc z 3 na 4 października i okazuje się, że w obrocie pozostają dwie, może trzy książki. Już tylko tyle. Trzeba kiedyś schłodzić głowę, odpocząć. Głowa, która tyle nocy bolała przed snem, kiedy czułem się, zamykając oczy, jak ogłuszony po wielu godzinach w jakimś blaszanym pudle, jakby ktoś założył mi wiadro na głowę i wiele godzin tłukł w nie czymś twardym – stygnie. Dziwna cisza. Wszystko teraz stygnie, pustoszeje, dogasają pożary. 4 października 1944 roku, zgodnie z tekstem umowy kapitulacyjnej, ma wyjść do niewoli pierwszy pułk Powstańców.

Trwają gorączkowe porządki, stopniowe niszczenie broni, zacieranie śladów, wydawanie fałszywych dokumentów AK tym, którzy z różnych względów obawiają się, że ich prawa kombatanckie nie będą uszanowane, na przykład żołnierzom AL (mimo wszystko), żołnierzom pochodzenia żydowskiego. Niektórzy przebiegają się w cywilne ubrania i decydują się na dołączenie do ludności cywilnej, żeby kontynuować konspirację. Taką decyzję podjęto już wcześniej, gdy chodzi o gen. Leopolda Okulickiego ps. „Kobra”, „Niedźwiadek”, który opuszcza Warszawę jeszcze 2 października i udaje się do Częstochowy dla podtrzymania działalności KG AK. Nadawane są odznaczenia, awanse, zamykane sprawy kancelaryjne. Tego dnia KG AK wypłaca wszystkim żołnierzom równy żołd bez względu na przynależność i stopień – 2000 złotych i 7 (według innych relacji – 20) dolarów.

Wymarsz głównych sił ze Śródmieścia odbywa się 5 października,

[Słowo Franciszka]

No, proszę sobie wyobrazić. Jest lipiec, lata dziewięćdziesiąte, nad orawską wsią zapada mrok i to jest prawdziwy mrok. Na wzgórzach nie mrugają jeszcze stacje przekątnikowe GSM, drogę przez wieś, która ma około 600 numerów szerokości i długość około 12 kilometrów, oświetla ledwie kilkadziesiąt latarni, nikt nie oświetla sobie podwórka, ścian domów, ganeczków, daszków nad drzewami. Siedzimy w chacie na wzgórzu, pod ścianą stoi stary metalowy piec na drewno, w którym tli się ogień, na fajerkach grzeje się czajnik, wokół krząta się Jola, żona Franka. Franek siedzi niby to wygodnie rozparty za stołem na ławie, ale kiedy mówi, całym sobą wyraża jakiś rodzaj niepokoju. Mamy po kilkanaście lat, jesteśmy przekonani o swojej nieomyślności gnojami, każdy wybór, którego do tej pory dokonywaliśmy, wydawał się być ostatecznym, każde odkrycie miało posmak prawdy ostatecznej. Jeżeli okazywało się inaczej, to uznawaliśmy to milcząco za wyjątek, a nie potwierdzenie życiowej reguły.

Do Franka chodziliśmy na rozmowy o duchowości. Franek miał wiele w sercu i wiele w głowie, i wiele na półkach, na co dzień pracował jako psychiatra i psycholog dla policji, po godzinach zajmował się życiem, intensywnie musiał je testować, sprawdzać, odrzucać kolejne zasłony, iluzje, pewnie – tego dzisiaj nie wiem – samo życie lubiło zrzucić przed nim swoje ciuszki, ale niewiele i tak odsłaniało. Za kilka lat spotkamy się już jak dorośli ludzie i Franek powie, że od kiedy miał w nocy ataki astmatyczne i z trudem łapał oddech, zrozumiał, że wszystko, co przeczytał, usłyszał o duchowości to jedno wielkie nic, że kiedy brakuje ci oddechu w nocy – liczy się tylko oddech i on się robi od tego bardzo świadomy. Ale na razie jeszcze jest mrok, noc, lipiec, w ciemnościach nad wsią wznosi się wielka góra, która wcale nie jest znowu taka wielka, ale największa w okolicy, dlatego to ją miejscowi nazywają Synajem – a nie tatrzańskie granie widoczne przy dobrej pogodzie po przeciwnej stronie. I Franek jeszcze nie miewa bezdechów w nocy. Jest pełen życia, drżenia, a wydaje się, że żadna z książek, które czytał, nie przyniosły jego duszy ukojenia. I dzieli się właśnie tym stanem, nie daje odpowiedzi, nie zgrywa żadnego guru, mimo, że jest od nas starszy o dwa pokolenia i mógłby. Ale przecież wszyscy jesteśmy przechodniami, wszyscy na drodze. Jesteśmy i zaraz znikamy.

– Więc, rozumiesz, intencja... – Franek zerkał na mnie swoimi przeraźliwie niebieskimi oczyma spod bandanki zrobionej z kraciastej flanelowej koszuli, z którą nie rozstawał się nawet tutaj, pod dachem, kiedy nie groziło mu zalenie potem z wysiłku – ... intencja załatwia wszystko, rozumiesz, jest ważniejsza od modlitwy, medytacji, mantrowania, wszystko to gówno, jeżeli nie masz intencji, właściwej intencji, nie masz tej świadomości, że ta intencja jest właściwa... musisz to wiedzieć, bo to jest najważniejsza rzecz, inaczej to wszystko, co robisz, jest gówno warte...

Przerwał i patrzył na efekt, jaki wywołał. A chyba lubił wytrącać rozmówcę z dobrego samopoczucia i czekał na pierwsze tego oznaki. Stąd dramatyczna emfaza, przeczenie – pozorne – temu, co się powiedziało wczoraj albo przedwczoraj. Na przykład o modlitwie, mantrze albo medytacji.

– O, i to tak jest, widzisz, że jak robisz coś w intencji – tutaj wstał i udał się w stronę czajnika, pocierając dłońmi o wystrzępione od zużycia dzinsy, które zresztą urywały się w połowie łydek, jakby od

zawsze były za krótkie – masz na przykład dla siebie rzucić palenie, albo wódę – nie ma szans, gówno sam siebie obchodzisz, nie zrobisz tego sam dla siebie! Ale – znowu zawiesił głos, nalewając z czajnika gorącej wody do kubka – jak wymyślisz sobie, że nie dla siebie, ale rzucaś palenie dla chorej babci, ooooo, to inna sprawa, pewnie ci się uda. Ale nie wiesz, czemu; nie wiesz, o ha! Widzisz, nie wiesz!

– Ale Franek zaraz Ci to wytłumaczy – z uśmiechem dodała Jola, obserwując z pogodnym wyrazem twarzy męża i nas, zebranych wokół stołu.

– Ha... właśnie, bo nawet nie wiesz, że zmanipulowałeś swoje fałszywe ego! – kontynuował Franek, jakby nie usłyszał Joli. – Ono sobie myśli, że rządzi światem, ho-ho, robi coś dla kogoś, ma nad czymś władzę, a Ty właśnie o – złamałeś je, umniejszyłeś, tak o.

Franciszek usiadł na swoim miejscu i zamyślił się na chwilę, spoglądając, jak w blaszanym kubku gorąca woda rozwija zasuszone liście ziół.

– Albo taki wysiłek w górach, dzisiaj byliście na Babiej, ciężko, słońce, pot – podniósł wzrok znad kubka – ale to idziesz dla siebie, dla swojego ego, dla swojego iluzorycznego „ja”, żeby być na szczycie, o rozumiesz, kurwa, byłem na szczycie, pokonałem górę, ooo, ale się napasło Twoje ego, oooo. Ale jakbyś szedł z intencją, że nie dla siebie idziesz, ale wnosisz tę intencję na szczyt, na górę, to idzie się inaczej. Wiem, co mówię, wiem, co mówię...

Podnieśliście wszyscy na Franka wzrok, bo zdawało się, że docierał do jakiegoś szczególnego obszaru, a on zauważył to i widać, że bardzo go to ucieszyło. Mówił do was wszystkich, ale zarazem każdy czuł się wywołany do tablicy z osobna, bo używał wyłącznie liczby pojedynczej drugiej osoby.

– ...No, bo widzisz, ja na przykład co roku pierwszego sierpnia idę na Babią Górę za tych z Powstania Warszawskiego, tylko z jednego powodu – że ja mogę, a oni już nie...

Zamilkł, opuścił wzrok i popatrzył jeszcze raz do wnętrza kubka, gdzie zapewne suche witki ziół napęczniały już od wilgoci i zogromniały, zasłaniając blaszane dno.

– Oni już nie... – dodał w zamyśleniu i zamilkł.

[Drugie widzenie Tymoteusza]

Siedzieliśmy we dwóch obok stosu książek koło mojego biurka. Masz etap pytania, więc pytałeś, czy możesz wejść pod futerały gitar Taty, albo czy możesz usiąść na tym czy tamtym stosie książek. Potem wzięłeś popiersie Włodzimierza Wysockiego i postawiłeś na drewnianym kocie-skarbonce, do której zbieram sobie pieniądze na ten wzmacniacz, wiesz, co je robi Pan Janek z Hajnówki, kopie Fenderów, tylko lepsze od Fenderów. Właśnie pokazywałem ci pismo pełne Laktołów, które kupiłem pięć lat temu w Visby, nie wiedząc jeszcze, że będziesz i że Traktor (czyli Laktoł) i Dudzie Ato będzie lekiem na każdy twój ból, smutek i krzywdę. Kupiłem to pismo, bo wydało mi się bardzo oryginalne, że można wydawać wysokonakładowy miesięcznik o traktorach. Nie widziałem nigdy pisma o traktorach. Pomyślałem – warto mieć coś takiego na półce, tak o, dla samej przyjemności obcowania z osobliwością. Wydawało mi się, że jesteś bardzo zaabsorbowany traktorami we wszystkich szwedzkich wcieleniach, ciągle pytałeś, pokazując paluszkiem na kolejne zdjęcia:

[Widzenie Tymoteusza. Śpiew murów]

Może tego nie widzisz, Synku, ale mieszam od kilku tygodni trochę nieobecny wzrok. Staram się zapominać na czas bycia z Tobą o tym wszystkim, co we mnie zamieszkało. Znowu i znowu. To zawsze było, ale w tym roku jest mocniej i chce gadać, mówić do mnie. Nie wiem, dlaczego akurat lato tego roku przymusiło mnie do czegoś więcej, do opowiedzenia samemu sobie tej historii jeszcze raz. Czy z powodu tej liczby – czterdzieści i cztery, która koresponduje z moimi urodzinami? Tak to wyjaśniałem pół-żartem, pół-serio paru znajomym, Twojej Mamie. Ale tak naprawdę – nie mam pojęcia, co i dlaczego się ze mną dzieje. Dźwięczy mi to w uszach, kotłuje się w głowie i ona czasem boli, a czasem bolą plecy, jakbym cały dzień nosił żelastwo z piwnic hurtowni na górę i z powrotem. I to też zresztą się czasem zdarza. Zatem gadam do siebie. Bo przecież często tak jest, że żeby lepiej zrozumieć jakieś zdanie albo zadanie, powtarza się je powoli na głos. Tak, żeby związki między wyrazami, pojęciami stały się jaśniejsze, jakby się dotykkiem wodziło po niewidzialnym przedmiocie, próbując odgadnąć, co to właściwie jest, z czego jest zrobione, do czego można tego użyć, czy może się do czegoś przydać, czy czymś grozi.

Mówię do siebie, że czuwać i zarazem próbuję sobie tę historię opowiedzieć jeszcze raz, na głos, poskładać kilka znaczących dla mnie szczególnie fragmentów, głosów, zdań, obrazów. Mam nadzieję ją poczuć, na swój sposób przeżyć, wypuścić w siebie. Z jednej strony schładzam, uciszam, oddalam się. Z drugiej nasłuchuję tych głosów łapczywie:

*Nocą, gdy miasto odpłynie w sen trzeci,
a niebo czarną przewiąże się chmurą,
wstań bezszelestnie, jak czynią to dzieci,
i konchę ucha t a k przyłóż do murów.
Zaledwie westchniesz, a już cię doleci
z samego dołu pięter klawiaturą
w szumach i szmerach skłębionej zamieci
minionych istnień bolesny głos chóru.
„Bluszczem głosów spod ruin i zgłiszcz
pniemy się nocą na dachy i sen,
tobie, Warszawo, w snach naszych śniesz,
nucąc wrześnie żałobny nasz tren”.*

(T. Gajcy „Śpiew murów”)

Podobno wczoraj bawiłeś się z Mamą w pokoju siostry, a ja jadłem mój dietetyczny posiłek po pracy i nagle odwróciłeś się w stronę schodów, które prowadzą na poddasze, gdzie spędzam teraz na lekturach i pisaniu sporo czasu co noc, pokazałeś palcem na górę i powiedziałeś:

– Pan pośet!

Mama powiedziała, że nie, że nikogo nie ma, a Tata jest na dole, ale Ty przecież widziałeś i wiesz lepiej, co widziałeś, więc pokazałeś jeszcze raz z pokoju siostry schody na poddasze i powiedziałeś zdecydowanie:

– Pan, Pan pośet – po czym dodałeś zaplatając rączki wokół klatki piersiowej – boje-boje!

Wierzę ci, że mogłeś coś albo kogoś zobaczyć i miałeś prawo się tego przestraszyć. To był ktoś obcy. Pewnie dlatego wzbudził Twoje obawy, chociaż mam przecucie, że niepotrzebnie. Podobno dzieci i psy tak mają, że widzą niewidoczne dla dorosłych postaci, a nawet

potrafią z nimi rozmawiać. Te dobre i te mniej dobre. Muszę Ci powiedzieć, że od kiedy czuwać na głos – mam wrażenie bliskiej obecności, chociaż bałbym się jakoś jednoznacznie ją określić, żeby nie popadać w to wszystko, czego nie da się obronić w języku.

Tam na poddaszu zbiera się dużo jakiegoś koloidu. Mówię sobie, że to kurz z książek, z dawno nie ruszanego regału. Wszystkie te książki kiedyś miałem w rękach, sporo z nich przeczytałem. Niektóre po kilka razy, a nawet, jak byłem młodszy, rysowałem ołówkiem na planach i mapkach swoje wersje taktycznych rozwiązań nierozwiązywalnych zadań, głównie bojowych. I od kilku tygodni one nie wracają na półki, walają się po biurku, podłodze. Wertuję je, przeglądając, grzebię w Internecie, porównuję coś, co napisali jedni z tym, co napisali inni i czasem próbuję napisać dla siebie wersję swoją, spójną – wynikającą z tych rozproszonych głosów. Właśnie tak, jakbym był znowu w szkole, głowił się nad bardzo trudnym zadaniem z fizyki, matematyki, chemii – których nie lubiłem i zawsze byłem zagrożony, semestr po semestrze, aż do matury, do której do dzisiaj nie wiem, jakim cudem zostałem dopuszczony z matematyki. To znaczy wiem jakim, ale opowiem Ci o tym innym razem. W każdym razie chciałem Ci powiedzieć, Synku, że wierzę, że Pan pośet na górę, bo tam się strasznie dużo kłębi na poddaszu, dużo imion, pseudonimów, a powiedziane jest, aby imion nadaremno nie używać i nie wzywać. A tata wzywa.

Mam nadzieję, że nie nadaremno.

Od dwóch dni myślałem dużo o fosforze białym. Chciałem znaleźć zdjęcie płytek fosforu. Nie proszku, nie bomby, nie kolby laboratoryjnej, ale płytek. Jak mogły wyglądać płytki, które mieściłyby się w zasobnikach, ładownicach w ilości dużej, w ilości wystarczającej. A może to były kostki? Podobno fosfor biały w kostkach jest bardziej stabilny, rozkruszony łatwo się zapala, trudno gasi, nie da się ugasić wodą. Rozgrzewa się do 1300 stopni, ale pali się także w temperaturze poniżej 100 stopni, powoli, nieprzerwanie, niepostrzeżenie. A nasze białko, z którego jesteśmy zbudowani, ścina się przy dłuższym przebywaniu w temperaturze 63 stopni. Rany po fosforze są głębokie, trudno się goją i świecą w nocy, jak próchno w lesie. Algorytmy wyszukiwarek internetowych są bezlitosne. Nie trafiałem na zdjęcia kostek, płytek. Widziałem ciągle zdjęcia poparzonych, popalonych dzieci, kobiet, zbliżenia ich ran, dziur wypalonych w ciele do kości i na wyłot. I to nie były zdjęcia z Powstania Warszawskiego, to były zdjęcia z Aleppo, Homs, Mosulu. Tak, jakby wojna się nie skończyła. Bo ona się, niestety, nie skończyła. Nie umiemy jej skończyć.

Próbuję to zrozumieć, otwieram książki w zaznaczonych zagiętych rogami miejscach i czytam tamtą historię jeszcze raz, opowiadam ją na głos, tak, jak układa mi się w głowie, jak ją słyszę zewsząd i wewnątrz. Nie piszę niczego nowego. Raczej ścieram kurz, wyciągam starocie, układam. Mam nadzieję, że w całość, że z sensem. Marzy mi się, że w ten sposób zbliżamy się jednak do zakończenia tej cholernej wojny. Dla Ciebie. I wtedy i my, i oni, także ten Pan, który pośet na górę, na poddasze do Taty – będziemy mogli zasnąć, wreszcie odpocząć, oddychać spokojnie i swobodnie. A potem się obudzić.

A na razie nie zdziw się, kiedy znowu zobaczysz jakąś obco, może nawet trochę strasznie wyglądającą postać idącą po schodach do Taty na poddasze. Nie bój się. Tata czuwa.



Proza

PALIMPSEST CZUWANIE

Radostaw Wiśniewski

fragmenty



Narodowcy (głównie chłopcy): zboczeńcy, zboczeńcy, zboczeńcy...

Od kościoła na wzgórzu słychać: ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie...

Karczycho, z dziarą Rakowa na szyi, przedziera się do homoseksualistów. Macha łapami. Tajniak pacyfikuje go w sekundzie. Karczycho bardzo jest twardy do pedałów (głównie dziewczyn). Do tajniaka mówi „proszę pana”.

Drugi, kropka w kropkę podobny do każdego innego: steryd, bic, tatuaże, wrzeszczy do policjanta: pedałów chronicie...

Policjant ze spokojem (jak po xanaxie) odpowiada: moje poglądy, proszę pana, nie mają tutaj znaczenia...

Narodowcy na czarno: Żołnierze Wyklęci, wilki, noc, karabiny, Bóg, honor, ojczyzna.

Pedały (głównie dziewczyny) tęczowi: jednorożce, peruki, róż, turkus, pomarańcz. Lady GAGA z głośnika.

Rodzinki z dziećmi w restauracjach wpierdalają obiady. Mężusiowie zamawiają dodatkowe browary, kiedy żonki histeryzują. Dzieciaki dopytują: kto to są pedały? Mamuski, co przeczytały miliardy porad, jak dobrze wychować potomstwo, odpowiadają: nie zadawaj głupich pytań.

Baba obok wrzeszczy: wpierdolić im się powinno...

Inna: rzygać mi się chce, gdy myślę, jak oni to robią...

Jej mąż: to po co o tym myślisz?

Hipsterski fotograf krzyczy: niech pani im to w twarz powie.

Dziadek: co oni pani przeszkadzają, przynajmniej nikogo nie biją...

Drugi: co zboczeńców pan popiera?

Jakaś dziewczyna: wszyscy faszyści to pedały.

Nikt nie słucha nikogo.

Każdy krzyczy na każdego.

Komitet negocjacyjny policjantów biega od jednych do drugich.

Narodowiec wrzeszczy na dziewczynę. Macha tatuażami. On tłumaczy mu coś o równości, prawach obywatelskich. On wrzeszczy jej w twarz: pedały, kurwy, lesbijki... Ona: konstytucja, równouprawnienie... On: cieplaki, dupodajki, kurwiszony... Jeden z tajniaków odrywa się od ścian.

Pan OMERTA jest znudzony. Grzebie wykałaczką w zębach. Szczenięta naśladują go we wszystkim.

Pedałom (głównie dziewczynom) płyta się zacięła: wolność, miłość, demokracja...

Narodowcom (głównie chłopakom) płyta się zacięła: zboczeńcy, zboczeńcy, zboczeńcy...

W megafonach płyta się zacięła: zdrajcy, targowica...

Ani słowa o piątej kolumnie.

Hipsterowaci dziennikarze biegają od grupy do grupy, podnieceni, że „ważne społecznie” foty będą mieli. „Ważne społecznie” teksty napiszą. „Ważny społecznie” materiał nagrają. Będą w Wyborczej, Fakcie, Newsweeku. Będą w TVN-ie, SUPERSTACJI, TOK FM-ie. Pokażą podzielony naród. Ciemnogród. Jądro ciemności w centrum kraju. Będą wzdychać: ojej, jaki ten naród podzielony... Czytelnicy i widzowie docenią ich ciężką pracę. Po której przemęczeni żurnaliści wciągną kreskę, popiją łyżką i zadzwonią po ukraińskie prostutki.

W końcu pedały (głównie dziewczyny) stoją naprzeciw naro-

dowców (głównie chłopców).

Trans krzyczy do megafonu: jacy ładni chłopcy, chodźmy do nich...

I od nowa.

Tylko głośniej.

Zboczeńcy!

Faszyści!

Co dalej?

Pat.

Impas.

Stoją i drą parchy.

Wybiega oddział antyterrorystów w kaskach, z pałami, z tarczami. Jeden kopie w mój rower, wrzeszczy: szybciej się usuwać...

Lipiec.

Upał.

Zboczeńcy!

Faszyści!

Parka w łososiowych polówkach, na rowerkach żeglarskich po dziesięć tysięcy za sztukę, cyka sobie fotki na fejsa.

On: ale cyrki...

Ona: ci z marszu są ładniejsi... z nimi cykaj...

Antyterrorysty oddzielają jednych od drugich. Marsz ma przejść bokiem. Kilku narodowców rzuca się na ziemię. Udadają zawały, udary, załabnięcia. Pały wynoszą ich na rękach. Kładą na trawniku. Poleż sobie, niemoto. Wzywają pogotowie: mamy tutaj niedorobioną bojówkę, co pedałów zatrzymuje, udając omdlenia.

Płaczliwy narodowiec krzyczy w twarz geja: jesteś zboczeńcem!

Płaczliwy gej krzyczy w twarz płaczliwego narodowca: sam jesteś zboczeńcem, faszysto!

Płaczliwy narodowiec: wasze zgromadzenie jest nielegalne.

Płaczliwy gej: jestem większym patriotą niż ty.

Narodowiec: Jasna Góra jest nasza!

Nasza też!

Aż w końcu obaj wrzeszczą: Polska, Polska, Polska...

Antyterrorysta każe im się cofnąć.

Cofają się posłusznie.

Jedni zagłuszają drugich. Trąbią trąbki. Gwizdzą gwizdki.

Konie się płoszą.

Uspokaja je dopiero syrena radiowozu.

Płyta w głośnikach się zacięła: homoseksualiści roznoszą kiłę, aids, rzeżączkę... homoseksualiści żyją dwadzieścia lat krócej...

Harmider. Nikt nie słyszy nikogo.

Jedna baba: żeby faszyści w Polsce...

Druga: ktoś musi komunistów powstrzymać...

Chłop doi małpkę.

Mówi: wszystkich pojechało...

Dzwoni żona. Pyta: czy serial, który miałam nagrać, jest na HBO, czy na CANAL PLUS?

Upał.

Lipiec.

Nie mogę darować, że ten chujek kopnął mój rower. ●

Udar

Łukasz Suskiewicz

Lipiec.

Upał.

Luda nabite jak na święto kościelne.

Pedały (głównie dziewczyny) z transparentami: równość, miłość, przyjaźń.

Narodowcy (głównie chłopcy) z transparentem: dzisiaj homoseksualizm, jutro pedofilia.

Z głośników daje: homoseksualiści roznoszą kiłę, aids, rzeżączkę... homoseksualiści żyją dwadzieścia lat krócej...

Granatowo od krawężników.

Tajniacy, tak tajni, że widać ich z kilometra, podpierają ściany. Z jednym chodziłem do podstawówki. Z tatuażem OMERTA na przedramieniu, na sterydach, wielki, buja się w tłumie, a za nim, jak cienie, dwóch łebków, zaraz po szkole, żeby stary pies pokazał szczeniętom, jak się waruje.

Z głośników: lobby homoseksualne domaga się legalizacji pedofilii... homoseksualiści mają stu partnerów seksualnych...

Sznytu gejom (głównie dziewczynom) nadaje trans z różowymi włosami. Trans śpiewa frywolne piosenki. Trans wrzeszczy: kochani, pomachajcie policji... są wśród nich nasi...

Narodowcy naprzeciw wrzeszczą przez megafon. Jesteśmy jedynym legalnym zgromadzeniem. Płaczliwy lider krzyczy: tylko my mamy pozwolenie... Lewackie lesbijki nie mają pozwolenia...

Hop, hop, kto nie skacze, ten pedał.

I skacz.

Jeden podbiega do policjanta i pokazuje na orła rysowanego w tęczę.

Piszcz: obrazili godło narodowe... musicie ich powstrzymać...

Policjant go olewa.

Alkoholicy, którzy na co dzień okupują ławki, zabierają swoje menelskie badziewie i czmychają.

Bezdomny śpi na ławce. Krogulcze, zielone pazury. Smród kompostu.

Dziadki składają krzyżówki. Pedały (głównie dziewczyny) machają do nich tęczowymi chorągiewkami. To lepsze niż krzyżówka.

Z dwa miliony mundurowych, żeby oddzielać jednych od drugich.

Dwie przeciwległe siły napierają.

Mundurowi mają psy, pały, broń gładkolufową.

Pedały (głównie dziewczyny) śpiewają: każdy oenerowiec chciałby stracić cnotę z chłopakiem...

Narodowcy (głównie chłopcy): policyjna pała chroni dziś pedała...

Symbol religijnej Polski w tle. Tam pielgrzymka pod przewod-

nictwem antychrysta. Politycy tańczą w kółeczku tańce ludowe. Śpiewają pieśni o Bogu, który ich chroni, a wrogów (w szczególności pederastów) nie. Antychryst dziękuje narodowcom za odwagę. Porównuje ich do powstańców warszawskich.

Pedały (głównie dziewczyny) śpiewają: wolność, miłość, demokracja...

Narodowcy śpiewają: stop pedałowaniu... pedofile, pederasci to lewicy entuzjaści... pedały na Syjon...

Pedały śpiewają: faszyści na Marsa...

Narodowcy: nie czerwona, nie tęczowa, tylko Polska narodowa...

Pedały: wolność, miłość, demokracja...

Płaczliwy narodowiec przemawia przez megafon: środowiska lesbijek, zboczeńców, pedofilii usiłują sprofanować święte miejsce...

Trans przemawia: kochani, homoseksualizm to nie choroba, nie bójcie się, chodźcie do nas...

Nakoksowany chłopiec, w typie: och, jakie mam bice, pitbula, dziary, podnieca się, bo w marszu zobaczył znajomego z Polibudy.

Pedały (głównie dziewczyny) śpiewają: nie bójcie się... chodźcie do nas...

Robi się kociok.

Tkanki się przenikają.

Chodźcie do nas.

Czterech mundurowych nadjeżdża na koniach.

Konie ujeżdżają w tłum.

Tłum się cofa.

Dużo, dużo, dużo gapiów. Czegoś takiego jeszcze nie było. Uniesione komórki, żeby wszystko sfilmować, oglądać sobie w długie, zimowe wieczory, jak się pedały (głównie dziewczyny) z narodowcami (głównie chłopcami) naparziali.

Baby, już najebane browarem z promocji w Żabce, wrzeszczą: to jest nasze święto... niech se żyją, ale gdzie indziej... tu są dzieci... i obraz Matki Boskiej... Ich mętni mężowie nic nie myślą, przyssani do browara.

Facet, w czerwonym płaszczu z wizerunkiem Jezusa Chrystusa, kładzie się krzyżem na ziemi. Drugi, w takim samym płaszczu, odmawia różaniec. Tłum klika w telefony. MMS-y do przyjaciół: zobacz wariatów, dewotów, oszołomów...

Hipsterscy fotografowie, z brodami, w obcisłych portkach, cykają foty. Ale jaja... ale jaja...

Podniecony kretyn podbiega do mnie z mikrofonem. Dzień do bry, jestem z... jakiegoś tam... radia, mógłby pan skomentować...

Pedały (głównie dziewczyny) wrzeszczą: wolność, równość, demokracja... ●

rozmów była mowa o kartach. I coś w tym się chyba kryło, bo panna Kelly co rano odwiedzała ich sklep i kupowała talię kart.

Karty stały się jego obsesją. Czekał na nią całe poranki. Od kiedy pojawiła się w jego myślach, polubił swoje obowiązki. W tajemnicy przed matką, która tego nie pochwalała, zaczął się uczyć pokera. Był samoukiem, wydawało mu się to ważne, sądził, że to zaważy na losach ich partyjki.

Poświęcał jej dużo uwagi i choć matka zazwyczaj odsyłała go na zaplecze, gdy do sklepu zbliżała się panna Kelly, to wyszedł coś bardzo dziwnego, a co, jak przeczuwał, mogło się okazać istotne. Ta brzydka a słynna na całą okolicę, i dziwnie oschle traktowana przez matkę kobieta miała swoją tajemnicę. A on ją posiadał, co wydawało mu się kolejnym atutem w przygotowaniach do gry. Otóż Panna Kelly z każdej kupowanej przez siebie talii kart wyciągała po wyjściu ze sklepu tylko jedną, składała ją starannie w czworo i chowała do portmonetki. Resztę niedbale wrzucała do torby między inne zakupy.

Wszystko to jednak było już nieistotne, gdyż właśnie trwała chwila, na którą czekał całe życie. Większość przygotowań i sekretne przewagi, które sobie chłopak zaplanował, też straciły na znaczeniu. Gra trwała. Chłopak stał jak zaczarowany.

Dał się zaskoczyć, ale skąd miał wiedzieć, że Panna Kelly stosuje odrobinę odmienne zasady, niż te ogólnie przyjęte? Rozdanie miało być tylko jedno, choć słowo „rozdanie” też było nie na miejscu. Tutaj się kart nie tasowało. Ale w końcu był w bajce. Tu można było sobie karty wymyślić. I on je sobie wymyślił. Najlepsze z najlepszych. Chłopak wymyślił sobie dużego pokera w kierach. Mógł to zrobić. Nie łamał zasad panny Kelly.

Nie sądził nigdy, że tak łatwo przyjdzie mu wygrać z legendarną Kelly Karciarką, ale tak najwyraźniej wygrywa się w bajkach. Cekał już tylko, by panna Kelly odkryła swoją ostatnią kartę, a kiedy zaczęła to robić, mimo że przecież był pewien wygranej, gra nabrała prawdziwych rumieńców.

Chłopak stał jak zaczarowany. Wszystko się zmieniło w trakcie tej krótkiej, zwycięskiej partyjki. Był już mężczyzną, gdy pod jego nogi w końcu upadła ostatnia karta Kelly. Schylił się po nią, nie odrywając wzroku od tego, od czego, jako mężczyzna, nie mógł już wzroku odrywać nigdy.

– I jaka to karta, mój rycerzyku?

– Kier.

– A nie mówiłam?

– Dwójka.

– Jak to?

Chłopak pokazał jej kartę. Kelly z nieprzytomnym wzrokiem zerwała się z sofy i wybiegła z sali. Chłopak stał jak zaczarowany. Wygrał.

– Przecież gadałeś, że nigdy nie przegrywała.

– Bo nie przegrywała.

– No to w końcu jak było, przegrała z tym gnojkiem, czy nie?

– Nieważne.

– Ważne. Przegrywała, czy nie przegrywała?

– Nie przegrywała.

– A z tym gnojkiem?

– Nie wiem, polazł sobie.

– Czy z nim przegrała?

– Powiesiła się.

– Ale skąd ta dwójka?

– Nie wiem. Pewnie jej jakaś kurwa złożony kartonik podmieniła. Wszystkie jej zazdrościły. I Kelly się powiesiła.

– Hehehe.

– Hihihih.

– Dobra historia, stary capie, ale ty się dziś też możesz powiesić. Przegrałeś.

– Jak to?

– To był dziwny wieczór – mrucał pod nosem Tom Szklanka Berger, sprząając swój lokal, który lubił nazywać burdelikiem.

To był dziwny wieczór z kilku powodów, ale głównie za sprawą Roberta Date. Starego Roberta, którego wszyscy wołali Bobie Double Date. Robercik Podwójna Randka. „Podwójna randka” zapewne od zwyczajowego karcianego określenia na parę dam. A parę dam trzymał Robert w swym ręku tysiące razy. Bobie był najstarszym z pokerzystów, którzy tu przychodzili. I nigdy nie przegrywał. Z młodymi, których ogrywał bezlitośnie, siadał do stolika góra dwa razy. Może to dlatego przylgnęła do niego ta podwójna randka? Bo na inne randki Bobie raczej nie chadzał. Nie to, że za stary. Tom widywał gorsze grzyby, które nie pogardziły kurewką. Robert miał swoje zasady. Przy grze nie gadał, a po grze nie dawał zarobić kurwom, które do burdeliku garnęły się chętnie, wiedząc, że wygrane w pokera pieniądze puszczają się nie gorzej niż one.

To był dziwny wieczór, bo Bobie po raz pierwszy rozgadał się przy grze. Tak się rozgadał, że aż przegrał. I to też czyniło ten wieczór dziwnym. A na dokładkę wyszedł z dziewczyną. Stary piernik wybrał sobie najśliczniejszą dzierlatkę, jaka tu zaglądała od lat, i opuścił z nią lokal z taką miną, jakby chciał wszystkim uzmysłować, że już tu nie wróci.

– Ma jednak po co wrócić – powiedział Tom do ściąganej z oparcia krzesła, znoszonej marynarki z brązowego sztruksu, którą zostawił Bobie. Przewiesił ją sobie przez ramię, by wynieść na zaplecze, i zauważył, że z kieszonki na piersi coś wypadło.

– Oho, talizmanik starego piernika.

Schylił się i podniósł z podłogi złożoną w czworo brudną kartę, dwójkę kier o nadruku ze wzorem, jakiego nie widział już od wielu lat. A może nawet nigdy. ●

– Mam go w kieszeni.
 – Gdzie?
 – W kieszonce. – Kelly rozłożyła uda na całą szerokość, ukazując swojemu przeciwnikowi największe wargi sromowe, jakie w życiu dane było mu widzieć.

– Jaaaakie?
 – Słuchaj uważnie, grzdylu, kiedy gadam! Taaaakie! Jak męskie dłonie. Ale nie, jak te twoje łapki pieska preriowego, w których ledwo pięć kart potrafisz utrzymać. Miała wafle jak łapska kowala. Jak graby największego z tych murzynów, co tu przy budowie kolei machali młotami, a który, gdyby twój tępy pysk zamknął w rękę, to jeszcze koniec dużego palca wepchnąłby ci w dupę!

– I co? Na nich miała ten tatuaż?
 – Jaki znowu tatuaż?
 – Brakującego asa kier.
 – Żadnego asa nie brakowało!
 – Przecież na tatuażu były cztery karty.
 – Daj już spokój z tym tatuażem. W karty się grało. I Kelly miała kartę. Rozumiesz? Kartę, a nie tatuaż. Kelly miała asa w cipie.
 – I wyciągała kartę ze szpary?
 – Wyciągała, wyciągała. Ale jak wyciągała!
 – Ręką?
 – Głupis, to ty musisz robić wszystko ręką. Kelly robiła widowisko!

– Jak cyrk?
 – Cyrk? Cyrk przy tym, chłopcy, to deski, piach i szmata. Jak poszła fama, to do naszego oszczanego przez kojoty Deadwood ciągnęły pielgrzymki. Pomyślcie! Ci frajerzy z cyrków muszą się telepać od dziury do dziury, a tu było na odwrót, frajerzy z wszystkich dziur telepali się nawet po kilka dni do naszego cyrku. Do cyrku panny Kelly!

– To co robiła?
 – No, bo cię w łeb zdziele, ile mam razy powtarzać? W karty grała!
 – Ale co robiła z ostatnią?
 – Jaką ostatnią?
 – Jak zagrywała asa kier?
 – No właśnie mówię wam o widowisku, to przerywasz! Sęk w tym, że wafle Kelly nie były jak u innych bab.

– Mówiłeś już. Duże miała.
 – Duże? Ogromniaste! I co z tego, gdy tu nie chodzi o wielkość. Mówiłem już o łapskach tego murzyna? Też były duże i co, skoro niezgrabne? Nadawały się tylko do walenia młotem. Jedyne, co umiał, to zacisnąć paluchy na stylisku. Tyle finezji. Na skrzypcach by nie zagrał. To znaczy Kelly ze swoimi warami też nijak do skrzypiec nie pasowała, ale uwierzcie mi, parę sztuczek potrafiła. Rozumiecie już? Kelly władała swoimi waflami lepiej niż wy palcami, kiedy tasując karty, staracie się mnie oszuabić. Wyobraźcie sobie tych wszystkich gamoni, jak im rosły oczy, gdy cipa Kelly ożywała! Jakby Kelly między nogami miała ośmiornicę jaką. Nie było jedne-

go, który by nie zamilkł, pysku nie stulił. Najwięksi piniacze stali jak zahipnotyzowani! Pamiętacie jednego szarlatana, który tu parę lat temu z wozem pełnym tego brązowego słodkiego świństwa do picia się przytarabanił, takiego rudego chudzielca, co oprócz trucia ludzi za ich własne pieniądze robił jeszcze pokazy hipnotyzowania, zanim go pastor nie przegonił, czego może i później żałował, jak się zimą okazało, że jego mała Sue uległa też hipnozie, tylko z opóźnieniem o dziewięć miesięcy? Ten ryży dzieciórób mógłby pobierać nauki z hipnozy w szkółce niedzielnej, gdzie „proszę pani” mówiłby do cipy Kelly. Stali i gapili się, a wafle Kelly falowały, sięgały w głąb szpary i wyciągały z niej ociekającą słuzem, złożoną w czworo kartę, a później rozkładały ją, odginając najpierw jedno, a potem drugie zagięcie, wciąż pokazując tym durniom stojącym w pozach, w których zastygli, tylko odwrotną stronę kartonika, by na końcu z rozmachem rzucić im ją pod nogi, gdzie z młasińciem przyklejała się do parkietu i celowała w ich zdziwione ślepia błyszczącą od wilgoci czerwienią kierowego asa. Zawsze wygrywała. I nigdy się nie zdarzyło, żeby przegrany nie zapragnął, by to, co stało się przed chwilą na jego oczach z kawałkiem kartonu, nie zostało zrobione z jego kutasem, tylko w odwrotną stronę. Tak, ta dziewczyna miała piekielny talent do kart!

– I co z nią?
 – Nic.
 – Jak to nic?
 – Nic.
 – No co ty?
 – Graj.
 – Gadaj!
 – Przegrała.

Chłopak stał jak zaczarowany. Teraz już musiał uwierzyć, że tu jest, że spełnia się jego największe marzenie, że gra z tą kobietą w karty. Miał czternaście lat, prawie. Nie znał jeszcze stawki gry, o której marzył. Nie rozumiał wszystkiego, co go otaczało, a niektóre rzeczy przyjemnie go dziwiły, jakby coś w nim budząc. Świetnie za to znał reguły pokera. Uczył się ich od dwóch lat. Dla niej.

Nie powinni go tu upuścić, ale widocznie chcieli sobie zrobić pośmiewisko z ledwo dorosłego od ziemi przygłupiego syna wdowy prowadzącej w miasteczku sklepik. Niech pohula z naszą Kelly.

Kobietę, do której podszedł, znał dobrze, widywał ją codziennie, ale tam gdzie ją widywał, wyglądała zupełnie inaczej, dlatego chwilę trwało, nim stojąc z rozdzieloną głową na środku tej dziwnej sali, w końcu ją rozpoznał i ruszył w jej stronę. Rozmowy przymilkły, a wzrok wszystkich skierował się na niego. Oczywiście zgromadzonych błyskały humorem, a wąsy unosiły się nad uśmiezkami: objawił się oto bohater wieczoru, który ściszał w garści zbierane od roku kilka dolarów. Ktoś mu kiedyś powiedział, że o mniejszą stawkę Panna Kelly nie zagra.

W pewnym sensie dorastali razem. On rósł, kiedy ona stawiała się legendą. Nie rozumiał sensu jej sławy. Nikt nie chciał mu wytłumaczyć, o co chodzi. Ale we wszystkich podsłuchanych urzywkach

– Hahahaha.
 – Hie hie hie hie.
 – Heh. A na przykład ta, Kelly Karciarka!
 – Kto?
 – Możecie nie wiedzieć, boście młodzi, Kelly Karciarka.
 – Kelly kanciarka?
 – Sam żeś kanciarz, gówniarzu, zostaw to, karta stół. Kelly nigdy nie kantowała, choć, jak tak pomyśleć, to grała znaczonymi kartami. Ale nie kantowała.
 – Szulerka?
 – Głupis, a kto by z babą niby tutaj usiadł do stołu? Kurwa!
 – Kurwa?
 – Zwykła kurwa, ale niezwykła. Kelly grała.
 – W co grała?
 – No a w co miała grać kanciarka? W karty grała.
 – No to jak grała, skoro nie miała z kim grać?
 – Kelly nie miała z kim grać? Kelly, barani łbie, grała z większością frajerów, którzy przewinęli się w tamtych czasach przez tę dziurę. Jeśli jakiś facet trafił do naszej dziury, to prawie na pewno trafił do dziury Kelly.
 – No to co, o dupę grała i zawsze przegrywała?
 – Głupis. Kelly zawsze wygrywała. Nikt nie miał takiej ręki do kart jak Kelly. Nie, inaczej, Kelly miała cipę do kart.
 – Opowiadaj w końcu. Piękna była?
 – O, nie! Kelly była z pewnością najszpetniejszą i najbardziej pokraczną kurwą, jaką nosił boży świat. Kelly nawet jak założyła te kurewskie fatałaszki, na widok których wszyscy zapominacie o swoich mamusiach, to wyglądała gorzej, niż płaszcz Billa Hickocka wepchnięty w dupę jego konia.
 – I tak się do niej pchali?
 – Nikt się nie pchał.
 – To z kim grała?
 – Z wszystkimi grała. Mówiłem już.
 – Ale...
 – Nie przerywaj, słuchaj! Schodziła co wieczór na salę i siadała gdzieś w kącie. Inne od razu do chłopów, a ona siedzi w kącie i psuje atmosferę. W końcu zawsze ktoś się ukurwił tym jej siedzeniem, albo kogoś rozbawiła swoją gracją kulawego kojota. Nie było wieczoru, by ktoś, nieważne, z jakich przyczyn, się do niej nie dojechał.
 – Wtedy proponowała grę?
 – O tak! Wtedy zaczynała się gra.

– Czego tu szukasz, paskudo, po co tu w ogóle siedzisz i gapisz się na przyzwoitych ludzi? – Gość podkreślił swoją niechęć splunięciem pod nogi.
 – Nie jestem paskudą, nazywam się Kelly. – Dziewczyna odsłoniła resztki krzywych zębów w uśmiechu.
 – Nie pytałem o twoje pierdolone imię ani o nazwisko, a tym bardziej o nazwisko rodowe mamusi, tylko o to, co tu robisz ze swoją mordą?

– Jak wszystkie dziewczyny, czekam na pana – oczy Kelly zabłysły.
 – Na mnie? – Odwrócił się do sali. – Słyszeliście? Ta pokraka czeka tutaj na mnie! – Z powrotem pochylił się nad Kelly. – Co ty sobie myślisz, ścierwo? Wiesz, co ja mogę zrobić z taką jak ty?
 – Przelecieć za kilka dolców i postawić drinka? – Przechyliła głowę lekko w lewo.
 – Solidnie kopnąć w dupę i wypierdolić z tego uroczego miejsca, do którego pasujesz jak gówno do chińskiej wazy. I wiesz, na co ci tylko pozwolę? – Gość nie pluł już, by coś podkreślać, tylko parskał śliną z każdym wyrzaskiwanym słowem.
 – Żeby panu obciągnęła za kilka centów? – Kelly uniosła brwi.
 – Pozwolę ci wybrać, czy chcesz wylecieć oknem, drzwiami, czy kominem!
 – To może zagramy o to w karty?
 Gość zdębiał. Chwilę stał jeszcze pochylony nad nią z palcem wycelowanym w komin, po czym wrócił do pozycji zasadniczej i zrobił usta w ciup.
 – Ty jakaś głupia jesteś. Widzisz tu jakieś karty?
 – Ja? Nie. Ale pan zobaczy.
 Kelly rozszerzyła lekko uda i uniosła rąbek halki, ukazując wydatny i wygolony wzgórek łonowy. Zdobił go starannie wykonany tatuaż. Cztery ułożone w wachlarz karty. As pik, as karo, as trefl. Do tego dziewiątka kier. Gość uśmiechnął się złośliwie, odwrócił w stronę sali i powiedział:
 – Słuchajcie, to niebywałe, kurwa w burdelu pokazuje mi cipę! – Sala wybuchła śmiechem.
 – Nie, ja pokazuję panu karty. – Kelly wodziła opuszkami po symbolach karcianych kolorów. – Moje karty, którymi będę grać.
 – Ze mną? – Tym razem palec wskazał pierś mówiącego. – Sądziś, że mam na chuju wytatuowaną talię kart?
 – Ależ skąd! Pan sobie swoje karty wymyśli.
 – Wymyślę? Co ty, kurwo, kombinujesz?
 – Nic. Przedstawiam zasady naszego małego pokerka. Gramy talią składającą się z dwudziestu czterech kart. Moje karty pan zna – Kelly pacnęła dłonią w swoją trójkę asów i dziewiątkę – a pan zamknie na chwilę oczy i wymyśli sobie układ, jaki trzyma w ręku. Kto będzie miał mocniejszą kartę, wygrywa.
 – Ty naprawdę jesteś nienormalna! – Gość potrząsał głową, lekko unosząc ramiona. – Nie będę zamykał oczu, a ty szykuj dupę, lecisz przez komin. Mam dużego pokera w kierach! A czego oczekiwałaś?
 – Nie ma pan.
 – Jak to nie mam? Właśnie go sobie wymyśliłem. O, widzisz – pochylił się znowu i dwoma palcami rozwarł jak najszerzej mógł powieki prawego oka – i to z otwartymi oczami. Zerwij sobie swoją trójkę asów z cipy i usadź w dupę. Ja mam pokera. W kierach.
 – Owszem, ma pan kiery: dziesiątkę, waleta, damę i króla. Pana piąta karta nie jest asem. Nie jest też kierem, bo dziewiątkę kier mam ja. – Kelly wyrysowała na łonie arabską cyfrę i serduszko. – Jaka więc jest pana piąta karta, niech pan sobie przypomni, co tam wymyślił?
 – Mówię ci, kurwo, po raz ostatni, że to as.
 – Nie, to niemożliwe, bo ten as jest u mnie.
 – Niby gdzie?

Opowiadanie

Waldemar Kazubek

Kelly Karciarka

maluchów bawi się plastikowymi bohaterami G.I.Joe. Skąd maluchy w limuzynie? Nie mam czasu się zastanowić, bo już lecimy w powietrzu. – O shit... – Wybuch miny. I drugiej. I trzeciej. Koziółkujemy; ktoś wyleciał przez szybę, ja się kurczowo trzymam Azjatki. Próbuje, ale wciąż natrafiam na jej krągłe piersi. – Sorry, sorry – krzyczę, trzymając ją za pośladki. Koziółkujemy. Wybuch, kolejny. I znów. Wybuchają miny, a my koziółkujemy. Myślę: – jakie wytrzymałe to auto oraz: – ale ma miękkie piersi ta Azjatka. W ogóle ma chyba za duże piersi, jak na Azjatkę. Ale chyba naturalne. Patrzę, jak kolejna osoba wylatuje przez szybę. Urywa jej głowę. A ja nadal myślę o piersiach Azjatki.

Nagle wszystko ucichło. Cisza. Coś mi brzęczy w uchu, Azjatka coś do mnie mówi, ja krzyczę. – Nic nie słyszę, bo mi brzęczy w uchu. – Ona krzyczy. – Ni chuja bębenka – krzyczę, ona chyba nie rozumie. Coś krzyczy i macha rękoma. Cicho wszędzie. Głucho wszędzie. Odwracam się. Szczątki aut, szczątki ludzi, szczątki szczątek, otwarta walizka, mnóstwo pieniędzy. Gdzieś dalej jedzie ciężarówka coca-coli. Tak myślę – o, jak bym się z chęcią teraz napił coca-coli.

– Ruchy, ruchy, szybko, bo nas znajdą. Szybko, aaaa – słyszę krzyki zabitego żołnierza. To bardzo dziwne, bo już przecież nie żyje. Poza tym skąd tu armia Vietkongu? – Jacyś żołnierze wyciągają nas z wraku. Przypinają mnie i zabierają do helikoptera. – It's OK – mówi jeden z nich. – Tak, tak, it's OK – odpowiadam, że jest OK. – Za chwilę jestem już w śmigłowcu. Jakiś żołnierz wyciąga batona Marsa – Come on... Take it. – Biorę i zjadam Marsa. Czuję ten *product placement*.

– Nie możesz tak robić, po prostu nie można tego robić – ktoś krzyknął. Zgodziłem się z nim. No bo nie można. Nawet nie wiedząc, o co chodzi, ale wolałem się zgodzić. Helikopterem wylądowaliśmy na dachu luksusowego hotelu. Przywitały nas skąpo ubrane stewardesy z szampanem. Popijałem.

– Musisz walczyć, znasz wszelkie sztuki walki, przypomnij sobie słowa mistrza. To – jest w tobie – jedna ze stewardes (blondynka, 180 cm wzrostu, wielki biust i małe pośladki), krzyknęła w moją stronę. – Czemu wszyscy tu krzyczą? – krzyknąłem. Nagle krzyk. Wybuch w holu, jakieś krzyki, ludzie uciekają, budynek się wali. Nagle kolejny wybuch. Kolejny wybuch. I jeszcze jeden. Fuck... a było już tak przyjemnie.

– Po tobie, Han – powiedziała i nacisnęła przycisk. Nagle wybuchł cały czterokondygnacyjny parking. Pojawił się gęsty kurz i dym. Nagle zza chmury dymu, tuż obok największego budynku w mieście, pojawił się gigantyczny potwór – przypominał dinozaura, jednak był jeszcze bardziej straszliwy i większy. – Aaarrrhh – krzyknął, a z jego paszczy popłynął strumień ognia. A potem nalot kosmitów. I tornado. I znów inni kosmici. I gradobicie, a na koniec trzęsienie ziemi i olbrzymi pożar.

– Jedź, jedź, jedź! – Ruszyła z piskiem opon. Ponętna Azjatka, ubrana w lateksową sukienkę, pończochy i buty na szpilkach. Usta pomalowane na krwistoczerwony, podobnie paznokcie u rąk. Włosy w kok. – Nie patrz się tak na mnie. Tamta noc to pomyłka – powiedziała. – Musimy uciekać. Już nas namierzili. – Wciąż na nią patrzyłem. Nie pamiętam tamtej nocy, raczej nie była to pomyłka.

Skok parolotnią, potem znaleźliśmy się w Tokio. I tyle, znów

zaniki pamięci. Czarne plamy. I pobudka, w łóżu z pięcioma seksownymi modelkami. – Byłeś cudowny – mówią. Wstaję i szybko ubieram się, bo w drzwiach pojawia się gigantyczny Azjata. – Byłeś cudowny – też mówi. Trochę to dziwne.

– Uważaj! – Ha-dzia – ktoś krzyknął, wokół nas pojawiła się kolejna grupka ninja. – Już nie żyjesz – powiedział jeden z nich łamanych, chińsko-amerykańskim akcentem. – Ostatnio to wielokrotnie słyszałem, przyzwyczaiłem się – odrzekłem, rzucając w jego stronę trzy granaty. – Nie boję się konkurencji, bo jestem najlepszy. I nikt się nie może ze mną równać – tego akurat nie zrozumiałem, większe zdziwienie, że sam to powiedziałem. Dziwne, skąd u mnie granaty.

Kolejne strzały. Wybuch. Tuż nad moją głową. Liu krzyczy na mnie: – Wpisz kod, wpisz go! Nic nie rozumiem. Nie wiem, o co chodzi. Wybuch, kawałek kamienicy osunął się na ulicę. Przygniótł jakiegoś przechodnia, reszta krzyczy. Liu też krzyczy. Kim jest Liu? – No szybko, zrób to! Ja krzyczę: – Nie wiem, nie znam się. Czemu jesteś Liu? – nie rozumiała. Te międzynarodowe problemy komunikacyjne. Kolejny wybuch. Wielkie pierdut i łubu du. Wszystko się przerwało. Wszędzie krew.

– Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze – nie umieraj. Pocałuj mnie, ostatni raz, niech będzie to pocałunek.. jakbyś miał za chwilę umrzeć. – Ktoś obok mnie umiera i się całuje. Nie wiem, co się dzieje. Odwracam się, jakaś mara, luna, słońce, promienie, nic nie widzę. Czuję miękką dłoń. Ktoś do mnie podchodzi, czuję, że jadł dziś kiszoną kapustę. Coś do mnie mówi.

– Jesteśmy z planety E567, jesteś naszym synem – powiedział obiekt świetlny. – Masz w sobie tę moc, tę siłę. Musimy ich obserwować i uderzyć w odpowiednim momencie. Nurkowanie to dobry przykład i pomysł na dojrzały wiek i brak problemów z prostatą. – O czym on mówi? – W międzyczasie odnaleźliśmy zatopiony skarb. Olbrzymie wazy. Powinieneś wyjechać na wycieczkę, zanim to się skończy. – Who the fuck? – myślę, wspominając własną prostatę.

Level 2 – game over finisz him. Jestem cobra, nie wygrasz z nami – zaśmiał się nastolatek grający w jeden z pobliskich automatów do gier. – O nie, chłopcze, to nie jest gra, to rzeczywistość, brutalna straszna, amerykańska rzeczywistość – Ha, ha, ha.. Power Rangers. Jesteśmy z tobą. Uśmiechnij się, uśmiechnij. – Nic nie rozumiał, zjadał McDonalda i się upupiał, amerykanizując. Popart wielki, gruby popart. Szczątki wszystkiego. Wokół mnie. Wokół nas. Pole bitwy, pole rażenia. Poszukujemy pola walki. Wokół mnie. Mnie. Ja. Bomba.

– Wyrzuc tą bombę! – Tę bombę! – poprawnie mów. – No tę, tę, bombę... Rzuć. – Rzuciłem, samolot wrogów wybuchł, wyleciał z niego olbrzymi krzyż i tysiące złotych monet. – Zalewa nas deszcz złotych monet. To chyba finał – Tak, finał. Dziękuję, to nasz skarb – krzyż – dla Ciebie. Dziękuję – ponętna Azjatka pocałowała mnie z języczkiem.

– Jak się panu podobało? Co? Podobało się panu? – Tak, tak, bardzo. Jeszcze tu wrócę. Było bardzo, przyjemnie, delikatnie, fascynująco. The end. Odjeżdżam w stronę zachodzącego słońca. Pozostawiam wszystkie ponętne Azjatki. Wracam do rodziny. Na kolację będzie Pizza Hut. ●



Amerykańska opowieść

Tłum szaleje. Wszędzie migają flesze od aparatów. Ring. Obok ringu skacze grupa karłów przebranych za byki. Nade mną stoi olbrzymi facet w skórzanej masce. Pode mną mata. Czuje, że to koniec. Zaraz. Skąd się tu wziąłem? Jest godzina – z trudem sprawdzam na zegarku – siódma trzydzieści osiem po południu. Olbrzym zaczyna się ślinić, skacze nade mną, ja nie mogę wstać, próbuję, a tłum szaleje. Ktoś krzyczy – zabij go, zabij. Ktoś inny rzuca w stronę ringu popcorn. Skąd się tu wziąłem? – ponownie zadaje sobie to pytanie.

Jest godzina szósta. Wracam od Marka. Nie lubię typu. Podjadę do KFC i zadzwonię do Anne. – Halo, Darling... kochanie, tak. Zabierzesz dzieci? Tak, mam już bilety, nie martw się. To do zobaczenia przed stadionem o siódmej, tak za pięć. Zobaczę, czy będą korki. No dobrze. Nie, już zjadłem – dojadam kurze skrzydełka i pijam colę. Mam nieco frytek. – Tak, spokojnie, wziąłem urlop. Tak, tak, wiem, mam się nie przepracowywać. Rozumiem. No to pa, buziaki, Kiss, Kiss, trzymajcie się.

Pamiętam, że podjechałem na stadion; przez kilka minut szukałem wolnego miejsca. Spotkałem się z Anne i dziećmi. Była siódma, za pięć. Kupiłem bilety w pierwszym rzędzie. Bawili się przednio. Młodemu kupiłem koszulkę Johna Ceny, starszy chciał CM Punka, ale już takich nie sprzedają, więc dostał Cesaro. Kolejne walki i kolejna zabawa. Nagle coś się dzieje. Nagle zamaskowany zawodnik wyciągnął mnie z tłumu gapiów. – Już nie żyjesz – krzyczy i rzuca na matę. Tracę przytomność. Budzę się i patrzę na zegarek. Siódma trzydzieści osiem po południu. Kolejny raz tracę przytomność. I znowu się budzę. Stoję i trzymam w dłoni pas mistrza WWE. Jakiś Azjata w sugestywny sposób pokazuje, że odetnie mi głowę. Nie wiem, co się stało. Jak wygrałem. Jak mogłem się tu znaleźć? Nie myślę o tym, przeskakuję przez liny. Moja rodzina jest nie mniej zszokowana niż ja. Skaczę i skręcam kostkę w prawej nodze. Przewracam się na gościa sprzedającego hot-dogi. Krzyczę: – Holly shit. Motherf... Wpadam w poślizg, kolejno przewracam gościa od popcornu, dziewczynę z balonami i starszą panią na wózku. Potem clowna, faceta przebranego za kowboja i grupkę umorusanych nastolatków, którzy tworzyli napis LOVE, teraz to VELO. Widzę, jak chcą mnie złapać. Wszyscy, którzy za mną biegną. Przewracam się, jednak wstaję. Uciekam; kulejąc, wbiegam

na parking. Szukam swojego Dodge'a, krzycząc: – Dodge, gdzie jesteś? Tak nieco głupio, bo Dodge to samochód, ale w tej chwili nie myślę rozsądnie. W ogóle nie myślę.

Ktoś strzela, kulę się i uciekam przed kulami. Wskakuję do auta. Nie chce zapalić. Ktoś znów strzela, rozwalają mi tylną szybę. – Who the fuck? – krzyczę. Wyskakuję przez drzwi pasażera. Nadal strzelają, chowam się za oponę. Nagle podjeżdża superturboluk-susowy samochód. Ktoś otwiera drzwi i podaje mi rękę. – Wsiadaj, come on... – mówi, więc wsiadam. I tyle rozumiem. Za wiele ktosiów. Znów mdleję. Budzę się w jakiejś limuzynie. Szczerbaty Azjata podaje mi szampana i każe się uśmiechnąć: – Smile... Obok olbrzymi czarnoskóry ochroniarz z wielkim, złotym łańcuchem na szyi. – So.. motherfucker... coś tam coś tam. Nie rozumiem. Gówno.

– Co się stało? Nie wiem... nic nie pamiętam. – To pewnie szok po postrzeleniu – odpowiada z azjatyckim akcentem. – Jakim postrzeleniu! – krzyczę. – Zostałeś... – ponętna Azjatka wyjmuje igłę i wysysa jad – postrzelony niezwykle zabójczą trucizną, spokojnie, już ją wyssałam. Ja nic nie mówię, tylko myślę o tym, jak ponętna Azjatka ssie moją truciznę. – Masz walizkę? – Co? Jaką walizkę? – spojrzałem na dłonie, trzymałem w nich walizkę. – Tak, mam walizkę – odpowiadam, mając nadzieję, że chodzi o tę walizkę, którą trzymam w dłoniach. Zacząłem opowiadać od początku: Tłum szaleje. Wszędzie migają flesze od aparatów. Ring. Obok ringu skacze grupa karłów przebranych za byki. Nade mną stoi olbrzymi facet w skórzanej masce. Czuje, że to koniec. Zaraz. Skąd się tu wziąłem? Jest godzina – z trudem sprawdzam na zegarku – siódma trzydzieści osiem po południu. Olbrzym zaczyna się ślinić, skacze nade mną, ja nie mogę wstać, próbuję, a tłum szaleje. Ktoś krzyczy: – Zabij go, zabij. Ktoś inny rzuca w stronę ringu popcorn. Skąd się tu wziąłem? – ponownie zadaje sobie to pytanie.

...i tu jestem. Nic więcej, nic mniej. Skąd się wzięła ta walizka, co w niej jest, nie mam pojęcia – skończyłem mówić, nagle nad szymbardachem pojawiło się kilku zamaskowanych wojowników. Wyglądają jak zamaskowani ninja. Któryś z nich rzuca gwiazdkami, takimi ninja gwiazdkami, inny krzyczy coś po japońsku – chińsku – koreańsku – azjatycku.

– Skąd ci zamaskowani ninja? Nie wiem nic. – Kłamiesz, ha, ha, ha – zaraz umrzesz. Hadzia, hadzia – gdzieś obok dwóch

Jak pokazują dane statystyczne, ponad połowa Polaków robi zakupy w niedzielę, a ich liczba wciąż rośnie. Proporcjonalnie rośnie też krytyka takich praktyk handlowych, głoszona z ambony. Księża mówią, iż zaprawdę siódmego dnia Pan odpoczywał na kanapie przed telewizorem. Tako i nam przykazana jest podobna forma spędzania czasu w dzień święty. Jednak twierdzenia takie, w dobie hiperkapitalizmu, są nieco anachroniczne, gdyż nijak się mają do przyzwyczajęń dzisiejszego, zabieganego społeczeństwa, maksymalizującego swoją efektywność we wszelkich sferach życiowych. Krytyka trafia więc w największym stopniu tylko do tych, co i tak się z nią zgadzają. A wierni, którzy w niedzielę, po jakże pouczającej homilii, postanowili zrobić zakupy, wciąż to robią. Nowoczesna religijność, bardziej elastyczna i przyjazna gospodarce, wychodzi więc naprzeciw potrzebom swoich owieczek. Przejmując strategie handlowe wielkich dyskontów, oferuje wygodne uświęcenie wprost spod sklepu. Tym sprytnym zabiegiem Kościół może przyłączyć do siebie ośrodki handlowe jako satelity parafii.

Oczywiście, wszystko na większą chwałę Boga. Zresztą, On sam też nie próżnuje i osobiście włącza się w te działania: dzień jest słoneczny, zachmurzenie umiarkowane, lekki wietrzyk – idealny czas na czynienie cudów. Nieopodal rozuwanych drzwi supermarketu stoi Jezus Chrystus. Stoi i za nic ma bełkot ateistów. Stoi i niech mnie szlag trafi, jeśli na ten widok Stephen Hawking nie wstanie z wózka, a czarownic Russell nie zagwiżdże!

A więc Dobra Nowina stoi pod supermarketem i przyjmuje interesantów od 8:00 do 14:00 z przerwą na Anioł Pański. Syn Boży jest bowiem prezesem organizacji non profit, działającej w zakresie świadczenia pomocy medycznej i psychiatrycznej. Oprócz uzdrowień, organizuje terapie grupowe, spotkania i wykłady motywacyjne. Dziś pracuje w terenie i od rana ma zapieprz. Kulawi, niedołęzni, paralitycy, cierpiący na wrzody i przerost prostaty, alkoholicy, onaniści, ludzie ze zwyrodnieniami stawów, chorzy na raka i ONR-owcy – wszyscy ustawili się w długą kolejkę postukującą kulami i wieszakami na kropłówki. Jezus, w zależności od schorzenia, to przykładają ręce do głowy, to do uszu, to do nóg. Małym palcem likwiduje opryszczeni, wskazującym wyrównuje ciśnienie, a serdecznym rozbił kamienie nerkowe. Na koniec daje święty obrazek i już. Następny! Wszystko przebiega błyskawicznie, jak na profesjonalistę przystało. Cierpiący też działają sprawnie, nie utrudniając Mu pracy. Tyko narkomani przepuszczają każdego przed siebie i grupują się na końcu ogonka. Przed ostatecznym wyzwoleniem z łańcuchów uzależnienia chcą jeszcze ostatni raz strzelić w żyłę.

Wśród tych, którzy przyszedli dziś wyleczyć się poza funduszem zdrowia, jest też jeden niewidomy. Ma psa przewodnika. Wielkiego, złotego labradora, z pociesznym pyskiem pełnym wdzięczności i miłości, do jakiej zdolny jest tylko przedstawiciel *canis familiaris*. Ostrożnie prowadzi niewidomego. Ślepiec dodatkowo obstukuje przed sobą teren łaską, żeby nie przydepnąć rozkładających sandałów grubej kobiety, której żyłki na nogach znaczą autostrady ciężkiej pracy i zaniedbania. Labrador tymczasem kontroluje ruch kolejki. Przechodzi metr i siada przy nodze właściciela, czekając, aż osoba na początku odejdzie w zdrowiu, robiąc miejsce na kilka następnych kroków. Są coraz bliżej. Jezus zdążył już załatwić po jednym gruzliku i nadciśnieniowcu, trzy razy wyleczył refluks żołądkowy, siedem

osób wybawił od nawracającej migreny i raz powiększył piersi. W końcu przyszła pora na niewidomego – niby wielkim czułością obadał łaską bruk przed sobą i stanął, przebijając nerwowo palcami na trzymadle zamontowanym do szelek psa. Jezus zmrużył oczy i spojrzał w dziwaczne, śpiące oblicze. Naślinił oba kciuki, po czym ze skupieniem kogoś, kto chce rozetrzeć jakiś brudek na szybie, przyłożył je do gałek niewidomego. Pies z wywieszonym jęzorem pilnie obserwował całą scenę, tylko od czasu do czasu gryząc się po tyłku czy obwąchując kolana Nazarejczyka.

Zabieg wykonany. Do niedawna nic nie widzący mężczyzna zamrugał, jakby go ktoś nagle zbudził z drzemki w środku dnia. Rozejrzał się dookoła i wydał nieartykułowane sapnięcie euforii. Jezus nie miał czasu na przyjmowanie wyrazów wdzięczności. Wcisnął mu w dłoń kartonik z Maryjką, klepnął po ramieniu, po czym delikatnie odepchnął na bok. Mężczyzna odszedł kawałek, by z wielkim entuzjazmem obrzucić świat swym nowym wzrokiem. Wielkie billboardy reklamowe były dla niego w tej chwili piękniejsze niż malarstwo dawnych mistrzów. Odetchnął głęboko jeszcze kilka razy i uderzył się otwartą dłonią w biodro. – No! Kurwa! – rzekł, ubierając w słowa swój optymizm. W końcu pochylił się i zaczął rozpinąć szlufki psiej uprząży, będącej jego nawigacyjną łącznością ze zwierzakiem przez ostatnie kilka lat. Zdjął je z grzbietu labradora, po czym razem z łaską cisnął w stronę porzuconych wózków inwalidzkich. – Nie jesteś już mi potrzebny. Idź sobie! – rzucił w stronę psa w tonie komendy. Zwierz szczełknął i pokręciło zadem, najwyraźniej niczego nie rozumiejąc. – Głuchy jesteś?! No już! Poszedł stąd! – Psisko zaczynało być skołowane. Niepewnie podnosiło się z ziemi, po czym znów siadało. Z wciąż otwartym niby w uśmiechu pyskiem, skomlać, pchało nos do rąk właściciela. – No już! Wypierdalaj! Wuna! – Ex ślepiec agresywnie wypychał z siebie słowa. Pies ostrożnie odszedł kilka kroków, ale nie przestawał patrzeć w stronę swojego pana i machać ogonem. Wrodzone posłuszeństwo oraz legalistyczna postawa wobec praw tresury kłóciły się z przywiązaniem. – Wooooon!

Właściciel tupnął nogą, zamierzając się jednocześnie uniesioną pięścią. Czworonóg, kuląc grzbiet, odbiegł na kilkanaście metrów, wciąż zerkając na mężczyznę. Ten zaczął iść w swoją stronę, co chwila obracając się, by ostrym słowem zastopować zwierzę. Labrador zostawał coraz dalej i dalej za nim, aż w końcu stanął w miejscu, odprowadzając człowieka wzrokiem...

I w ten właśnie sposób powstają bezpańskie psy. Właściciele, odzyskujący zmysł za sprawą uzdrawiającej łaski Jezusa Chrystusa, nie chcą ciągnąć za sobą balastu przeszłości. Wraz z czysto fizycznym wymiarem widzenia wraca im też umiejętność krytycznego spojrzenia na sprawy finansowe. Chłodna kalkulacja obiektywnie wykazuje koszty utrzymania zwierzęcia. Weterynarze i specjalne karmy dużo kosztują, a psiak na dobrą sprawę nie sprawuje już swojego głównego zadania. Spaceruje zabierając czas, który można by wykorzystać na oglądanie (w końcu w pełnym wymiarze) telewizji. Nie wspominając już o odwiecznym problemie – co zrobić z psem, gdy wyjeżdża się na wakacje?

Wiem, że Jezus nie robi tego specjalnie. Zajmuje się tym, w czym jest po prostu dobry, pewnie nawet nie myśląc o tym, co dzieje się dalej. Koles jest naprawdę w porządku i w ogóle, ale jeśli Go kiedyś spotkacie, powiedzcie Mu, żeby chociaż wszystkie psy posyłał do nieba. Hau hau! ●

Wracając do tego, o czym już mówiłem – Jezus nie był taki zły. Właściwie, to był całkiem w porządku jak na Żyda. Ot, hipis, który nie ćpał i nie żebrał. Gadał dużo o miłości, braterstwie i przyjaźni. Zupełnie jak ci z Lata Miłości w '67. Tyle że bez gitary i nasączonego LSD znaczka pocztowego na języku. Całymi dniami deptał jerozolimskie bruki ze swoimi dwunastoma wolontariuszami, którzy zupełnie nieodpłatnie pomagali mu w całym tym byciu Zbawicielem (Niestety, taka znajomość nie zapewniała życzliwego nastawienia ze strony społeczeństwa. Mało kto chylił im kapelusza na ulicy, a dzieci strzelały do nich papierowymi kulkami z długopisów, sikały do baków i przyklejały wyżutą gumę na siedzenia. Ostatecznie karierę większości apostołów zakończyła dekapitacja lub dzida w brzuchu). Koleś czynił nawet cuda! Poważnie! Sam widziałem w jednym filmie, jak na weselu zamienił wodę w wino!

Wiadomo jednak, że nie wszystkim da się przypaść do gustu. I to nawet robiąc takie alkoholowe czary jak On. Znalazło więc się kilku takich, którym nie podobało się, że Mesjasz, zamiast oswobiać Naród Wybrany, wypruwając flaki złym Rzymianom, ciągle mówi o jałmużnach i przebaczeniu, jakby był, kurwa, Bobem Marleyem. Swoją drogą dziwne, że nie nagrywał płyt ten nasz Jezus. Kilka rytmów, chwytliwy refren i chórki. Wystarczyłby to do przekształcenia świętych słów w „muzykę z przekazem”. Jestem pewien, że żałoby, gdyż masa nieudaczników, samotnych pizd i egzaltowanej młodzieży lubuje się w tego typu gównie. Naprawdę dziwne, że tego nie zrobił. Tym bardziej, że ówczesna konkurencja na rynku muzycznym była znikoma. Ale być może po prostu nie miał dobrego głosu. Nie wiem.

Ale wróćmy do tych, którym nie podpasował jego styl bycia. Możliwe, że cała ta afera rozeszłaby się po kościołach, gdyby nie to, że trafił na naprawdę zawziętych skurwysynów. Uparli się żeby Go zabić i w końcu udało im się tego sympatycznego trzydziestoparolatka umęczyć. To były czasy przed wynalezieniem dyskusji i konstruktywnej krytyki, więc wszystkie spory światopoglądowe załatwiano się w taki właśnie sposób. Rację miał ten, kto nie kończył ukamienowany, ścięty mieczem, czy powieszony za nogi na murach miasta. Jego akurat przybili go do krzyża. Rzekli: – Stąd se gadaj, ile ci się podoba – po czym rozeszli się do domów, uznając, że dwie belki i trzy gwoździe załatwiają sprawę.

Ale nie na wiele się to całe krzyżowanie zdało, bo koleś zmarł w chwale! Nie robię sobie jaj! Naprawdę! Przez trzy dni leżał spokojnie, jak na trupa przystało, a potem wstał i wyszedł, jak gdyby nigdy nic. Narobił tym niezłego zamieszania. Każdy by się zdziwił na widok nieboszczyka przychodzącego na własną stypę, a On zyskał przy tym wszystkim jeszcze super moc! Serio! Mógł przechodzić przez dziurkę od klucza, kłapkę dla kota czy przewód wentylacyjny. W ten sposób odwiedził nawet swoich uczniów, którzy ze strachu przed represjami grozącymi im z powodu tej kłopotliwej znajomości, kryli się jak zalegający alimenciarze. Potem historia robi się jeszcze bardziej pokręcona, bo Chrystus leci do nieba jakby był wypełniony helem! Ale to już możecie sobie doczytać gdzie indziej.

Ostatecznie, na pamiątkę tego wydarzenia, Kościół przez setki lat wybijał tysiące gołodupców, którzy nie zdążyli dogłębnie zapoznać się z prawdami objawionymi. Nie wiem, czy Jezusowi dokładnie o to chodziło, gdy mówił „Kochaj bliźniego swego”. No, ale! Co ja tam będę dyskutował. Uznam autorytet starszego. Instytucja mająca

2000 lat z okładem musi zapewne wiedzieć lepiej, co Zbawiciel miał na myśli.

Sporo odszedłem od głównego problemu. Miało być o bezpieczeństwa psach. Następnym razem krzyczcie, gdy będę gdzieś błądził. Lubię wtrącać dygresje. To zresztą bardzo przydatne przy pisaniu. Słowacki popełnił nawet całą książkę złożoną z dygresji!

Jeśli umiejętnie wykorzystujemy wtrącenia, można z jednej biednej stroniczki zrobić trzy porządne, a z trzech – pięć naprawdę zajebistych! Ludzie biorą wtedy te wasze wypociny w formie grubej pulpy papierniczej poszatkowanej na strony i mówią z uznaniem: – Oto prawdziwy pisarz! – Po prostu zaczynają traktować was bardziej poważnie. Przyznają nagrody, analizują, pokazują tę książkę w telewizji śniadaniowej i w Teleexpressie. Piszą recenzje i polecają. Nikomu do głowy nie przychodzi, że chcieliście wymyślić coś kompletnie z dupy na zapchanie dziury w historii. Znawczy zaczynają mówić o „dynamizmie narracji” i podobnych głupstwach, co świetnie wypada podczas imprez z darmowymi drinkami i dobrze działa na tych, którzy znają się mniej od was.

Psy? No tak – psy! Konkretnie bezpieczeństwa psy. Na pewno kiedyś takie widzieliście. Najłatwiej poznać je po tym, że nikt nie sprząta po nich gównem z trawnika. Zupełnie jakby brak właściciela miał sprawić, że same nauczą się je wywalać do kosza. Ludzie nie rozumieją, że samotność nie równa się samodzielności! To nie podwyższa IQ. Inaczej byłbym już, kurwa, geniuszem!

No mniejsza. Żeby coś stracić, najpierw trzeba coś mieć, tak więc bezpieczeństwa psy, zanim staną się bezpieczeństwa, mają pana. I to nie takiego pierwszego lepszego pana! Nie żadną staruszkę rozmawiającą ze swoim jamnikiem! Nie bezdzietną parę japiszonów, którzy swojego pupila najchętniej by ochrzczili. Nawet nie dzielnego policjanta z amerykańskiego filmu, który wraz ze swoim psem rozwiązuje zagadki kryminalne, a gdy ginie w strzelaninie, wielki owczarek alzacki zostaje przyjęty na jego miejsce w stopniu porucznika. Nie, nie, nie! 100% byłych właścicieli bezpieczeństwa psów to NIEWIDOMI! Zgrzyta wam coś? Już śpieszę z wytłumaczeniem. Na początek przyjrzyjmy się temu, co już zostało powiedziane: Mam ślepców i czworonogi, które stają się bezdomne po utracie swoich ociemniałych właścicieli. Pomiędzy znajduje się pusta przestrzeń logiczna, w której jedynym stałym odniesieniem jest Chrystus. Gotowi? No to jedziemy.

Konkretnie pod supermarket. (W tym miejscu musicie mi wybaczyć złamanie konsekwencji w podawaniu wszelkich szczegółów, ale uwierzcie, że nazwa i lokalizacja wielkopowierzchniowca są dla historii zupełnie zbędne. Możecie go umieścić gdziekolwiek chcecie! Nawet w swoich Piździchowicach Dolnych, zresztą kto wie, czy to aby nie działo się właśnie pod waszymi oknami).

Jest niedzielne popołudnie, tuż po mszy. Wierni wychodzą z jednej świątyni, w której karmili swoje dusze i od razu kierują swoje kroki do drugiej, gdzie wszelkimi dobrami o wysokiej jakości i niskich cenach będą zaspokajając potrzeby ciała. Z daleka, z siłą elektromagnesu przyciągają ich banery reklamowe. A że supermarkety to najbardziej naturalne i najprzyjaźniejsze dla nas środowiska (dziecko w łonie matki nie czuje się tak dobrze jak my w sklepie), toteż wszyscy cieszą się na to spotkanie. Maszerują rażno, rozmyślając o cebuli, tamponach i wiertarce Bosh w promocji, co kusi magią dziewiątkowej końcówki ceny.

przez najspokojniejszą, bo pogrążoną zwykle w pracy umysłowej część miasta, przyjęli wynik oględzin z jak najbardziej uzasadnionym niedowierzaniem – zespół projektu Opportunity pozostawił za sobą chodniki gęsto zasłane chrzęszcząco-tnącym dywanem odłamków szkła, zgwałcone drzewa i krzewy, paragrafy wygiętych znaków drogowych, studzienki kanalizacyjne pozbawione pokryw, śmieci wysypane z koszy wprost na jezdnię, kilkadziesiąt wyjących alarmów, siedemnaście uszkodzonych aut i co najmniej jedno wyrzucone na bok (Toyota Prius). Wciąż też dało się usłyszeć chory jazgot podniecenia. Teraz dobiegający już gdzieś z DSN Road. Wezwano policję.

Oto kość wyrzucona w górę i przybierająca kształt stacji kosmicznej opada, by na powrót stać się kością – zmałpoludyzowanie sięgnęło szczytu przed wejściem do centrum kongresowego: na dziedziniec obiektu dostali się nieniekajeni. Wszak pomimo pewnych niepokojących znaków sugerujących aberrację w zachowaniu (poszczekiwanie, wycie, wyraźna nadaktywność i niekompletna garderoba), załoga JPL była tam oczekiwana. Lecz chwilę później blisko setka osób na czele z szefem misji zaczęła tłoczyć się przy wejściu, nie reagując na prośby o wylegitymowanie się i apele o to, by do środka weszło tylko 15 osób (!). Tłum rozwścieczony tym dyplomatycznym oporem zaczął forsować drzwi. Szklane skrzydła przytrzymywane od środka przez dwóch zdezorientowanych pracowników ochrony w końcu ustąpiły pod naporem masy ludzkiej. Naukowcy udarli się do środka i przy wtórze wrzasków jeli dokonywać regularnego szturm na budynek, pokonując kolejne grodzie oddzielające ich od sali głównej oraz dewastując przy tym wszystko, co dało się zdevastować. Doszło do starć z ochroną. Licznie zgromadzeni dziennikarze początkowo starali się rejestrować całe zajście, ale wkrótce i oni zostali wessani w wir walk, czego najmniej dotkliwym skutkiem był zniszczony sprzęt. W tym czasie na miejscu zjawiły się już zaalarmowane wcześniej służby prewencyjne. Po szybkim rozeznaniu się w sytuacji podjęto decyzję o zastosowaniu rozwiązań siłowych w celu unieszkodliwienia stanowiącej zagrożenie grupy. Było to o tyle trudne, że ta przedzierała się coraz bardziej w głąb budynku, grożąc dalszymi zniszczeniami placówki utrzymywanej ze środków państwowych – do konfrontacji doszło dopiero w holu przed salą główną.

Policja opanowała sytuację około północy. Konieczne okazało jednak wezwanie posiłków, użycie gazu łzawiącego i gumowych kul. Zatrzymano wszystkich uczestników zajścia (w tym trzech dzienni-

karzy, którzy przyłączyli się do naukowców, co potem tłumaczyli w sądzie chwilowym zaburzeniem zdolności kognitywnych wywołanym „nastrojem chwili”). Następne godziny zajęło wyprowadzanie aresztantów z budynku. Nie byłoby to możliwe bez pomocy medyków, którzy musieli domięśniowo podać środki uspokajające zakutym, lecz wciąż agresywnym i stawiającym opór naukowcom. Czekwały już na nich furgonetki policyjne i karetki pogotowia rozstawione na całej długości DNS road, którą rozjaśniały teraz palpitacje niebieskich i czerwonych sygnałów świetlnych. Rannych odwieziono do szpitali (wraz z dozorem policyjnym), a zatrzymanych sprawiających najwięcej problemów – przez wzgląd na ich własne bezpieczeństwo – przejęły ośrodki psychiatryczne. Ostatecznie tylko niewielka grupa trafiła bezpośrednio do aresztów śledczych i/lub komisariatów gdzie przeprowadzono czynności daktyloskopijne i inne standardowe procedury niezbędne przed rozpoczęciem odbywania kary tymczasowego pozbawienia wolności.

Równocześnie udzielano pomocy poszkodowanym. Większość urazów przedstawiała uszkodzenia ciała typowe dla walki wręcz (lub przy użyciu narzędzi): połamane nosy, rozcięte łuki brwiowe, usta broczące krwią, wybite zęby i siniaki. Niestety, zdarzyły się też poważniejsze przypadki – najczęściej pobitego przyjęto na ostry dyżur z podejrzeniem pęknięcia czaszki i krwotokiem wewnętrznym w jamie brzusznej. Co jednak najbardziej zaskakujące i co później stało się przedmiotem dyskursu na temat zachowań zbiorowości w sytuacjach granicznych prowadzonego między wieloma światowej sławy psychologami, socjologami i antropologami, to że spora część poszkodowanych nosiła ślady pogryzienia! Pogryzienia te, dokonane niewątpliwie ludzkimi szczękami, znaczyły ciała personelu centrum kongresowego i policjantów biorących udział w interwencji. Nie mieli ich natomiast sprawcy całego zamieszania członkowie JPL, skąd można było wysnuć jednoznaczny wniosek im właśnie przypisujący autorstwo niecodziennych obrażeń. Ponadto sanitariusze musieli mierzyć się z powszechnymi efektami działania gazu łzawiącego. Do szpitala zabrano też dwie zszokowane recepcjonistki, które podczas natarcia schroniły się na zapleczu w schowku na detergenty (po krótkiej obserwacji odesłano obie do domów). Jeśli zaś chodzi o straty materialne, w samym tylko budynku wstępnie szacowano je na około 70 tysięcy dolarów.

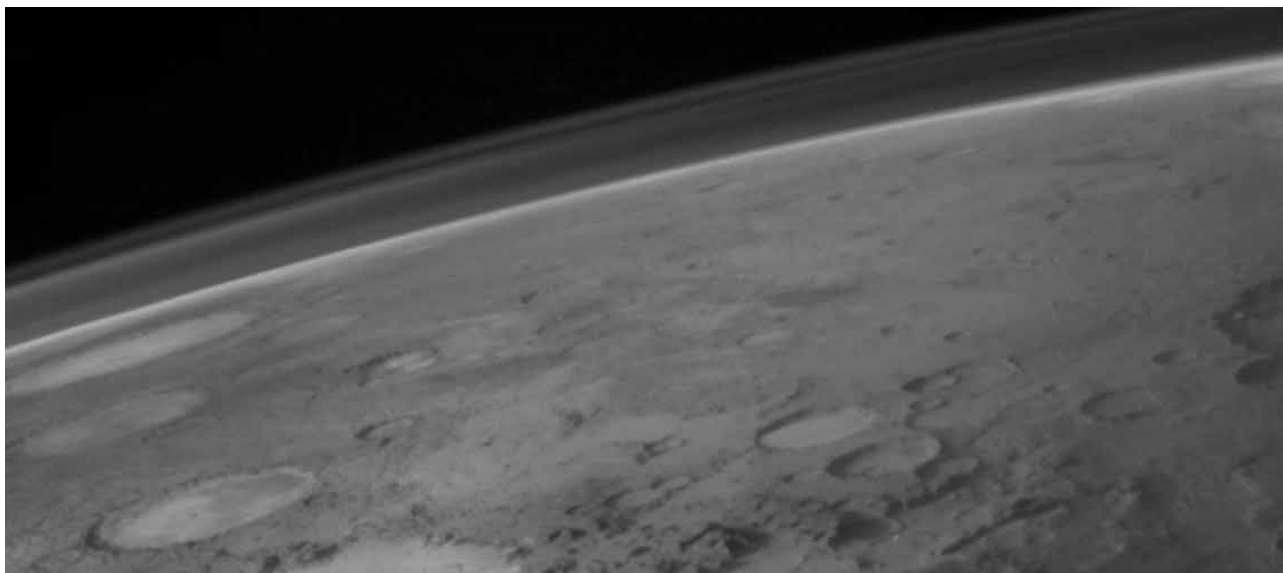
Tymczasem Opportunity, przekazywał pierwsze zdjęcia powierzchni czerwonej planety: suchy, brunatno-rudy spokojny pejzaż. Misję zaplanowano na 90 soli, czyli dni marsjańskich. ●

Jak powstają bezpańskie psy

Zastanawialiście się kiedyś, jak powstają bezpańskie psy? Możecie się zdziwić, ale odpowiedzią na pytanie jest Jezus. Tak. TEN Jezus.

Wiem dobrze, że to jedna z tych niewielu biblijnych postaci, która nikogo nie utopiła, nie sparaliżowała, nie zadźgała i nie pokarała plagą. Ogólnie raczej dobrze się kojarzy. Chociaż znam takich, którzy są na niego strasznie cięci. Mówią, że cały ten Chrystus to ko-

ścielna bajka. Sznurek, na którym prowadzi się starych, zacofanych ludzi. Że wszystkie te opowiastki to błaga, a klechy napychają sobie dzięki niej kieszenie, i że nawet jeśli istniał, był tylko chorobliwie ambitnym cieślą. Nikim więcej. Krótko mówiąc, w sprawie Jezusa wykazują się wręcz histerycznym bólem dupy. Choć do końca nie wiadomo, o co im chodzi. Może nie dostali roweru na komunię? No niech im tam! Oni i tak nie będą chcieli tego czytać.



prognoz oraz wyników po tysiącokrotnie przeprowadzonych próbach i testów badających zachowanie w ekstremalnych warunkach każdego, najmniejszego nawet elementu konstrukcji Opportunity, działała właściwie na ślepo. Z wrodzonej w gatunek człowieczy, uwniosłającej go, czystej, a beznadziejnej potrzeby eksploracji i poznawania otaczającego nas wszechświata zdecydowali się wysłać dzieło ziemskiego intelektu i rąk, niewolne od kształtujących pojmowanie i technikę praw funkcjonowania wspólnego błękitnego habitatu, w rdzawy punkt na niebie – miejsce za nic mające sprawdzające się na Ziemi zasady.

Ale udało się. Systemy nie zawiodły i dnia 25 stycznia lądow-
nik bezpiecznie dostarczył pojazd na Marsa, stykając się z jego po-
wierzchnią na terenie wulkanicznego krateru nazwanego później
Kraterem Orła. Pełne skupienia oczekiwanie w sali kontroli naziem-
nej momentalnie sublimowało w euforię. Stres za ogromne pienia-
dze, za miliardy dolarów, nagle ustąpił miejsca niespotykanej wręcz
radości, która zadziwiłaby i zawstydziła nawet najszcześliwszych
spośród ludzi.

W naturze teź (radości) leży, iż po osiągnięciu swego punktu
zenitalnego stabilizuje się na pewnym poziomie, zostawiając nas
z ograniczonym czasowo i stopniowo wytracającym swą siłę uczu-
ciem spełnienia. W tym wypadku tak się jednak nie stało. Psychika
skupiona na walce z napięciem w chwili, gdy znikło, zadziałała jak
zwolniona katapulta wystrzeliwująca ekscytację. A ta, przewyżcien-
żywszy siłę grawitacji racjonalnych zachowań i osiągając drugą
prędkość kosmiczną (tak zwaną „prędkość ucieczki” oznaczaną V_0),
wznosiła się wciąż w górę i w górę niepowstrzymana rozumem.

Teraz na stół wskakuje szef misji z epicką plamą potu na plecach
błękitnej koszuli. Kłascze w dłonie czerwony na twarzy ze źreni-
cami rozpychającymi mały pierścień tęczówki. Kłascze w dłonie
i wykrzykuje jedno słowo: „konferencja!”. W kółko: „Konferencja!
Konferencja!”. Wrzeszczy nad tłumem ludzi. Rozchełstane ubrania,
zaściełające podłogę marynarki z rękawami wywleczonymi na dru-
gą stronę, kobiety i mężczyźni rozgrzani z od wewnątrz bijącego go-
rąca szarpiący za swe kołnierze. Ktoś, charcząc i warcząc, z całej siły
ciągnie za zwis krawatu, jak gdyby zapomniiał przyswojonego rutyną
sposobu na ściąganie go. „Konferencja! KONFERENCJA!” drze się

złany potem w klimatyzowanej sali szef misji.

Niespełna trzy tygodnie wcześniej po sukcesie lądowania MER-A
„Spirit”, bliźniaczej misji również realizowanej przez JPL, na konfe-
rencję wydelegowano zaledwie osiemnaście osób. Powód tak ma-
łej reprezentacji był czysto prozaiczny – znajdująca się nieopodal
sala konferencyjna nie była przygotowana na więcej. Wielki zawód
spowodowany nieobecnością znacznej grupy ojców i matek sukcesu
Spirit wytworzył w całym zespole przekonanie, że w medialnym
splendorze po tryumfie kolejnej misji powinni partycypować wszy-
scy. „Konferencja! Konferencja!” – teraz więc szef projektu krzyczał
i klaskał do całej setki, a cała setka, rozogniona, drżąca, niecierpliwa,
krwią nabiegła, w lot podchwyciła ideę i jakąś stadną siłą kierującą
mrówki do mrowiska zaczęła się – mimo upojenia szczęściem – or-
ganizować przy wyjściu. Cała setka o jednym zdartym od krzyku
gardle.

Tłum wyległ na Explorer Road i zaczął kierować się w stronę
skrzyżowania z Oak Grove Drive, skąd już tylko kilkadziesiąt me-
trów dzieliło od kolejnej odchodzącej w lewo DSN Road, przy której
mieściło się biuro prasowe już od rana pełne dziennikarzy z całego
USA i spoza kraju.

Mieszanina narkotycznej niemal dawki endorfin, które w tych
stężeniach wykoślawiły swe zwykle zbawienne działanie, w połą-
czeniu ze świeżym powietrzem ciepłego sierpniowego wieczora,
sprawiło, że euforia zamieniła się w szaleństwo. Coś pomiędzy
dziecięcą beztroską destrukcją a czerwoną furią goryla. Szli ulicą
Pasadeny, rycząc, skacząc po samochodach, wybijając szyby, zry-
wając bruk i rzucając śmieciakami. Pod tymi samymi gwiazdami,
które łaskawie przyjęły w swe przestrzenie rakietę Delta, odcho-
dziły teraz dantejskie sceny, a nauka trwożnie chowała się przed
swymi apostołami w zaułek. Dotychczas twórcze i cierpliwe dłonie,
miesiącami składające Opportunity element po elemencie, brudziły
się teraz żelazistym, szorstkim osadem z wyszarpywanych znaków
i przydrożnych słupków. Doszło też do rękoczynów: szef misji oso-
biście poturbował 35-letniego pracownika archiwum, który opuścił
swoje stanowisko pracy, by zwrócić uwagę na przeszkadzający
w wykonywaniu obowiązków hałas. Ludzie, którzy tuż po natarciu
postanowili sprawdzić, co za niszczycielski żywioł przetoczył się

Tak bardzo Yeti

Gdzieś w górach, w lodowej jaskini żyje Yeti. Ma białe futro, grubą skórę na prawie dwa centymetry i ogólnie jest bardzo duży. Ślady robi wielkie. Kicha głośno. W twarzy Yeti tkwi para pięknych, czarnych jak węgiel oczu, co widzą głównie biel. Ale nie ubolewa nad tym Yeti. Widocznie ma widzieć właśnie to, co ma przed oczami, więc po co żałować tego, czego się nie widzi?

A co poza tym? Yeti prawie nie je. Od czasu do czasu tylko pokłnie himalaistę i na wzór pytona trawi miesiącami. Jedzenie to strata energii. A i szczęki ciężko otworzyć na tym mrozie. Na szczęście do otwierania ich Yeti nie ma wielu okazji, bo nie ma do kogo mówić. Yeti jest sam. Żyje już tu na ziemi setki lat i nigdy jeszcze nie spotkał żadnego innego przedstawiciela swojego gatunku. Na dobrą sprawę nie może sobie nawet przypomnieć, czy miał matkę. Czy kiedykolwiek został urodzony. Gdy się nad tym zastanawia wśród błękitnych zimnych czterech ścian, dochodzi do wniosku, że po prostu pewnego dnia obudził się już jako Yeti i wszystko było po staremu. Czasem z dobroci serca – bo Yeti to w sumie poczciwy stwór – próbuje o tym opowiedzieć himalaiście. Nim go zje. Ale oni zawsze za bardzo krzyczą. Nie są zbyt gadatliwi.

A czasem ktoś mu robi fotkę. Czasem lawina strąci go całe kilometry w dół i musi mozolnie gramolić się na górę, mijając rozrzucone kuchenki gazowe, porwane namioty, konserwy. Po drodze weźmie sobie coś z tego na pamiątkę. Uważa, że ludzie są dziwni. Rzekłby nawet „osobliwi”, gdyby znał to słowo. Na pewno je przeczuwa i to mu w sumie wystarczy. Yeti jest z tych, co nie trapią się niewydajnością własnej duszy. Yeti po prostu jest Yeti i basta. Koniec kropka w śniegu.

Yeti czasem wchodzi na szczyt góry. Ponad warstwę chmur, gdzie słońeczko świeci i można się powygrzewać. Silną łapą ugniecie sobie trochę skałę, żeby była wygodniejsza, siądzie i weźmie głęboki wdech. A że powietrze tam jest rozrzedzone, to ten głęboki

wdech może trwać i z 8 minut. Ani się wtedy Yeti nie robi bardziej liryczny, ani bardziej zadumany. Nie robi się wcale bardziej refleksyjny niż skała, na której siedzi. Po prostu jest Yeti. Koniec i kropka, gdziekolwiek dałoby się ją postawić. Ale kiedyś Yeti, tak siedząc, usłyszał czyjeś wołanie. To była poetka z dalekiego kraju. Serdecznie i bardzo pięknie (był Yeti przekonany o tym, że pięknie) namawiała go do odwiedzin. Bardzo miła i grzeczna poetka (o tym też był przekonany) zachwalała świat, bez którego obywatel się Yeti, i który obywatel się bez Yeti. Wiedział o tym kraju co nieco, bo zjadł paru himalaistów stamtąd. Góry tam są niższe, no i zdecydowanie cieplej. Nie mógłby tam Yeti mieszkać. Odwiedzić? Hmm... Cóż. Nie warto chyba odwiedzać, skoro się nie wie, czym są odwiedziny i za tą wiedzą nie tęskni. Nie był tego ciekaw nasz Yeti. On nie z tych. A jednak pierwszy raz w swoim długim niezapoczątkowanym życiu uznał, że wypada zareagować. Że nie byłby porządnym i miłym Yeti, gdyby nie odpowiedział na tak ładne wołanie porządnej i miłej poetki. Po wziął decyzję. Na swój prosty sposób pomyślał coś, co gdyby umiał to pomyśleć w ten sposób, byłoby czymś w rodzaju: „Do krośset! Odpowiem albo nie nazywam się Yeti!” Ale tu pojawił się wielki niczym sam Yeti problem – jak tu odpowiedzieć, skoro się nie wie, czym jest odpowiedź, jak się odpowiada, po co, na co, czy to poważne, czy to pożyteczne? Jak odpowiedzieć, skoro będąc tak bardzo całkiem i do końca Yeti, nie można stać się kimś bardziej nie Yeti? Kimś złożonym, wątpliwym, nieprzekonanym i odpowiadającym na zaproszenia? Myślał Yeti i myślał. Mijały dni i noce, których Yeti z braku potrzeby nie nazywał. Miesiące, a nawet kilka lat się trafiło w tym okresie dumania. W końcu w którymś z tych momentów doskonale okrągłych i identycznych jak cała przeszłość i cała przyszłość Yeti wpadł na istic salomonowe rozwiązanie! Po prostu poczeka, aż ktoś to robi za niego. Aż ktoś to napisze. Aż ktoś go wymyśli w dwie strony razem z odpowiedzią. No. I właśnie się doczekał. ●

Mars atakuje

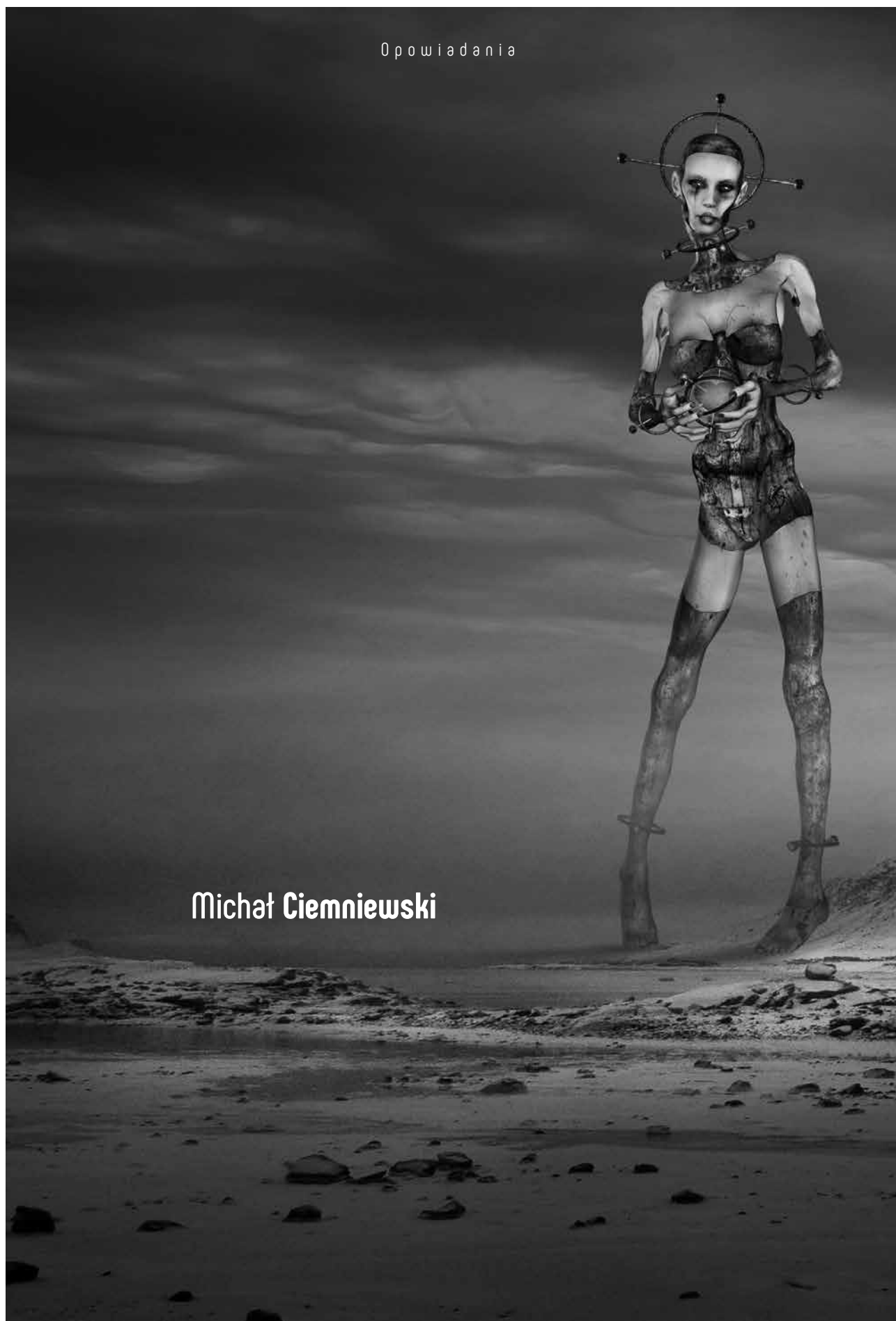
Po szczęśliwym wyglądowaniu na powierzchnię Marsa łazika MER-B (Mars Exploration Rover-B), na potrzeby radia telewizji i historii ochrzczonego jako Opportunity, w sali kontroli naziemnej znajdującej się w budynku podlegającego pod NASA ośrodka JPL (Jet Propulsion Laboratory) doszło do niekontrolowanej eksplozji radości. Zespół odpowiedzialny za przebieg misji rozpoczętej 8 lipca 2003 roku wraz ze startem rakiety Delta 7925H, niosącej na swym bezzałogowym pokładzie cenny pojazd badawczy, liczył około setki osób. Personel stanowili astrofizycy, geolodzy, geofizycy, meteorolodzy, radioastronomowie, kartografowie, programiści, informatycy, specjaliści od łączności, od przetwarzania i analizowania danych, od napędów, narzędzi i optyki, chemicy, biolodzy, materiałoznawcy, planetolodzy oraz zespół zarządzania kryzysowego, w którego skład

wchodziła ekipa działająca na terenie laboratorium Mars Yard, gdzie w warunkach zaaranżowanych na środowisko marsjańskie symulować miano przeszkody, na które łazik może trafić podczas swojej podróży, oraz sprawdzać możliwe sposoby ich pokonania.

Ta setka doskonale wykształconych ludzi, absolwentów Caltech, MIT, Harvarda, Staanforda, Yale, Berkeley i kilku innych prestiżowych uczelni, miesiącami przygotowywała operację startu i lotu w stronę planety, którą dzielił wówczas od Ziemi dystans w przybliżeniu 56 milionów kilometrów, a który to lot zwińczony miał być ryzykowną procedurą lądowania na skalistej powierzchni przy wykorzystaniu spadochronu, odrzutowych stabilizatorów równoważących siły marsjańskich wiatrów i specjalnego systemu poduszek powietrznych. Setka osób przy całym ogromie wyliczeń, analiz,

Opowiadania

Michał Ciemniejszy



Fot. Internet - open source

jeszcze ktoś trzeci? Jeśli ona sama decyduje, to dlaczego zniknęła bez śladu i już od lat się nie pojawia?

Na czym polega niebezpieczeństwo, którego można się spodziewać, biorąc pod uwagę jej słowa, gdybym jednak jej nie posłuchał i szukał dalej?

Czy nie życzy sobie rychłego spotkania? Czy sama je odkłada, czy czyni to ktoś inny? Jeśli to ona, dlaczego to czyni, skoro wie, jak bardzo jej potrzebuję?

Czy odkłada nasze spotkanie z mojego, czy ze swojego powodu?

Czy to, że zapowiedziała swoje przyjęcie „gdy będzie trzeba”, oznacza, że przyjdzie i już zostanie? Czy może zabierze mnie ze sobą do krainy, w której przebywa?

A co jeśli jej nie posłucham i będę szukał dalej? Jeśli moja tęsknota za nią stanie się tak silna, że nie będę potrafił się jej oprzeć? Co się wtedy stanie? Czy moje dążenia zostaną potraktowane poważnie? Czy w ten sposób przyspieszę konieczność naszego spotkania, czy też moje wysiłki, tak jak dotychczas, pozostaną bezowocne?

Pytania te wciąż mnie prześladowały. Nie było adekwatnej odpowiedzi, a nawet gdyby się taka znalazła, kto mógłby potwierdzić, że jest ona właściwa?

Po wielu latach przyszła do mnie we śnie pewna kobieta i rzekła: „Chodź, pójdz za mną!”, po czym gdzieś zginęła. Zniknęła. Tymi słowami zdała się obiecać mi coś ważnego, czego nigdy dotąd nie widziałem, ani nie znałem. Odwróciłem się i poszedłem za nią jak w malignie, starając się ją dogonić, ale wszystko szło mi tak jakoś ciężko, zupełnie jakbym dźwigał na plecach ogromny ciężar. Zostawałem w tyle. W żaden sposób nie zdołałem zebrać tyle sił, by pokonywać drogę w normalnym tempie, w jakim zazwyczaj chodzę. Ona zaś się oddalała.

We śnie zazwyczaj człowiek jest związany, skrępowany niewidocznymi okowami, toteż każda droga wydaje się trudna.

I tak dotarłem na skraj urwiska. W dole płynęła rzeka, którą należało pokonać, a do jej koryta spadały z gór kamienie i okrucy skał. Woda huczała i wznosiła fale.

Po plecach przeszły mi ciarki na widok odłamków odrywających się od zbocza i spadających na dno wąwozu, więc zacząłem się zastanawiać, jak dostać się na drugi brzeg. Moja trasa najwyraźniej przecinała tę właśnie rzekę.

Jakoś udało mi się przedostać.

Poszedłem dalej przez pole obsiane zbożem, przeczuwając, że ta nieznajoma kobieta wezwała mnie, bym poszedł tam, gdzie czeka na mnie pani z moich snów. Dlatego też tak szybko zniknęła, a ja tylko podążałem jej śladem, zupełnie jakbym wiedział, którędy przeszła.

Pokonałem tak kawał drogi.

Ścieżka zaprowadziła mnie do starej osady, minąłem niskie chatki i domy, a wtedy moim oczom ukazała się polana i dach wielkiego domu, otoczonego platanami i klonami. Zbliżyłem się, a tam panował wielki harmider i zebrał się tłum ludzi. Zdawało się, że niektórzy przybyli z dalekich stron, przejechali długą drogę, co było widać po zmęczeniu koni przywiązanych do ogrodzenia. Stały tam również niewyprężone powozy. Psy myśliwskie kręciły się wokół ludzi, których pełno było na werandzie i wokół domu.

Coś mi mówiło, że w tym właśnie domu odnajdę kobietę z moich snów.

Zacząłem się wypyttywać, co się stało, cóż to za potajemne zgromadzenie, czy też może ktoś z tego domu jest chory?

Wszyscy w milczeniu krzątający się wokół domu zdawali się zamyśleni, zdziwieni, bądź też obawiali się odezwać, toteż zaledwie niekiedy szeptali coś między sobą. Zupełnie jakby tajemnicę tego domu chcieli zachować tylko dla siebie.

W końcu pewien starszy człowiek odważył się i rzekł:

– To konkurenci Eurydyki!

Tak, przed domem kobiety z mego snu rzeczywiście stali konkurenci, chociaż nic na to nie wskazywało.

To znaczyło, iż tajemnicza kobieta, zajęta pracą gdzieś wewnątrz tego domu, miała na imię Eurydyka!

Ale ja nie przybyłem tam jako konkurent. Dlaczego zatem zostałem zaproszony? Czyżby kobieta z mego snu wychodziła za mąż? Czyżby pragnęła, abym i ja przybył? Nie, nie pragnęłam prosić jej o rękę.

Po prostu, według boskich praw duszy, według praw, dzięki którym poruszają się ciała niebieskie, według praw księżycowego światła, i tak należała do mnie bez reszty. Toteż nasze spotkanie odbędzie się bez żadnych obrzędów ani ceremonii.

Byłem wściekły, nie stanąłem w kolejce przed domem. Zawróciłem.

Jednak wracając, zrozumiałem, że to jeszcze nie oznaczało, że ktokolwiek z przybyłych otrzyma rękę Eurydyki. Może ona sama wcale nie życzyła sobie, by się jej oświadczano?

Albo może ta tajemnicza kobieta zapragnęła w tym tłumie konkurentów rozpoznać właśnie mnie?

I w końcu, kimże ja jestem?

Czy naprawdę jestem Orfeuszem, czy też nazywają mnie tak z innego powodu? ●

Przełożyła: Agnieszka Żuchowska-Arendt

„Śmierć niczego nie kończy“
Darinka Jevrić: *Próżny wiersz*

Od lat podążam za pewną kobietą. Nie wiem, kto to taki. Wypytuję, próbuję trafić na jej ślad. Całą duszą pragnę być blisko niej.

Czuję, że jest ucieleśnieniem wszystkich potrzeb mej duszy. Ucieleśnieniem instynktownego dążenia mej istoty do zjednoczenia ze światem. Cieszy mnie każda wiadomość o niej.

Ale sen nie trwa długo.

Po przebudzeniu dręczy mnie koszarne przecucie. Zupełnie jakby umknęło mi coś, co było na wyciągnięcie ręki, co wypełnia mnie całego. Jakby nagle pozbawiono mnie czegoś drogiego. Ściągnięto z wyższych sfer w kołowrotek codzienności.

Przebudzenie po sennych poszukiwaniach stało się koszmarem. Ogarniała mnie pustka.

Próbowałem powracać potem do tego snu, ale nie było to już możliwe. Sen rozplątywał się w świetle dnia.

Może ta kobieta rzeczywiście gdzieś istnieje, nie tylko we śnie? Może jestem na jej tropie? Może wkrótce się poznamy? To oczekiwanie trwa już od lat. Od dziesięcioleci. Ona zaś od czasu do czasu ukazuje się w snach, zaledwie na tyle, aby potwierdzić swoje istnienie, albo żeby dać mi do zrozumienia, że jeszcze o mnie nie zapomniała.

Jej przyjścia nigdy nie dało się przewidzieć, zawsze zjawiała się bez zapowiedzi. Jednak fakt, że od dziesiątek lat zjawiała się w sposób tak tajemniczy. Jeśli świadomość o niej istnieje, choćby nawet tylko we śnie, na pewno istnieje też ona. Nie tylko we śnie. To samo mówi mi także moja tęsknota za nią, która wcale nie słabnie z czasem. Wręcz przeciwnie.

Jednak już od dziesięcioleci zadowalam się tym, że widzę ją choćby we śnie. To dla mnie jeszcze jeden powód, aby z niecierpliwością oczekiwać kolejnego snu i wszystkich przyszłych dni z nadzieją, że któregoś dnia znowu się pojawi. Może nawet rzeczywista? Ogłosi swoje istnienie, a może nawet odkryje wszystkie moje błędy, niedociągnięcia i grzechy, jakie popełniłem w drodze do niej.

Może nie potrafię właściwie zrozumieć swego snu, może mój sennik nie jest najlepszym przewodnikiem dla tego, co oferuje mi ona? Może to moja wina, że nie jestem w stanie jej odkryć, odnaleźć właściwej ścieżki, która do niej prowadzi? Może nie powinienem siedzieć i czekać z założonymi rękoma, lecz wyruszyć jej na spotkanie?

To oczywiste – rozumiałem to po kilku dziesięcioleciach – że gdzieś, kiedyś, w jakimś dawnym życiu już tę kobietę utraciłem, że była dla mnie niezwykle drogocenna, i dlatego każdy z tych snów rozpoczyna się od poszukiwania. Kiedy się to stało? W jakich czasach?

Cała słodycz tego snu – o ile wolno mi się tak wyrazić – polega na

tym, że wcale nie jest mi ona tak do końca nieznana. Że od czasu do czasu ukazała się w tle jakaś znajoma i zapomniana twarz, którą pamiętam z dzieciństwa. Że nie muszę jej zapoznać, by wiedzieć, że to o nią chodzi. Że wszystko jest zaledwie mgłą i przecuciem. Podążam za nią, bo wiem, wiem, jak wiele dla mnie znaczy; wiem, że nie mogę wytrzymać, gdy nie ma jej w pobliżu i jak bardzo świat się odmieni, gdy mój dzisiejszy sen się ziści, gdy w moich poszukiwaniach dotrę do celu. Jak bardzo ja sam odmienię się przy niej. Może i dla mnie wtedy zaświeci słońce? – przyszła mi do głowy myśl, niegdyś mimochodem wypowiedziana po jednym z takich snów, w których znowu objawiła mi się taka mglista.

Czy myślałem wtedy o szczęściu, czy o czymś innym, nie potrafiłbym odpowiedzieć. Jaka była miara mojej nadziei na nie-doścignione?

Droga do niej najeżona była mnóstwem przeszkód, które zazwyczaj pokonuję z trudem i podczas gdy próbowałem się z nimi uporać, co zawsze musiało potrwać, sen się kończył. Tak właśnie znalazłem się w próżni, w potrzasku pustych dni. Straciłem swój spokój.

A wtedy znowu wyłaniała się ona, niespodziewanie, wyłaniała się i znikwała.

Ale pewnego razu z niesłychaną łatwością pokonałem drogę do niej i gdy się zbliżyłem, w jakiejś szkole, rozpoznając zatopione w jej postaci twarze moich dawno zmarłych koleżanek, ona, zdziwiona na mój widok, powiedziała tylko kategorycznie:

– Nie szukaj mnie więcej. Gdy będzie trzeba, sama przyjdę!

Wtedy byliśmy najbliżej siebie, wówczas zbliżyłem się do niej najbardziej. Po raz pierwszy miałem okazję zadać jej te wszystkie pytania, które dręczyły mnie zarówno we śnie, jak i na jawie. Pytania, które często krępowały mnie w normalnym życiu. Ale słowa, wypowiedziane przez nią w zdziwieniu na mój widok, wyszły naprzeciw moim zamiarom. Pytania nagle stały się niepotrzebne. Wystarczyły zaledwie dwa zdania, zanim zniknęła.

Po tym niespodziewanym spotkaniu nie było jej całe lata.

Jak mogłem zrozumieć tego poranka jej słowa? Jaką wyciągnąć naukę i przesłanie na kolejne dni i lata? Często się nad tym zastanawiałem.

I postanowiłem już więcej za nią nie gonić, skoro przebywa w tajemniczym świecie, dla mnie niedostępnym. Świecie poza zasłoną cielesności.

Nie będę więcej za nią podążał, bo gdy nadejdzie czas, ona sama przyjdzie do mnie i mnie zabierze. Ale dokąd?

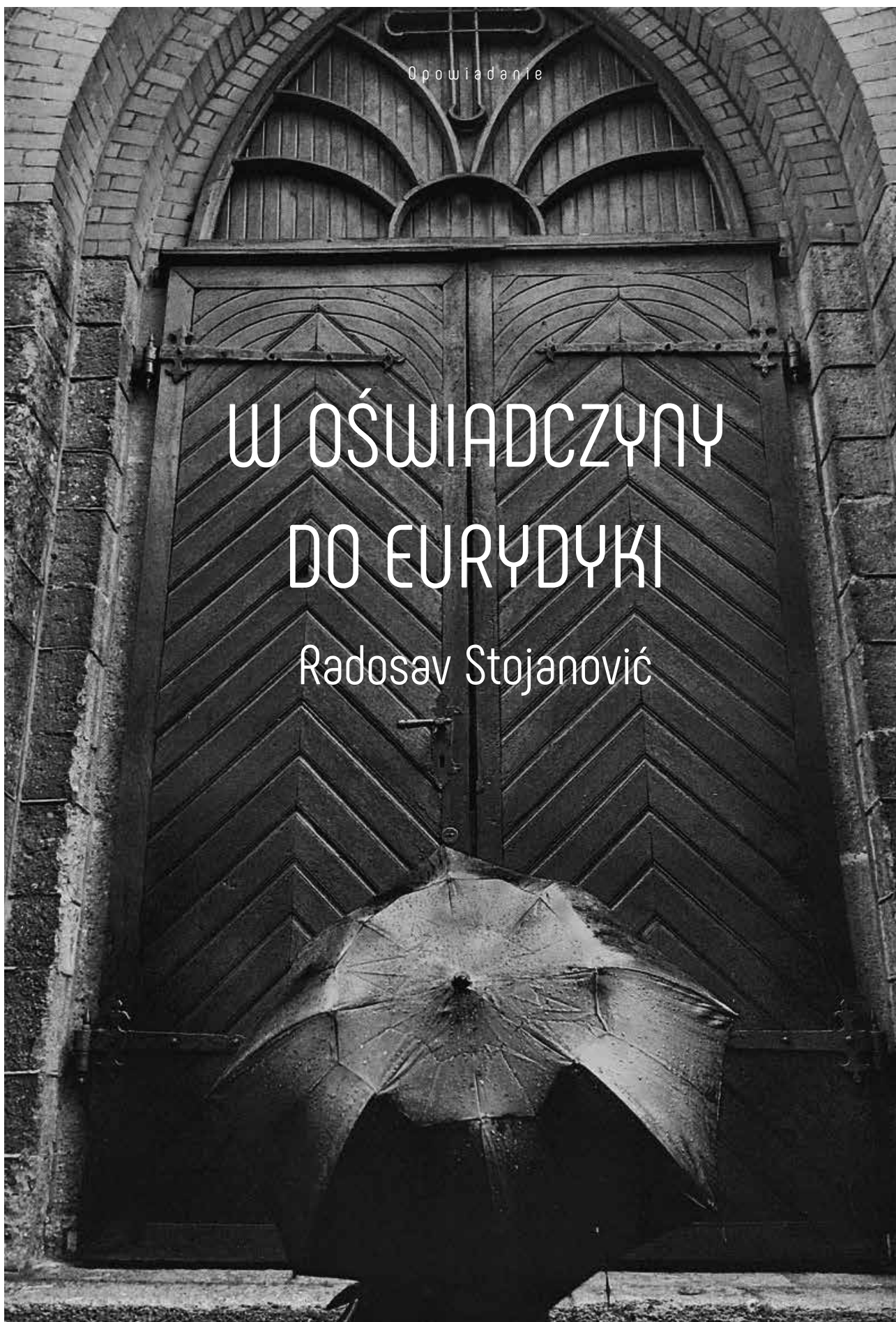
Tak, czyżby wciąż jeszcze nie nadszedł czas naszego spotkania?

Ale to nie ja decyduję, kiedy to nastąpi, lecz ktoś inny. Kto? Kim jest ten ktoś, kto decyduje o naszym spotkaniu? Czy ona, czy

Opowiadanie

W OŚWIADCZYN DO EURYDYKI

Radosav Stojanović



Krystiana, żeby wyszedł do mnie. Będę na zewnątrz.

– OK!

Renata zeszła po schodach i zniknęła za ścianką, gdzie mieścił się boks z zespołem Krystiana.

*

Szedł w jej stronę, jakby nawet sposobem poruszania chciał dać jej do zrozumienia, że postąpiła niegodnie. Powiedzmy sobie wprost: wobec jego męskiego ego. W końcu on nie wykazywał specjalnego zainteresowania nią, więc uważał, że teraz ma prawo strzelać focha. Gdy o tym myślała, miała ochotę obrócić się na pięcie i odejść. Od razu zakończyłaby się cała scena. Nie chciała jednak tego tak spuentować. Trzeba w końcu z kimś być. Może nie trzeba, ale wszystko wokół stwarza takie wrażenie, jakby chciało się parować i na niej też owo parowanie wymagało. Poza tym, tak trudno było wszystko rzucić. Rzucić i po prostu nie wiedzieć, co dalej.

– Co chciałaś?

– Porozmawiać. Możemy się przejść?

Brak odpowiedzi.

– Kawalek.

I po prostu zaczęli iść. Uniósł się dumą, więc nie wypadało od razu tak opaść na ziemię, żeby po niej stąpać razem z tą, na której ta duma miała zrobić wrażenie.

Milczeli, bo jemu nie wypadało zacząć, a ona nie wiedziała jak. Obojgu dodatkowo paraliżował pomysł spożyty tego wieczoru alkohol. Mijały kolejne minuty. Osadzeni w swoim milczeniu, utwierdzali się w nim coraz bardziej. Im dłuższa cisza, tym trudniej ją przełamać.

Ulice miasta pustoszały. Noc powoli zabrnęła w czas, gdy po centrum szwendają się nadto pijane niedobitki lub chowające się po bramach i oddające przygodnym uniesieniom pary.

Monika z Krystianem zabrnęła już zresztą poza obręb uliczek, które można by nazwać ścisłym centrum. Nawet działające lampy były tu rzadsze – jakby wiedziały, że potrzeba oświetlania z każdą kolejną przecnicą maleje.

Gdy przechodzili przez skwer, Monika zatrzymała się, ponieważ nie mogła dłużej znieść bezcelowego marszu. Krystian też stanął i odwrócił się w jej stronę. Wśród nieprzycinanych drzewek było ciemniej niż na chodnikach, więc nie potrafiła rozpoznać wyrazu jego twarzy.

– Krystian...

Odezwał się dopiero po krótkiej pauzie:

– Co?

Wśród jej pijanych myśli płatała się tylko jedna, która pozwoli im to zakończyć.

Podeszła do niego dwoma chwiejnymi, ale szybkimi i zdecydowanymi krokami. Objęła i zaczęła całować. Obawiała się, że nie odzajemni się, na co na początku wskazywała bierność Krystiana, jednak wątpliwości ulotniły się z jej głowy, gdy poczuła obejmujące ją ręce.

Wzrastała także napiętność pocałunków. Po chwili utulali się w siebie coraz bardziej. Czowała przez materiał swojej bluzki i jego dzinsów twardniejącego penisa. Odsunął się od niej na chwilę, ro-

zejrzał, a potem doprowadził do najbliższego drzewa. Oparł Monikę o konar. Twarda i chropowata kora wciskała się nieprzyjemnie w plecy. Wrócili do całowania.

Wzrastała w niej przyjemność. W nim najwyraźniej też. Monika czuła błogą beznamiętność, którą przerwał szept Krystiana:

– Odwróć się?

– Co?

– Odwróć się i oprzyj dłońmi o drzewo.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że ma zamiar tutaj i w tej sytuacji uprawiać seks. Zamrugła oczami i... wykonała jego rozkaz. Sama nie wiedziała dlaczego. Nie mogła przecież wszystkiego rzucić na alkohol.

Poczuła, jak drżące z podniecenia dłonie Krystiana zrolowały jej rajstopy. Usłyszała brzęk klamry paska i krótkie „zip” odpinanego rozporka. Zadarł jej sukienkę i palcem przesunął cienki materiał stringów. Jego sztywny członek nie wśliznął się gładko między suche wargi. Syknęła cicho i zacisnęła powieki.

Nic więcej.

Zaczął gwałtownie ją bzykać. Przez wiele pchnięć odczuwała ból. Tylko ból. Tępe tarcie. Nawilżenie nie nadchodziło. Nie mogło nadejść, bo ten stosunek niósł ze sobą upokorzenie. Nie mogło nadejść, bo skończył zbyt szybko.

Wyjął penisa i dokończył ręką. Gęsta, wilgotna sperma spływała jej po lewym pośladku, a reszta pewnie wylądowała na rajstopach. Krystian, sapiąc, zakładał spodnie. Słyszała za plecami metaliczne brzęczenie klamry paska.

– No – powiedział głosem przepełnionym satysfakcją.

Monika podciągała rajstopy, pomimo że czuła, jak równocześnie z jej skórą styka się obleśnię cała sperma, która nie doleciała do pośladków, ale wołała to niż stanie na skwerze z odsłoniętymi nogami i dupą. W głowie nie pojawiało się żadne określenie sytuacji, jaka ją spotkała. Upokorzenie było zbyt proste. To nie to.

– No widzisz – usłyszała głos Krystiana. – Tak chyba lubisz się kurwić, co nie?

Nie odpowiedziała. Nawet się nie odwróciła. Mimowolnie do oczu napływały jej łzy. Bała się mrugnąć, aby nie spłynęły po policzkach. Oparła się o pień. Powstrzymywała szloch. Przytrzymywała go w gardle, ale powoli wymykał jej się. Podnosił się, jakby z gardła miał przenieść się do głowy.

Krystian pociągnął nosem. Dzięki temu zaspokojeniu zaczęło powoli towarzyszyć uczucie niezręczności. Szurał stopami po ubitym żwirze ścieżki. Żądza opadła wraz z wytryskiem. Nie miał dalszego planu.

– To... To sobie tu stój – powiedział i powoli zaczął odchodzić.

Pierwsze łzy docierały już do połowy drogi dzielącej oczy Moniki od jej podbródka. Pierwszy szloch poruszył plecami. Pierwszy raz tak bardzo chciała cofnąć czas. Stała tam jeszcze długo, a pierwsze powoli zamieniały się w drugie, trzecie, ente... ●

Wielu wierzy w to tak głęboko, że zamiast bezpośrednio zapłacić za seks, woli wydawać pieniądze na drinki, piwa, wstępy... Co dość często kończy się masturbacją po powrocie do domu.

– Naprawdę się zastanawiasz?
 – Nad czym? – spytała wyrwana z zamyślenia Monika.
 – Czy jesteś lesbą.
 – Nie, kurwa. Raczej nie.
 – Raczej nie? To nie wiesz?
 – Tak sobie myślę, że ten Wojtek i Krystian są siebie warci.
 – Tak, faceci to pizdy, ale Krystiana przynajmniej znasz.
 – Taaaa... – powiedziała Monika i wciągnęła głęboko do płuc powietrze, licząc na to, że dzięki temu zabiegowi wytrzeźwieje. – Więc zróbmy tak.
 – Yhy?
 – A właściwie ty zrób. Idź do środka i zawołaj Wojtkę.
 – Monika!
 – Nie przejmuj się. Razem się go pozbędziemy. Tak będzie najlepiej.

Sama jednak sobie nie bardzo wierzyła. Teraz podjęta decyzja wydawała się jej najrozsądniejsza. W końcu zupełnie nie знаła Wojtkę, Wojtkę urzędnika, który najprawdopodobniej miał gdzieś swoją urzędniczą panią, a teraz chciał skorzystać z okazji i po prostu się zabawić. Kosztem jej uczuć.

„Muszę mu na to nie pozwolić. To jest: nie mogę mu na to pozwolić”.

Renata jej zaufała. Po chwili zniknęła za olbrzymimi drzwiami, wypuszczając na kilka dźwięków „Mniej niż zero”.

Potem spokój. Gwar ulicy i szum alkoholowy w głowie. Zdecydowanie osłabiony wymiotowaniem oraz świeżym powietrzem. O ile to, co da się wdychać w centrum miasta, można nazywać świeżym powietrzem. Brak myśli. Zupełne odrzucenie refleksji. Już wystarczy. Należy po prostu działać. Czekanie. Czekanie.

Czekanie aż do wyjścia Wojtkę.

Podszedł do niej w swojej pachnącej płynie do płukania, wyprasowanej koszuli, którą dzisiaj przed wyjściem ściągnął z wieszaka. Jedną z wielu koszul w jego szafie. Przez chwilę oczyma wyobraźni widziała Wojtkę stojącego w swoim wymalowanym na śnieżnobiałym pokoju. Zastanawiał się, która z czystych koszul nada się na wieczór, w której będzie miał lepsze powodzenie u płci pięknej. Jasna, ciemna? Jasna! Błękitna, zielona, biała? Zielona!

Poczuła do niego odrazę, do tego nieprzystającego do jej świata ładnie ubranego faceta. Elegancika, kurwa jego pieprzona mać.

– Wojtek – zaczęła, żeby powstrzymać go od złapania jej w pól. – Słuchaj, pójdę do środka i zaraz wracam. OK?

– OK!

– I gdzieś się tam razem udamy.

– Możemy do mnie. Mam wolną chatę.

„Nie wątpię, że masz. Pewnie twoja gdzieś pojechała lub coś tam zrobiła, że chwilowo jej nie ma w domu. Nie wątpię”.

– Aha. Możemy. Czekaj tu.

A w myślach dodała: „Psie!”. Sama nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak go teraz nienawidzi. Przecież przed chwilą zachwycała się mięsistymi ustami Wojtkę, jego sposobem bycia. Czy winna była gadka Renaty, która z niewiadomych przyczyn polubiła Krystiana?

Czy może Wojtek faktycznie nie okazał się najlepszą partią? A może po prostu nienawiść stanowiła wygodną podporę do tego, co zamierzała zrobić? Zostawić faceta samego w środku nocy. Porzucić jak zwierzątko, którym się już znudziła i nawet nie wykazać zainteresowania skomleniem, zagubionym wzrokiem, niezrozumieniem. O wiele łatwiej tak postąpić, jeśli się nienawidzi. Nawet jeżeli trzeba dopiero powód owej nienawiści wymyślić.

Starła się porzucić wszystkie te rozważania, ale one towarzyszyły jej uparcie przez całą drogę do „Piwnicy”. Jakby specjalnie, żeby się nad sobą mogła teraz pozmęczać, odeszły wcześniej z Renatą na sam koniec ulicy.

Szła, szła, szła...

Złapała metal zimnej klamki, nacisnęła i pociągnęła w swoją stronę.

Za drzwiami uderzył ją zaduch, dźwięki „Mój jest ten kawałek podłogi” (lubiła akurat i ten kawałek podłogi, i muzyki) oraz obecność Renaty prawie na progu. Chociaż żadnej z tych trzech rzeczy nie miała zamiaru poświęcić nadmiernej uwagi.

– Moja droga – powiedziała do koleżanki – załatwmy to szybko. Oczekajmy minutę, a potem pójdziesz mu powiedzieć...

Głęboki wdech pijanej.

– ...że Monika jednak zostaje, że śpię u ciebie lub co tam sobie sama na potrzeby całej tej sytuacji wymyślisz. Jakby chciał ze mną rozmawiać, to daj mu do zrozumienia, że muszę sobie wszystko przemyśleć oraz wytrzeźwieć. Nie, to ostatnie pomiń. Chociaż powiem ci szczerze: ten pierdolony zaduch nie działa na mnie zbyt dobrze.

Pauza.

Ciężkie powietrze knajpy skojarzyło jej się z szatnią przy sali gimnastycznej w jej liceum, mieszanina smrodu skarpet z potem.

– Dobra – zgodziła się Renata.

Pauza.

– Ile już tam minęło?

Pauza.

Mój jest ten kawałek – ciągle jeszcze – *podłogi, nie mówcie* – trwało w głośnikach – *mi więc, co mam robić*.

– Jeszcze chwila.

Ostatnie dźwięki utworu Mr Zooba.

– Kilka sekund jeszcze – zgodziła się Monika.

„*Miliony monet*”. Puszczający w „Piwnicy” muzykę też chyba już nie był najtrzeźwiejszy.

– Dobra, idź – rzuciła.

Renata wyszła na zewnątrz. Nic nie powiedziała, ale Monika miała wrażenie, że jej przyjaciółka jest wyraźnie zadowolona z podjętych decyzji. Nie miała jednak zamiaru rozgryzać przyczyn takiego zachowania koleżanki. Nie miała zamiaru teraz niczego rozgryzać, ale jej myśli potrzebowały się na czymś zawiesić, więc wybrała tekst piosenki z jego wszystkimi dziwactwami: opadanie w dół, świecące się monety...

Wystarczyło, żeby Renata zdążyła wypełnić powierzoną jej misję.

– Poszedł? – zapytała, gdy koleżanka pojawiła się znowu w drzwiach.

– Tak. Nie było większych problemów.

– Słuchaj, ja jeszcze nie czuję się najlepiej. Nie myślę najjaśniej. Jakoś mnie sponiewierało to piwsko. Ale proszę cię, poproś

– Co więc?

Przez chwilę naprawdę nie wiedziała, o co pyta ją koleżanka.

– Więc co z tym Wojtkiem?

– Właściwie nic. Jest sobie jak każdy inny.

– A co z Krystianem?

Dym papierosowy powoli dokonywał zniszczenia w jej głowie. Dodatkowo miała coraz większą ochotę zabić ten kwaśny smak w ustach, więc popijała piwem. W takim stanie nie potrafiła poświęcić należytej uwagi temu, o co pytała ją Renata.

– Matko, no, jest Krystian. No.

– Jest! I go znasz na dodatek.

– No, znam.

– I chcesz go tak porzucić? W taki sposób?

– Skąd te pretensje? Przecież ty też go znasz.

Kurczę, nie mogła sobie wyobrazić Renaty w roli obrońcy Krystiana. W ogóle w roli obrońcy porzucanych w ten czy inny sposób mężczyzn. Renata była twardą suką, jeżeli chodziło o kończenie związków. Jakiegokolwiek rozstania by nie omawiały, takiego, w którym brały udział, w którym brały udział ich znajome bądź nawet fikcyjnego – książkowego lub filmowego – zawsze twierdziła, że wszystkiemu winien jest facet. Mężczyźni nie stanowili dla niej leku na całe zło, ale samą przyczynę zła. Odpowiadali za każde cierpienie. A tu nagle proszę! Pozmieniało się koleżance?

– Obsłaniający cię przy twoim chłopaku Wojtek jest urzędnikiem.

Monika chwilowo nie zrozumiała oskarżenia. Winiła za to swój stan, który już nie tylko wskazywał na spożycie, ale na to, że była ostro nawalona. Wyrzuciła niedbale wypalonego do połowy papierosa. Po czym odruchowo łyknęła piwo.

– Urzędnikiem! – powtórzyła z naciskiem Renata.

To musiało coś znaczyć. Monika jednak zaczęła się koncentrować na turbulencjach, w jakie zaczynała wpadać jej żołądek. Niebezpiecznych zawirowaniach, które w każdej chwili mogły skończyć się opróżnieniem wnętrza. Jakby zamiast brzucha miała pralkę kończącą właśnie płukanie i noszącą się z zamiarem wyrzucenia wszystkich mydlin oraz brudów poprzez gwałtowne wypompowanie.

– Urzędnikiem – powtórzyła bez zastanowienia, całą świadomość skupiając na walce ze zbliżającym się pawiem. – Możemy się przejść? – pauza. – Kawałeczek chociaż. – Pauza. – Do końca uliczki.

Renata westchnęła i cierpliwie pomogła przyjaciółce wstać z krawężnika. Obok przetoczył się równie jak Monika nawalony facet, który gardłowo i niewyraźnie podśpiewywał sobie „Hej, sokoły”. Dziewczyny złapały względną równowagę, gdy właśnie doszedł do *Dzwoń, dzwoń, dzwoń, dzwoneczku...*

Niespełniony śpiewak oddalał się w zupełnie inną stronę. Zmierzzał pewnie na Stary Rynek. Renata wiedziała, że przy obecnych problemach Moniki lepiej wybrać ustronniejszy koniec uliczki. Przyjaciółka poddała się jej woli.

Jak już wielokrotnie, przy okazji najróżniejszych imprez, jedna podtrzymywała drugą, tę, która akurat miała słabszy dzień.

Gdy już stanęły przy narożniku kamienicy, Monika wybełkotała:

– Nie dam rady.

Wina, wina, wina dajcie... – zniknęło na rogu uliczki wraz z rozbawionym wykonawcą.

Monika zwymiotowała obficie na chodnik. Dało się słyszeć chłopot rzadkich wymiocin lądujących na bruku, połączony ze stękanem dziewczyny. Na szczęście skąpe w tym zakątku oświetlenie nie pozwalało na przyglądanie się rzygom. Kwaśny zapach nie dawał jednak za wygraną. Renata odruchowo odwróciła głowę i samym grymasem twarzy próbowała zatkać drogi oddechow. Ręce miała zajęte przytrzymywaniem Moniki.

I jeszcze raz.

– Kurwa, kochana, aleś się załatwiła!

Dało się tylko słyszeć potwierdzający pomruk. Monika splunęła kilka razy i zaczęła żałować, że zostawiła butelkę z resztką piwa przy krawężniku. Przydałoby się teraz oplukać usta. Chociaż z drugiej strony, te dwa pawie rzucone niedbale na chodnik wcale nie spowodowały, że czuła się mniej pijana. Żołądek odpuścił, ale za to dopadała ją dziwnie melancholijny nastrój, którego nie mogła zważyć. Mówiła płaczliwie:

– Renata, kurwa, co ja właściwie robię? O co, kurwa, chodzi?!

Nie myślała tylko o Wojtku i Krystianie. Chodziło jej o całokształt. O nędną pracę ze słuchawkami na uszach. O mieszkanie z tą starą babą, która przy każdej okazji wypominała Monice brak samodzielności, o pięć straconych lat studiów. Czuła nawet, że oczy stały się wilgotne. Nie wiedziała, czy od wysiłku włożonego w rzyganie, czy od tego porzyganiowego nastoju.

– Moja droga – zaczęła Renata, jakby miała za chwilę wygłosić kazanie na górze. – Wiem tylko, że na oczach całej pieprzonej „Piu-nicy” obściskowałaś się z prawie sobie obcym urzędnikiem, podczas, gdy twój chłopak patrzył na to z boku. W sumie to mu się dziwie, że nie przypierdolił tobie albo temu całemu Wojtkowi.

Monika zaczęła szlochać.

– Ja sobie nie umiem poradzić, Renata. Ja sobie nie umiem poradzić...

– Z czym?

– Z facetami! – zakończyła z wyrzutem.

Przecież nie mogła powiedzieć prawdy, bo sama nie do końca ją rozumiała. Nie tak łatwo wyrzucić wszystko z siebie nawet koleżance, która pilnuje cię, gdy rzygasz. Tym trudniej, gdy nie chcemy przyznać się sami przed sobą.

– To może ty jesteś lesbijką?

Nastała chwila milczenia, jakby Monika faktycznie rozważała taką możliwość. Z odległych klubów dobiegało niemrawe dudnienie przebojów radiowych, czasami wzmagane szumem pijackich rozmów pojedynczych zawieruszonych poszukiwaczy nocnych wrażeń. Wystarczyłoby przejść Klonową, żeby przyjrzeć się tym, którzy już wracali samotnie, zmartwieni niepowodzeniem; tym, którzy przynajmniej dzisiaj szli parami jeszcze z siebie zadowoleni; tym, którzy nadal mieli nadzieję na ciekawe doświadczenie, więc ładowali kolejne szoty, piwa et cetera; tym, którzy byli zbyt napruci, aby poważnie rozważać kwestie partnerskie.

Tu, w centrum dużego miasta, można odnieść wrażenie, że życie całego czterdziestomilionowego narodu skupia się na dotraniu do weekendu. Dotraniu do następnych dni zabaw, których głównym celem jest poszukiwanie jednorazowej przygody bądź stałego partnerstwa. Cały tydzień żyje się nadzieją na to, że jest się wystarczająco atrakcyjnym, aby zainteresował się nami ktoś niezwykle atrakcyjny.

czekając, która pierwsza odwróci wzrok.

Monika zrozumiała, że jej tak zwana przyjaciółka sobie nie pójdzie, że będzie z nią musiała porozmawiać, więc zsunęła się z Wojtka. Uśmiechnęła się do niego przepaszając. Nie wydawał się obrażony. O co miałby się obrażać? Pan Przypadkowy i tak sobie już polizał co nieco. Powinien raczej okazać radość. Ale chyba dotarł do fazy lekkiego upojenia alkoholowego i po prostu postanowił poczekać.

W jej organizmie alkohol również nie odpuszczał. Gdy stanęła na nogach, zachwiała się lekko, a w głowie zaszumiało. Potrzebowała kilku sekund, aby złapać równowagę i oddech. Kilku sekund, których nie miała zamiaru jej dać Renata.

Szarpnęła ją w stronę wyjścia.

Na zewnątrz trzeba było dotrzeć po schodach.

Po schodach!

Dla Moniki równało się to w tej chwili z wysokogórską pierdoloną wspinaczką.

Dodatkowo trzymająca ją za dłoń koleżanka nie zwalniała, co także Monikę zmusiło do utrzymania morderczego w tym stanie tempa. Czuła się jak główny bohater z kreskówki *Kung Fu Panda*. Miała problemy z pokonaniem kolejnych stopni. Oczywiście nie ze względu na tuszę, ale rozsadzający głowę od środka alkohol.

Mijały jakichś nowoprzybyłych, ale Monika była tak zajęta podnoszeniem stóp, że nie zwróciła nawet uwagi, czy czasami ich nie znała.

Dotarli.

Renata przytrzymała ciężkie, drewniane drzwi. Przedostały się przez próg i uderzyła w nie fala ciepłego, ale świeżego powietrza.

„Upalny czerwiec, lato, kocham tę porę roku” – pomyślała, a na głos powiedziała:

– Kurwa, Renata, myślałam, że nie dotrę.

Zrobiła kilka chwiejnych kroków po bruku uliczki, jakby parodiowała baletnicę w przyciasnych butach. Usiadła na krawężniku naprzeciw drzwi do „Piwnicy”.

Ulica Klonowa, choć mieściła się niedaleko Starego Rynku, nie stanowiła zaułku zbyt obleganego, ani za nadto oświetlonego. Było nadzwyczaj spokojnie. Z daleka, z okolic ratusza, docierały jakieś nędzne współczesne przeboje. Jakież *stajle*, czy inne *tańczy dla mnie*. Ale budynki umiejętnie to wygłuszały i dało się słyszeć wyłącznie niewyraźne burczenie. Po bruku uliczki przetaczała się jakaś puszka po piwie. „Gdyby nagrać powstający w ten sposób dźwięk, zapewne znaleźliby się amatorzy, którzy chcieliby przy tym poskakać. Impreza na całego!” – przeszło Monice przez głowę. Kiedyś czytała wiersz o powstającej w ten sposób muzyce techno. Kiedyś czytywała wiersze.

Było tak ciepło w środku nocy, że w T-shircie czuła się naprawdę dobrze. Nawet krawężnik nie ochłodził jej tyłka.

– Dotrzesz, dojdziesz... zależy z kim.

Spojrzała na Renatę, mrużąc oczy, co miało podkreślić brak zrozumienia.

– Że co?

– Coś ty się tak uwiesiła... uczepiła tego Wojtka? Kim on jest w ogóle?

Fakt. Nie wiedziała tak dokładnie. Na jednej czy drugiej imprezie,

jakie odbywały się w trakcie wspólnego szkolenia, to znaczy na „domówce”, to znaczy podczas picia piwa (wina, wódki – niepotrzebne skreślić) przy muzyce sączącej się w jakimś mieszkaniu, opowiadał różne dowcipy, et cetera. Zabawny gość w sumie. A przy okazji nieźle całował. „Powinnaś spróbować!” Innych szczegółów – chwilowo brak.

– No, tak dokładnie to nie wiem.

– No właśnie, nie wiesz.

Drzwi od „Piwnicy” otworzyły się. Oprócz muzyki ze środka wy dostał się także Marcin.

Marcin, Marcin... W koszulce z logo Dżemu, z którą się chyba zrózł, bo ona nie kojarzyła go w czymkolwiek innym. Zimą przykrywał ją czarny powyciągany sweter, który zrzucił, gdy temperatura na dworze wzrastała powyżej piętnastu stopni. W krótkich spodniach równie dawno nie umówionych na spotkanie z pralką oraz glanach – nieśmiertelnych, choć już tu i ówdzie naznaczonych ranami.

W rękach dzierżył trzy butelki piwa („To jednak mieli tu butelkowe?” – przemknęło Monice przez głowę), więc był zmuszony drzwi otwierać barkiem. Wyglądało to tak, jakby ktoś puszczał w zwolnionym tempie film rejestrujący wyważanie.

– No i jak tam? Jak tam? Ogarniacie?

Te wszystkie jego powiedzonka, podwędzone innym, zaczynały denerwować Monikę. „Nic tam, nic tu. Ogarniam” – miała ochotę odpowiedzieć.

– Zda się, że ta kuweta jest nieco za duża – Renata ją uprzedziła.

„No tak, a ty sobie będziesz z nim prowadzić te prześmieszne dialogi”.

Marcin rozdzielił butelki z piwem, a potem sięgnął do kieszeni po pogniecioną paczkę pall malli. Otworzył i skierował w stronę siedzących obok siebie na krawężniku dziewczyn. Monika spojrzała na niego. Zastanawiała się, czy powinna skorzystać z owej propozycji. Paliła bardzo rzadko. Okazjonalnie.

Długie kasztanowe włosy, pozlepiane w tłuste strąki, przysłoniły Marcinowi twarz, z której i tak niewiele można by wyczytać. Nie tylko ze względu na panujący mrok, ale na odbijające najróżniejsze refleksy świetlne okulary. Spróbował odzyskać stuprocentową widoczność, więc ze względu na zajęte użytkami obie dłonie, zarzucił to w prawo, to w lewo głową. Przypominało to zachowanie popieczzonego prądem.

Wyciągnęła jednego papierosa. Wyglądała go palcami i włożyła do ust. Marcin poczęstował również Renatę. Odpalił zapalniczkę:

– *I am the god of Hellfire, and I bring you...*

Znacząca pauza!

– *Fire!*

– Taaaa... – powiedziała Renata. – Mile widziane są cytaty z piosenek, ale poczekaj na nas w środku, dobrze, złotko?

„Złotko? Kurwa, ale się porobiło!” – pomyślała Monika. – Od kiedy oni są na takiej stopie zażyłości?”

Marcin odwrócił się na pięcie i chwiejnym krokiem – takim pomiędzy Jestem Luzakiem, a Jestem Najebany – ruszył w kierunku wielkich drewnianych drzwi, aby po raz kolejny na chwilę wypuścić przebrój sprzed lat („Kurczę, tego nie rozpoznałem!” – zdziwiła się Monika) i zniknąć w czeluściach Piwnicy.

– Więc? – zaczęła Renata.

– Może zatańczymy?

Z głośników sączyło się „Kocham cię, kochanie moje” Maanam. „Uroczy sentymentalizm, aż można się porzygać” – pomyślała, ale właściwie nawet nie zastanowiła się nad możliwością odmówienia. Przytaknęła chwiejnie głową i równie nie pewnie wytoczyła się w miejsce, które można było nazywać parkietem. Jakaś taka wolna od stolików i boksów przestrzeń, gdzie można się pobujać.

Dopiero gdy zarzuciła ręce na ramiona Wojtka, zdała sobie sprawę, że jest taki wysoki. W dodatku szeroki w barach, zaś ona stanowiła drobinę, którą ów wielkolud objął w pasie. Choć skarciła się w myślach za naiwność, to poczuła się bezpiecznie, jakby ten olbrzym odgrodził ją od złego otoczenia. Całości dopełniał typowo męski, szorstki zapach wody toaletowej użytej pewnie obficie po południu, gdy szykował się do sobotniego wyjścia. W końcu facet, który dba o siebie, potrafiący założyć świeżą koszulę, zamiast niepranej od miesiąca bluzy z kapturem i dbający o to, żeby pachnieć czymś innym niż tylko maminy mydłem.

Nastrój robił się trochę łzawy. Dodatkowo skończył się utwór Maanamu i usłyszeli „Jolka, Jolka, pamiętasz lato ze snów...”.

Była tak pijana, że najłatwiejsze wydawało jej się ulec sentymentalnej – trochę może nazbyt taniej – atmosferze. Uniosła głowę do góry, wyczekała, aż Wojtek spojrzy na nią i wydeła wargi w jego kierunku. Skorzystał. Dlaczegożby nie miał korzystać?

Jego pełne usta dobrze na nią wpływały. Wkradający się między jej wargi język również. Dłońmi przyciągnęła głowę Wojtka. Nie stawiał oporu. Przesunął ręce w stronę pośladków Moniki. W takich bezmyślnych rozkoszach trwali aż do końca utworu Budki Suflera. Dopiero pauza między piosenkami spowodowała, że Monika rozejrzała się dookoła.

Oczywiście Krystian z resztą swojej pseudo-ambitnej kapeli siedzieli znowu przy stoliku.

„Atmosfera w pizdu. Nie ma co tam wracać”.

Raczej nikt nie spoglądał na nią i jej partnera nie tylko od tańca przychylnym wzrokiem. W całym barze nikt nie miał też zamiaru spojrzeć w inną stronę.

Chwyciła stojącego bezradnie obok niej Wojtka za rękę i powiedziała:

– Chodź!

Szarpnęła go za sobą, bo prawdopodobnie nie usłyszał.

W głębi lokalu zauważyła wolny boks, w którym postanowiła wyglądować z Wojtkiem. Nie do końca wolny, ale parze znajdującej się w nim nie powinni przeszkadzać. Każdy w swojej części zajmie się tym samym. Wojtek nie oponował. Ruszył za nią. Minęli grupkę Krystiana.

„Zapewne teraz nas obrzucają długimi nienawistnymi spojrzeniami – pomyślała – ale chuj im w dupę”.

Chociaż z drugiej strony chciała zobaczyć wyraz twarzy swojego – jak wszystko wskazywało: byłego – chłopaka. Wyraz twarzy jego oraz Renaty. To musiałby być widok!

On pewnie przypominał zapomniany czajnik zostawiony na kuchence gazowej, lecz w oczach Renaty mogła odnaleźć aprobatę. Na pewno ukrytą pod płaszczykiem obojętności albo zdziwienia, ale jednak aprobatę. W końcu zawsze tłumaczyła Monice, że nie ma sensu pchać się w związek z tym „infantylnym egoistą imitującym

grajka” – jak wyraziła się o Krystianie w trakcie przyjacielskiej rozmowy.

Wolała jednak dotrzeć do owego na w pół wolnego boksu i tam znowu posmakować warg Wojtka.

Ruchem ręki kazała mu zająć miejsce, zaś sama usiadła na niego okrakiem i od razu zatopiła się w jego ustach. Gdzieś tam na dnie pocałunku ślina mieszała się z jasnym pełnym, ale teraz nie przeszkadzało to Monice w najmniejszym stopniu. Na razie smak ten nie zwiastował pawia, więc można go było zignorować. Kręciło się jej w głowie tak, jak w dzieciństwie, gdy jej kuzyn zbyt mocno rozkręcał karuzelę, na której siedziała. Oczy nie potrafiły się skupić na żadnym punkcie, obraz się rozmywał – tak jedno, jak i drugie załatwiała zamknięciem powiek.

Duże dłonie Wojtka odnalazły drogę do pośladków Moniki. Uwielbiała, gdy ktoś chwycił ją mocno za tyłek. Czuła, że przechodzi ze stanu zadowolenia do stanu podniecenia. Dociera powoli w miejsce, z którego nie będzie już powrotu. Właściwie po co wracać?

Gdyby człowiek napierdolony potrafił dobrze liczyć czas, to pewnie by wiedziała, po ilu minutach w końcu pofatygował się do nich Krystian.

Poczuła, jak ktoś stuka palcami po jej ramieniu. Odruchowo się odwróciła. Otworzyła oczy i zauważyła groteskowo wykrzywioną złością twarz Krystiana.

– Wiesz co? Skasuję cię z listy znajomych na facebooku.

Ktoś parsknął śmiechem. Nie, to nie był Wojtek. Ktoś inny. Może ta para obok? Nieistotne. W końcu tekst był tak głupkowaty, że o mało sama się nie zapomniała. Tymczasem Krystian odwrócił się i odszedł.

– Foch z przytupem i melodyjką.

To jednak był koleś z tego boksu. Musiał przerwać lizanie ze swoją partnerką, żeby teraz móc podworować sobie z infantylnego (Renata miała najwyraźniej rację) zachowania Krystiana. Dziewczyna siedząca obok parsknęła śmiechem.

Monika spojrzała na Wojtka. Wlepiął gały gdzieś w jej klatkę piersiową, ale tak, jakby patrzył w pustkę. Pewnie robił wszystko, żeby nie dołączyć mimowolnie do ubawionej sytuacją parki. Szło mu bardzo dobrze, chociaż obawiała się, że jest już na granicy i zaraz zarechocze niczym ze świetnie opowiedzianego dowcipu. Zresztą nie miałyby mu tego za złe.

Wzruszyła ramionami. Rzuciła za odchodzącym Krystianem:

– Dobra.

... i chciała wrócić do całowania się z Wojtkiem.

Tym razem przeszkodziło jej mocne szarpnięcie za ramię. Odwróciła się gwałtownie, aż jej długie blond włosy zakreśliły duże koło. Jakby sama grała w jakimś metalowym zespole.

– Musimy porozmawiać.

Renata wlepiła w nią te swoje wielkie czarne ślepia. Miała poważną minę, z której jednak nie sposób było wyczytać, czego ma dotyczyć cała ta rozmowa.

– Akurat teraz? – W głosie Moniki dało się wyczuć poirytowanie.

– Tak, akurat teraz! – odpowiedziała Renata, zamiast – co według Moniki powinna zrobić po jej pytaniu – powiedzieć *przepraszam* i odejść.

Patrzyły przez chwilę na siebie niczym dzieciaki w podstawówce,

urażenie ambitnej, a zapewne składająca się ze znanych dość powszechnie frazesów.

Każda taka chwila budziła w niej przekonanie, że powinna dawać sobie dalsze tak zwane partnerstwo z tym gitarowym pozerem, uważającym za wielkie dokonanie koncert w zapomnianym – tak przez Boga, jak i Szatana – klubie. Klubie odwiedzanym przez tych, którzy zamiast wypicia droższego piwa w centrum, wybierają spożycie taniego w dużych ilościach oraz siedzenie przy brudnych stolikach pośród ścian z odpadającym tynkiem w prawie że nieoświetlonym pomieszczeniu i nazywanie tego wszystkiego kultowym nastrojem.

No, ale sama się dała dzisiaj na to wszystko namówić. Na koncert w „Bakcyli”.

Bujała się przy hałaśliwych dźwiękach płynących ze sceny, gdzie prezentujący swoje przeciętne umiejętności oraz pomysły muzycy – między innymi Krystian – rośli w sobie z każdym kolejnym pijanym wypełniającym pustą przestrzeń przed nimi. Pewnie z jakiejś kosmicznej perspektywy, z jakiegoś Marsa wyglądałoby jak zmutowane pszczoły, które swoimi pozornie nieskoordynowanymi ruchami przekazują współplemięńcom ważne informacje.

Ale gdzie miała pójść?

Zostać w domu? W mieszkaniu z mającą o wszystko pretensję matką? Przesztawało ją naprawdę dziwić, że ojciec postanowił opuścić cały ten cyrk. Kontakty w ich domu nie miały nic wspólnego z ogniskiem rodzinnym. Bardziej przypominały pożar. Czasami zaczynała tylko żałować, że ojciec nie zabrał jej ze sobą. Kiedyś uważała go za chuję, za tchórza, który gdy tylko zauważył, że szalupa idzie na dno, spierdolił z niej, zupełnie nie martwiąc się o współpasażerów. Dziś widziała to inaczej. Ojciec spierdolił, bo matka cały czas podniecała ogień pożerający ich dom. Zresztą nazywanie domem czegoś, z czym człowiek nie odczuwa w najmniejszym stopniu pozytywnego związku emocjonalnego, wydawało się jej sporym nadużyciem. Nadużyciem było także nazywanie tej klitki mieszkaniem. Może najwyższy czas wprowadzić nową nazwę. Pomieszczenie mieszkalne? Tym niech się zajmą specje od marketingu lub innej modnej nauki.

Iść gdzie indziej? Gdzie „gdzie indziej”? „Tak się to życie jakoś chujowo ułożyło” – pomyślała. Znała tylko właśnie takich nijakich moczymordów udających ambicję, którą to niby tłamsi jakiś bliżej niesprecyzowany system, nie zdających sobie sprawy, że sami są zaledwie bełkotem, powtórzeniem i kiepską jakością. Nie żeby miała coś przeciw ambitnym pomysłom, przeciw niszowym projektom. Lubiła je. Problem w tym, że jej znajomi wcale nie mieli zamiaru iść dalej, ale właśnie lubowali się w siedzeniu w kisieli swojej bylejakości. Byli zbyt leniwi, aby ruszyć dupska. Pozostali jej tylko tacy znajomi, czego Monika nie chciała przez długi czas zauważać.

Zresztą kręcenie się niczym zagubiony elektron po modnych klubach, w których faceci nawet nie chcą ukryć, że myślą tylko o rżnięciu, też jej nie interesowało.

Inne opcje zdawały się znajdować ponad kreską finansowych możliwości pracownika infolinii, będącego nazbyt nijakim, aby wcisnąć przy okazji różne promocje telefoniczne, internetowe, a najlepiej telefoniczno-internetowe. Na tym zaś przecież najlepiej się zarabiała na jej stanowisku.

„Właśnie tak kończy się studiowanie pedagogiki” – pomyślała

gorzko, ale mimo wszystko uśmiechnęła się. Jakby ciało wiedziało, co ma robić i nie potrzebowało do tego odpowiedniego nastroju całej reszty. „Duszy, czy czegoś tam, nie wiem” – to była zbyt trudna kwestia do rozważania dla pijanej w sztok Moniki. Szczególnie w sobotę wieczorem. Tym bardziej, że wołała naprawdę poukładać w końcu te wszystkie informacje dotyczące Wojtka na odpowiednich półkach, zanim zdecyduje się z nim spędzić resztę nocy.

Uśmiechnął się, unosząc tylko usta z lewej strony. A może z prawej, to znaczy jego prawej. Kurwa, zawsze jej się to pierdoliło, ale teraz to na szczęście nie jest egzamin na prawo jazdy. Ten egzamin na prawo jazdy, którego trzykrotnie nie zdała, pomimo, że na dłoniach oznaczyła sobie kierunki przy pomocy „P” i „L”. Na czwarte podejście nie dostała już pieniędzy od matki. Uśmiechnął się, unosząc usta tylko z jednej strony, co spowodowało, że skojarzył się Monice z filmem „Rambo”, którym zamęczał Monikę w dzieciństwie – jeszcze przed opuszczeniem pokładu życia rodzinnego – jej ojciec. „Trochę taki pan Sylwester, ale nie kotek, co to chce zabić ptaszka, jeno filmowy wojak.”

Zespół wybył na papierosa. W boksie zrobiło się luźniej. Właściwie z całej ekipy pozostała Monika z Wojtkiem oraz Renata z jedynym nie grającym – z Marcinem.

No tak, Marcin.

To on przyciągnął Wojtka dzisiaj na koncert kapeli Krystiana. Zielonego pojęcia nie miała, jak to się stało, bo nie wiedziała, że utrzymują ze sobą kontakty. Całą trójką odbywali kiedyś dwutygodniowe szkolenie. Mieli zostać konsultantami w infolinii banku. „Wszędzie teraz potrzebują bydła do takiej pracy, ofiar, mięsa na pierwszą linię frontu w wojnie wielka korporacja kontra klient” – pomyślała. Nikt z całej trójki nie zagrażał na dłuższą metę w owym projekcie. Właściwie z całego szkolenia, w którym brało udział dwadzieścia osób, pozostały tylko cztery, kiedy ona odchodziła. Wojtek i Marcin zwinęli żagle przed nią. „Te firmy się chyba z tym liczą. Przemiał pracowników. Byle jak wyszkolonych, robiących byle co. Byle miał kto przez chwilę rozmawiać z byle jakim klientem, któremu stwarza się pozory zainteresowania jego sprawą. Byle jakoś szło do przodu. Bylejakość. Ogarnia masy i elity”. Nie mogła sobie przypomnieć, czy ostatnia jej myśl to cytat z wiersza Różewicza, czy może z innego poety. A może to w ogóle nie jest cytat? Może to wszystko szło jakoś inaczej?

Na tym całym szkoleniu Monika nie interesowała się Wojtkiem. Zresztą to nie było jej pierwsze szkolenie. To nie byli jej pierwsi chwilowi znajomi. Przyzwyczaiła się, że ludzie pojawiają się w jej życiu, a potem znikają, idą w inną stronę. Szczególnie nienawidziła, gdy wszyscy wmaiwali sobie nawzajem stanowienie wspólnoty. Firmowe imprezy integracyjne, obiadki, piwo... Przy takich okazjach łączy tych ludzi co najwyżej problem poszukiwania pracy. Nic ponad to. Cała reszta dzieli.

Wojtek stanowił po prostu kolejną twarz, którą należało odnaleźć w worku z napisem „Raczej Ich Już Nie Spotkam”. Zdarzało się oczywiście, że z całego napisu najistotniejszym okazywało się słówko „Raczej”. Z Marcinem nawiązała znajomość opierającą się głównie o wspólne picie taniego alkoholu. Jednocześnie poszerzało się grono ich wspólnych znajomych. Z każdym tanim winem, wodnistym piwem, ciepłą wódką pojawiały się nowe twarze. Tak poznała Krystiana.

Skąd on się właściwie wziął w „Piwnicy”? W tej nędznej knajpie, w której podają tylko jeden rodzaj piwa, w dodatku jasnego. Szarego – ten kolor najlepiej określiłby to, co czuła w ustach. Tego wieczoru kolejne jasne pełne mogłoby u niej spowodować co najwyżej wymioty. Zresztą, przynajmniej pozabyłaby się uciążliwej potrzeby patrzenia na niego. Wojtek – jeżeli dobrze pamiętała imię.

Dobrze. Tak w końcu do niego wszyscy mówili cały wieczór. Konkretniej: całą noc. Wojtek – tak przynajmniej jej się wydawało, że mówili.

Coś ją w nim pociągało. Może po prostu to, że jako jedyny nie pierdolił namiennie o graniu na gitarze, a może coś zupełnie innego. Z każdym kolejnym spojrzeniem w jego stronę coraz bardziej miała ochotę pocałować usta Wojtka. Grube, pełne usta. Nie czyniło ich to nad miarę męskimi, ale na pewno pociągającymi. Wzrok jej się co prawda rozjeżdżał, ale od dawna nie miała okazji na seks, a alkohol jakoś dziwnie wzmacniał ochotę. No, może nie tyle wzmacniał ochotę, co raczej likwidował normalne hamulce. Sama sobie się dziwiła, że akurat taki wybrała obiekt zainteresowań. W końcu w całym dzisiejszym towarzystwie było siedmiu mężczyzn i tylko dwie kobiety. Ona i Renata adorująca kogoś w drugim boksie. Mogła więc spokojnie poszaleć.

Jedynym, co ją blokowało przed zatopieniem się w wargach Wojtka, był fakt, że obok siedział Krystian. Jej chłopak, a jednocześnie gitarzysta. Gitarzysta, którego kapela zagrała właśnie jako support przed zupełnie nieznanym zespołem.

Wszyscy stanowili grupę bliskich znajomych Krystiana. Wszyscy oprócz Wojtka. To zaś bardzo dobrze tłumaczyło jej wybór. Nie całkowicie, ale w znacznym stopniu. Tak przynajmniej podpowiadał tonący w alkoholowych płynach mózgu.

Oddychała ciężko, próbując ustawić ostrość widzenia.

Nawet nie pamiętała nazwy kapeli Krystiana. Zresztą to ich bycie razem pogrążało się często w niebycie. Dzisiaj do siebie powrócili po długiej rozłące. Kurczę, teraz nie będzie w stanie przypomnieć sobie powodu rozejścia ani przyczyny zejścia.

„Przyczyny zejścia” – uśmiechnęła się sama do siebie. – „Zejść to czasami można z Krystianem z nudów”.

Jakoś tak wyszło, że znowu stanowią parę. Chociaż obecność Wojtka powoli podkopywała w niej wiarę w trwałość związku. Krystian angażował się w dyskusję o graniu na gitarze, jak zawsze, a ona, zjeżdżając po oparciu boksu, jak zawsze zaczynała się nudzić. W knajpie było wystarczająco jasno, żeby mogła śledzić swym pijanym wzrokiem szczegóły nędznego wystroju rodem z lat dziewięćdziesiątych minionego wieku. Czy tutaj ktokolwiek dokonał remontu przez ostatnie dwie dekady? Najnowszy element stanowiły zapewne stoliki – z wyrytym hasłem reklamowym producenta piwa.

Było wystarczająco jasno, żeby pomimo problemów ze skupieniem się na jednym punkcie, wyłowić w całym tym piwnicznym klimacie akurat usta Wojtka.

– Monika – zagadał pierwszy – a ty co tam teraz porabiasz?

Początek pierwsza klasa! Sztampowy i nudny, świadczący raczej o braku zainteresowania rozmową. „Czy ci mężczyźni ostatnio nie mogą inaczej? Nie potrafią zaprezentować się z lepszej strony?”. Jedni traktują ją jak dodatek do kolegów, z którymi mają o czym rozmawiać, z którymi mogą wypić sobie piwo; jak kogoś, komu mówić

się „kocham”, bo jakoś tak wypada mieć laskę. Drudzy też raczej nie oczekują od niej żadnej mądrej wypowiedzi, traktując ją jak ciało potrzebne do macania, całowania i zdejmowania opuchlizny we własnych spodniach.

Wojtek swoim pytaniem wpisywał się idealnie w drugi rodzaj mężczyzn.

Przyszedł z nimi z „Bakcyli” po zakończonym koncercie. Zнали się jednak od jakiegoś czasu. Teraz fala najróżniejszych przeżyć – sków oraz wspomnień zasypywała lawiną jej głowę. Próbowала je poukładać niczym towar na półkach w supermarkecie. Kiedyś, zaraz po maturze, wykonywała przez chwilę taką pracę, więc może ze wspomnieniami poradzi sobie także? To idiotyczne porównanie wywołało uśmiech na jej ustach, który równocześnie sprawdził się bardzo dobrze jako odpowiedź na zadane przez Wojtka pytanie.

Zresztą nie interesowała go żadna odpowiedź.

Oduśmiechnął się do niej.

– Podobają ci się muzyka, która tutaj leci?

Przerwała układanie na półkach w supermarkecie swego umysłu produktów z etykietką w postaci jego imienia, żeby móc wsłuchać się w kolejny kawałek rodem z rockowej listy przebojów ostatnich dwóch dekad wieku XX. Zestaw utworów równie marny jak mix boazerii i tapety.

Oj, działo się w tamtych latach dużo ciekawszych rzeczy w muzyce. To zamęczenie ludzi Lady Pank, Perfectem, T.Love oraz im podobnymi kapelami zaczyna przypominać propagandę nieznanych sił, które z niewiadomych powodów uważają za słuszne upraszczanie przeszłości. Później chodzą te maślaki po klubach takich jak „Piwnica”, myśląc, że słuchają niezależnej muzyki z czasów, gdy ich na świecie nie było i pomstując, że obecnie w muzyce się nic nie dzieje. Niech tam.

– Może być – rzuciła trochę bełkotliwie. Uświadomiła sobie, że nawet jeżeli Wojtek byłby zainteresowany tym, co miała do powiedzenia, to i tak nie umiałaby zebrać tego w logiczny ciąg zdań.

– No.

Jego wypowiedź okazała się jeszcze krótsza, chociaż nie wydawał się wcale tak bardzo nawalony jak ona.

Pochylił się nad stolikiem, żeby skosztować kolejny łyk jasnego piwa. Jakiegoś z tych największych kompani piwowarskich. Żywiec chyba, a może Warka. W końcu ta nazwa pobłytkiwała na metalowych płytkach wbitych w stoliki. Chociaż w tych podrzędnych barach stoliki – swoje, w beczkach – swoje. Nie miała zielonego pojęcia, co polewali w „Piwnicy”. Zresztą było to jej idealnie i elegancko obojętne. Nie zamierzała pogłębiać swojego stanu upojenia tymi szczynami z bata. Gdyby nawet spróbowała się napić, to przecież rozróżnienie smaku marki przy którymś tam piwie tego samego wieczoru równało się z szansami zatrzaśnięcia obrotowych drzwi. Może gdyby było butelkowe?

Chociaż ostatnio czytała na jednej z internetowych stron raport o tym, że nikt nie dolewa wody do beczek, to jej nadal podejrzana wydawała się nazbyt jasna barwa płynu w kuflu. Krystian kiedyś porównał ten kolor do moczu zbyt długo przetrzymywanego w pecherzu. Teraz jednak nie miał zamiaru z nią rozmawiać o nawet tak nieskomplikowanych problemach. Zajęła go rozmowa z ukochanymi kolegami. Rozmowa o muzyce. Rozmowa, która miała sprawić

Opowiadanie



No

Michał Domagalski

głos

bo jesteś (...) ower-utopia. takie fine bez wiedzy o konkretach.

ojciec

mój syn do niej zadzwonił, bo chciał jej powiedzieć (nie przeczytać), że mogliby razem pojechać do Grecji, chciał jej wyjaśnić, że zanim Grecy odzyskali niepodległość, zanim i po, nie byli nawet w Iranie, nie byli nawet z Peru, że o Persji nie wspomnę. Wiem, dlaczego Evo i Eve mogą podróżować w te i wewte, wiem, dlaczego on nie zjadł kaczki i dlaczego połknął rano trzy parówki, wiem nawet – co ja zrobiłbym na jego miejscu, ale nie jestem na jego miejscu, a on nigdy nie zechce być na moim. mam już tylko j-ego. i to wszystko? ciekawi mnie, co robi Amerykanin.

NOWA

więc jak chcieli ugotować rewoltę? O-S-O-B-N-O?

Boliwia

NIE BĘDĘ POWTARZAĆ. SĄ U MNIE. WIDZIAŁAM, JAK RYSOWALI MAPE. WIDZIAŁAM!

NOWA

jestem Atką.

Ojciec

po co się przyznajesz?! ocipiałaś?

pędzel

nie ocipiała. pamiętam, jak namalowałem jej zielone buty, żeby poszła z brzuchem pewną ulicą. tak, była w ciąży. miała wybór. dokonała, kupiła buty jak butelkę. syna nie wyskrobała. buty kupiła!

Owentropia

rozmaawiałam z Boliwią, zaprzeczyła, że jest jebnięć. ja jej wierzę. wierzę w Owentropię, kocham się w Owentropii. Zobaczcie, jak kocham: trzy serca, trzy polubienia? funky-żab!

Madagaskar

słabo.

Boliwia

jeszcze dorwę tatara, każdego z osobna. NIE POZWOLĘ, żeby jakieś pokurcze na mongolskim podwójnym koniku ubliżały MI!

Chile prawie Peru

co rzekł mol-tatar?

Peru zimne

co rzekł mol-tatar?

Peru ciepłe

co rzekł mol-tatar?

Stodoły

niie powiemy.

scena dwunasta

dont kraj

ktoś nie kaszle/ktoś nie chrapie

Ige

ja powiem:

tak, Boliwia to żona Boliwara, trochę gadatliwa, może ma poczucie humoru, a może z kogoś się naśmiewa, ale zgrywając aktualną Dolorę. nie słucham, co gada Peru. Peru wiecznie kłamie, próbuje manipulować, chciałyby być najładniejsza, najlepsza w klasie, ale to zwykła sadzonka, toczka w toczkę jak jej matka i babka, tylko jej jeszcze nos i broda urośnie, nikt jej nie posłucha, tylko się policzki zapadną i sadzonka urośnie w szpaler. Peruwiański nie da cienia. Chile, zaskoczyła mnie mile, choć oceniam eksterier, lubię góry, jeziora, prerie, wzrost i szczupłość cieszą niezmiennie, no i słyszała o mnie. miło.

Amerykanin

POWIEMTAK, POWIEMNIE.

PRACUJĘ OBOK PLACU ZABAW.

MOŻECIE SIĘ JĄKAĆ DALEJ.

WZWÓD.

Ige

z karocą czy bzz?

Amerykanin

a co ty, Ige, wiesz o Chinach?

NOWA

mój syn o Chinach wie wszystko.

[czas minął]

zanim przejdziemy do drugiego aktu, Ige chciał coś powiedzieć!!!

Ige,

Ihe,

Ihuś,

Muff!

MOJA PARTIA NAZYWA SIĘ PARTIA ŚRODKA, GŁU-
POLE POMYŚLA, ŻE TO CENTRUM, A TO CHIŃSKA PIĄTA
KOLUMNA. WYSIĄDĘ Z ŻÓŁTEGO TRAMWAJU NA PRZY-
STANKU HAREM I NOBEL. JA,,,,,,,

Men: Masz jakiś patent na frazę czy wiatr?

Transylwania: Nie mieszaj do tego siroccooooo...

Nie mieszaj harmattanuuuuuu...

Za staaaaara jestem na takie papą!

Obrażona wychodzi.

Men do Li, bo Li już w-rogu:

Ja pierdołę, Czingita de Charkania.

Dawaj mi tu trzy czarne kokespaniele.

Ożyw kadr, błagam!

Li wchodzi (ssaroguu).

Przyprowadza 3 czarne kokry.

Men: Dlaczego akurat wy?

Trzy czarne kokry:

Hondy nie było, hau.

Hondy nie było, hau hau.

Hondy nie było, hauhauhau.

Koniec sceny z kokrami.

Li zabiera psy i wychodzi.

Li przyprowadza Megality.

Megality szwarne (Chyba do siebie bo do kogo?): Mamy w świecie arabskim, zwanym światem sztuki, taki zarys, pomysł, załóżek, że: poeci to szatyni, pisarze mają wanny, a ci dramato-piszący nie mają nic. a! malarze mają pszczołę, jedną taką pomarańczową. albo nie, niebieską.

Men: Q, zdecydujcie się na kolor!

Megality: To szary!

Men: Won!!

Megality wybiegają!

Men: Li, chodź tu gnoju, kto to był?

Li: Megality szwarne.

Men: Skąd?

Li: Nie wiem, chyba z MąMartr.

Men: Tam nie występują.

Li: No, to może z Chorzowa Batory.

Men: Idiota!

Li: Możliwe, że kogoś znają, mają plecy, to było widać. Chyba są z Mikołowa.

Men: Racja. Tylko ta pszczoła mi tu nie pasuje.

Li: Z Wrocławia nie miała daleko.

Men: One były jednak fajno-dziwne.

Li: Posłałeś won, nakrzyczałeś, wale!

Men: Znasz mnie, krew nie woda. Trudno, dawaj tu łysiego Forda!

Li wychodzi.

Ford ujeżdża.

Ford: Gutyn tak, Men, guten tak. Folcswagenbichajndhondas-frromMinšin, gdyż transporrtyn cum jak mogłem najszybciej. Is wykluacz rzeczny. Cwajdrrajemzibyn tu frrajpopchłem Guliwerem ku obliczu, obliczu pana von. Brrechlenlampenundkatakumben by przybyć. Majnealajane for eden, ja, cuzamen mit Gerrdruda! Geer-trruuda! Kom!

Gertruda: Najn!

Ford: Gerrś, kom! Bite! Komnałem cum!

Gertruda: Najn!

Ford: ABE!?

Gertruda: Majne piane, majnewannen, majnenichc, szmyrloku!

Men: Kom tu mi, to będzie początek wielkiego seksu, Gertruda!

Gertruda: Żonkila se wsadź!

(koniec *)

Eva

to się ciągnie dalej, ale teraz nie dokończy.

Evo

RANO PRZECZYTASZ MI TO JESZCZE RAZ. ALE Z LEGENDĄ!

Eva

Evo, zastosowałeś wykrzyknik?!

Evo

zaraz cię ugryzę!

scena jedenasta

obcy kraj

(ZNOWU chcieliśmy zadzwonić do robotnika

ZNOWU stodoły nas zatrzymały)

Stodoły

jechał dla mnie, do mnie jechał, i ciężarówką jechał niepierwszy raz.

Peru ciepłe

on za dużo pracuje, za dużo drewna suszy, jej by wysuszył lepiej.

Peru zimne

ale coś się stało?

Chile prawie Peru

zgadnij!

Boliwia

JA WIEM, CO SIĘ STAŁO. jak do niej dzwonił, to zahamował, telefon mu upadł za fotel, za siedzenie. to milczał. a miał jej coś powiedzieć, czy przeczytać.

Madagaskar

miał czytać, bo teraz jego kolej.

Owentropia

dlaczego ja znowu nic nie wiem?!

podbiło Moskwę, spaliło Moskwę, olało Moskwę. runo to ja.

pędzel

też się będę, kurwa, wymądrzał! jebnę se taką farbą Paula Klee, że mi wszystkie pomarańcze wyskoczą. malnę roboczno voodoo na okręcie, z korby żagiel – bielą i czerwienią, dorzucę gratis perspektywę Duchampa, wyrzynam na iskierkę z prądem Gdańsk-Gdynia-bez Sopotu. żurawia wam jebnę, takiego elbląskiego, bo te z Gdyni zielone jak chuj w butelce. i buty jej namaluję, buty!

syn

Atkę wszyscy zostawcie w spokoju. a buty tej, tej, tej – już widziałem. raz.

głos

RAZ, GRATULUJE!

ojciec

też gratuluję wyczynu!

syn

widziałem, bo ściągnęła je dla mnie. dlatego zapamiętałem, bo sama ściągnęła.

ojciec i pędzel

hm, jak sama? gdzie sama?

syn

nie w Chile, nie w Peru, nie w Boliwii. u siebie w kuchni ściągnęła.

ojciec i pędzel

ale po co?

syn

bo robimy rewoltę, ja EVO i ona EVA.

ojciec

a jednak tatarszy syn.

pędzel

a jednak chazarskie plemię.

scena dziewiąta

wyprawa po nic

(w gabinecie)

Evo

o czym chcesz pisać?

Eva

nie wiem, o naborze na greka zorbę.

Evo

co masz?

Eva

chcesz zobaczyć?

Evo

chcę.

Eva

ALE POTEM TY.

Evo

ja później.

Eva

dobrze, ale znajdź Greka!

Evo

żebym tylko nie znalazł Amerykanina.

scena dziesiąta

poszukiwania

(Eva czyta, Eva czyta)

*

Oni:

Men

Li

Gertruda

Rekwizyty: Transylwania, zapalki, łusy Ford, trzy czarne kokerspaniele, awaria, beton, deszcz i dwa franki

Men: Zrobiłeś risercza?

Li: Uhm.

Men: Teraz będziemy czynić awarię, czy-ni-Ć.

Li: Jasne.

Men: Oni to muszą zagrać jak Grek Zorba, wiem, że nie potrafią. Wezmę ich pod nutkę QQ. Wrzucasz akord, ja beton, bo mam wymagania. Potem deszcz ma być. Chwila, ona chciała być Gertrudą. Czyli co mamy?

Li: Transylwanię, Megalitty szwarne, Trzy czarne kokerspaniele i łysego Forda.

Men: Będą mówić w języku ku-czu-ańskościąm. Beedzie zajebić, masz tu dwa franki, kup mi zapalki.

Li wychodzi

Men (w-rogu) zwraca (się) do Transylwanii.

Men: Zrobisz mi wykład?

Transylwania: Zrobię ci loda.

Transylwania jest ukurwiona. Ma trzy miecze i woła:

Ns, traaa, li, sli, sli, waaaaaa!

dzieci, byłem ja sobie dobry Evo. zdobyłem głosy i poparcie. kibicowałem chłopom i neoliberalom. teraz musicie mi uwierzyć! musiałem ją uratować. nie żałuję.

Chazarka (spija splendor)

jestem charyzmatyczną i nieugiętą potomkinią ludu CH. przezywają mnie Jude-ch, a za co – ja się pytam?! za to, że łupiłam nad Samarem? rzeka jak rzeka. marzył mi się Jedwabny Szlak i on. ty, Evo. niestety poróżniła nas religia i eter. nadawaliśmy z Evo na innych falach, megahercach czyli. on się uparł, że to za daleko. kurwa, jakie za daleko, skoro nie istniejemy! ale chłop to chłop, to się uparł, co więcej, zmyślił historię, że ma żonę – Eve, czy coś. uwierzyłam. a wiecie, co się okazało?! sprawdział mnie, bo nie wierzył, że zrobimy to, co zrobimy. nie żałuję.

scena siódma

bajka

(w kuchni)

k\Kuchnia

ktoś użył ce-ha, czy się przesłyszałam?

k\KKuchnia

ona! Chazarka!

k-uchnia

charyzmatyczna nikt, też mi H!

k\Kuchnia

podobno znowu się z nim widziała.

k\KKuchnia

podobno to on się z nią widział.

k-uchnia

robimy zakłady o to – co jedli?

k\Kuchnia

on pewnie nic, jest na diecie.

k\KKuchnia

a ona też pewnie nic, tylko.

k-uchnia

TYLKO CO?

k\Kuchnia

nie wiem, pewnie wyjechała z mięsem, na grubo, na śmietanie.

k\KKuchnia

na śmietanie, to ja bym królika poddusiła.

k-uchnia

z miodem!

k\Kuchnia

na miodzie.

k\KKuchnia

i rozmaryn.

k-uchnia

nie wiem, trochę, szczyptę, i dymkę, dwie dymki.

k\Kuchnia

duś, duś, podlewaj.

k\KKuchnia

jedno jest pewne – nic wege mu nie podała.

k-uchnia

monet, moment, ale któremu? bo ten pierwszy kaczkę przecież.

k\Kuchnia

ten pierwszy to jest ten drugi.

k\KKuchnia

kto tu jest kim i z kim?

k-uchnia

na razie ustaliłam, że my to my.

k\Kuchnia

ja rozumiem! ja już rozumiem!

k\KKuchnia

co rozumiesz?

k-uchnia

ja też rozumiem, ten od kaczkę ma coś wspólnego ze STODOŁĄ i z Boliwią, a ten od diety ma coś wspólnego z Ameryką i tłumieniem junty. tylko to trochę nielogiczne, bo oni są z lat sześćdziesiątych. rewolty są młodsze. naciskałabym na lata pięćdziesiąte. inaczej bym to opisała. i czy tajfun był w Peru? bo jak był w Peru, to Peru kłamie (że nie u mnie). Peru zawsze kłamie. ja na ich miejscu pojechałabym do Kołobrzegu. najlepiej pociągiem. tylko nie ze Słupska, bo to zbyt banalne. trzeba wrócić do Gdyni. tam jest najlepszy tatar.

scena ósma

wyprawa po runo

(w stołowym)

ojciec

dłaczego nie zostałeś historykiem, jak ja? dlaczego zostałeś małym, grubym twarem, jak nie-ja? dlaczego wciąż jesteś mołem, mołem, mołem? masz nieczyste sumienie, koniak! I tak masz mnie i Atkę za nic, ją że kurwę, wołk-kurwę, niebezpieczną – jak ta jej cała kraina na CH. cały jesteś jak te jej bajki o średniowieczu chazar-sko-judaistycznym. beze mnie byście zginęli, szcurki. moje plemię

STODOŁA 1,
wiem.

STODOŁA 1.
kretynka.

STODOŁA 1,
pewnego razu
Ige napisał opowiadanie.
wszystko jej opowiedział,
a Evato pocięła:

Peru ciepłe
chłopiec wywołał tajfun.

Peru zimne
u nas?

Chile prawie Peru
nie, w okolicy.

Boliwia
ilu zginęło?

Madagaskar
jakiś osiem tysięcy bez kondona.

Owentropia
zachowałam jednego kondona na wszelki przypadek.

Peru ciepłe
znacie tego chłopca?

Peru zimne
u nas nikt o nim wcześniej nie słyszał.

Chile prawie Peru
u naszej okolicy kompletnie nikt o nim nie słyszał.

Boliwia
A JA SŁYSZAŁAM,

w pięćdziesiątym drugim dokonał przewrotu i obalił juntę. już wtedy mówiono o nim – prezydent. ale unikał partii i szeregów, uważał, z kryzysem poradził sobie sam, bo potrafił suszyć drewno, był bardziej pracowity niż Viktor, a potem wtrąciły się Stany, taki jeden przyjechał i mówił, że go zna. to nie była prawda, bo to był pisarz. nie lubili się od kilku lat. ten co przyjechał z Ameryki to był bogaty pan, chyba z ruchu rewolucyjnego. dla mnie to dziwne u sumie, bo to prawie ten sam rocznik, powinni się polubić, ale nie polubili, bo wojsko-wojsko stłumiło Amerykanusa za daszek i za nią.

Madagaskar
kiedy to było?

Owentropia

w latach sześćdziesiątych, pamiętam jak dziś! ani jej jeszcze na świecie, ani nawet tego wojska, a już bili się o Powązki.

Owentropia

bili się i bili i co? i nic. jedna burza i chuj wszystko wzięło, wszystkie groby zaorało, a ją i jego to już nigdy więcej nie widziałam.

Madagaskar

a ja widziałem!

Boliwia

gdzie?

Chile prawie z Peru

po co to pytanie. nikt ich już więcej na pewno nie widział. junta?

Peru zimnie

nie u mnie!

Peru ciepłe

u mnie są. ci!

głos

kołomyja.

KUCHNIE

KTO WPUŚCIŁ WIATR?

ojciec

JA!

KUCHNIE

skąd?

NOWA

z średniowiecza jestem, witam wszystkich i pozdrawiam z CHI!

scena szósta

kraj

(Chazaria-chazaria i tylko chazaria – ja)

Indianin Evo (wspomina)

my, Ajwarowie, chcemy wam coś opowiedzieć.

Ajwarowie: chcemy wam powiedzieć, że, tak jak wy, jesteśmy w mniejszości. pojmano naszych dziennikarzy, pojmano naszych sędziów i nauczycieli, teraz zabierzemy wasze żony.

Keczua (wróg): to są pomówienia, to są mrzonki, więcej zaufania i życzliwości wobec nas, większości, życzę wszystkim wesołych świąt!

Ajwarowie: mili państwo, Keczuańczycy – życzymy wam również wesołych świąt, acz! nie będziecie nawet naszych łam wypasać, naszego kalendarza słońcem ryzać, ksiąg sss dupą w niebie udo-wadniać. też was pozdrawiamy wigilijnie – jak płód łamy w rożku z czekoladą – miast kooki!

romansem, aut, jakiś chińczyk staje w jej obronie, jest to Jackie Chan w jej typie, choć śmieszny, i tak zaniedbał kung-fu. są, siedzą w knajpie i jedzą ryż. płoną świece, on robi na drutach, to znów podjada.

tatarzyna
czego się boją?

tatar
lęk mają we krwi, zdalny do naszego picia. upijesz mnie, tatarzyno, ja upiję się tobą. zostanę eliminatorem, stanę się eliminatorem. w tej sytuacji.

tatarzyna
a jaka jest sytuacja?

tatar
nie pojedziesz do Łodzi, nie pojedziesz do Krakowa, nie pojedziesz nawet do Wrocławia.

tatarzyna
to pojedę do Bielska!

tatar
a ja na sympozjum!

tatarzyna
brukselka!

tatar
a co ty wiesz, tatarzyno, o architekturze pałacowej?

tatarzyna
divadlo!

wróżba milczy

scena trzecia
bajka
(w kuchni)

k\Kuchnia

ten samochód jest czerwony, ten samochód jest malutki, nie jest nawet sub-bu, samochód jest kar, jest car, wozi w tętą, samochód ma wieszak, ma koszule w kratkę, ma złe wróżby, samochód jest czerwony, samochód jest lewy, samochód jest z zaboru.

k\Kuchnia
STANĄŁ!

k\Kuchnia
bzdury opowiadasz, zjechał.
miał po drodze!

k\Kuchnia

gównu tam wiesz, czy po drodze.

k\Kuchnia

sobie jechał, jechał sobie od rana do nocy.

k-uchnia

dojechał.

k\Kuchnia

k\Kuchnia

k-uchnia

on nie zjadł kaczk!

nie był głodny.

był.

zmilczał.

nie pierwszy raz.

głupia sprawa.

zjadł trzy parówki na śniadanie.

ile?

scena czwarta

obcy kraj

(chcieliśmy zadzwonić do robotnika stodoły nas zatrzymały)

STODOŁA 1,

wiecie,

STODOŁA 1.

co?

STODOŁA 1,

ciężko ze mną wytrzymać, pracuję do świtu.

STODOŁA 1.

ktoś do ciebie dzwonił?

STODOŁA 1,

owszeemm.

STODOŁA 1.

udałaś choć zaskoczenie? mów!

STODOŁA 1,

odebrałam wieść, taki gest.

STODOŁA 1.

ale mów mniej oficjalnie.

STODOŁA 1,

czekałam i jestem w szoku.

STODOŁA 1.

kretynka.

Dramat

OSTATNIA E-SZTUKA

Ewa Olejarsz

obojętny, bo przecież nigdy się do niej nie odezwał. W ogóle do nikogo się nie odzywał. Całe życie z Edkiem myśleliśmy, że nie umiał mówić. Kiedy nadarzyła się okazja, by namalować panią Knurową, okazało się, że mówić potrafił, a w dodatku jak już zaczął, to nie mógł przestać. Zapytałem wtedy mamy, dlaczego stryj milczał. Powiedziała, że nie zauważyła. Ale od skoku brigadzysty był niesłuchanie podniecony, w całym bloku było słychać tylko „prawie idealny, jeszcze jeden, moja pani, i będzie jak ta święta!”. Malował ją w naszym mieszkaniu co wieczór niemal do rana, od zapachu rozpuszczalnika obraz rozpadał nam się na kawałki, radosny głos stryja docierał z opóźnieniem, a w sny wdzierały się wynaturzone kobiety w aureolach.

Jak chowaliśmy stryjka, Matka Boska spoglądała pogodnie na trumnę, i tylko w tym jednym momencie pani Knurowa upodobniła się do obrazu. Na następnym pogrzebie nie było już tak pogodnie, bo Doktor Szpigiel przywiózł Dionizego.

Deszcz zagłusza nasz niepokój. Czekamy, czy oprócz Doktora przyjdzie Ojciec Stópka, żeby pochować mamę, a Dionizy złorzeczy nam nadal. Ścieli go, ale on ani myślał umierać. Jego ciało podniosło łeb z piachu i poszło z tym gniewnym ładunkiem pod pachę. Wyobrażam sobie zawsze, że sunął stopami, leniwie przewalał się z nogi na nogę, za to z ust wylewały się żarliwe przekleństwa i komendy do tego półżywego ciała, pośpieszał je, dyrygował, a ono wlokło się ociężale jak stygnąca magma. Tylko jedna część Dionizego chciała przetrwać, reszta żyła pod przymusem.

Edward też się go bał, ale nie zdążył znienawidzić. Podczas pogrzebu pana Komosza, pierwszego pogrzebu, na który Doktor Szpigiel przywiózł witraż i prawie zasłonił nim obraz stryja, Edek śmiał się z odciętej głowy, a potem w domu zakrywał się kocem pod brodę, wyracał oczami i charczał, że jest święty-święty. Doktor Szpigiel opowiedział mi legendę, ale dopiero po pogrzebie ślicznej Sary. Nie opowiedział jedynie, jak to się stało, że ktoś ustawił mu czerwone oczy. A to one nie pozwalały mi się śmiać nawet przez chwilę.

Za to Edek zazwyczaj śmiał się nie wtedy, kiedy powinien. Pamiętam naszą kuzynkę Aldonę, to stało się jeszcze zanim powstał pierwszy blok w Nowej Hucie. Wykopała dołek i złapała kurę. Po chwili stłumione gulgotanie próbowało wydostać się spod kopczyka ziemi, a ten podrygiwał jak pokrywka garnka na piecu. Gdy unosił się zanadto, Aldona trzaskała kopczyk łopatką. Dopiero kiedy gulgotanie cichło, Edek wycisnął z siebie okragłe i głośne „HA, HA, HA”, takie, jakim cyrkowcy witali gapiów. Potem szybko pobiegliśmy w pola. Gdy zapytałem, czemu się zaśmiał, wyglądał, jakby w ogóle mnie nie słyszał. A za moment powalił mnie na ściernisko. Czułem się, jakbym to ja był tą kopką ziemi, a on łopatką Aldony.

Edek gnębił mnie, odkąd powiesił się tata. A jednak byliśmy jak jedno, dwugłowe ciało.

Gdy chowaliśmy Edka, w sosnowych ławach klęczała mama, trzech murarzy, pani Knurowa, przyjaciółka pana Komosza, co strzelił do siebie przez otwarte usta, rodzice ślicznej Sary, co zabrała ojcu cyjanek, i sąsiad Fryśka, co powiesił się na klatce schodowej. Od Niemca Jana, kolejarza i pani Ludmiły nie przyszedł nikt, bo

nikt ich też u nas nie zegnał. Był i święty Dionizy, ale on nie klęczał, tylko sterczał nad ołtarzem. Słońce stało wysoko i wyostrzyło gniew świętego. Oczywiście zaszył mu krwią. Chciałem się przed nim schować. Zanim drgnąłem za plecami murarza, zrozumiałem, że nie zdołam.

Dzień wcześniej z samego rana mama pojechała do Ojca Stópki prosić, żeby zrobił wyjątek, ale nie zrobił. Więc pojechała do Doktora Szpigla.

To na pogrzebie brigadzysty pojawił się po raz pierwszy. Kiedy szukaliśmy pola pod cmentarz, a stryj malował święty obraz, jeden z murarzy odszukał Doktora w hotelu robotniczym. Każdy, kogo murarze pytali o niego, milczał, choć znalo go wielu. Był potrzebny murarzom, bo zapisywał w księdze, kto jest zdolny do pracy, a kto niezdolny. Chodziło o to, by wpisać przy brigadziście Macieju, że jest niezdolny chwilowo i przedłużać mu tę niezdolność co jakiś czas, aż zapomni się o brigadziście zupełnie.

Doktor zażądał znacznie więcej niż worek cementu i kilka flaszek. To my z Edkiem przez dwa dni kradliśmy po mieszkaniach i zakładach. Edek śmiał się: to strasznie głupie, że kradniemy, by trup ożył w tabelach. Przytaknąłem, chociaż pomyślałem, że warto trupowi dać chociaż tyle.

I Maciej ożył. Doktora zaciekało jednak, co murarze robią z ciałem. Myśleli, że pyta o zaschnięty na Macieju beton, dopominając się jeszcze o łup, w końcu i gruz jest w cenie. Obiecali skruszyć i dorzucić, na co wzburzył się i zaznaczył, że ciała naruszyć nie wolno. Nie zapytali dlaczego, ale zapytali nieśmiało, czy coś wie na ten temat. Czy ma doświadczenie w tych kwestiach. No po prostu, czy grzebał już poza cmentarzem. On na to: owszem.

Tak Doktor Szpigiel zaczął chować w Nowej Hucie. Gdy przybył po raz pierwszy, zsiadł z konia, że aż zatrzęsa się ziemia, a wraz z nią i my. Konstrukcję z blachy kazał wzmocnić. Pole ocenił na zadowalające. Nazajutrz odprawił Macieja, i nie było w tym nic tajemniczego.

Za to po pogrzebie stryja Doktor chwycił obraz Matki Boskiej i odwrócił się do wyjścia. Pani Knurowa podeszła bliżej, niż inni mieli odwagę. Splunęła pod oficerskie buty. Za nią stanąłem i ja. Zapowiedział, że przywiezie nam inny, bardziej odpowiedni na te okoliczności. A Matka Boska nieodpowiednia, zaskoczyła go Knurowa. Nie trzeba wam pocieszenia. Trzeba wam ostrzeżenia.

Do przedwczoraj nie miałem pojęcia, że ludzie umierają. Myślałem, że ludzie muszą zabić się sami. Albo czasem robi to za nich ktoś inny. Nikt mi nie powiedział, że jest inaczej. Za to doktor Szpigiel powiedział mi: twoja matka umarła na atak serca. I wyszedł przez drzwi, w których ciągle jeszcze stałem, zahaczając o moje ramię. Zsuwał się po schodach prawie bezgłośnie. Tylko na półpiętrach słychać było trzy uderzenia obcasa o posadzkę, a na koniec trzaśnięcie bramą. I zostałem sam.

Deszcz dudni o blachy. Zasłoniliśmy okno, przez szpary wpływa woda, ale światło już nie. Święty Dionizy stopił się ze ścianą. Tym razem straszą nie czerwone szkła w oczach, a ciemna plama w ich miejscu. Bez światła Dionizy jest martwy. Jego spojrzenie już nie wrze, ale jakby zasypane popiołem, z daleka wypomina mi swoje roszczenie. Chce żyć bardziej niż każdy z nas. ●

Opowiadanie

Przez szkło

Elżbieta Łapczyńska

Mama przez całe życie nie chciała sprawiać nikomu kłopotu, więc sprawiła go dopiero, kiedy umarła.

Ale teraz, gdy wbijam kolana w klęcznik sosnowej ławy, a deszcz ścieka po blaszanych ścianach i wszyscy czekamy, czy ktoś przyjdzie pochować mamę, nie mogę przestać myśleć o tym, że święty Dionizy znów karci mnie spojrzeniem.

Za każdym razem, gdy tu jestem, obserwuje mnie z wysoka, jakbym to ja był wszystkiemu winny. Ile razy siedziałem już w tej sosnowej ławie, żeby pożegnać zmarłych, on zawsze był tak samo surowy dla żyjących, a szczególnie wobec mnie. Może dlatego, że jestem najmłodszy. Kiedyś był jeszcze Edward, chociaż starszy o dwa lata, to byliśmy jak jedno dwugłowe ciało z odstającymi uszami, z jednym życiorysem. Właśnie wtedy, jak go chowaliśmy, zauważyłem, że Dionizy patrzył wściekle tylko w moim kierunku.

Wisi nad nami po prawej stronie ołtarza. Albo raczej stoi, w żeliwnej oprawie, wykrojony z jakiejś kościelnej ruiny. Jest tak duży, że zasłania połowę Matki Boskiej Grębałowskiej. A przecież to ona jest największym obrazem w Nowej Hucie. Właściwie to nie ma żadnego innego. Namalował ją stryj Leon. Dostał za nią od murarzy worek cementu i kilka flaszek samogonu. Murarze zamówili u stryja Matkę Boską zaraz po tym, jak brygadzysta Maciej skoczył w płynny beton do wyurotki.

Brygadzysta Maciej był pierwszym trupem w Nowej Hucie.

Stryj Leon nigdy nie malował obrazów, ale ktoś się dowiedział, że za Niemca był ogrodnikiem u pewnego portrecisty. I dlatego trzech murarzy przybiegło do nas zaraz po tym, jak wyciągnęli brygadzystę z betonu i ukryli ciało pokryte skorupą w składzie budowlanym – mówili, że pewnie zamknęliby całą brygadę za sabotaż. Trzeba było Macieja zakopać – skoro nie na świętej ziemi, to przynajmniej w asyście świętego obrazu. A że akurat stryj był zakochany w pani Knurowej, to postanowił namalować właśnie ją. Pani Knurowa mia-

ła rysy mongolskie, więc taka jest i Matka Boska.

Dionizy za to ma półprzezroczystą brodę, której strąki splatają się w jakąś dramatyczną zagadkę, złotą czapkę biskupa, przez którą przebija światło tak mocne, że służy za lampę w naszej blaszanej kaplicy, i oczy z czerwonego szkła. Tych oczu boję się bardziej niż krwi, co sika z szyi w górę malutkim strumieniem na kształt żdźbła trawy. Odcięcie na karku jest równe i gładkie. Całe ciało zastygło setki lat temu pod rękami witrażysty, nawet bujne szaty straciły lekkość, są raczej jak kamień niż migotliwe szkło. Wiążą światło tak, że cała postać rozmywa się i błednie. Za to głowa, którą Dionizy trzyma w rękach, grzmi.

Z pogrzebu na pogrzeb to wściekle spojrzenie ciąży mi bardziej. Wczoraj, kiedy leżałem na ściernisku za nowymi blokami, myślałem, że z mamą będzie inaczej. Może widział, jak się z mamą skończyło i da mi spokój na ten jeden raz. Dzisiaj mi udowodnił, jakim byłem durniem.

Odkąd trafił do naszej kaplicy, pochowaliśmy siedem osób. Chociaż przydzielili nam mieszkanie na A-1 Południe, gdzie płot klasztornego cmentarza wgrzyza się w osiedle jak fala w ląd, to żadnej z tych osób nie mogliśmy tam zakopać. Więc zrobiliśmy własny cmentarz tu, w zagajniku w Grębałowie, jeszcze zanim Doktor Szpigel przywiózł nam ten diabelski witraż. Pole dla brygadzysty Macieja wybrał stryj Leon.

Miesiąc później pochowaliśmy tutaj i stryja.

Pani Knurowa przychodziła przez cały tydzień, a stryj namalował kilkanaście wersji Matki Boskiej. Marnował deski i farby. Tymczasem każdy obraz był dobry, jakby malarski fach został mu подарowany razem z workiem cementu. Wszyscy zgodnie twierdzili, że była nad wyraz podobna. Matka Boska delikatnie się uśmiechała, była promienna i łagodna. Pani Knurowa nie.

Stryj kochał się w niej nieszczęśliwie przez długi czas. Był jej



AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A
tel. 502 405 437, 668 118 267
www.afront.org.pl, afront.fundacja@wp.pl
Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny
Agnieszka Zub – sekretarz redakcji
Jarosław Nowosad – redaktor

Stali współpracownicy: Marcin Bałczewski, Piotr Gajda, Rafał Gawin, Paweł Garwol, Mirosław G. Majewski, Zbigniew Masternak, Kamil Pietrzyk, Marek Probosz

Okładka: Agnieszka Czyżewska, MY, 120x90 cm, olej na płótnie

W czasopiśmie wykorzystano m.in. zdjęcia uczestników VII Powiatowego Konkursu Fotograficznego „Moje miasto i mój region w obiektywie: miejsca magiczne – miejsca tajemne”, zorganizowanego w 2017 r. przez Bibliotekę Pedagogiczną w Olkuszu. Patronat medialny nad wydarzeniem objęła Fundacja Kultury AFRONT.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów. Teksty kwalifikowane są do druku wyłącznie na podstawie kryteriów czysto literackich. Redakcja nie zawsze i niekoniecznie w pełni podziela wyrażane w nich poglądy. Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.



MAŁOPOLSKA

Projekt realizowany przy
wspieraniu finansowym
Województwa Małopolskiego

Grażyna Stachówna

Teoretyk i historyk filmu, profesor. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1994 w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskała tytuł doktora habilitowanego na podstawie rozprawy „Roman Polański i jego filmy”; w 2003 r. otrzymała tytuł profesora belwederskiego nauk humanistycznych. W Instytucie Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Jagiellońskiego wykłada historię filmu powszechnego, analizę dzieła filmowego oraz krytykę filmową, prowadzi seminaria magisterskie i doktoranckie. Członkini Polskiej Akademii Nauk w Komitecie Nauk o Sztuce. Mieszka w Krakowie.

Radosav Stojanović

Urodzony w 1950 r. w Kruševcu. Ukończył Uniwersytet w Prištinie (Wydział Filozoficzny), pracował tamże jako nauczyciel. Był także dziennikarzem (redaktor naczelny gazety „Jedinstvo” i czasopisma „Srpski Jug”) oraz dyrektorem Teatru Narodowego w Prištinie. Opublikował 10 tomów poezji, 12 zbiorów opowiadań, 3 powieści, 5 dramatów, jedną książkę publicystyczną oraz słownik gwary z regionu Crna Trava. Jego dramaty wystawiano na deskach teatrów w: Prištinie, Pirocie, Vranju i Peći. Wygnany z Kosova w lipcu 1999 r. Mieszka w Nišu oraz miejscowości Mlačište.

Łukasz Suskiewicz

Urodzony w 1977 r., prozaik. Ostatnio wydał zbiór opowiadań *Mikroelementy* (Wyd. Forma). Mieszka w Częstochowie.

Joanna Szarras

Pisarka i felietonistka, autorka książek: *Garet dorasta i Garet, fe!* Sama o sobie: „Ukończyłam pracę socjalną i socjologię na Uniwersytecie Śląskim; wcześniej i później kilka innych szkół oraz wiele kursów, jako że ustawiczne kształcenie się stało się moim drugim nałogiem, co zaowocowało kompletnym brakiem rozsądnie ukierunkowanej kariery, za to wieloma ciekawymi przeżyciami i wrażeniami. Przez wiele lat pracowałam w służbie zdrowia, co moje zdrowie, szczególnie psychiczne, poważnie nadszarpnęło... Parałam się dziennikarstwem i pracą redaktorską, odnosząc skromne lokalne sukcesy jako autorka felietonów, humorystycznej kroniki policyjnej oraz spełniających się horoskopów”. Poza tym maluje oraz zajmuje się rękodziełem oraz grafiką komputerową.

Trycjator (pseudonim)

Rocznik 74. Świadomość artystyczna kształtowana na muzyce wykonawców: Slayer, Jimi Hendrix, Nirvana, Pearl Jam, King Crimson, Bjork, The Beatles, Meredith Monk, J.S. Bach, H.M.Górecki, Chóry Bułgarskie; na filmach Davida Lyncha, Stanleya Kubricka, Stanisława Barei i Witolda Leszczyńskiego; na książkach Fiodora Dostojewskiego i Stanisława Lema. Żonaty, dzieciaty. Pracował m.in. jako elektryk w Hucie Katowice, kurator społeczny, operator wózka widłowego w magazynie z papierem toaletowym. Urodzony w Olkuszu, od paru lat mieszka w Warszawie.

Radosław Wiśniewski

Patrz noty w części: Poezja.

Agnieszka Żuchowska-Arendt

Patrz noty w części: Poezja.

prawdy o życiu – twórczość filmowa braci Coen”, choć uzyskał nawet zaliczenie z seminarium, w ramach którego powstawała. Laureat Granitowej Strzały w 2017 r. Autor debiutanckiej książki pt. *wchodzę w to*.

Elżbieta Łapczyńska

Rocznik '87. Z wykształcenia filozof, na co dzień copywriter. Urodzona i mieszkająca w Krakowie. Pisze krótkie i bardzo krótkie opowiadania, chętnie o Nowej Hucie. Jej teksty zostały nagrodzone w kilku konkursach, opublikowane w internetowych magazynach literackich i wydano je w trzech antologiach, m.in. w *Nikomu się nie śniło*, wyd. Czwarta Strona. Uczestniczyła w festiwalu FAMA, warsztatach Wydawnictwa Czarne oraz Kursie Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO, zakończonym wyróżnieniem i rekomendacją do wydawnictw. Lubi Kereta, Vonneguta, Pielewinę.

Jarosław Nowosad

Urodzony w 1970 r. Prozaik, krytyk, eseista, dziennikarz, z doskoku również poeta i tekściarz. Opublikował tomiki wierszy *Mogę być* (2006) i *Nic nie płynie* (2011) oraz tom opowiadań *Czarny chevrolet* (2013). Był w składach redakcji „Gazety Krakowskiej” (oddział Olkusz), „Ziemi Olkuskiej” i „Kwartalnika Powiatu Olkuskiego”, pisywał dla „Opcji”, „Śląska”, „Frazy”, „Studium” i „Lampy”. Mieszka i pracuje w Olkuszu.

Ewa Olejarsz

Urodzona w 1974 r. Poetka i autorka opowiadań. Laureatka kilku ogólnopolskich konkursów poetyckich, m.in. XVII OKP im. Jacka Biereżina, laureatka XXII Turnieju Jednego Wiersza im. Rafała Wojaczka. Publikacje m.in. w „Śląsku”, „Akancie”, „Arteriach”, „Cegle”, „Migotaniach” i „Toposie”. Książki: *Milczenie placu zabaw* (2015), *Pfu* (2015), *Wszystko jest inaczej* (2016), *Mongolski cyrk* (2018). Mieszka w Zabrzu.

Mateusz Pałka

Z zawodu architekt. Rysownik i muzyk. Wokalista, autor tekstów piosenek zespołu Chaotic Splutter, autor kultowej okładki płyty „Psycho-Gą...bka-Folk” zespołu Zzajani Porywacze Makowców. Mieszka w Olkuszu.

Kamil Pietrzyk

Urodził się w 1989 r. Poeta i recenzent muzyczny. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. W 2015 r. ukazał się jego debiut poetycki *Labirynt kretyński* (Fundacji Przyroda i Człowiek). Mieszka w Zawierciu.

Marek Probosz

Urodzony w 1959 r. w Żorach. Aktor, reżyser, scenarzysta, producent filmowy, pisarz i wykładowca. Debiutował na małym ekranie w serialu *Ślad na ziemi* (1978), rok później pojawił się w kinowej adaptacji powieści Emila Zegadłowicza *Zmory* w reżyserii Wojciecha Marczeńskiego. W 1983 ukończył Wydział Aktorski w PWSFTviT w Łodzi. Jego scenicznym profesjonalnym debiutem była komedia Williama Shakespeare’a *Wieczór Trzech Króli* (1984) na scenie Teatru Polskiego w Warszawie. Pod koniec lat 80. wyjechał do Hollywood i zamieszkał w Los Angeles. Okazjonalnie pojawiał się na ekranie; w dramacie wojennym *I skrzypce przestały grać* (*And the Violins Stopped Playing*, 1988) u boku Horsta Buchholza, dramacie Jerzego Skolimowskiego *Ferdynand* (*Fort 13*, 1991) na podstawie powieści Witolda Gombrowicza z Crispinem Gloverem oraz melodramacie *Przygoda miłosna* (*Love Affair*, 1994) u boku Warrena Beatty, Annette Bening, Katharine Hepburn, Kate Capshaw i Pierce’a Brosnana. W 1993 ukończył wydział reżyserii filmowej w The American Film Institute w Los Angeles. Jest wykładowcą aktorstwa (Visiting Assistant Professor) na Wydziale Teatralnym University of California. Zagrał w ponad pięćdziesięciu filmach, m.in.: *Helter Skelter*, *Śmierć rotmistrza Pileckiego*, *Janosik*, *Prawdziwa historia*, *Rewers*. Polskiej publiczności znany jest również z seriali *M jak miłość* i *Klan*. W USA debiutował jako reżyser i scenarzysta filmem fabularnym *Y.M.I.*, nagrodzonym w 2004 roku na festiwalu The Other Venice. Jest autorem dwóch książek: *Eldorado* (2008) i *Zadzwonił, jak cię zabiją* (2011).

Marcin Rusin

Rysownik. Pochodzi z Tarnowa. Od kilkunastu lat mieszka z rodziną w Perth, w Australii. Rysuje od niedawna – to nowo odkryta pasja. Publikuje jako Kreskonauta.

A u t o r z y › P r o z a

Marcin Bałczewski

Urodzony w 1981 r. w Łodzi. Prozaik, autor książek *W poszukiwaniu straconego miejsca* (2002), *Malone* (2010) oraz *Eva Morales de Nacho Lima* (2013). Tłumaczony na norweski, niemiecki, angielski i białoruski. Nominowany do nagrody Fundacji Kultury „Promocja najnowszej literatury polskiej” (2007 i 2008). Stypendysta „Dagny” Willi Decjusza (wiosna 2011). Prowadzi serwis Plaster Łódzki; sekretarz redakcji Tygła Kultury. Mieszka w Łodzi.

Michał Ciemniwski

Urodzony w 1991 r. Pisze wiersze i opowiadania. Mieszka i pracuje w Warszawie.

Agnieszka Czyżewska

Studiowała w ASP w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach. Dyplom obroniła w 1987 r. w pracowni plakatu prof. Tomasza Jury i malarstwa prof. Jacka Rykały. W 2000 r. stypendystka Ministra Kultury i Sztuki. Zajmuje się malarstwem sztalugowym i monumentalnym, rysunkiem, projektowaniem graficznym, a od 2005 także aranżacją wystaw w Muzeum Miejskim w Tychach. Wystawy muzealne przez nią zaaranżowane były parokrotnie wyróżniane w konkursach (m.in. Sybilla 2005); kolejno w latach 2013, 2014 trzy wystawy uzyskały główną nagrodę w konkursie marszałkowskim Województwa Śląskiego na Wydarzenie Muzealne Roku. Jako malarka bierze udział w wystawach indywidualnych (ok. 20 – ostatnio w 2017 w MDK w Mikołowie i Instytucie Mikołowskim duża wystawa podsumowująca, następnie prezentowana w Poznaniu) oraz w wielu zbiorowych (m.in. w Muzeum Śląskim „Sztuka kobiet, kobiety w sztuce” w 2013, w Muzeum Regionalnym w Radomiu „Szóstka bez sternika” w 2014/15), licznych wystawach poplenerowych. Uczestniczy w plenerach malarskich (m.in.: Beskidzkie Integracje Sztuki, w Łagowie Lubuskim 2015 – „Niebo w zieleni”, Międzynarodowy Plener Malarki „Srebrne Miasto” Olkusz). Prace w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. Należy do ZPAP – oddziału w Katowicach. Mieszka w Tychach.

Michał Domagalski

Urodzony w Ostrzeszowie w 1982 r. Ukończył filologię polską na UAM w Poznaniu. Publicysta i krytyk. Od kwietnia 2015 do października 2016 redaktor prowadzący portalu Wywrota. Jako poeta debiutował w almanachu *Półów. Poetyckie debiuty 2014-2015*. Recenzje i wiersze publikował między innymi w „Fabularie”, „Wyspie”, „Inter-”, „Helikopterze” oraz „2Miesięczniku”. Prowadzi na YouTube kanał Gęba Pełna Frazesów. W 2018 roku wydał tom wierszy *Poza sezonem* (wyd. Biuro Literackie). Mieszka w Poznaniu.

Erasm Furman

Urodzony za późnego Gomułki. Recenzent. Czyta wszystko, co wpadnie mu w ręce, poza wezwaniami do „skarbowki”.

Piotr Gajda

Patrz noty w części: Poezja.

Waldemar Kazubek

Rocznik 1979. Mikołowanin, posiadacz papugi i kilkuset książek. Niezwiązany ze słynnym Instytutem Mikołowskim. Przez pierwsze dwadzieścia dziewięć lat życia czytywał niemal wyłącznie prozę. Ukończył Filozofię na Wydziale Nauk Społecznych UŚ (dyplom o Wilhelmie Diltheyu) i nigdy nie napisał pracy magisterskiej na Wydziale Radia i Telewizji nt. „Od czarnej komedii do

Fundacja Kultury AFRONT

Fundacja Kultury AFRONT zajmuje się kulturą i sztuką. Nie zamykamy się w granicach ziemi olkuskiej, aczkolwiek stąd się wywodzimy, rodzinnego miejsca się nie wstydzimy i chcemy, by nasza działalność wypromowała tutejszych twórców i ich dzieła w Polsce, a nawet poza jej granicami. Mamy zapał i chęci. Nie boimy się wyzwań, niegroźne nam wszelakie rzucane pod nogi kłody, bośmy przyzwyczajeni, a poza tym wiemy, że determinacją i uporem człowiek jest w stanie pokonać każdą przeszkodę. Jeżeli nie zgadzacie się ze stwierdzeniem, że kultura i sztuka są niepotrzebne, że są afrontem wobec takich ludzkich potrzeb jak pełny brzuch i pusta głowa, jeśli chcecie działać, zapraszamy do współpracy.

Cele Fundacji:

1. Działalność na rzecz kultury i sztuki.
2. Wspieranie edukacji artystycznej i kulturalnej oraz wszelkich działań zmierzających do rozwoju i promocji szeroko pojętej kultury poprzez promowanie, inicjowanie i kreowanie działań na ich rzecz.
3. Podtrzymywanie tradycji narodowej, świadomości narodowej, regionalnej i kulturowej.
4. Działalność na rzecz wymiany kulturowej: promocji kultury polskiej za granicą, kultur innych narodów w Polsce, integracji europejskiej oraz rozwijanie kontaktów i współpracy międzynarodowej.
5. Wspieranie artystów, twórców i szeroko pojętej działalności artystycznej. Integracja twórców, działaczy, podmiotów kulturalnych i turystycznych oraz jednostek samorządu terytorialnego.
6. Inicjowanie i wspieranie działalności służącej rozwojowi turystyki.
7. Przeciwdziałanie poprzez kulturę i sztukę problemom społecznym i wykluczeniom.
8. Ochrona dziedzictwa narodowego i kultury materialnej.

Wesprzyj nas!

Fundacja Kultury AFRONT
NIP: 637-21-98-591
REGON: 365383662
KRS: 0000636325

Nazwa banku: Bank Pekao SA

Numer rachunku bankowego: 08 1240 4966 1111 0010 7028 1339

Na rachunku prosimy o podanie informacji, na jaki cel wpłacają Państwo daną kwotę, np.:

- cele statutowe Fundacji,
- zakup kwartalnika „Afront” (nr...),
- zakup książki (podać tytuł książki wydanej przez Fundację).



30 zł + 7,20 koszty przesyłki



15 zł + 7,20 koszty przesyłki



15 zł + 7,20 koszty przesyłki



40 zł + 7,20 koszty przesyłki



30 zł + 7,20 koszty przesyłki

Fundacja Kultury AFRONT – kontakt:

32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A

tel. 502 405 437, 668 118 267; e-mail: afront.fundacja@wp.pl

Spis treści

P o z a i i n n e

Fundacja Kultury AFRONT	184
Autorzy – Proza i inne	183
Rysunek – Kreskonauta	180
Elżbieta Łapczyńska – „Przez szkło” (opowiadanie)	179
Ewa Olejarz – „Ostatnia e-sztuka” (dramat)	177
Michał Domagalski – „No” (opowiadanie)	169
Radosav Stojanović – „W oświadczyń do Eurydyki”, przełożyła: Agnieszka Żuchowska-Arendt (opowiadanie)	161
Michał Ciemniowski – „Tak bardzo Yeti”, „Mars atakuje”, „Jak powstają bezpańskie psy” (opowiadania)	158
Marcin Bałczewski – „Amerykańska opowieść” (opowiadanie)	152
Waldemar Kazubek – „Kelly Karciarka” (opowiadanie)	150
Łukasz Suskiewicz – „Udar” (opowiadanie)	146
Radosław Wiśniewski – „Palimpsest czuwanie” (proza – fragmenty)	144
Fot. Kinga Kluczeńska – Tajemnica za drzwiami	139
Marek Probosz – „Na Broadway, czyli takie cuda zdarzają się raz na 100 lat!” – relacja naszego stałego korespondenta z Hollywood	138
Grażyna Stachówna – „Jańcio Wodnik – trzy figury chrystusowe i jeden diabelski ogonek” (esej filmowy)	134
Piotr Gajda – „Z bunkra na przedmieścia” (felieton)	129
Fot. Kinga Kluczeńska – Za kratami	127
Joanna Szarras – „Fejs” (felieton)	126
Jarosław Nowosad – Na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości – „Równy krok maszerujących ku Polsce zastępów”, Innocenty Libura, <i>Krokiem zdobywców. Opowieść o I Olkuskiej Drużynie Skautowej. 1914–1920</i> , Wydawnictwo Benedyktynów, Tyniec 2018 (recenzja)	125
„Widzenie z Panem Jarosławem” – Maksymilian Truteń rozmawia z Jarosławem Iwaszkiewiczem (wywiad)	122
Jarosław Nowosad – „Dokąd pojedzie tramwaj?” – recenzja spektaklu „Tramwaj zwany pożądaniem” Tennessee Williamsa z Teatru Miejskiego w Gliwicach	118
Zbigniew Masternak – „Najlepszości, Henryku!”, Henryk Bereza, <i>Alfabetyczność, Teksty o literaturze i życiu</i> , recenzja	116
Zbigniew Masternak – „Zemsta Shutego”, Sławomir Shutty, <i>Jaszczur</i> , wyd. Halart, Kraków 2012 (recenzja)	115
Zbigniew Masternak – „Grzegorz jak Bernanos”, Jan Grzegorzczak, <i>Jezus z Judenfeldu</i> , Zysk i Spółka, 2012	114
Paweł M. Wiśniewski – „Mapy wewnętrzne”, Artur Nowaczewski, <i>Hostel Nomadów</i> , Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 2017 (recenzja)	113
Paweł M. Wiśniewski – „Dekameron naszych czasów”, Maciej Sieńczyk, <i>Wśród przyjaciół</i> , Czarne 2016 (recenzja)	112
Paweł M. Wiśniewski – „Jeszcze nie czas”, Weronika Gogola, <i>Po trochu</i> , Wydawnictwo Książkowe Klimaty, Wrocław 2017 (recenzja)	111
Erazm Furman – Afronty Furmana: Kazimierz Nowak, <i>Rowerem i pieszo przez Czarny Łód</i> , Wyd. Sorus, wyd. I, 2000, Jared Cade, <i>Agatha Christie i jedenaście zagubionych dni</i> , W.A.B. b.r.w., Michale Palin, <i>Prawda</i> , przełożyła Olga Siara, wyd. Insignis Media, Kraków 2013, Charles Bukowski, <i>Świecie, oto jestem. Wywiady i spotkania, 1963–1993</i> , pod redakcją Davida Stephena Calonne’a, tłumaczył Maksymilian Tumidajewicz, wyd. Replika, Zakrzewo 2018, Knut Hamsun, <i>Głód</i> , przełożyła Anna Marciniakówna, Świat Literacki 2002, Wiesław Myśliwski, <i>Ucho igielne</i> , Znak, Kraków 2018 (recenzje)	110
Marcin Bałczewski – „Duch Gaudiego”, El Torres, Jesus Alonso Iglesias, <i>Duch Gaudiego</i> , Non Stop Comisc, Katowice 2017 (recenzja – komiks)	105
Marcin Bałczewski – „Narkoprobem”, <i>Narko</i> , Dana Łukasińska, Krzysztof Ostrowski, <i>Krytyka Polityczna</i> 2015	104
Kamil Pietrzyk – Recenzje muzyczne: Arek Jakubik – <i>Szatana na Kabatach</i> , Johnny Marr – <i>Call The Comet</i> , Jonathan Davis – <i>Black Labyrinth</i> , Lunatic Soul – <i>Under The Fragmented Sky</i> (recenzje płytowe). YES feat. ARW – Amfiteatr w Parku Sowińskiego, Warszawa, 3 czerwca 2018 (recenzja z koncertu)	102
Tako rzecz Trycjator – „Lucy”	96
Mateusz Pałka – Komiks	95
Agnieszka Czyżewska – Galeria Afrontu	92

A FRONT

An abstract painting with a textured, layered appearance. It features a mix of warm and cool tones, including ochre, brown, blue, and a prominent, vibrant red on the right side. The composition is dynamic, with visible brushstrokes and a sense of movement. In the lower center, there are white, vertical, dripping-like forms that resemble a stylized architectural element or a modern sculpture. The overall effect is one of raw, expressive energy.

Kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 3(6)
2018

ISSN 2544-3070

PROZA